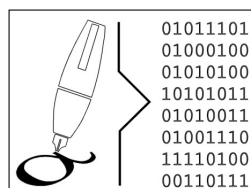


**A.J. Quinnell**

**WIEŻY KRWI**

Tłumaczył Grzegorz Gotart



Tytuł oryginału:

**Blood Ties**

Data wydania polskiego: 1998

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1984

# **KSIĘGA PIERWSZA**

# 1

W windzie śmierdziało czy może raczej śmierdzieli jadący nią ludzie; Kirsty Haywood po raz kolejny pożałowała, że nie pracuje na niższym piętrze.

Zjeżdżając winda zatrzymywała się na każdym piętrze i zabierała wciskających się pasażerów. W końcu Kirsty została wepchnięta w sam kąt pomieszczenia, miała przed sobą łysego mężczyznę w płaszczu w ukośną kratę, który miętolił w ustach zgasły niedopałek grubego, czarnego cygara. Odwrócił się do stojącej u jego boku kobiety o haczykowatym nosie i burknął:

— No więc mówię gościowi: dobra, podkradaj, ale z umiarem! Przekłęci księgowi!

Jasne, skomentowała w duchu Kirsty, zawsze księgowi są winni. Tłusty flejtuch sam pewnie od lat okrada firmę i wspólników.

Na parterze pasażerowie wysypali się z windy. Kirsty wyszła z uczuciem ulgi i wzięła głęboki oddech. Ale zapach unoszący się w holu wejściowym nie był wcale lepszy. Przechyliła się do kiosku. Stary, siwowłosy Murzyn podał jej bez słowa paczkę miętowych cukierków i jak zawsze mrugnął do niej porozumiewawczo. Odpowiedziała mu bladym uśmiechem i przypomniała sobie swój pierwszy dzień przed dwudziestu laty, kiedy włosy kioskarsza były mniej przyprószone siwizną, a mrugnięcie okiem jeszcze bardziej wymowne.

Wyszła z biurowca i wciągnęła przez nos zimne powietrze. Była szósta po południu. Mroźny wiatr rozwiewał spaliny z samochodów tłoczących się na Siódmej Alei w zwykłym dla tej pory dnia korku ulicznym. Postawiła kołnierz płaszcza i ssąc miętówkę ruszyła różnym krokiem. Szła jak typowy mieszkaniec Nowego Jorku: oczy utkwione przed siebie, obcasy wystukują szybki rytm na chodniku, ręce wciśnięte w kieszenie — cały czas lawirowała, żeby uniknąć zderzenia z przelewającą się falą przechodniów.

Przystanąła na Czterdziestej Pierwszej, czekając na zmianę świateł. Zaczął padać deszcz ze śniegiem i na ulicy w jednej chwili wyrósł las parasoli. Zapomniała zabrać parasolkę, wyciągnęła więc teraz szal z kieszeni i osłoniła nim jasne włosy.

Nowy Jork w styczniu... Od dwóch tygodni miasto było sparaliżowane opadami śniegu. Pogoda dawała się mocno we znaki przy niskiej temperaturze powietrza. Nawet typy spod ciemnej gwiazdy wolały pozostawać w domu.

Znowu nie kursują autobusy...

Westchnęła z rezygnacją. Czekał ją kolejny długi marsz do domu przez zwały mokrego śniegu. Z wylotów stacji metra wydobywały się złowieszcze opary, które rozwiewał arktyczny wiatr. Z pobliskiego Broadwayu dochodziło zawodzenie syren. Tuż nad jej uchem elegancko ubrany mężczyzna gniewnie warknął na stojącą za nim kobietę, która niechcący trąciła go parasolką. Kobieta odpowiedziała mu równie przyjaźnie.

Kirsty pozostawała na wszystko obojętna. Dla niej, która w tym mieście urodziła się i wychowała, zawodzenie syren i gniewne pyskówki, niecierpliwość i obojętność były raz na zawsze zrośnięte z otaczającym ją środowiskiem.

Kiedy zapaliło się zielone światło, roześlony elegancik przepchnął się obok niej, torując sobie drogę teczką ze świńskiej skóry. Szła dalej, przezornie omijając obskurne rejonny Czterdziestej Drugiej i Times Square. Pamiętała jeszcze, jak rodzice zabrali ją w dzieciństwie do mieszczącego się tam teatru. Było to niby wkroczenie do krainy baśni: błyszczące czarne limuzyny, eleganckie kobiety w długich, zwiewnych sukniach, tłumy podniekscytowanych ludzi czekających na przelotne pojawienie się gwiazdy. Przez upływające lata była świadkiem niemal nieuchwytnie dokonującej się metamorfozy: rejon ten objęły we władanie dziwki i handlarze narkotyków, podejrzane typy i ćpuny o oczach szklistych od prochów. Seks z migających neonów, ludzkie śmiecie zaścielające ulice.

Od kilku lat przemierzając dwa razy dziennie miasto trzymała się z dala od tego miejsca.

W miarę jak oddalała się od dolnego Manhattanu, na chodnikach robiło się coraz luźniej i w końcu mogła iść nieco spokojniejszym krokiem. Zadawała sobie pytanie, dlaczego Larry umówił się z nią na spotkanie w barze „Bailey’s”. Zwykle spotykali się u niego lub — znacznie częściej — u niej. Kiedy zadzwonił, był dziwnie tajemniczy — powiedział tylko, że chciałby, by przed kolacją wpadli gdzieś na parę drinków. Choć bar dzieliły od mieszkania Kirsty tylko dwie przecznice, nigdy w nim jeszcze nie była. Gwoli ścisłości, w barach bywała nader rzadkim gościem.

Zaczęło mocniej padać. Pokonała biegiem kilka ostatnich przecznic i zatrzymała się pod osłoną pasiastej markizy. Z trudem łapała oddech, nie nawykła do fizycznego wysiłku. Zdjęła z głowy szal. Nie na wiele się przydał. Doprowadziła do porządku włosy i pchnęła obramowane mosiądzem drzwi. Upłynęła chwila, zanim przyzwyczała wzrok do panującego wewnątrz półmroku. Sala urządzona była w stylu wiktoriańskim. Purpurowy dywan, ściany wyłożone czerwonymi aksamitowymi tapetami, zakończonymi u góry krętym czarnym wzorem, niebieskie klosze zdobione frędzlami, stoliki w kolorze mahoniowym i krzesła obite czerwonym aksamitem. W końcu sali ciągnął się długi kontuar barowy, a w rogu stało pianino, na którym brzdąkał ze znudzonym wyrazem twarzy ubrany na czarno rudzielec. Pół tuzina mężczyzn obecnych na sali zwróciło na nią taksujące spojrzenia. Nie było wśród nich Larry’ego. Rozpoznała bez trudu, z kim ma do

czynienia: byli to w większości młodzi, najwyżej w średnim wieku mężczyźni, specjaliści z działów sprzedaży i przedstawiciele młodszej kadry kierowniczej. Wszyscy ubierali się tradycyjnie, a na ich twarzach malował się nastrój nerwowego wyczekiwania. Dotarło do niej momentalnie, że znajduje się w jednym z „barów dla samotnych”. Spojrzała na zegarek: wpół do siódmej. Larry wyjątkowo się spóźniał. Przyszło jej do głowy, by poczekać na niego na ulicy, ale deszcz zacinał coraz mocniej. W barze było przynajmniej ciepło — nawet za ciepło.

Rozwiązała pasek płaszcza, zrzuciła płaszcz z siebie i powiesiła go na wieszaku przy drzwiach. Cały czas czuła na sobie taksujące spojrzenia mężczyzn siedzących przy barze. Niemiłosiernie zmarznięta i przemoczona usiadła przy stoliku. Bez zbytecznego pośpiechu podeszła do niej kelnerka o tlenionych włosach, zębach jak u konia i z wypiętym biustem. Kirsty zamówiła whisky sour. Czuła narastającą irytację. Dlaczego Larry chciał się z nią spotkać? I dlaczego się spóźnia, wiedząc, do jakiego miejsca ją zaprosił? Pewnie przychodzi tu często w interesach i zna niejednego z bywalców baru. No tak, jasne, pomyślała z niechęcią, na pewno marzy mu się, że wchodzi na salę i śledzony spojrzeniami reszty mężczyzn podchodzi do umówionej z nim atrakcyjnej kobiety.

Po zaledwie pięciu minutach, w trakcie których mężczyźni naradzali się szeptem, jeden z nich zszedł z barowego stołka i zbliżył się do Kirsty, strojąc twarz w ujmujący uśmiech.

— Poznajmy się, jestem Ray — zaczął i zaproponował pokazując szklaneczkę Kirsty:  
— Mogę cię poczęstować?

Pokręciła przecząco głową. Natręt nie odchodził, próbując nadal się uśmiechać.

— Jesteś sama?

— Czekam na przyjaciela.

— Mhm... Ale mogłabyś przysiąc się do nas, dopóki nie przyjdzie. Może się przecie spóźnić.

— Dziękuję, wolę posiedzieć sama.

— W porządku, rozumiem. — Odwrócił się i wzruszywszy wymownie ramionami, odszedł do obserwujących całą scenę mężczyzn przy barze.

W ciągu paru minut lokal zaczął się zapełniać. Na każdą z przybyłych kobiet przypadało mniej więcej pięciu mężczyzn. Kirsty mogła obserwować godowy rytuał: wymianę spojrzeń i mowę ciała, propozycje poczęstunku, z których niektóre bywały przyjmowane. Łatwo jej było sobie wyobrazić, jak przebiegają otwierające grę gambity:

— Cześć, gdzie pracujesz? A może w ogóle nie pracujesz?

Albo:

— Nie zalewasz? Znałem kiedyś gościa z firmy Macy's Sportswear. Szef działu zakupów, prawdziwa sycha... Jak on się do diabła nazywał? Na pewno cię już tu kiedyś widziałem... Pierwszy raz? Żartujesz?

Czy choćby:

— Ja? Handluję swetrami. Najlepszy sort, nie schodzą poniżej jedenastu dolarów.

Kirsty zerknęła ponownie na zegarek i postanowiła wyjść. Sięgała już po torbę, kiedy wszedł Larry. Wiesząc płaszcz skrzywił się w przepaszającym uśmiechu i podszedł, machając po drodze ręką do kilku znajomych bywalców baru. Pochylił się nad jej krzesłem, żeby pocałować ją w usta, jednak Kirsty odwróciła głowę i podstawiła mu jedynie policzek.

Zjawiała się kelnerka z kieliszkiem martini dla Larry'ego. Spojrzała na opróżnioną do połowy szklaneczkę Kirsty i podniosła pytająco brwi. Kirsty potrząsnęła przecząco głową.

Larry wypił jednym haustem połowę martini i obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Miał czterdzieści pięć lat, był wysoki i szczupły, o włosach lekko siwiejących na skroniach. Sprawiałby wrażenie dystyngowanego dżentelmena, gdyby nie ubranie, które nosił. Miał na sobie ciemnoszary garnitur o workowatym kroju, spopularyzowanym przez Cardina, w którym przy doborze odpowiednich dodatków prezentowałby się całkiem dobrze, gdyby nie wystroił się w jasnożółtą koszulę i zielony krawat, zawiązany w niemodnie wielki węzeł. Całości dopełniała żółta chusteczka, która wystawała z górnej kieszonki marynarki o wiele bardziej, niż to nakazywała przyjęta moda. Zdaniem Kirsty wyglądał dokładnie na kogoś, kim był: średnio radzący sobie pośrednik handlowy w dużej firmie tekstylnej, który nigdy nie dostanie awansu na kierownicze stanowisko.

— Wiem, że jesteś na mnie wściekła. Przepraszam cię, ale właśnie kiedy zbierałem się do wyjścia, wszedł do mojego pokoju ten kutas Kaufman i zaczął mi chrzanić o spóźniających się dostawach do wiosennej kolekcji... Zupełnie jakby to był mój problem.

Potrząsnęła głową i powiedziała:

— Nie lubię, jak zostawia się mnie samą w takim miejscu, Larry. To istny dom schadzek.

Zobaczyła irytację na jego twarzy.

— Daj spokój, Kirsty, mamy rok sześćdziesiąty piąty. Dziewczyny, które tu przychodzą, pracują tak jak ty... Są wśród nich sekretarki, ekspedientki, księgowo... Czasy się zmieniły. Chcą równych szans. Dlaczego nie mogą pójść same do lokalu, skoro mają na to ochotę? A jeśli poznają faceta, to co w tym złego? Wiele z nich nikogo nie ma.

— Niech ci będzie, ale to nie jest miejsce dla mnie. Możemy wyjść?

Kiedy szli do drzwi, uparł się, żeby trzymać ją czule pod rękę.

Przemierzeli w milczeniu Pierwszą Aleję, kierując się do jej małego mieszkanka. W holu był świadkiem, jak Kirsty sprawdza nerwowo skrzynkę na listy: była pusta, co od razu można było dostrzec w jej oczach.

— Może jutro — pocieszył ją cicho.

Wzruszyła ramionami i powtórzyła za nim:

— Może.

\* \* \*

Reszta wieczoru upłynęła zgodnie z rytuałem. Swego entuzjazmu dla wyzwolenia kobiet Larry nie odnosił najwyraźniej do spraw domowych. Z kieliszkiem w ręku oglądał w telewizji mecz bokserski, podczas gdy Kirsty podgrzewała przygotowaną rano potrawkę z kurczaka i nakrywała stół.

W czasie kolacji ciągle zerkał na program telewizyjny. Bąknął pod nosem parę zdawkowych pochwał za smaczny posiłek i rzucił kilka pytań na temat jej biura. Sprzątając talerze ze stołu wiedziała, że kiedy tylko transmisja meczu bokserskiego dobiegnie końca, Larry będzie chciał pójść do łóżka. Prawdę mówiąc wołałaby, żeby program trwał jak najdłużej. Zastanawiała się nawet, czy nie odesłać Larry'ego na noc do domu, ale nie miała serca tego zaproponować. Pamiętała, że Larry wyjeżdża rano w podróż handlową i nie będzie go kilka tygodni.

Jego wyjazd budził w niej sprzeczne uczucia: z jednej strony wyczekiwała z utęsknieniem chwil samotności, z drugiej zaś samotność napawała ją lękiem.

Spotykali się od dwóch lat. Ich związek trwał, bo im tak było wygodnie. Ekscytacji w nim nie było. Z natury wstydliva, Kirsty z trudem nawiązywała kontakty z mężczyznami. Larry był bezdzielnym rozwodnikiem, a ponieważ często musiał podróżować, nie miał wobec niej zbyt wiele wymagań. Dopiero po wyjeździe Garreta zdarzało mu się zostawać u niej na noc raz, dwa razy w tygodniu. Czasami wybierali się do kina albo szli zjeść coś na mieście. Przy ciężącym na nim obowiązku alimentacyjnym i jej skąpych finansach nie mogli pozwalać sobie na żadne ekstrawagancje. Pewnego razu napomknął niejasno o spędzeniu razem wakacji na Florydzie, przy innej okazji zaczął jeszcze bardziej mgliście przebąkiwać coś o małżeństwie. Domyślała się, że w czasie wyjazdów sypiał z innymi kobietami. Na jednej z jego marynarek poczuła kiedyś zapach Vent Vert, którego sama nie używała. Nadaremnie próbowała rozbudzić w sobie zazdrość.

Wycierając ostatni talerz zastanawiała się, dlaczego ciągnie to wszystko dalej. Była wciąż atrakcyjną kobietą, wyglądała znacznie młodziej, niż wskazywałby na to wiek. Wiedziała, jak działa na mężczyzn, czuła na sobie ich spojrzenia. Doszła do wniosku, że wraz ze śmiercią Kevina coś w niej pękło. Zmieniła się jeszcze bardziej, kiedy Garret, bez słowa, z ponurą miną spakował swoją walizkę. Obu obdarzała wielką miłością i troską, za co teraz płaciła tak nieopisanym bólem, że podświadomie bała się przechodzić przez to wszystko jeszcze raz — wybrała więc Larry'ego.

Z salonu doszedł ją głośny okrzyk:

— Jezu! Co za walka!

W minutę później wszedł cicho do kuchni i stanął za nią. Położył jej ręce na ramionach i lekko przycisnął, muskając ustami jej lewe ucho. Zawsze zaczynał tak samo. Następnie ujął w dłonie jej piersi i przez cienką tkaninę zaczął pieścić brodawki. Kolejny stały punkt programu.



Po dwudziestu minutach leżał u jej boku i cicho pochrapywał. Patrzyła w sufit. Na stoliku przy łóżku stała nocna lampka: od śmierci Kevina nie potrafiła zasnąć w ciemności. Była spięta i jeszcze bardziej przygnębiona. Jak zawsze starała się świadomie unikać wszelkich porównań, ale i tym razem wysiłek był daremny. Rzecz nie w tym, że nie przeżyła szczytowania. Zdarzało się jej to często, nawet z Kevinem — tylko że wtedy wydawało się to nieistotne. Bez względu na to, czy przeżyła orgazm, czy nie, po kochaniu się z Kevinem czuła się zawsze odprężona. Sprawiał, że śmiała się w łóżku, miłość z nim była nieustannie grą, przygodą. Z rozkoszy Kevina czerpała rozkosz dla siebie. Chwile zaś, gdy sama zaznawała spełnienia, zapadały jej na długo w pamięć, i powracały jeszcze wiele dni później.

Larry natomiast był w łóżku śmiertelnie poważny. Już na samym początku przyhamowała jego pęd do gadulstwa w trakcie kochania i wypytywania jej za każdym razem, co czuje. Był egoistą, dumnym ze swej męskości i techniki, nieświadomym tego, że pozbawione odrobiny fantazji dają one jedynie nudną składankę.

Gra wstępna trwała jak zwykle około siedmiu minut. Najpierw usta, piersi, wreszcie jego palec zapuścił się między jej uda. Jej ciało zareagowało automatycznie. W chwili, gdy uznał, że jest dostatecznie wilgotna, wtoczył się na nią chrząkając z powagą. Wyszła mu naprzeciw. Jej ciało i umysł stanowiły teraz dwie odrębne części. Czuła ciepło i odległe doznanie, nie było w tym jednak bliskości ani radości. Po dziesięciu przepisywanych minutach Larry zwiększył rytm plaśnień i wydawszy wreszcie z siebie nieokreślone chrząknięcie wystrzelił w niej. Stoczył się po chwili, pomrukując pod nosem obrzędowe słówka, i niemal natychmiast zasnął.

Kirsty nie mogła zasnąć. Czuła się jak zawsze wykorzystana. Leżała i wpatrywała się w sufit.

Dlaczego? — zadała sobie po raz kolejny to samo pytanie. Sufit milczał. Jej oczy wypełniły się łzami. Kevin, dlaczego? Dlaczego musiałeś się pomylić? Czy musiałeś ryzykować całym naszym życiem? Czemu zostawiłeś mnie samą?

Usiłowała powstrzymać łzy i przestać myśleć o Kevinie. Uciekła się do ostatniej deski ratunku — przywołała postać Garreta, ich syna, którego poczęciu towarzyszyło tyle radości, miłości, a nawet uciechy. Mała chatka, płonące polana, siedem cudownych jesiennych dni w Vermont. Próbowała odtworzyć obraz Garreta: zawsze za długie blond włosy, poważna, żywo reagująca twarz, która w jej odczuciu odzwierciedlała jego wrażliwą naturę. Przymknęła zapłakane oczy i spróbowała przywołać go z drugiego końca świata.

Od ostatniego listu Garreta upłynęło sześć tygodni, a jednak pamiętała każde zawarte w nim słowo, każdą kropkę i przecinek. Starła się odczytać wszystkie niuanse, szukała śladu miłości i zrozumienia.

Ale list był suchym rejestrem wydarzeń, zwykłym przekazem, może nawet formalnością. Chociaż nie, ostatnie słowa niosły w sobie nadzieję: „Jutro ruszam dalej, wkrótce napiszę”.

Co to znaczy „wkrótce”? Sześć tygodni to chyba wystarczająco dużo, żeby napisać. Czy wszystko z nim w porządku? Czy w ogóle żyje?

Nie, musi przestać o tym myśleć. Skupiła się na rozważaniach, co przyniesie jej jutrzejszy poranek. Westchnęła. Znała odpowiedź aż nadto dobrze.

Wstanie na dźwięk budzika i włoży szlafrok. Gdy Larry będzie okupował łazienkę, ona przygotuje śniadanie, a potem, pijąc kawę, patrzeć będzie, jak Larry pochłania je w milczeniu. Sama nie mogła nigdy jeść, kiedy zrywała się wcześniej z łóżka.

W końcu Larry wyjdzie, obdarzając ją na pożegnanie całusem i uściskiem. Zawsze tak robił.

Wtedy pójdzie do łazienki, weźmie prysznic, zrobi sobie codzienny makijaż. Krytyczny rzut oka w lustro w poszukiwaniu oznak starzenia się — czy nie widać gdzieś jakiejś zmarszczki. Ale właściwie po co? Co za różnica, czy jest dzieckiem, czy staruszką? Komu chce wydawać się atrakcyjna? Samej sobie?

Później zwykły ponury marsz na Siódmą Aleję pod numer czterysta dziewięćdziesiąty ósmy. Nie cierpiała zatłoczonych autobusów — pytanie jeszcze, czy w taką pogodę w ogóle będą kursowały. Po drodze krótki przystanek w kawiarence na ciastko z kawą. I wreszcie jej mały biurowy pokój na piętnastym piętrze. Księgi, kolumny cyfr, kawa w kartonowych kubkach, pastrami z żytnim chlebem na lunch i kolejna porcja kawy. Następnie powrotna droga do domu, gdzie czekała ją samotność. Jeszcze jeden styczniowy dzień.

Odwróciła się i objęła Larry'ego ramieniem, starając się znaleźć ciepło i pocieszenie. Bezskutecznie. Rano miał się zacząć kolejny zwykły dzień.

\* \* \*

Niespodzianka spotkała ją na samym początku dnia. Zaczęło się jak zwykle: budzik, szykowanie śniadania, patrzenie na jedzącego Larry'ego, prysznic i makijaż; przekręcenie klucza w zamku, windą w dół, stary dozorca zamiatający podłogę na korytarzu.

— Dzień dobry, Riley. Był już listonosz? — powitała go jak co dzień.

I wtedy to się stało. Dozorca spojrział na nią i posłał jej bezzębny uśmiech.

— Dobry, dobry, pani Kirsty. A jakże, był, i przyniósł dla pani pocztę. I nie wygląda mi to na żaden rachunek.

Pobiegła wzrokiem do rzędu skrzynek na ścianie. Szperając niezdarnie w torebce odzyskała kluczyk i, modląc się w duchu, podeszła do skrzynki. Ręka jej się trzęsła i z trudem trafiła kluczykiem do zamka. Po chwili chwyciła list do ręki i radośnie westchnęła, widząc znajomy charakter pisma.

Stary dozorca, wsparty na miotle, przyglądał się, jak Kirsty rozdziera kopertę. List był długi. Zanim doczytała do końca, zobaczył łzy na jej policzkach. Oparł miotłę o ścianę i podszedł do niej nieśmiałym krokiem. Skończyła czytać. Łzy skapywały jej z brody. Przyciskała list do siebie.

— Dobrze się pani czuje? Jakies złe wiadomości?

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się przez łzy.

— Skądże! To od Garreta. Píše, że mnie kocha i że wraca do domu.

Wyciągnęła ramiona do zgarbionego staruszka. Potrzebowała czyjegoś uścisku. Objęła go ze szlochem.

— On mnie kocha, słyszysz, Riley? Wraca do domu. Do domu!

Staruszek rozplakał się razem z nią.

\* \* \*

Upłynął miesiąc. Pogodnego nastroju Kirsty nie był w stanie zakłócić padający deszcz ani perspektywa przepracowania dwóch czy trzech dodatkowych godzin. Lało od tygodnia, ale dla mieszkańca Nowego Jorku była to w lutym rzecz zwyczajna. Nucąc melodię z musicalu „Oklahoma” lewą ręką obsługiwała mechanicznie kalkulator, drugą zaś wpisywała końcowe sumy u dołu każdej kolumny. Od czasu do czasu podnosiła głowę i zerknęła w lewo na wiszący na ścianie kalendarz. Wydany przez przedsiębiorstwo frachtu lotniczego, przedstawiał zdjęcie błyszczącego samolotu, poniżej którego, wzięty w czarną obwódkę, widniał ostatni tydzień lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku. Dni poprzedzające osiemnasty dzień miesiąca były starannie przekreślone. Żaden jeszcze miesiąc przez całe trzydzieści dziewięć lat życia tak się jej nie dłużył. Nie z powodu monotonii, ale na skutek wyczekiwania. Niecierpliwiła się jak dziecko oczekujące momentu narodzin, jak więzień liczący dni do końca wyroku, jak kochanka wypatrująca swego oblubieńca. Zerknęła znów na kalendarz i zaraz zbesztala się w duchu. Przyszło jej na myśl stare powiedzenie: „Jeśli człowiek gapi się bez przerwy na czajnik, to woda w nim nigdy się nie zagotuje”. Umysł i serce mówiły jej jednak co innego: jej wyczekiwanie skończy się, zanim miesiąc dobiegnie końca. Choćby był to mokry, paskudny luty.

Siedziała w ciasnej klitce o szklanych ścianach, przez które widziała główną halę biurową. Pokoik był maleńki, ale chronił ją przynajmniej przed odgłosami z zewnątrz, dając wrażenie zacisznej intymności. Reszta personelu — pracownicy działu handlowego, ekspedytorzy i sekretarki — mieli biurka ustawione w głównej hali zgodnie z „duchem demokracji biurowej” — jak to lubił mawiać ich wspólny szef, pan Goldman. On sam, oczywiście, zajmował przestronny, luksusowy gabinet na wprost jej klitki, na którego drzwiach widniała platerowana tabliczka z imieniem i nazwiskiem — prezent od przedsiębiorstwa frachtu lotniczego, które obecnie przewoziło dla niego z Hongkongu

tony zdobionych cekinami bluzek. W tym roku bluzki z cekinami, w komplecie z długimi spódnicami z aksamitu, cieszyły się ogromnym powodzeniem. Dla przewoźników lotniczych nastał okres rozkwitu. Flota *Boeingów* wycarterowanych przez rząd Stanów Zjednoczonych zaczynała właśnie budować ogromne zaplecze logistyczne w Wietnamie. Do Stanów wracały puste — tak długo, aż chińscy przedsiębiorcy z Hongkongu zwietrzyli okazję i wycarterowali wracające do kraju maszyny, płacąc dwanaście tysięcy dolarów za rejs. Dzięki temu Irving Goldman mógł kupować w Hongkongu ręcznie wyszywane cekinami bluzki po czterdzieści dolarów za tuzin. Po paru dniach lądowały w Nowym Jorku i koszt ich wynosił w sumie, razem z opłatą celną, dziewięćdziesiąt dolarów za tuzin. Następnie pan Goldman dodawał pasujące do nich spódnice w cenie osiem dolarów każda i tak przygotowane komplety sprzedawał tysiącami do sieci domów handlowych, biorąc czterysta dolarów za tuzin. Dlatego właśnie Kirsty wybiła cyfry na klawiszach kalkulatora. Do niej, księgowej Goldrite Fashions Inc, należało sporządzanie zestawień bilansowych. Irving Goldman, wiedząc, że rok sześćdziesiąty czwarty zapisał się bajecznymi obrotami, i zdając sobie sprawę ze zmienności trendów w modzie, chciał za wszelką cenę odsprzedać udziały swojej firmy przy stopie zysku nie mniejszej niż dwanaście do jednego. Po czterdziestu latach pracy miał w końcu zostać najprawdziwszym, bezpardonowym milionerem: podpisał kontrakt kierowniczy z przejmującą jego firmę korporacją, odsprzeda należące do niego akcje i po dzikiej awanturze z nowym prezesem sprzeda swoje kondominium na Wschodniej Pięćdziesiątej Czwartej, zapakuje rzeczy do Cadillaka i ruszy na południe do Palm Beach, by spędzić długie jesienne miesiące na grze w golfa, wydawaniu pieniędzy na zupełnie niepotrzebne zbytki, raczeniu się chłodnym martini i rozkoszowaniu się myślą, że udało mu się wygrać największy ze wszystkich bezpardonowych wyścigów. Problem w tym, iż wiedział — a wiedzę tę okupił braniem przez całe życie tabletek przeciw nadkwasocie — że moda na wyszywane cekinami bluzki w komplecie z aksamitnymi spódniczkami może być krótsza niż żywot róży na pustyni. Na biurku miał trzy oferty czekające na dokładne zbadanie. Najbardziej obiecującą przedstawiła firma zajmująca się oprogramowaniem komputerowym. Zaślepiona dwustuprocentową zwyżką ceny, nie brała w ogóle pod uwagę zmniejszającego się zysku, którego faktyczną wartość wykazać mogło przecież dopiero przyszłoroczne zestawienie bilansowe.

Kirsty uderzała więc w przyciski kalkulatora, żeby otrzymać magiczne liczby. Pracowała dla Goldrite Fashions od dwudziestu lat. Zaczynała w wieku dziewiętnastu lat jako modelka firmy, a po zamążpójściu, pod naciskiem męża patrzącego nieprzychylnym okiem na zawód żony, została ekspedientką. Wreszcie, przyznawszy panu Goldmanowi rację, że nie ma zacięcia do sprzedawania, przeszła za jego radą do działu księgowości. Po śmierci jej męża pan Goldman roztoczył nad nią isticie ojcowską opiekę, pod której płaszczykiem starał się coś uszczknąć dla zaspokojenia fizycznego do niej pociągu.

Kirsty ucinała te próby zadając zawsze to samo pytanie, jak się czuje szacowna małżonka, dama opromieniona zasłużoną zresztą sławą zazdrosnej i zaborczej połowicy. Znała również z tego — co stało się już rytuałem i tradycją — że przymierzała zawsze najnowszą kolekcję sezonu, „sprawdzając, czy na nią pasuje”. Jako dama okazałych kształtów nosiła numer pięćdziesiąty, jednakże pan Goldman — czy to kierując się współczuciem, czy to pragnąc spokoju w domu — miał nieodmiennie na podorędziu specjalnie uszyty, dopasowany do jej rozmiarów model, na którego metce widniał rozmiar czterdziesty. Wszyscy podśmiewali się z tych przymiarek, był to wszakże sposób równie dobry jak każdy inny dla zapewnienia sobie trwałości małżeństwa.

Kirsty podniosła głowę znad rzędu cyfr i spostrzegła Gerry'ego Sachsa, pracownika działu sprzedaży, który stał za oddzielającą jej pokój od reszty sali szklaną ścianką działową. Rozpłaszczył swój duży nos na szkło, a napotkawszy jej wzrok odsunął się, podniósł plastikowy kubek i unosząc pytająco brwi, wskazał na ekspres do kawy w kącie sali. Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Wzruszył żałośnie ramionami i stąpając ciężko, wrócił za swoje biurko. Zazwyczaj o tej porze dnia wpraszał się z kawą, pakował swoje potężne pośladki na blat jej biurka i przez pół godziny raczył ją opowieściami ze swojego życia miłosnego. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach była to zwykła fikcja, mimo to Kirsty, darząca Gerry'ego sympatią, przeważnie cierpliwie tego wysłuchiwała. Ale nie dzisiaj. Obiecała Irvingowi, że sporządzi bilans do końca miesiąca — sama jednak wyznaczyła sobie na ostateczny termin dzień dwudziesty pierwszy lutego. W ostatnim tygodniu miesiąca chciała mieć więcej wolnego czasu i swobodną głowę.

Przez kolejną godzinę pracowała bez chwili przerwy. Wtem otworzyły się drzwi salonu wystawowego i do sali biurowej wszedł recepcjonista Tracy w towarzystwie zwalistego policjanta. Policjant trzymał czapkę w ręku, widać więc było na jego głowie rzadkie kosmyki stalowoszarych włosów. Miał na sobie mundur kapitana i kiedy szedł za Tracym do drzwi gabinetu Goldmana, Kirsty nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wygląda dziwnie znajomo. Ciekawe, po co przyszedł. Czyżby amerykański urząd celny dopatrzył się w końcu, że Goldrite Fashions Inc. zaniża o jedną trzecią faktury na sprowadzane bluzki, zmniejszając tym samym radykalnie obowiązkową opłatę celną opiewającą na czterdzieści dwa i pół procent i chowając do kieszeni dodatkowe dwieście trzydzieści pięć tysięcy dolarów ze szkodą dla wuja Sama? Jeżeli tak, to Irving nie ma co marzyć o rychłym wypoczynku emerytalnym w Palm Beach. Tracy wprowadził kapitana do gabinetu Irynga i wrócił do salonu wystawowego, rzucając po drodze spojrzenie w kierunku Kirsty i wzruszając ramionami na znak, że nic nie wie. Kirsty zajęła się znowu księgami rachunkowymi. Po pięciu minutach odezwał się telefon. Dzwonił Irving. W chwili gdy usłyszała napięcie w jego zazwyczaj swobodnym głosie, zrozumiała, że obecność policjanta oznacza kłopoty.

„Czy mogłaby zaraz przyjść do jego gabinetu”? Odłożyła słuchawkę i poczuła, jak ogarnia ją panika. Czyżby policjant miał zamiar ją przesłuchiwać? Co mu powie, jeśli zapyta o faktury? Nie umiała kłamać. Po co Irvingowi to było? Ostrzegła go, że inni importerzy sprowadzają podobne modele i wpisują w fakturach rzeczywiste ceny. Celnicy nie są kompletnymi głupcami. Moment później panika zaczęła ustępować. Przecież w takim przypadku wizytę złożyłby nie policjant, lecz urzędnik celny. Może ma to coś wspólnego z serią kradzieży z ładowni na lotnisku Idlewild. Tylko w ubiegłym tygodniu wywieziono całą ciężarówkę bluzek ich firmy.

Mimo wszystko szła z niepokojem do gabinetu Irvinga, unikając pytających spojrzeń Gerry’ego i reszty personelu.

Zapukała i weszła. Irving i kapitan stali przed biurkiem i rozmawiali ściszym, konspiracyjnym głosem. Kiedy się odwrócili, zobaczyła powagę i niepokój na ich twarzach. Zatrzymała się w otwartych drzwiach. Irving podszedł, ujął ją za ramię i skierował delikatnym ruchem w stronę krzeseł ustawionych wokół niskiego stołu w rogu pokoju. Jeszcze po drodze przedstawił jej gościa.

— Kirsty, to kapitan Buckley. Przyszedł porozmawiać z tobą o sprawie natury osobistej. Poczekam na zewnątrz. Zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Roztrzęsiona i przestraszona, pozwoliła, aby podsunął jej krzesło.

— Co się dzieje, Irving?

— Kapitan ci wyjaśni... Będę za drzwiami. — Nie potrafił ukryć zmieszania i chciał jak najszybciej opuścić pokój. Wycofał się, dając kapitanowi znak głową.

Kapitan położył czapkę na stole i usiadł naprzeciwko niej. Żuchwę przecinała mu paskudna blizna, która zniekształcała dolną wargę, nadając mu na pierwszy rzut oka groźny wygląd. W jego zmęczonych oczach kryło się współczucie. Nagle przypomniała sobie, gdzie go widziała. Przed miesiącem była świadkiem napadu w pobliżu jej mieszkania i udała się na komisariat, żeby podać rysopis napastnika. Kapitan przesłuchał ją i nie mógł wyjść z podziwu nad tak rzadkim przykładem obywatelskiej postawy. Był konkretny i rozmowny, teraz natomiast miał trudności z doborem słów. Siedział przygarbiony z rękami na stole, trącając kciukiem odznakę na czapce.

— O co chodzi, kapitanie?

Wyprostował się i wziął głęboki oddech.

— Postanowiłem przyjść osobiście — pamięta pani, spotkaliśmy się w komisariacie kilka miesięcy temu?

— Pamiętam.

— Właśnie... Poszedłem do pani mieszkania — nie było nikogo. Mieliśmy w kartotece adres pani pracy, przyszedłem więc tutaj...

Przerwał. Spojrzał jej w oczy i dopowiedział szybko:

— Jest mi naprawdę przykro, pani Haywood, że przynoszę złe wieści. Chodzi o pani syna.

— Garreta? Ależ on przebywa teraz na drugim końcu świata!

Kapitan westchnął.

— Wiem. Otrzymaliśmy dalekopis z Departamentu Stanu w Waszyngtonie. Do nich wiadomość dotarła za pośrednictwem naszej ambasady w Dar es-Salaam w Tanzanii. Według raportu sporządzonego szesnastego lutego przez kapitana jachtu motorowego „Jaloud”, pani syn w dniu dziesiątym lutego wypadł za burtę w czasie bardzo złych warunków pogodowych w odległości około trzystu mil od wybrzeża Afryki Wschodniej...

Kirsty patrzyła na niego jak małe zwierzątko, zahipnotyzowane światłami samochodu. Wreszcie zaczęła kręcić powoli głową. Kapitan sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął kartkę z niebieskimi paskami po obu brzegach. Odskokczyła jak oparzona.

— Nie... nie... nie... — mamrotała cicho.

— Bardzo mi przykro — ciągnął kapitan. — Lepiej by może było, gdyby dostała pani tę wiadomość za pośrednictwem kogoś bliskiego... Ale pan Goldman powiedział, że w Nowym Jorku nie ma pani żadnych krewnych. Wspomniał o pani przyjacielu, Larrym. Zatelefonowaliśmy do jego biura, okazało się jednak, że będzie do piątku w Chicago.

Sprawaiała wrażenie, jakby w ogóle go nie słyszała. Wpatrywała się w zwitek papieru z niebieskim brzegami, wciąż kręcąc głową i powtarzając tylko jedno słowo: „nie”.

Kapitan, który wielokrotnie w swojej karierze zawodowej przynosił tego rodzaju wieści, przypuszczał, że po pierwszym wstrząsie kobieta uderzy w płacz. Nigdy do tego nie przywykł. Niektórzy znosili tragiczne wiadomości gorzej niż inni. Oczekiwał, że dzisiejszy przypadek będzie wyjątkowo trudny: młoda wdowa dowiaduje się o śmierci swego jedyne go, osiemnastoletniego syna, poza którym nie miała żadnej bliskiej rodziny. Czekał więc na łzy, zastanawiał się, czy nie należałoby podejść do niej i ją pocieszyć. Próbował ułożyć sobie słowa, które mogłyby pomóc, a byłyby dalekie od banału.

Zaskoczyła go jednak. Wciągnęła głęboko powietrze, niczym nurek wynurzający się na powierzchnię, zwinęła i rozprostowała palce, zacisnęła szczęki i ściągnęła wargi; miała jasną, bladą cerę i szeroko rozstawione błękitne oczy — w których nie zakręciła się ani jedna łza.

Odsunęła gwałtownym ruchem kartkę i wstała, poprawiając odruchowo spódniczkę. Podeszła do okna. Wodził za nią wzrokiem: wysoka, zgrabna kobieta, która nawet w chwili tragedii wyglądała znacznie młodziej, niż wskazywałby na to jej wiek. Stała patrząc na zapchaną samochodami Siódmą Aleję; deszcz nie przestawał padać, chodniki zamieniły się w ruchomy las parasoli.

— Czy mógłbym pani w jakiś sposób pomóc?

Odwróciła się i pokręciła głową, kołysząc swymi blond włosami opadającymi na ramiona.

— Nie, kapitanie. Chyba że usłyszę od pana, że to zwykła pomyłka albo że go odnajdą. — Wtem ożywiła się. — Mówił pan o dziesiątym — to zaledwie osiem dni... Może ktoś go wyłowić... Na przykład jakiś inny statek... To całkiem możliwe.

Wstał z krzesła.

— Przykro mi. Nadzieja to naturalny odruch, ale szansa jest żadna. — Wskazał na kartkę. — Nasz konsul przesłuchał kapitana i resztę załogi: szukali go przez trzy dni w fatalnych warunkach atmosferycznych. Najbliższy ląd był oddalony o trzysta mil morskich. W pobliżu nie przepływał żaden statek, wypadek zdarzył się daleko od utartych szlaków żeglugowych. Bardzo mi przykro...

Oczy jej przygasły. Odwróciła się z powrotem do okna. Znowu spodziewał się płaczu, pani Haywood nie uroniła jednak ani jednej łzy. Schylił się po czapkę i spytał:

— Ma pani jakichś przyjaciół, do których mogłaby pani dzisiaj pójść?

— Nie trzeba, nic mi nie jest. Dziękuję.

Podszedł do drzwi i zatrzymał się niepewnie.

— Mieszkam z żoną blisko pani, na rogu Siedemnastej Ulicy i Trzeciej Alei. Jeden pokój jest wolny: dzieciaki dorosły i wyprowadziły się. Serdecznie zapraszamy.

Zwróciła się w jego stronę. Na widok jej ściągniętej bólem twarzy przeklął się w duchu za wzmiankę o dzieciach. Ale już po chwili jej usta poruszyły się w próbie nikłego uśmiechu.

— Bardzo miło z pana strony, ale dziękuję. Dam sobie radę. Dziękuję, że fatygował się pan osobiście. Nie musi się pan o mnie martwić. Proszę powiedzieć panu Goldmanowi, że chciałabym pobyć kilka minut sama.

Był zdziwiony spokojem rozmówczyni. Jej zachowanie wydawało się nienaturalne, zbyt kontrolowane. Spojrzał na okno i poczuł nagły strach.

— Nie zrobi pani jakiegoś głupstwa?

— Głupstwa? — powtórzyła z zaskoczoną miną i pobiegła wzrokiem za jego spojrzeniem. — Nie, kapitanie, nie mam w sobie tyle odwagi. Niech się pan nie martwi.

Kiwnął głową.

— Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić na komisariat o każdej porze. Jeżeli mnie nie będzie, to mnie odszukają. Dobrze?

— Dziękuję.

Wahał się jeszcze przez chwilę, czuł niezręczność sytuacji, zastanawiał się, czy nie powinien powiedzieć czegoś w rodzaju „życie toczy się dalej”, „jest pani atrakcyjną kobietą” i tym podobnych rzeczy; doszedł jednak do wniosku, że słowa te nie przyniosą jego rozmówczyni wielkiej pociechy, pożegnał ją więc skinieniem głowy i zostawił samą.

Kiedy zamknęły się drzwi, wróciła za stół i usiadła. Miała wrażenie, że wszystko to przytrafiło się komuś innemu, nie jej, Kirsty Haywood. Rozejrzała się po pokoju. Na ozdobnym biurku Irvinga stało oprawione w srebrną ramkę zdjęcie pani Goldman



z dwoma synami. Na ścianie wisiały osadzone w ramki plakietki będące świadectwem przynależności pana Goldmana do Clipper Club PanAm, Ambassador Club TWA oraz listy dziękczynne od B'nai B'rith i Partii Demokratycznej za przekazane darowizny, a także list sprzed iluś tam lat od burmistrza Nowego Jorku, Fiorella Henry'ego La Guardia. Z przeciwległego końca gabinetu pobłyskiwały wystawione na stelażu próbki wyrobów, o ścianę oparty był złoty kij golfowy. Czuła się tak, jakby znalazła się poza własnym ciałem. Jej wzrok zatrzymał się na kartce. Wzięła ją do ręki i przeczytała jednoznacznie brzmiący urzędowy tekst odnoszący się do jej syna: „Garret James Haywood, uznany za zmarłego. Przyczyna: utonięcie”. Zwrot: „uznany za zmarłego” wyglądał na czystą kpinę w świetle występujących dalej, nie pozostawiających najmniejszych wątpliwości szczegółów: trzy dni poszukiwań; w najbliższej okolicy żadnych statków; z dala od utartych szlaków żeglugowych; wody roją się od rekinów.

Musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Zrozumiała to zwłaszcza czytając końcową uwagę informującą o tym, że rzeczy osobiste jej syna zostały odesłane. Ubrania Garreta wracają do domu, on sam już nigdy nie wróci...

Zgniotła kartkę i wrzuciła ją do kosza pod stołem. Kiedy wyszła z pokoju, czekała ją męka wysłuchiwanie stereotypowych kondolencji z ust szefa i współpracowników. Niektórzy, jak Irving, byli wyraźnie zażenowani swoją nieporadnością, podczas gdy inni, wśród nich Tracy, wylewali morze słów i łez. Podziękowała za liczne oferty gościny, a Irvingowi odparła, że nie chce brać wolnego. Będzie pracować dalej, nawet dzisiaj wieczorem, nad księgami rachunkowymi. Pomoże jej to skupić na czymś uwagę.

Zostawili ją więc, czując się niezręcznie, dziwiąc się, skąd w niej tyle siły i łamiąc sobie głowę nad jej brakiem uczuciowej reakcji.

Wróciła samotnie do swej klitki i zajęła się fakturami, notami kredytowymi, kwitami zwrotnymi i rachunkami za przeloty.

Po godzinie zrobiła małą przerwę. Nalała sobie filiżankę kawy i siedziała, wpatrując się pustym wzrokiem w szklaną ścianę. Na koniec opuściła wzrok na torebkę w rogu biurka. Przysunęła ją do siebie i wyjęła z niej list i pocztówkę. List został nadany w Galie na Sri Lance. Rozpoznawała wyraźne, pochyłe pismo Garreta, który pisał, że wraca do domu. Miał niewiele pieniędzy, udało mu się jednak znaleźć miejsce na jachcie płynącym na Seszele, a stamtąd do stolicy Tanzanii, Dar es-Salaam. Rejs potrwa około miesiąca. W Dar es-Salaam spróbuje załatwić sobie tanie połączenie lotnicze do Stanów. Nie prosi jej o pieniądze ani o bilet, zdaje sobie sprawę, że się jej nie przelewa. Samego rejsu wyczekuje z niecierpliwością. W Indiach przeżył dobre i złe chwile, Sri Lankę natomiast zapamiętał głównie od dobrej strony. Po powrocie do domu wszystko jej opowie. Kocha ją i tęskni. Ma jej tak wiele do powiedzenia. Rozumie teraz wszystko o wiele lepiej niż przedtem.

Złożyła kartki listu i sięgnęła po pocztówkę. Została wysłana z Victorii na Seszelach z datą czwartego lutego. Podróż jak na razie udana; wyspa Mahé to istny raj, ale za kil-

ka dni wypływają w dalszą drogę, kierując się do Dar es-Salaam, gdzie zamierzają zawiązać około dwudziestego lutego. Pozostało mu w sam raz pieniędzy na bilet lotniczy do domu. Powinien zjawić się gdzieś w ostatnim tygodniu lutego. Bardzo ją kocha.

Odwróciła pocztówkę na drugą stronę i położyła na biurku. Zdjęcie ukazywało długą, krętą, kompletnie pustą plażę. Palmy wyginały się ku morzu, jakby chciały w jego wodach ugasić pragnienie. Napis na pocztówce oznajmiał: „Anse Royal, wyspa Mahé”.

Patrzyła na kartkę z widoczkiem i w jej oczach pojawiły się wreszcie łzy. Łzy żalu, miłości i skruchy. Spływały po policzkach i skapywały miarowo z podbródka.

Irving wrócił do biura tuż po ósmej. Z samego rana miał spotkanie ze swoim adwokatem, a zapomniał potrzebnych mu papierów. Otwierając drzwi zdziwił się, że światło jeszcze się pali. Przez szklaną ściankę działową zobaczył Kirsty, która siedziała z głową na blacie biurka. Zanim zdążyła podnieść głowę, stał już w progu jej pokoiku.

Nigdy dotąd nie widział takiego cierpienia i żalu na czyjejs twarzy. Policzki i brodę miała mokre od łez, a jej skromny makijaż rozmazał się, nadając jej niesamowity, upiorny wygląd. W zaczerwienionych oczach kryło się pytające spojrzenie postrzelonego zwierzęcia, które umiera i nie wie dlaczego.

Jej widok zupełnie go rozstroił. To, co ujrzał, było bezdenną rozpaczą — stał w obliczu bezgranicznej, śmiertelnej udręki.

Kilka tygodni wcześniej jadąc przez Bronx potrafił małego psiaka. Jechał instynktownie dalej, słyszał jednak dobiegający z daleka pełen bólu skowyt. Zawrócił pod naciskiem żony.

Kiedy podchodził do Kirsty, towarzyszyło mu to samo uczucie co wtedy, gdy zbliżał się do przetrąconego, umierającego pieska.

— Dlaczego, Irving? — pożaliła się. — Dlaczego mnie to spotkało? Najpierw Kevin, teraz Garret... Straciłam wszystko, co miałam. Dlaczego ja...?

Irving umiał jedynie przekonywająco namawiać — pocieszenie nie przychodziło mu łatwo. Położył łagodnym gestem dłoń na jej ramionach.

Wstała niepewnie. Przytrzymał ją w mocnym uścisku; czuł, jak jej ciałem wstrząsa spazmatyczny szloch.

— Zabrano mi... Wszystko, co miałam... Na zawsze...

Wymamrotał prosto do jej ucha słowa pociechy:

— Musisz być silna, Kirsty. Z czasem będzie lepiej.

Pokręciła głowę wtuloną w jego marynarkę i krzyknęła:

— Z czasem? Co to znaczy „z czasem”? Nic mi już nie zostało, nic.

Był wściekły na siebie, że nie umie znaleźć właściwych słów, nie potrafi przynieść jej ulgi. Przytulał ją mocno, poklepując łagodnie po plecach, jakby pocieszał małe dziecko. Wreszcie uznał, że najlepszą receptą jest stanowczość.

— Posłuchaj, moja droga. Spadło na ciebie straszne nieszczęście, ale to się stało i już tego nie odwrócisz. Zgoda, los nie głaskał cię po głowie: najpierw Kevin, teraz Garret. Kiedy jednak coś takiego nas spotyka, musimy spojrzeć prawdzie prosto w oczy. Wiem, że jesteś silną kobietą. Gdy człowiek upada pod ciosem, musi się podnieść. Pamiętaj, są rzeczy, które wciąż się liczą.

— Niby co, Irving? Co?

Westchnął.

— Daj spokój, Kirsty. Przecież masz przyjaciół, dobrą pracę... Całe życie przed tobą. I jest jeszcze Larry...

Odsunęła głowę. Patrząc na nią zdał sobie sprawę, że ani on, ani nikt inny na tym świecie nie znajdzie słów, które mogłyby utulić jej żal.

— Musisz spróbować, moja droga...

W jej oczach nie dostrzegł już pytającego spojrzenia. Było w nich coś więcej: uświadomienie sobie prawdy.

— To przeze mnie, Irving. Ja jestem wszystkiemu winna. Wyjechał przeze mnie.

Odstąpiła do tyłu. Zaciśnęła dłonie w pięści i trzęsąc się, z poszarzałą twarzą, lamentowała ochryłym szeptem:

— To moja wina. Ja go zabiłam!

## 2

Na drugim krańcu świata, w Bombaju, był już późny poranek. Także i tutaj mieszkał ktoś, kto rozpaczał po stracie bliskiej mu osoby. Tak jak Kirsty, siedział teraz w biurze i również był księgowym. Ramesh Patel miał czterdzieści osiem lat i był jednym z dziesiątków tysięcy Hindusów anglo-hinduskiego pochodzenia, którzy pozostali w Indiach po odzyskaniu przez ten kraj niepodległości. Nie był owocem typowego mieszanego związku, w którym ojcem był Brytyjczyk, a matka Hinduską. Matka Ramesha była Angielką i jako taka zaznała mnóstwa upokorzeń ze strony swych pobratymców, przesiąkniętych panującą w kolonialnych Indiach atmosferą uprzedzeń klasowych, kiedy to pokochała i poślubiła hinduskiego biznesmena. Ojciec Ramesha zginął w czasie rozruchów, do jakich doszło w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, po odzyskaniu przez kraj niepodległości i po jego podziale. Wtedy też całkowitej ruinie uległa jego firma.

Matce Ramesha zaproponowano repatriację do Anglii, ale odmówiła, mając żywo w pamięci zniewagi, jakich rodacy nie szczędzili jej przez dziesiątki lat. Krewni jej męża, choć sami nie bogaci, wyszukali dla Ramesha i jego matki niewielki dom, a Ramesh dzięki rodzinnym koneksjom zdobył posadę urzędnika, czyli *babu*, w urzędzie celnym w Bombaju. Płaca była mizerna i taką też pozostała nawet wówczas, gdy po jakimś czasie awansował na stanowisko młodszego księgowego. Kiedy większość jego kolegów uzupełniała swoje skromne pobory, wykorzystując bez żenady istnienie wszechogarniającej korupcji, Ramesh, w którego naturze leżała uczciwość, wyniesiona zapewne jeszcze z rodzinnego domu, gardził wszelkimi formami przekupstwa. Nie przejmował się, że taka postawa czyni go obiektem żartów i protekcyjnego traktowania ze strony kolegów. Był człowiekiem prostolinijnym, o niewyszukanych upodobaniach i odpowiadało mu spokojne życie z matką. Wzbogacała ona domowy budżet jako nauczycielka literatury angielskiej na pół etatu. Przed dziesięciu laty zakochał się w dziewczynie z wyspy Goa, leżącej na południe od Bombaju, która stanowiła wtedy portugalską kolonię. Chcieli się pobrać, dziewczyna pozostała jednak posłuszna woli rodziców, którzy, poznawszy finansową kondycję narzeczonego, stanowczo sprzeciwili się małżeństwu.

Mieszkał więc nadal z matką w tym samym domku na przedmieściach Muland. Czas uprzyjemniało mu głównie czytanie powieści historycznych i marynistycznych oraz od czasu do czasu wspólny posiłek w towarzystwie przyjaciela, Jarana Singha, który pracował w wydziale prawnym urzędu miejskiego.

To uporządkowane życie zostało przerwane przez chorobę matki. Rak zżerał ją przez jedenaście miesięcy. Kiedy umierała w pełnym zgiełku, zatłoczonym szpitalu, każdy moment jej agonii Ramesh rejestrował z bolesną wyrazistością. Gdy wreszcie śmierć w swoim majestacie przerwała te męczarnie, jego rozpacz towarzyszyło uczucie ulgi.

Później przeglądał jej stare kufry podróżne, porządkował pliki listów sprzed lat i pakunki ze zbutwiałymi ubraniami — i wtedy znalazł „to coś”: ciężki przedmiot zawinięty w papier pakunkowy i przewiązany szpagatem. Papier rozpadł mu się w rękach, odsłaniając kamienną rzeźbę wysokości około trzydziestu pięciu centymetrów. Figurka przedstawiała kobietę o węzowych kształtach, o pełnych ustach, wąskich oczach i ze złożonymi dłońmi. Przypominał sobie jak przez mgłę, iż widział posążek wiele lat temu i słyszał z ust matki, że był to ostatni podarunek od jej ojca, będącego niższej rangi urzędnikiem w rządzie kolonialnym stanu Madhja Pradesh; umarł jeszcze przed zamążpójściem córki, co oszczędziło mu wstydu. Posążek, który miał lekko zmysłowy charakter, wraz ze śmiercią ojca Ramesha został schowany i zapomniany.

Ramesh pokazał go swemu przyjacielowi Jaranowi Singhowi, który zjawił się akurat, żeby złożyć mu kondolencje. Jaran uznał, że figurka może mieć jakąś wartość, zaniósł ją więc z kolei do swojego przyjaciela, który znał się na tego rodzaju rzeczach. Odpowiedź przyszła wczoraj wieczorem i wprowadziła Ramesha w zdumienie: wykonana z piaskowca rzeźba pochodziła z dziesiątego wieku, przedstawiała boginię węży Nagi i warta była lekko licząc sto tysięcy rupii, co odpowiadało dziesięcioletnim poborom Ramesha. Pierwsze, co poczuł na tę wiadomość, to żal — dysponując bowiem taką sumą mógł sprawić, że matka umierałaby w nieporównanie lepszych warunkach.

Wstał od biurka i podszedł do okna. Pokój biurowy mieścił się na trzecim piętrze urzędu celnego. Roztaczał się z niego panoramiczny widok na stoczną marynarkę wojennej i Fort George usytuowany po prawej stronie. Służba celna, jak każdy urząd państwowy, cierpiała na ogromny przerost personelu, stąd też Ramesh miał mnóstwo wolnego czasu. Większość wolnych chwil spędzał stojąc w oknie i patrząc na statki, które mijały kotwicowisko, płynąc do dużych portów handlowych na północy kraju albo wracając stamtąd.

Kochał morze i statki, było to wszakże uczucie raczej racjonalnej niż instynktownej natury, któremu dawał upust jedynie w lekturze książek. Miał na swoim koncie mnóstwo wypożyczonych z biblioteki tytułów, zwykle starych, wydanych jeszcze przed odejściem Brytyjczyków. Znał niemal na pamięć opisy wielkich odkryć geograficznych, powieściowe sagi Forrestera i Conrada, oraz wiele innych pozycji. Nieśmiały mól książkowy był w głębi duszy prawdziwym romantykiem.

Odprowadził wzrokiem brudny parowiec, który zmierzał do Alexandra Docks. Następnie przeniósł spojrzenie na rozciągające się na wprost niego nabrzeże celne, przy którym cumował bardzo stary jacht motorowo-żaglowy mierzący dwanaście metrów. Tkwił tu już pół roku, od czasu gdy został skonfiskowany obywatelowi Madrasu przyłapanemu na szmuglowaniu. Za kilka dni jacht miał zostać wystawiony na licytację. Ramesh osobiście przeprowadził spis skromnego inwentarza jednostki: silnik Perkinsa miał co najmniej trzydzieści lat i był mocno wyeksploatowany; pokłady wymagały naprawy, żagle były postrzępione. Ale kiedy wdrapał się na jacht, dzierżąc w ręku biurową teczkę, poczuł we wnętrzościach szarpnięcie morskiej fali i wrażenie to wydało mu się całkiem przyjemne. Łódź przywodziła na myśl sędziwą damę, która przeżyła ciężkie chwile. Odpadająca farba i poczerniały werniks były niczym stare, znoszone łachmany. Drewno kadłuba miejscami przegniło, dwa pękate maszty kryły pod warstwami farby liczne pęknięcia, a stary silnik przypominał chore serce o zablokowanych zastawkach i całkowicie zużytych komorach.

Kiedy tak patrzył na jacht z okna swego pokoju, zobaczył nagle obraz swej matki w ostatnich tygodniach życia: stara kobieta, starająca się walczyć godnie do samego końca z postępującym w niej rozkładem. Z daleka nie dawało się odczytać wyblakłych liter na rufie jachtu, pamiętał je jednak dokładnie: składały się na słowo „Manasa”, co było imieniem jeszcze jednej bogini.

\* \* \*

Tysiąc mil dalej, na południe od Bombaju, Lani Sutowo strąciła kościstą rękę ze swej dziewczęcej piersi, wyswobodziła się szybkim obrotem z wiążącego ją uścisku i, słysząc wciąż w uszach okrutny śmiech, wybiegła tylnymi drzwiami na zakurzoną ulicę.

Biegła, mijając rzędy pokrytych blachą drewnianych chałup, aż ulica przeszła w ścieżkę wyłożoną kraszonym koralem. Zwolniła, ciężko oddychając, i obejrzała się za siebie. Poza grupką dzieci bawiących się na placu budowy w pobliżu nie dostrzegła nikogo. Było późne popołudnie i większość mieszkańców Male, stolicy Malediwów, chroniła się przed słońcem. Zbliżyła się do krawędzi laguny: drobna, żałosna postać odziana w obszerne czarne spodnie i białą wypłowiałą bluzkę. Czarne rozpuszczone włosy opadały jej do pasa. Kiedy weszła na piasek na obrzeżach laguny, zrzuciła plastikowe sandały i ruszyła wolnym krokiem wzdłuż wody. Jej twarz łączyła w sobie rysy Chinki ze złotobrazową cerą mieszkanki Sumatry. Nic dziwnego — przodkowie dziewczyny w okresie wielkich ruchów migracyjnych w dziewiętnastowiecznych Chinach przenieśli się z Kantonu do Singapuru, by stamtąd wyruszyć do Medanu na północno-wschodnim wybrzeżu Sumatry. Cała rodzina przeżyła tam w spokoju ponad wiek, aż do ubiegłego roku, kiedy to Partia Komunistyczna Indonezji, złożona głównie z etnicznych Chińczyków, podjęła próbę obalenia rządu Sukarno. Armia zgłębła powstanie, a przez następ-

ne sześć miesięcy stała z boku i przyglądała się, jak rdzenni mieszkańcy archipelagu dokonują masakry ponad dwustu tysięcy Chińczyków. W samym Medanie zginęło ich tysiąc pięciuset, w tej liczbie rodzice Lani i większość jej krewnych. Dzięki starszemu bratu dostała się na kupiecką dżonkę, zaopatrzona w sumę pieniędzy w sam raz wystarczającą na podróż na Malediwy, gdzie dalecy krewni mieli przyjść jej z pomocą.

Dawali jej jeść, to prawda — tyle że za cenę dwunastogodzinnego dnia pracy w sklepie na obrzeżach stolicy. Musiała również znosić coraz bardziej natrętne zaloty męża jej dalekiej kuzynki, która przyjęła ją do siebie. Lani przeżyła osiemnaście lat, ostatni rok jednak wydawał się jej całym życiem.

Usiadła na pniu zwalonej palmy i pobiegła spojrzeniem ponad laguną w kierunku otwartego morza, które toczyło swe wody aż do Sumatry. Nie czuła w sobie tęsknoty za domem. Wszystko już się skończyło: ostatni list od kuzyna z Dżakarty informował, że nie ma śladu po jej najbliższej rodzinie.

Obróciła wzrok na brudne, nisko zabudowane miasto po drugiej stronie laguny. Mieszkała w nim zaledwie garstka Chińczyków: sklepikarzy i kupców z trudem wiążących koniec z końcem. Miejscowa ludność nie szczędziła jej pogardy — tylko mężczyźni wodzili oczami za jej kształtnym ciałem. Lani nie rozpaczała. W jej żyłach płynęła krew wielu pokoleń przodków, którzy zawsze wychodzili zwycięsko z najcięższych opresji. Na pewno zdoła stąd jakoś uciec.

\* \* \*

Po drugiej stronie Oceanu Indyjskiego, na bezludnych terenach pustyni Ar-Rab al-Chali ekipa wiertnicza dokonywała próbnego odwiertu. Grupa ośmiu mężczyzn, pracujących w temperaturze ponad czterdziestu stopni, przedstawiała sobą dziwaczny widok, gdy, mozoląc się w pocie czoła na platformie, podłączali do przewodu wiertniczego kolejny dziewięciometrowy odcinek rury. Mieli na sobie jasno-pomarańczowe kaski, buty wzmocnione w czubkach stalowymi okuciami, brudne spodenki — i niewiele więcej. Poruszali się jakby niepewnie, poganiani ostrymi poleceniami, które padały z ust młodego olbrzyma o blond włosach wypływających spod kasku.

Rura została wpuszczona w otwór wiertniczy i owinięta łańcuchami wirowymi. Po uwolnieniu graniatki, na podstawę wiertniczą wylała się struga błota. Robotnicy poganiani przekleństwami i poleceniami, połączyli szybko rurę z graniatką i już po chwili wiertnica ruszyła — operator wieży wypompowywał błoto z odwiertu, a świder obracał się w prawo, wgryzając się w kolejną porcję skały jurajskiej i przebijając się do czarnego złota.

Mężczyźni pracujący na podstawie platformy odsunęli się i strzepując błoto z buciorów śmiali się ze sprośnego dowcipu. Olbrzym o blond włosach zdjął kask i grzbietem dłoni wytarł pot z czoła. Zerknął na zegarek i chrząknął z zadowoleniem.

Drzwi stojącego za nim baraku otworzyły się i ktoś głośno zawołał:

— Cady!

Oczy wszystkich przeniosły się na kierownika odwiertu, który patrzył z odrazą na błoto pokrywające podstawę platformy.

— Co tu robi to gówno? — syknął. Sympatyczna twarz Cady'ego stężała.

— Do diabła, dopiero co zrobiliśmy połączenie.

— Co z tego? Podstawa ma być czysta, jasne? Powinieneś to wiedzieć.

— Tak, tak — wiem także, że dobry wiertacz przed płukaniem ściąga wiertło z powrotem na dół.

Mężczyzna w drzwiach zakpił pogardliwie:

— Wiesz tyle co nic, masz jeszcze mleko pod nosem. Niech to diabli! Dziesięć lat temu taki dzieciak jak ty nie miałby dostępu nawet w poblizze urządzenia wiertniczego.

Wszedł do baraku trzaskając drzwiami. Cady posłał mu pod nosem wiązanekę. Stojący obok niego operator wieży uśmiechnął się szeroko.

— Nie daj się temu bałwanowi wyprowadzić z równowagi, Cady. Facet jest zwyczajnie zazdrosny. Został wiertaczem dopiero w wieku trzydziestu pięciu lat i pracował przy wiertle całe dziesięć lat, zanim awansował nakierownika odwiertu. Poza tym nie lubi Kanadajczyków — jest żonaty z Kanadyjką!

Cady wzruszył ramionami.

— Połączyliśmy ten odcinek w niecałe trzy minuty. Któregoś dnia wbiję mu te jego zęby prosto w szczękę.

Operator wieży uśmiechnął się znowu.

— Mam nadzieję, że to kiedyś zrobisz. — Wskazując kciukiem na górującą nad nimi wieżę dodał: — Jeśli będę akurat na górze, fajnę się od razu na dół „Kolejką Geronimo” i pocałuję cię w tyłek.

Cady roześmiał się i skierował wzrok ku miejscu, gdzie wisiała stalowa lina umocowana z tyłu małej platformy i kończąca się blisko ziemi. Gdyby doszło do wytrysku ropy, a operator wieży znajdowałby się w tym czasie na górze, lina stanowiłaby dla niego jedyny bezpieczny sposób odwrotu.

— Trzymam cię za słowo, Cam — podchwycił. — Skoro miałbym wylecieć z pracy, pocałunek w tyłek byłby lepszy niż nic. Dobra, a teraz zmyjmy to świństwo.



### 3

Paczka dotarła rano, przy wydatnym udziale pracowników służby zagranicznej. Kirsty odczekała jednak z jej rozpakowaniem aż do wieczora. Przygotowała strogonoffa dla siebie i Larry'ego, Larry przyniósł ze sobą butelkę dobrego wina. W czasie kolacji gawędził z nią lekkim tonem, starając się rozpędzić pochłaniające ją myśli.

Otworzyła paczkę w sypialni, gdy Larry zajął się oglądaniem telewizji. Była to chwila nader osobista i Larry podświadomie zdawał sobie sprawę, że nie powinien przeszkadzać.

Kiedy Kirsty zbierała później talerze, pochwalił ją za smaczny posiłek. Uśmiechnęła się blado i wyniosła tacę do maleńkiej kuchni.

Zapalił papierosa i podszedł do telewizora. Właśnie miał go włączyć, kiedy zawołała do niego po imieniu. Odwrócił się w jej stronę: stała w drzwiach kuchni, wciąż trzymając tacę w rękach.

— Wiem, że nie zginął, Larry.

— Słucham?

— Mówię o Garrecie — on żyje.

Nie śpiesząc się, wróciła z tacą i postawiła ją na stole. Miała twarz zastygłą w dziwnym wyrazie.

— Garret żyje, Larry — wiem o tym.

Patrzył na nią z troską w oczach. Przybierając łagodny ton spytał:

— Skąd to możesz wiedzieć?

— Po prostu wiem i już. Kiedy zobaczyłam jego rzeczy, poczułam to w sobie, a przed chwilą... w kuchni... uderzyła mnie nagła pewność... Garret żyje.

Larry westchnął.

— No nie, daj spokój. Usiądź i porozmawiajmy na spokojnie.

Zasiadła na kanapie. Zajął miejsce naprzeciwko niej i spostrzegł w jej oczach nagłe ożywienie.

— Kirsty, kochanie, pomyśl rozsądnie. Owszem, to całkiem naturalna reakcja, bo zobaczyłaś jego rzeczy i tak dalej... Tak jakby do ciebie powrócił... Ale on nie żyje.

Pokręciła stanowczo głową.

— Nie, Larry. Rozumiem, że brzmi to irracjonalnie, ale ja to po prostu wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić... Zrozum, to mój syn. Czuję jego obecność, w mózgu i każdym skrawku ciała. Mam niezachwianą pewność, że on żyje. Gdyby nie żył, wiedziałabym o tym z taką samą pewnością.

Wzruszył ramionami.

— Dowód został w morzu. Nie chcę być brutalny, ale wiele matek żywi podobne przekonanie... Do czasu, aż ujrzą ciało. Nigdy nie zobaczysz ciała Garreta, będziesz więc może musiała żyć z tym przeświadczeniem do końca swoich dni. Nie jestem psychologiem, przypomnę ci tylko, że jest wiele kobiet, których synowie i mężowie zaginęli w Korei — zostali uznani za zmarłych. A one wciąż wierzą, że oni żyją gdzieś w Północnej Korei czy Chinach.

— To zupełnie inna historia, Larry. Jest jednak jeszcze coś. Wiem, że nie ma to wartości dowodu, że to znowu sprawa mojego instynktu, ale zawsze to coś.

— Niby co takiego?

Wstała i przeszła do sypialni, skąd wróciła niosąc dużą kopertę. Podała mu ją ze słowami:

— W środku jest paszport, oficjalny raport i list od amerykańskiego konsula. Przeczytaj ten list.

Wysypała zawartość koperty na stolik do kawy. Paszport znalazł się na wierzchu. Wziął go do ręki i otworzył na pierwszej stronie. Zdjęcie rześko wyglądającego młodego mężczyzny o jasnych włosach sąsiadowało z mocno wstemplowanym na następnej stronie słowem ANULOWANY. Zamknął szybko paszport i sięgnął po list z wytłoczonym amerykańskim godłem. Zapoznał się z treścią zawartą na pojedynczej kartce i podniósłszy oczy napotkał jej badawcze spojrzenie.

— No cóż — zaczął. — Miły, pełen współczucia list.

— Owszem, ale to nie wszystko. Konsul pisze, że z uwagi na zaistniałe okoliczności osobiście przesłuchał kapitana i resztę załogi. Potwierdzili przy nim zeznania, jakie przedstawili policji tanzańskiej. Sprawdził również, jakie warunki pogodowe panowały wówczas na tym obszarze, i znalazł potwierdzenie, że były umiarkowanie złe. Rozumiesz? Nie złe, ale umiarkowanie złe.

— No i co?

— Ano to, że konsul musiał coś podejrzewać — w przeciwnym razie nie sprawdzałby wszystkiego tak dokładnie.

— Ależ, Kirsty, przecież to jego praca.

— Nie! — sprzeciwiła się stanowczo. — To robota dla policji. Mam wrażenie, że nabrał jakichś podejrzeń.

Rozłożył ręce w geście irytacji.

— Znowu twój instynkt.

— Niech ci będzie! — wypaliła gniewnie. — Me to mój syn i coś w środku mówi mi, że on żyje. — Nagle wstała i trzepnęła się w udo.

— Pamiętnik!

— Jaki pamiętnik?

— Pamiętnik Garreta! W ostatnim liście wysłanym z Sri Lanki napisał, że prowadzi pamiętnik. Nie ma go wśród reszty rzeczy. Dlaczego? W chwili wypadku na pewno nie trzymałby go przy sobie. — Zaczęła przemierzać pokój w podnieceniu. — I jeszcze zegarek — miał go po ojcu, nie sądzę, żeby go założył. Dobry Boże, zdejmował go nawet, kiedy szedł pływać, chociaż zegarek był wodoodporny. Zegarka też brakuje.

— Poczekaj, Kirsty! — powstrzymał ją podniesieniem ręki. — Usiądź, proszę, i nic nie mów, dopóki nie skończę.

Usiadła i słuchała, jak powoli i cierpliwie wyjaśnia. Jego zdaniem jej reakcja jest naturalna. W porządku, konsul może i nawet podejrzewał jakieś matactwa, ale niczego nie zdołano udowodnić. Co do zegarka, miał sporą wartość: może więc ukradła go załoga, a może został skradziony jeszcze w Indiach.

— Ale pieniędzy nie ukradli! — przerwała mu wojowniczym tonem. — Czterysta dolarów przekazano konsulowi — suma w sam raz na pokrycie kosztu przelotu do Stanów.

— Kirsty, pomyśl rozsądnie: kradzież pieniędzy za bardzo rzucałaby się w oczy.

— A pamiętnik? Nie miał przecież żadnej wartości.

— No nie, ale konsul może nie chciał go przysyłać. Możliwe, że coś w nim było, i wolał nie zadawać ci większego bólu.

Przyjęła to ze sceptyczną miną. Sięgnęła po list od konsula i zacytowała wskazując jedną linijkę tekstu:

— „Danny Lascelles, mieszane francusko-tureckie pochodzenie, kapitan jachtu «Jaloud»„. Lascelles... Co to za człowiek?

— Do diabła! — Larry dał w końcu upust irytacji. — Skończ z tym wreszcie, Kirsty. To był wypadek, a wypadki się zdarzają.

— Niezupełnie — odparła jego atak. — Nigdy tego nie zrozumiesz...

— Takiej logiki na pewno! — prychnął. — W każdym razie wierzę, że w końcu jakoś się z tym uporasz.

— Chcę do niego zadzwonić.

— Do kogo?

Pokazała list.

— Do Howarda Godfrey'a, naszego konsula w Dar es-Salaam.

— Dobry Boże, Kirsty!

— Nie wściekaj się. Jeżeli ma pamiętnik Garreta, to chciałabym go dostać.

Larry sposepniał. Wzruszył ramionami, jakby chciał odżegnać się od całej sprawy.

— Jak sobie życzysz. Nie będę więcej próbował nakłaniać cię do sensownego myślenia.

Spojrzał na zegarek i wstał, by włączyć telewizor. Przekręcał gałką tak długo, aż natrafił na „I Love Lucy”. Przyniósł sobie z kuchni piwo i usadowił się wygodnie.

Kirsty przeszła do telefonu w rogu pokoju i przysunęła sobie krzesło. W chwilę potem dane jej było przekonać się, jakie trudności wiązą się z próbą dodzwonienia się z Nowego Jorku do Afryki Wschodniej.

Prawdę powiedziawszy nie telefonowała nigdy za granicę. Połączyła się najpierw z informacją, skąd zdobyła numer centrali rozmów zagranicznych. Zimny, bezosobowy głos telefonistki poinformował ją o braku bezpośredniego połączenia z Tanzanią; trzeba łączyć rozmowę przez Londyn, a to może trwać wiele godzin. Poza tym występuje ośmiogodzinna różnica w czasie. Czy jej rozmówca będzie wtedy wciąż pod tym numerem? Po odpowiedzi Kirsty, że chodzi o ambasadę amerykańską, w głosie telefonistki pojawiła się nieco cieplejsza nuta. Czy rozmowa dotyczy sprawy nie cierpiącej zwłoki?

Kirsty zawahała się. Zerknęła na pochłoniętego telewizją Larry'ego i powiedziała do słuchawki:

— Chodzi o mojego syna, który przepadł w Tanzanii bez wieści. Chcę porozmawiać z konsulem.

Głos po drugiej stronie przybrał nagle ciepły, współczujący ton. Tak, spróbuje połączyć rozmowę najszybciej, jak to możliwe: wszystko zależy od ilości rozmów wychodzących z Londynu. Nawet gdyby się okazało, że konsul poszedł już do domu, oficer dyżurny będzie miał do niego numer. Oddzwoni z powrotem, ale Kirsty musi być przygotowana na długie czekanie.

Połączenie nastąpiło po trzech godzinach. Do tego czasu Larry zdążył położyć się spać, obdarzywszy ją najpierw chłodnym pocałunkiem. Obejrzała nocny film w telewizji, a następnie wysprzątała do czysta kuchnię. Telefon dzwonił dwukrotnie i za każdym razem telefonistka informowała ją, że nadal czeka na Londyn. Za trzecim razem Kirsty usłyszała w słuchawce szum, trzaski na linii i urywaną rozmowę angielskiej telefonistki z jej amerykańską koleżanką. Po serii kliknięć rozległ się słabo słyszalny głos, który oznajmił:

— Ambasada Stanów Zjednoczonych.

Angielska telefonistka poprosiła do aparatu pana Howarda Godfrefa, informując, że będzie rozmawiać pani Haywood z Nowego Jorku. Minuta przerwy, kolejne kliknięcie i wreszcie Kirsty usłyszała:

— Konsul Howard Godfrey, słucham?

Chociaż pobrzmiwający nowojorskim akcentem głos był słaby i zniekształcony, wyraźnie przebijał z niego życzliwy ton. Kirsty rozplakała się.

W sukurs przyszła jej telefonistka z Nowego Jorku. Włączyła się szybko do rozmowy, prosząc swą londyńską koleżankę, żeby nie przerywała połączenia. Zaraz potem zwróciła się uspokajająco do Kirsty. W krótki, rzeczowy sposób wyjaśniła, że rozmowa prowadzona jest drogą radiową, stąd też Kirsty będzie musiała najpierw mówić, a potem słuchać odpowiedzi. W porównaniu z normalną konwersacją wystąpi nieznaczny poślizg w odpowiedziach. No i musi mówić głośno.

Kirsty przez długą chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Kawalek trzymanego w dłoni plastiku łączył ją oto z człowiekiem, który przekazał jej wiadomość o śmierci Garreta. Głos konsula, brzmiący w nim akcent i towarzyszące temu okoliczności sprawiły, że straciła zupełnie panowanie nad sobą — zawładnęła nią dziwna słabość, a nawet strach. Podświadomie łudziła się, że miły głos mówiący z nowojorskim akcentem nie potwierdzi informacji o śmierci Garreta. Przekonała samą siebie, że Garret żyje i chciała trwać dalej w tym marzeniu. Podniosła wolnym ruchem słuchawkę do ucha i opuściła ją na powrót. Wzięła głęboki oddech, zacisnęła dłoń na słuchawce i uniosła ją do ust. Zaczęła głośno mówić.

Jej głos przeniknął przez zamknięte drzwi sypialni i obudził Larry'ego. Usiadł w łóżku ziewając, zapalił światło i skrzywił się, widząc godzinę na sypialnianym zegarze.

Rozmowa trwała pięć minut. Upłynęło kolejne pięć minut, zanim drzwi sypialni otworzyły się i Kirsty weszła do środka. Przysiadła w nogach łóżka, przygotowana do odparcia ataku.

— No i co? — zagadnął.

— Nie było żadnego pamiętnika ani zegarka. Przesłuchał Lascellesa i członków załogi, bo cieszą się podejrzaną reputacją, ale udowodnienie im czegokolwiek jest niemożliwe. Powiedział, że muszę pogodzić się ze śmiercią Garreta.

Larry skinął głową z wyraźną ulgą.

— Przynajmniej sobie z nim porozmawiałaś. Będiesz mogła się teraz uspokoić.

Milczała ze wzrokiem wbitym w sobie tylko wiadomy punkt na ścianie nad jego głową. Jej zazwyczaj pełne usta były zaciśnięte w wąską szparkę. Siedziała nieruchomo, z dłońmi złożonymi na kolanach. Kiedy wreszcie przemówiła, jej głos brzmiał stanowczo.

— To niczego nie zmienia. Wystarczyło mi usłyszeć głos dobiegający z tamtej części świata, a doznałam wrażenia, że niemal tam jestem, jestem bliżej Garreta. Mój syn żyje. I ja go odnajdę. To przeze mnie wyjechał i wybrał się w tę podróż. Byłam złą matką.

— Bzdura.

— Wiem, że tak. Garret wrodził się w Kevina: nie potrafi nigdzie długo zagrzać miejsca. Przez ostatnie osiem lat próbowałam to z niego wykorzystać, trzymałam go blisko siebie, zamęczałam nieustanną troską. Skorzystał więc z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby uciec z domu. Nie był przygotowany do takich wojaży... I to moja wina... A teraz ma kłopoty... Jadę do niego.

Larry skrzywił się.

— Niby jak? Skąd weźmiesz pieniądze?

— Sprzedam mieszkanie!

Parsknął szyderczym śmiechem.

— Co ty mówisz, Kirsty! Mieszkanie jest obciążone hipoteką. Przy dzisiejszych cenach nieruchomości będziesz miała szczęście, jeśli dostaniesz na czysto pięćset dolarów!

— To spieniężę biżuterię.

— Jezu! — Larry kręcił głową. — Ale ty jesteś naiwna. Co takiego masz? Sznur pereł — góra trzysta dolarów. Złoty pierścionek, co najwyżej dziewięciokaratowy, z małym topazem — nie dostaniesz za niego nawet stówy. Parę drobiazgów po matce, które mają jedynie wartość pamiątkową. Twój mąż nie obdarowywał cię zbyt szczerze prezentami.

Usiadł prosto, uderzony nagłą myślą.

— Nie sprzedasz chyba zegarka, który ode mnie dostałaś?

Pokręciła smutno głową.

— Nie, Larry, nie sprzedam zegarka od ciebie. Zdobędę te pieniądze, nieważne jak. — Była nieustępliwa. — Sprzedam telewizor.

— Ma co najmniej pięć lat. Może dadzą ci za niego setkę. Spojrzała na dwa pierścionki na środkowym palcu lewej ręki.

— Jeżeli będzie trzeba, sprzedam swój pierścionek zaręczynowy i ślubną obrączkę. Kevin by to zrozumiał, chodzi przecież o Garreta. Pierścionek zaręczynowy przedstawia sporą wartość, należał do matki Kevina.

Larry przyjrzał się czterem małym brylantom osadzonym na cienkim złotym pierścionku i westchnął.

— Kochana, jak zetkniesz się z rekinami, które handlują używaną biżuterią, to doznasz prawdziwego szoku. Założę się, że nie uzbierasz więcej niż tysiąc dolców.

Pochylił się w jej stronę i dodał:

— Ja nie mogę ci pomóc. Muszę płacić alimenty, no i spłacam swoją hipotekę — po prostu nie mam z czego. Szczerze mówiąc, i tak bym ci nie pomógł. To czyste szaleństwo, musiałaś chyba znikować. Nie dałbym ani centa.

— Wcale tego nie oczekuję.

Tym razem spojrzał na nią z ciekawością.

— Zupełnie cię nie rozumiem, Kirsty. Spalisz za sobą wszystkie mosty. Wrócisz do słownie z pustymi rękami. Nie będziesz miała mieszkania. Irving nie zatrudni cię ponownie, jeśli zostawisz go teraz na lodzie. A o pracę trudno — w księgowych można dziś przebierać jak w ulęgałkach. Chcesz porzucić wszystko dla jakiegoś mglistego przecucia?

— To nie jest mgliste przecucie. Wiem, że Garret żyje.

— Nie żyje, do cholery! — wybuchnął. — Spójrz prawdzie w oczy!

Potrząsnęła spokojnie głową.

— W dzienniku okrętowym zapisano, że mój syn zginął. Muszę porozmawiać z tym, kto to napisał.

## 4

— Już zdecydowałem — powiedział Ramesh z naciskiem. Jego przyjaciel Jaran Singh zaniósł się chrypliwym śmiechem. Siedzieli w swojej ulubionej restauracji, małym, nader skromnym lokalu na tyłach dworca Cotton Green. Jedzenie było tu tanie i urozmaicone, miało bowiem zaspokoić gusta podróżnych z różnych stron Indii. Tego wieczoru zamówili sobie kurczaka na ostro, z soczewicą i ciapiatą.

Jaran, trzymając w ręku kurze udko, kończył się śmiać.

— Dobrze, możesz mnie wyśmiewać — rzekł Ramesh. — Ale kiedy już wypłynę, będziesz zaskoczony i będzie ci głupio.

Jaran ugryzł kawałek kurczaka i odparł kręcąc głową:

— To raczej ty poczujesz się głupio, kiedy zderzysz się z Oyster Rock albo Colaba Point. Naczytałeś się zbyt wiele książek, przyjacielu. Podobnie jak we mnie, drzemie w tobie dusza marzyciela. Tyle że marzenia lepiej snuć weśnie. A w ogóle skąd wiesz, jaką cenę osiągnie łódź?

— Oczywiście, tego nie wiem. Kapoor, licytator, powiedział mi, że zaledwie dwie, trzy osoby przejawiają zainteresowanie, i to wyłącznie nabyciem oprzyrządowania i silnika. Jego zdaniem cena nie powinna przekroczyć trzydziestu tysięcy rupii.

Jaran wytarł ręce w ścierkę.

— Wcale mnie to nie dziwi. Łajba ma więcej lat niż ty — i na tyle wygląda.

— Owszem — przytaknął Ramesh. — Ale jest mocna — zbudowana z dobrego drewna tekowego i mahoniu. Obejrzałem ją z Murdjanim, inżynierem ze stoczni. Mówi, że łódź wymaga wiele pracy, podobnie jak silnik, ale gotów jest mi pomóc. Jego zdaniem w miesiąc mogłaby być gotowa.

— Ale jaki z ciebie żeglarz! Takie przedsięwzięcia wymagają ogromnej wiedzy. Skąd będziesz wiedział, dokąd płynąć?

— Nauczę się — odrzekł z prostotą Ramesh. — Dziś rano natrafiłem na książkę pod tytułem „Podręcznik żeglarza”. Stara rzecz, jeszcze z czasów wojny, napisana przez Amerykanina. Ma czarną, postrzępioną okładkę i wygląda trochę jak stara Biblia. Jest w niej wszystko, co muszę wiedzieć.



Jaran nie mógł ukryć podziwu dla spokojnej determinacji przyjaciela. Znał go od dwudziestu lat i ogromnie cenił jego stałość w przyjaźni oraz powściągliwy dowcip. Co więcej Ramesh, mimo płynącej w jego żyłach w połowie angielskiej krwi, nie wyrażał się nigdy lekceważąco o Indiach ani o ich mieszkańcach, nie wskazywał też na Anglię jako swoją kolebkę — chociaż przy jego jasnej skórze i rysach wyglądał bardziej na Anglika niż Hindusa. W chwili gdy Jaran zdał sobie w pełni sprawę z twardej determinacji Ramesha, jego początkowe rozbawienie ustąpiło miejsca trosce. Było doprawdy szczytem szaleństwa ze strony niedoświadczonego, czterdziestoosmioletniego gryzipiórka wyprawiać się na pokładzie niemal zabytkowej, dwunastometrowej łodzi na odległość choćby dziesięciu mil, nie mówiąc już o większym dystansie, mając jedynie do pomocy książki i romantyczne wizje. Powiedział to Rameshowi, starannie dobierając słowa. Może przynajmniej zabrałby kogoś ze sobą do pomocy?

Ramesh uśmiechnął się.

— Oferujesz mi swoje towarzystwo? Mógłbyś być pierwszym oficerem, chyba że wolałbyś zostać starszym mechanikiem?

— Dziękuję — odrzekł Jaran z powagą w głosie. — Nie dla mnie taka przygoda. Uwielbiam morze, ale tylko z daleka — i tylko wtedy, kiedy jest spokojne. Czy ty naprawdę nie możesz nikogo znaleźć?

Ramesh rozłożył ręce.

— Kogo? Znasz drugiego takiego wariata? Poza tym z tak mizerną kwotą trudno by mi było kogoś wynająć.

— Co się stanie, jak skończą ci się pieniądze?

— Będę pracował, obojętne przy czym. Nie martw się, Jaran. Nie jestem pierwszym, który się na to porywa: Joshua Slocum dziewięćdziesiąt lat temu dokonał tej samej sztuki... A był starszy ode mnie.

Jaran nie dał się przekonać.

— I dysponował ogromnym doświadczeniem, zgadza się?

— To prawda — przyznał Ramesh. — Ale w jaki sposób je zdobył? Na pewno nie siedząc za biurkiem.

— Jaką trasą popłyniesz?

Ramesh nachylił się. Jego brązowe oczy błyszczały.

— Najpierw ruszę na południe, na Malediwy. Później pozęgluję z wiatrem monsunowym na południowy zachód, w kierunku Seszeli. A potem Afryka: wschodnim wybrzeżem do Egiptu i przez Kanał Sueski do Morza Śródziemnego. I dalej przed siebie!

Jaran odniósł się do tego sceptycznie.

— A jeśli nie trafisz na Seszele? To przecież zaledwie małe punkciki na oceanie.

Ramesh wzruszył ramionami i odparł z rozbajającym uśmiechem:

— Wtedy pozęgluję prosto na zachód; w końcu muszę dopłynąć do Afryki. Jakby nie było, to całkiem spory kawałek lądu. A potem zrobię zwrot w prawo.

Jaran nie uśmiechnął się. Widząc jego zatroskaną minę Ramesh ciągnął cicho, z przekonaniem w głosie. Zauważył, że od śmierci matki nie ciąży na nim żadne obowiązki, nie ma też bliskich krewnych. Wraz ze sprzedażą rzeźby dostał do ręki — po raz pierwszy w życiu — niewielki kapitał i możliwość zamiany marzenia w rzeczywistość. Przez całe życie był nikiem — zwykłym *babu*, gotowym na każde zawołanie. Teraz, chociaż nie jest duży i silny, ma szansę udowodnić samemu sobie, że jest mężczyzną, że potrafi żyć i dawać sobie z powodzeniem radę w szerokim świecie. Może Jaran ma rację mówiąc, że roztrzaska się o Oyster Rock zaledwie trzy mile od portu. Będzie, co będzie. On, Ramesh Patel, wypłynie na morze swoją własną łodzią.

Jaran uśmiechnął się i klepnął go po ramieniu.

— No dobrze. Skoro trwasz w swojej głupocie, chciałbym ci jakoś pomóc. Szkoda, że nie jestem cieślą okrętowym.

— Przyjdź na jutrzejszą licytację. Po licytacji, jeśli łódź będzie moja, wejdziemy na pokład i wszystko ci pokażę.

— Kiedy zamierzasz wyruszyć?

Rameshowi znowu rozbłysły oczy.

— Jutro złożę wypowiedzenie. Będę robił przy łodzi po godzinach pracy i w weekendy. Nocami będę się uczył. Muszę wypłynąć do połowy kwietnia — według mojej książki to ostatni moment na złapanie monsunowego wiatru.

— W porządku, wariacie. — Jaran uśmiechnął się szeroko. — Mam nadzieję, że autor tej twojej książki wiedział o istnieniu Oyster Rock!

\* \* \*

— Dwadzieścia osiem tysięcy — zadeklarował Ramesh pewnym siebie głosem. Jego konkurent odwrócił się na pięcie z przeczącym wzruszeniem ramion. Gdy licytator uderzył dłonią w stół po raz trzeci i krzyknął „Sprzedane”, Jaran klepnął Ramesha w plecy.

— Moje gratulacje, kapitanie Patel!

W pół godziny później Ramesh oprowadzał z dumą swego przyjaciela po pokładzie jachtu „Manasa”.

Jaran był przerażony. Oczywiście, nie miał najmniejszego pojęcia o łodziach i nie był pewnie w stanie docenić zalet jachtu; w każdym razie widział odłóżką farbę, miejsca w pokładzie, gdzie deski rozeszły się i wypaczyły, zgięte wsporniki i zwisające druty. Kiedy spojrzął na krótki grotmaszt, zobaczył długie niemal na metr pęknięcie. W tym czasie Rameshowi nie zamykały się usta: paplał radośnie o grodziach, gejtawach, wantach i szotach. Jaran zmusił się do uśmiechu.

— Widzę, że studiowałeś swoją Biblię.

— Oczywiście. Zejdźmy pod pokład, pokażę ci część mieszkalną.

Gdy schodzili, jeden z drewnianych stopni zaskrzypiał złowieszczo.

W saloniku pod pokładem wszechobecny był poczerniały werniks i odór stęchlizny. Przeszli dalej, wchodząc do małej kabiny w rufowej części jachtu, w której znajdowały się dwie koje i umywalka. Zajrzeli do ciemnej, przejmującej wilgocią maszynowni, obejrzeli kubryk z dwiema wiszącymi kojami i jeszcze jedną małą, wąską kajutę.

— Przodek — oznajmił Ramesh dumnie.

Jaran wyjrzał za drzwi i zobaczył ustęp do kucania z długą rączką do spuszczenia wody.

— Przodek? — powtórzył pytająco.

— Tak to tu nazywają.

Jaran uśmiechnął się.

— Dziwna nazwa jak na coś, co kojarzy się w tak intymny sposób z tylną częścią ciała.

Ramesh odwzajemnił uśmiech. Wziął go pod rękę i poprowadził z powrotem do saloniku. W rogu stała dwupalnikowa kuchenka gazowa, a obok niej widać było drzwiczki szafki. Ramesh otworzył je, odsłaniając wyłożony stalową blachą pojemnik na lód, wewnątrz którego stały dwie butelki piwa.

— Poprosiłem Murdjaniego, żeby je przygotował — oznajmił mrugając okiem. — Takie skromne oblewanie.

Znalazł w szufladzie otwieracz do butelek, wyjął z innej szafki dwie szklanki i zaniósł wszystko na stół.

Usiedli naprzeciw siebie. Ramesh nalał piwa i podnieśli szklance.

— Za „Manasę” — zaczął Jaran uroczyście. — I za wszystkich, którzy będą na niej pływać.

— Za „Manasę” — powtórzył za nim Ramesh z zadowolonym uśmiechem.

Pociągnęli po sporym łyku. Jaran strawił kolejne pół godziny na próbach sprowadzenia przyjaciela na tory zdrowego rozsądku. Bezskutecznie. Ramesh wyrażał się z niesłychaną pewnością o sobie i swoim nowym nabytku.

Starał się również wyjaśnić Jaranowi, co naprawdę czuje. Co odczuwał, kiedy wszedł na pokład „Manasy” wiedząc już, że jacht mógłby stać się jego własnością. To było zupełnie coś innego niż za pierwszym razem, gdy przeprowadzał inwentarz łodzi.

Siedział wówczas w saloniku, dokładnie na tym samym miejscu, co teraz. Miał wrażenie, że „Manasa” prowadzi z nim rozmowę. Jak staruszka, która przebywszy długą drogę, zahartowana i mądra zdobytym doświadczeniem, namawia młodzieńca do wyruszenia w świat, oferując mu swoje przewodnictwo. Ramesh użył całej swojej elokwencji, by dowieść przyjacielowi, że między człowiekiem a łodzią istnieć może nic porozumienia. Dawniej myślał, że coś takiego zdarza się tylko w książkach, teraz sam się o tym przekonał. Od dziś „Manasa” należy do niego, będzie jego domem i przyjacielem. Miał wewnętrzne przeświadczenie, że jacht przeniesie go bezpiecznie przez wszystkie wody,

nie pozwoli, by stała mu się krzywdą. Tak przyjaźnie do niego nastawiona, „Manasa” odnosić się będzie z wyrozumiałością do jego braku doświadczenia, ochroni Ramesha do czasu, aż ten zdobędzie stosowną wiedzę. On, Ramesh, będzie niczym dziecko, które uczy się jeździć, mając pod sobą łagodnego rumaka: koń czując na swym grzbiecie niepewną, nerwową istotę, dostosuje się do niej. Będzie stąpał nadzwyczaj ostrożnie, aż dziecko nabierze pewności — a wtedy pozwoli mu pędzić swobodnie, z włosami rozwianymi na wietrze.

Była to szalenie romantyczna wizja i Jaran nie mógł się powstrzymać od sceptycznego uśmiechu. Słuchając Ramesha nie spuszczał z niego badawczego spojrzenia, próbując wyobrazić go sobie jako żeglarza. Przychodziło mu to z trudem. Siedzący naprzeciw niego mężczyzna ubierał się zawsze z gustem i starannie, niemal wyszukanie. Miał krótkie, starannie przystrzyżone, siwiejące na skroniach włosy. Buty, chociaż stare i wielokrotnie naprawiane, były zawsze wypolerowane do połysku. Był wysoki i szczupły, ale nie chudy. Miał ręce urzędnika: długie, gładkie palce z krótko przyciętymi paznokciami.

Jedynie twarz nosiła w sobie zapowiedź jego nowego wcielenia: jasnobrazowa cera, wystające kości policzkowe, prosta, mocno zarysowana szczęka, wąskie, szeroko rozstawione oczy z ciemnobrazowymi tęczęwkami. Długi, prosty nos nad pełnymi ustami. Twarz nacechowana łagodnością, ale sugerująca prawdziwą siłę. Siłę, która zaczynała się właśnie ujawniać. Jaran słuchał znów słów Ramesha o łączności, jaka występowała między nim a łodzią, jak gdyby obie strony — drewno i człowiek — prowadziły ze sobą dialog.

Spojrzał uważnie na Ramesha i zauważył:

— Co do drewna, to jest z pewnością przegniłe.

Ramesh potrząsnął głową i zaczął dalej przekonywać przyjaciela.

Za miesiąc Jaran nie pozna „Manasy”. Przez ten czas on, Ramesh, zgłębi sekrety silnika Perkins P-4, samosteru ze statecznikiem wiatrowym, sekstantów, namiarów i tym podobnych rzeczy. Może więc niech Jaran zaoszczędzi sobie fatygi i czasu, i przestanie go odwozić od podjętej decyzji.

Jaran westchnął i dopił piwo ze szklanki.

\* \* \*

Cady pociągnął dźwignię i stół obrotowy zatrzymał się ze zgrzytem. Powietrze wypełniła niesamowita cisza. Zerknął na małą platformę i śmiejąc się do operatora wieży, powiedział:

— Pakuj się na górę, Cam. Chciałbym wyciągnąć świder jeszcze przed końcem zmiany.

Cam ruszył do drabiny. W tym czasie otworzyły się drzwi baraku i rozległ się krzyk kierownika odwiertu:

— Cady, co jest, do diabła?  
— Chcę wymienić świder — zaliczył już sześćdziesiąt godzin.  
Kierownik westchnął dramatycznie.  
— Wejdz no tutaj — polecił i skierował się z powrotem do baraku. Cady poszedł za nim.  
— Zamknij drzwi.  
Cady zamknął drzwi i w jednej chwili jego spocone, półnagie ciało owiało chłodne klimatyzowane powietrze. Kierownik usiadł przy zawalonym mapami metalowym biurku. Za jego plecami wisiała półka zastawiona książkami z zakresu geologii.  
— Jak się nazywam, Cady?  
— Ben Calder.  
— Na razie dobrze. Co tu robisz?  
— Jest pan kierownikiem odwiertu.  
— Trafieś. Czym więc jestem dla ciebie?  
— Szefem.  
— Bravo! Cholerny zdolniacha! — zakpił Calder patrząc na górującego nad nim Kanadyjczyka. — Taki z ciebie bystrzak, a nie wiesz, że to ja decyduję o tym, kiedy wyciągamy świder?  
— Do diabła, szefie! Przecież przepracował sześćdziesiąt godzin przy obciążeniu siedemdziesiąt tysięcy. Wymiana świdra to rutynowe postępowanie.  
Calder westchnął.  
— Cady, chcesz dalej pracować dla tej firmy?  
— Jasne.  
— No to nie zalewaj mi tu jak jakiś cholerny geolog z uniwersytetu.  
Cady nabrał głęboko powietrza w płuca.  
— Więc czego pan chce?  
Calder rozsiadł się wygodnie na krześle: baryła z głową jak bania, łysy jak kolano.  
— Chcę przed końcem miesiąca dojść do dna. — Spojrzał na jedną z map na biurku.  
— Jak będziesz wymieniał świder po sześćdziesięciu godzinach, to nigdy nie skończymy. Będziemy zmieniać po siedemdziesięciu. I zwiększ trochę obciążenie.  
— O ile?  
Calder wzruszył ramionami.  
— Pięć... może dziesięć... Dobra, dołóż dziesięć tysięcy.  
Twarz Cady'ego nie wyrażała żadnych emocji.  
— W porządku, to pana decyzja.  
Odwracając się usłyszał, jak Calder krzyczy za nim:  
— Święta racja!

Dwie godziny później Cady siedział z Camem, operatorem wieży, na platformie i przyglądał się, jak robotnicy spłukują do czysta platformę po przyłączeniu kolejnego odcinka rury. Słońce zaszło i w jednej chwili zapadła kurtyna ciemności. Wieża wiertnicza była jednak jasno oświetlona dzięki lampom łukowym zainstalowanym na żurawiu. Calder poszedł do swojej przyczepy mieszkalnej. Na metalowym kolosie panował błogi spokój, nie licząc nieustannego zgrzytania pracującej maszynierii.

Cady widział w Camie pokrewną duszę. Mieszkali w tej samej przyczepie i mieli jednakowy pogląd na wiele spraw. Obaj byli młodymi, twardymi ludźmi o ostrych charakterach, a chociaż słabo wykształceni, odznaczeni się inteligencją i spostrzegawczością. W przeciwieństwie do większości nafciarzy nie trwonili całych, niemałych przecięż, pensji na alkohol, kosztowne samochody i drogie kobiety. Długie urlopy spędzali na Cyprze: Cam mieszkał ze swoją dziewczyną, Cady zaś w wynajętym wiejskim domku w górach Troodos, gdzie odpoczywał od spieczonych słońcem piasków pustyni, pływając się w zieleni i chłodzie.

Cam zbierał pieniądze, żeby kupić dom i ożenić się ze swoją dziewczyną. Cady miał inne plany: chciał wziąć kilka miesięcy urlopu i ruszyć na południe, na zwiedzanie Afryki Wschodniej. Marzyło mu się wejście na szczyt Kilimandżaro i małe safari.

Pochłaniał ostatnio książki o Wschodniej Afryce, wśród nich powieści Hemingwaya i Rourke'a. Wymieniał się książkami z Camem. Siedząc teraz na brzegu platformy wdali się w rozmowę o zaletach obu autorów. Cam opowiadał się stanowczo po stronie Hemingwaya, Cady'emu zaś bardziej odpowiadał mniej czarujący Rourke, który, jak twierdził, przy bliższym poznaniu okazałby się na pewno znacznie przyjemniejszym facetem.

— Nieważne, jaki kto jest — oponował Cam. — Ważne jest, o czym pisze.

Cady właśnie otwierał usta, żeby mu odpowiedzieć, kiedy odgłos pracującego silnika napędowego uległ raptownej zmianie i zaraz potem rozległ się zgrzyt miazdzonej stali. Skoczył na równe nogi i krzyknął do operatora silnika. Po kilku sekundach obracający się świder znalazł się na powierzchni, a cała załoga zebrała się wokół graniatki, kręcąc smętnie głowami. Stożek świdra odgiął się i odłamał powodując skrócenie się całej dwuipółkilometrowej rury; należało ją teraz uwolnić, a stożek wyciągnąć. Czekają ich kilka dni, a może nawet kilka tygodni pracy.

Robotnicy z wolnej zmiany zaczęli tymczasem gromadzić się na platformie. W sekundę później pojawił się Calder.

— Co jest, do diabła?

Cady odwrócił się w jego stronę.

— Straciliśmy na dole stożek.

W blasku lamp widać było wyraźnie, jak Calder dosłownie robi się biały jak papier. Cady nachylił się ku niemu i starannie akcentując każde słowo, powiedział:

— Mówiłem szefowi, że ten cholerny świder zbyt długo pracował.

Reszta załogi patrzyła na obu mężczyzn z napiętą uwagą. Calder odzyskał pewność siebie, obiegnął wzrokiem krąg milczących postaci i na koniec zwrócił się z pytaniem do Cady'ego:

— Jakie dałeś obciążenie?

— Osiemdziesiąt tysięcy.

— Osiemdziesiąt tysięcy! — Calder potoczył dookoła zdumionym wzrokiem.  
— Miałeś wiercić przy siedemdziesięciu.

— Przecież szef sam mi kazał zwiększyć obciążenie.

— Co ty pieprzysz!

Cady'ego zamurowało. Calder znów rozejrzał się naokoło i głośno spytał:

— Czy ktoś słyszał, żebym mówił podobne bzdury?

— Ściągnąłeś mnie do swojej budy! — wycharczał Cady. — Kazałeś mi dołożyć kolejne dziesięć tysięcy.

— Kłamiesz!

Cady dał krok do przodu i zapytał, siląc się na spokój:

— Nazywasz mnie kłamcą?

— Święte słowa!

Cady uderzył krótkim prawym prostym w szczękę. Calder próbował uchylić głowę, ale cios zadany z niezwykłą mocą i precyzją spadł na niego niby młot. Tłumek zebrany za Calderem rozstał się, gdy bezwładne ciało poleciało do tyłu i zważyło się na metalową platformę. Głowa w kasku rąbnęła głucho o reling. Siła rozpędu przekręciła Caldera na bok i legł jak kłoda u stóp jednego z robotników.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. W końcu robotnik podniósł nogę w bucie ze stalowym czubkiem i przewrócił leżące ciało na plecy. Spojrzał na Caldera i zaklął:

— Cholera! Zimny jak puszka piwa. Szczęką w kawałkach!

Wszyscy zaczęli na raz mówić. Tu i ówdzie rozległy się śmiechy — Calder nie był szczególnie lubianą postacią. Część zebranych patrzyła na Cady'ego z podziwem przemieszonym ze współczuciem. Cady odwrócił się do Cama i uśmiechnął się ponuro.

— Wygląda na to, że przyjdzie mi gramolić się na tę cholerną górę wcześniej, niż myślałem.

Cam kiwnął smutno głową.

— Będzie mi ciebie brakowało, stary szympanse. Ale wiesz co, rozmyśliłem się: nie pocałuję cię w tyłek.

## 5

Kilimandżaro wznosi się na wysokość 5.895 metrów. Kirsty Haywood spoglądała na górę z pokładu *Cometa* BOAC, oddalona o cztery i pół kilometra od jej najwyższego wzniesienia. Ze swego miejsca przy oknie widziała strzelisty masyw góry i jej pokryty wiecznym śniegiem szczyt. Widok ten ożywił jej przytępione zmysły. Prawie dwadzieścia cztery godziny wcześniej wystartowała z Nowego Jorku nocnym lotem do Londynu, a stamtąd po dwugodzinnym postoju przesiadła się do samolotu lecącego do Dar es-Salaam przez Rzym, Kair i Nairobi.

Dotychczas odbyła jedną podróż powietrzną, był to jednak zaledwie lot na Florydę. Bezkręś przemieszczanej drogi dawał jej się we znaki. W sumie spędziła w powietrzu osiemnaście godzin, choć miała wrażenie, że leci już osiemnaście dni. Powodowana niecierpliwością i chęcią zaoszczędzenia pieniędzy, zrezygnowała z noclegu w którymkolwiek z miast na trasie przelotu. Dane jej było więc uchwycić migawki trzech różnych obszarów kulturowych jedynie z perspektywy lotnisk i na podstawie kontaktu ze współpasażerami. Na odcinku z Nowego Jorku do Londynu siedziała obok starszej Angielki wracającej z wizyty u swojej córki, która poślubiła pilota amerykańskich Sił Powietrznych i mieszkała obecnie w Tennessee. Starsza pani bardzo mile wspominała same odwiedziny, nie mogła jednak pogodzić się z tym, jak córka i zięć wychowują troję dzieci. Wdała się w szczegółowy wywód o potrzebie dyscypliny i stosownej diety, z czego Kirsty bez trudu wywnioskowała, iż wnuczeta jej miłej rozmówczynie odznaczają się nadwagą i niedostatecznym szacunkiem wobec osób starszych wiekiem.

Na lotnisku Heathrow przesiedziała pięć godzin w hali tranzytowej, broniąc się przed zaśnięciem. Był wczesny poranek i sypał śnieg. Pasażerowie wyglądali równie blado i mdło jak kawa, którą jej podano.

Trasę do Rzymu przebyła wciśnięta pomiędzy pulchnego Włocha i chudego Araba. Włoski sąsiad perorował zawzięcie, trącając ją co rusz w kolano i nie ustając ani na moment w próbach otarcia się o nią ramieniem.

W Rzymie wszakże Włoch zakończył podróż. Kirsty czekała w hali tranzytowej, kiedy Arab niespodziewanie odezwał się do niej w bezbłędnej angielszczyźnie i zapropo-



nował kawę. Popijała z przyjemnością cappucino z pianką i słuchała, co mówił jej towarzysz. Okazało się, że jest urzędnikiem egipskiego Ministerstwa Kultury i wraca właśnie z nieudanej misji do Londynu, gdzie próbował przekonać Muzeum Brytyjskie do zwrotu przynajmniej części bezcennych skarbów, które za czasów brytyjskiego panowania zostały zagarnięte z grobowców faraonów. Po powrocie na pokład samolotu przez następne dwie godziny zabawiał Kirsty rozmową o historii i kulturze swego ojczystego kraju. Stąd też przeżyła niemały szok, kiedy znalazła się na lichym, śmierdzącym lotnisku w Kairze.

Lecący z Kairu na południe samolot był w połowie pusty i Kirsty przedrzemalała z przerwami kilka godzin. Krótki postój w Nairobi dał jej pierwszy posmak Afryki Wschodniej: czyste powietrze nasycone przenikliwym zapachem; nawet na lotnisku roztaczał się aromat kwiatów i ziemi. Miała wrażenie, że zawitała nie tyle na inny kontynent, co na całkiem inną planetę.

Po starcie z Nairobi, wdychając przefiltrowane powietrze o zapachu miedzi, poczuła wyraźnie zapowiedź coraz bliższego kresu podróży. Lot miał potrwać zaledwie półtorej godziny. Już po kilku minutach kapitan poinformował, że przelatują oto nad Tanzanią i że z okien po prawej stronie można zobaczyć szczyt Kilimandżaro.

Kiedy patrzyła na widniejącą w dole górę, doznała nagle dziwnego przeświadczenia, że kończąca się właśnie podróż oznacza równocześnie zamknięcie raz na zawsze dotychczasowego etapu jej życia. Zupełnie jakby wraz z wejściem na pokład samolotu w Nowym Jorku przekroczyła próg nowej egzystencji.

Doprowadzenie wszystkich spraw do końca zajęło jej trzy tygodnie, wliczając w to również znajomość z Larrym.

Patrząc pewnego wieczoru przy kolacji, jak Larry nabiera na łyżeczkę lody czekoladowe, uświadomiła sobie po raz kolejny, że ich związek trwa jedynie z powodu zwykłego wygodnictwa. Larry'emu było równie wygodnie oglądać telewizję u siebie, jak i u Kirsty — tyle że tutaj miał w niej dobrą kucharkę. Powiedziała co myślała i doszło między nimi do sprzeczki. Nie była zaskoczona ani rozczarowana, kiedy Larry nie zjawił się na lotnisku.

Nikt jej nie odprowadzał. Nieliczni przyjaciele zgodnie przyjęli wyczekującą, ostrożną postawę. Zareagowali z podobną nerwowością, co pasażerowie autobusu czy pociągu, którzy nieoczekiwanie przekonują się, że mają w swoim gronie niegroźnego wariata: wszyscy jak jeden mąż odsuwają się, starannie umykając wzrokiem.

Irving zachował się wobec niej zdecydowanie wrogo. Postawa ta wynikała na pewno z jego skrajnie pragmatycznego sposobu myślenia połączonego z nieuchronną perspektywą utraty doświadczonego i — co najważniejsze — uczciwego pracownika księgowości.

Zaczął od próby nakłonienia jej do pogodzenia się ze śmiercią Garreta. Widząc, jak jego argumenty odbijają się od jej niewzruszonej wiary jak groch od ściany, przeszedł do problemów praktycznej natury. Wytoczył przy tej okazji cały komplet tych samych argumentów co Larry i, podobnie jak tamten, odmówił finansowego wsparcia dla tak zwariowanego przedsięwzięcia. Wreszcie, z odrobiną lekceważenia w głosie, przypomniał jej, kim jest: naiwną, szarą myszką, której najdalszą jak dotychczas wyprawą była podróż na Florydę. Jej życie reguluje codzienna rutyna: wstaje rano, maluje się, wychodzi, mija kilka przecznic i jest już w pracy, gdzie otaczają ją same znajome twarze. Jej przyjaciel może nie jest Rockiem Hudsonem, ale to całkiem porządny facet — pewnego dnia pewnie się z nią ożeni. Wieczorami będą oglądać telewizję, parę razy w miesiącu wybiorą się do restauracji albo na film, czasem obejrzą jakieś przedstawienie. Chyba Kirsty zdaje sobie sprawę, kim jest. Nie ma pojęcia, co ją tam czeka. Irving może jej powiedzieć, zjeździł przecież kawał świata. Na zewnątrz czają się rekiny — te pływające i te inne. Zwłaszcza te inne. Na jej widok pomyślała, że przyjeżdża do nich św. Mikołaj. Zwariowana babka szuka nieżyjącego syna! Oskubią ją ze wszystkiego! Patrzcie państwo, Afryka! Do diabła! Wciąż mieszkają tam tacy, co zamiast ubierać się jak ludzie, smarują się gliną i w życiu ani razu się nie wykąпали. Ma podróżować w pojedynkę: czy jest świadoma niebezpieczeństw? Powinna zostać w domu, w miejscu, które dobrze zna.

Wcale nie przekonana, odpowiedziała mu wprost, że chociaż Nowy Jork może nie jest porośnięty lasami, to na swój sposób przypomina nadal dżunglę.

Na takie dictum wzruszył tylko ramionami i skapitulował.

Potem przeszła przez piekło sprzedaży mieszkania i mebli oraz upokarzającego targowania się o cenę tych paru sztuk biżuterii, które miała. Po spłaceniu całości hipoteki, kupnie powrotnego biletu do Dar es-Salaam i zafundowaniu sobie walizki firmy Samsonite, pozostało jej dokładnie dwa tysiące sześćset trzy dolary, i trzydzieści pięć centów.

W końcu zaczął się szalony tydzień przygotowań. Czekala ją seria zastrzyków i szczepień przeciwko ospie, cholerze i żółtej febrze. Szczepionka przeciwko cholercie wywołała ostrą reakcję i kilkudniową gorączkę, mimo to Kirsty ani na moment nie zachwiała się w swoim postanowieniu.

Rozmawiała jeszcze dwukrotnie przez telefon z Howardem Godfreyem. Przekazał jej, że jacht „Jaloud” pożeglował do Mombasy, skąd ma jednak powrócić za dwa, trzy tygodnie, co powinno zbiec się w czasie z jej przyjazdem. Obiecał, że udzieli jej wszelkiej możliwej pomocy i jednocześnie delikatnie podkreślił, że uważa jej misję za bezowocną. Wysłuchiwała wszystkiego cierpliwie, po czym poprosiła go o zarezerwowanie dla siebie pokoju w tanim hotelu.

Faliste trawiaste tereny w dole przeszły tymczasem w wyschnięte brunatnożółte kępy karłowatych drzew i krzaków, gdzieniegdzie urozmaicone smugami zieleni, które znaczyły sezonowe koryto rzeki. Wydawało się jej, że ma pod sobą bezkresną, nie tkniętą ludzką stopą, pustą krainę; w chwilę potem jednak dostrzegła brunatną smużkę drogi i słońce odbijające się od blaszanych dachów, tworzących całe skupiska.

Przed wyjazdem z Nowego Jorku poszła do biblioteki, żeby zdobyć jak najwięcej wiadomości o Tanzanii. Dowiedziała się, że kraj jest szalenie biedny i został niedawno wyzwolony spod brytyjskich rządów kolonialnych. Kilka miesięcy wcześniej połączył się z wyspą Zanzibar w następstwie toczącej się tam rewolucji, podczas której afrykańska większość dokonała masakry tysięcy Arabów sprawujących od stuleci kontrolę nad bogactwami i handlem na terenie wyspy. Prezydent Tanzanii, dawny nauczyciel, jest postępowym reformatorem usiłującym wprowadzić zacofany, zaniedbany kraj w dwudziesty wiek. Tymczasem, mimo nominalnej federacji z kontynentem, Zanzibar pod rządami rady rewolucyjnej kroczy własnym, radykalnym kursem.

Pamięć chwil spędzonych w cichych wnętrzach biblioteki na lekturze książek o Tanzanii i widok odkrywanego teraz własnymi oczami krajobrazu umocnił w niej wrażenie nagłego kontrastu między życiem, jakie wiodła trzy tygodnie wcześniej, a nieznanym, które ją dopiero czekało. Naraz poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła: samolot opuścił nos i zaczynał schodzić w dół. Po kilku minutach ujrzała zielone pola uprawne, domy wiosek i, daleko po lewej stronie, żywy błękit morza. Kapitan poinformował pasażerów, że zbliżająca się smuga zieleń po lewej stronie to Zanzibar. W chwilę potem samolot wykonał zwrot, kładąc się na skrzydło i oczom Kirsty ukazały się płaskie dachy szeroko rozciągniętego miasta, jego głębokie zatoczki, statki przy nabrzeżach portowych i pojazdy na ulicach.

Przypomniała sobie, co kryje się pod arabskimi słowami Dar es-Salaam. Można je było przetłumaczyć jako „Oaza pokoju”.

\* \* \*

Z odprawy celnej wyszła zmieszana, wściekła i cała złana potem. Po raz pierwszy doświadczyła takiego żaru i wilgotności powietrza, nie mówiąc już o arogancji i głupocie urzędników. Mimo iż miała wizę, urzędnik imigracyjny uznał za stosowne urządzić jej szczegółowe przesłuchanie. Na jak długo przyjechała? Skąd niby ma wiedzieć. Jaki jest cel przyjazdu? Była na tyle mądra, by nie powiedzieć prawdy. Bawi na wakacjach, chce poznać kraj. Dokąd zamierza pojechać? Pytaniom nie było końca, aż wreszcie oświadczyła, że przyjechała odwiedzić amerykańskiego konsula.

— Pana Godfreya? — podchwycił urzędnik.

— Zgadza się.

Paszport Kirsty został natychmiast ostemplowany, a ona sama wysłana do odprawy celnej. Spędziła tam kolejne dwadzieścia minut patrząc, jak celnik rujnuje zawartość

jej starannie zapakowanej walizki, traci czas na oglądanie bielizny i zadaje dokładnie te same pytania, co jego kolega z urzędu imigracyjnego.

W końcu, kiedy i tym razem padła wzmianka o konsulu amerykańskim, wcisnął wszystko z powrotem, zamknął walizkę i żółtą kredą postawił z boku znaczek. Momentalnie jak spod ziemi wyskoczył jakiś Murzyn, który chwycił walizkę i zaczął przepychać się przez tłum w kierunku wyjścia. Pobiegła za nim, próbując odróżnić jego podskakującą czarną głowę w masie pozostałych.

Jasno oświetlona hala przylotów przypominała istny dom wariatów. Ktoś wołał ciągnąc ją za rękaw: — *Memsahib*, taksówka, ktoś inny wcisnął jej kartonik i krzyknął: — Hotel „Kibani”, *memsahib*, bardzo czysto.

W narastającej panice odpędzała się od natrętów, szukając gorączkowo mężczyzny z walizką. Naraz ktoś zawołał:

— Pani Haywood?

Kiedy się odwróciła, ujrzała stojącą przy niej uśmiechniętą, pulchną blondynkę.

— Poznajmy się. Jestem Harriet Godfrey, żona Howarda. Nie musi się pani martwić o walizkę, Jurna ją wziął.

— Jurna? — powtórzyła w osłupieniu.

— Tak, nasz kierowca. Samochód czeka na zewnątrz. Proszę ze mną.

Ujęła Kirsty pod ramię i poprowadziła ją przez ciżbę ludzi.

— Howard musiał pójść na przyjęcie do wysokiego komisarza Indii, dlatego to ja przyjechałam po panią. Właściwie to jestem pani wdzięczna, bo inaczej musiałabym teraz tam siedzieć i wysłuchiwać tych samych co zwykle przynudzanek.

Wyszły na oświetlone wieczornym słońcem powietrze. Przy krawężniku stał czarny Chevrolet, a szczerzący zęby Afrykańczyk — ten sam, który porwał jej walizkę — trzymał otwarte tylne drzwi samochodu. Kiedy znalazła się w środku, poczuła na sobie od razu powiew chłodnego powietrza. Cudowne uczucie.

W minutę później jechali szeroką ulicą, mijając dziesiątki rowerzystów, rozklekotane, pełne ludzi ciężarówki i nieliczne samochody osobowe.

— Witaj w Afryce, moja droga — zaczęła Harriet. — Jak tam, przeżyłaś na lotnisku ciężkie chwile?

Kirsty doszła już do siebie i skinęła głową.

— To normalne — skwitowała Harriet. — Popisują się swoją niepodległością. Ale nie daj się zniechęcić. Ogólnie biorąc, są przyjaźnie nastawieni, szczęśliwi i chętni do pomocy. Musisz być nieźle zmęczona, prawda?

— I owszem — przytaknęła Kirsty. — Do tego lekko zdezorientowana. Nigdy przedtem nie wyjeżdżałam ze Stanów, to dla mnie coś nowego.

— Jeszcze nie wiesz, do jakiego stopnia! — Harriet wybuchnęła śmiechem i wskazała mijane po drodze szeregi chałup o blaszanych dachach i drewniane stragany. — Nowy

Jork to na pewno nie jest — skomentowała parodiując brooklyński akcent. — Ale z czasem człowiekowi zaczyna się tu podobać. Zresztą są tu naprawdę urocze zakątki, może uda ci się je zobaczyć. A co do twojego hotelu...

Harriet Godfrey była mniej więcej w tym samym wieku, co Kirsty. Energiczna, pogodna kobieta, która lubiła się śmiać i odznaczała się niezachwianą pewnością siebie, typową dla kogoś, kto zjeździł kawał świata, niejedno widział i pozostaje pewny miejsca zajmowanego przez siebie w porządku świata. Pośpieszyła wyjaśnić, że w Dar es-Salaam hoteli mają jak na lekarstwo. Jest kilka dobrych i drogie, kilka drogie i kiepskich oraz parę tanich, lecz bardzo kiepskich. Przemawiając przyjaznym tonem, który wszakże wykluczał jakikolwiek sprzeciw, zaproponowała Kirsty gościć u siebie. Mają mnóstwo miejsca i jej obecność nie przysporzy najmniejszego kłopotu. Później, gdyby Kirsty chciała zatrzymać się na dłużej, pomoże jej znaleźć jakieś mieszkanie.

Z początku Kirsty próbowała oponować, patrząc jednak na obcy krajobraz, fizycznie i psychicznie wycieńczona, przystała z wdzięcznością na propozycję.

\* \* \*

Nie zmrużyła oka jeszcze przez następne cztery godziny. Postąpiła tak pod naciskiem Harriet, która wytłumaczyła jej skutki przemierzania różnych stref czasowych. Według jej słów, z powodu huśtawki czasu człowiek nie może często dojść do siebie przez wiele dni. Najlepszym wyjściem było nie kłaść się spać po przyjeździe, jak długo się dało. Wreszcie, kiedy człowiek padał już z nóg, walił się do łóżka i przesypiał wiele godzin. W ten sposób organizm miał szansę znacznie szybciej się przestawić.

Dom Godfreyów stał na przedmieściu noszącym nazwę Zatoka Ostryg, kilka kilometrów na północ od miasta. Teren ten zajmowali uprzednio przedstawiciele administracji brytyjskiej, a wcześniej Niemcy. Budynek był z kamienia, solidnie zbudowany, z biegnącymi wokół szerokimi werandami i otoczony ogrodem porośniętym bananowcami, palmami i tropikalnymi pnączami. Przez drzewa widać było panoramę oceanu ze skupiskiem małych zielonych wysepek w dali na horyzoncie. Wewnątrz panował zaskakujący chłód. Harriet wyjaśniła, że ściany mają sto dwadzieścia centymetrów grubości, a w środku przestrzeń izolacyjną. W tysiąc dziewięćset dziesiątym roku, gdy Niemcy wznosili budynek, nie znano jeszcze klimatyzacji, ale niemieccy budowniczowie wiedzieli, jak budować, żeby zapewnić komfort w tropiku. Brytyjczycy, którzy w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku przejęli władzę, stawiali domy w stylu angielskim, cechujące się cienkimi ścianami — toteż przez następne pięćdziesiąt lat smażyli się niemiłosiernie.

Po rozpakowaniu rzeczy i wzięciu prysznic Kirsty przyłączyła się do Harriet odpoczywającej na werandzie. Odziany na biało służący podał jej kieliszek martini. Popijając powoli, spytała gospodynię:

— Wiesz, po co przyjechałam?

Harriet skinęła głową. Jej wesoła twarz nagle spoważniała.

— Tak, oczywiście. Howard mi powiedział.

— I co, myślisz, że zwariowałam?

— Z początku może tak.

— A teraz?

Harriet odstawiła kieliszek na stolik z trzciny cukrowej. Wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń Kirsty.

— Na pewno nie — odparła zdecydowanie. — Domyślam się, że ze wszystkich stron spotykałaś się ze sceptycznym przyjęciem... Nasłuchiwałaś się gadek w rodzaju: „Musisz się z tym pogodzić” i tym podobne...

— Ale ty myślisz inaczej?

— Tak. Rozmawiałam o tej sprawie z Howardem. On, oczywiście, uważa, że gonisz za mrzonką, ale co mężczyzna może wiedzieć?

Kirsty przez moment wydawało się, że ma do czynienia ze zwykłą uprzejmością, kurtuazyjnym podtrzymywaniem na duchu; lecz kiedy spojrzała w oczy swojej rozmówczyni, wyczytała w nich szczerłość.

— Dlaczego mi wierzysz?

Harriet podniosła kieliszek i z zamyśloną miną pociągnęła spory łyk. Potem wzięła do ręki oszroniony dzbanek i napełniła oba kieliszki. Wreszcie zaczęła mówić cichym, przyjaznym tonem. Kirsty oparła się wygodnie. Dobiegające do niej słowa, przeplatane cykaniem świerszczy i innymi odgłosami owadziego świata, przynosiły jej pocieszenie i dawały nową siłę.

Harriet długo nad wszystkim myślała. Starła się wcielić w Kirsty i zrozumieć, co ona czuje. Wspomniała o znajdującym potwierdzenie w dowodach, zadziwiającym fenomenie kontaktu psychicznego pomiędzy jednojajowymi bliźniaczkami: chociaż jedna była oddalona od drugiej o tysiące kilometrów, to przecież czuła wyraźnie bóle porodowe swej rodzącej siostry. Mówiła o matce, która na widok swego dziecka uwięzionego pod ciężarówką potrafi wyzwolić w sobie nadludzką siłę i dźwignąć masę żelaza. O udowodnionym przez naukę fenomenie pozazmysłowego poznania, które u jednych jest rozwinięte znacznie silniej niż u innych.

O wrodzonej zdolności niektórych matek, potrafiących przeczuć chorobę dziecka na długo przed wystąpieniem pierwszych symptomów. Nie może powiedzieć, że Garret żyje albo że kiedykolwiek zostanie odnaleziony — rozumie jednak tkwiące w Kirsty przekonanie. Sama też ma syna. Dwunastoletni Lester bawi teraz u swego kolegi; Howard zabierze go wracając do domu. Wyznała Kirsty, że słysząc, z jaką niewiarą przyjęła wieść o śmierci syna, spróbowała sobie wyobrazić, jak ona sama by postąpiła w takiej sytuacji. Ma nadzieję, że znalazłaby w sobie dość odwagi i poświęcenia, by rzucić wszystko i wyruszyć na poszukiwanie syna.

Jej wyraźny podziw i wsparcie napełniły Kirsty pewnością, jakiej nie czuła od momentu podjęcia przełomowej decyzji trzy tygodnie wcześniej.

Ale pewność ta została bardzo szybko nadwątlona, gdy Howard i Lester powrócili do domu. Po wzajemnej prezentacji, kiedy zasiedli do kolacji, Howard przedstawił jej aktualną sytuację. Był niższy od żony, ciemnowłosy, o szczupłej, lecz zdradzającej siłę sylwetce. Łysiał na czubku głowy, a jego bystre, inteligentne oczy patrzyły zza grubych okularów. Mówił szybko, pozbawionym emocji głosem. Z jego słów wynikało, że „Jaloud” wypłynął rano na Seszele. Howard starał się wymusić na władzach portowych decyzję opóźnienia startu jachtu pod jakimkolwiek pretekstem, ale Lascelles miał najwyraźniej znajomości — pewnie przekupywał regularnie urzędników portowych. Lascelles spodziewał się — o czym Howard dowiedział się w klubie jachtowym — że jego łódź zostanie wycarterowana przez grupę ornitologów, którzy planowali rejs do ptasich kolonii na Seszelach. Praca tam miała potrwać cały miesiąc.

Kirsty od razu spytała, jak najszybciej może dotrzeć na Seszele. Słyszając to Howard skrzywił się. Wyjaśnił, że lotnisko jest na razie w planach, zatem jedyny sposób na dostanie się tam to podróż morską z Mombasy w Kenii. Indyjski statek o nazwie „State of Haryana” zawija raz w miesiącu na Seszele w drodze do Bombaju. Dziś rano sprawdził rozkład: statek ma wypłynąć za dziesięć dni, podróż trwa cztery dni.

Opadły jej skrzydła. Oczekiwała rychłej konfrontacji z Lascellesem, a teraz przyjdzie jej poczekać co najmniej trzy tygodnie. Nie potrafiła ukryć rozczarowania. Harriet odezwała się łagodnie:

— Od samego początku wiedziałas, że bez względu na wynik poszukiwania zajmą szmat czasu. Nie załamuj się.

— Nie załamuję się — zaprzeczyła Kirsty. — Denerwuje mnie tylko to, że rozminęłam się z nim zaledwie o parę godzin. Muszę zdążyć na ten statek; pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że kiedy zjawię się na Seszelach, Lascelles jeszcze tam będzie.

— W tej sprawie akurat mogę pomóc — odezwał się Howard. — Mam znajomego, który pracował kiedyś w Zanzibarze w amerykańskiej stacji odbioru satelitarnego. Po wybuchu rewolucji przystąpili do budowy nowej stacji na Seszelach. Właśnie teraz tam jest. Mogę się z nim skontaktować i poprosić, żeby informował mnie na bieżąco o ruchach jachtu Lascellesa po zawinięciu na Seszele. Przynajmniej nie będzie pani musiała ruszać się z Mombasy nie wiedząc, czy Lascelles tam jest, czy nie.

— Pozostaje tylko pytanie — wtrąciła Harriet — dokąd mógłby popłynąć, gdyby jednak opuścił Seszele?

Howard wzruszył ramionami i wyjaśnił, że przez ostatnie dziesięć lat stała trasa Lascellesa to wybrzeże Afryki Wschodniej, Madagaskar, Mauritius i Seszele, od czasu do czasu dochodzą do tego Indie i Sri Lanka. Trudni się drobnym szmuglem i przemytem broni, czasem dostaje zlecenia czarterowe, ale raczej na krótko, bo nagminnie pije. Cie-

szy się mimo wszystko opinią dobrego marynarza, nawet wtedy, gdy jest pijany. Problemem dla Kirsty będzie przemieszczanie się z miejsca na miejsce. Jeżeli Lascelles odpłynie, gdy Kirsty będzie jeszcze w drodze, to w jaki sposób zamierza go szukać? Statki rzadko kursują. Czy ma wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wynająć jacht, jeśli taki się trafi?

Kirsty wyznała mu szczerze, jaką sumą dysponuje, co znowu wywołało grymas na twarzy konsula. Szczęśliwie bilet na podróż statkiem „State of Haryana” nie jest drogi, ale tak skromne fundusze nie pozwolą jej na wynajęcie jachtu na tyle dużego, by można się nim wyprawić na ocean.

Kirsty tylko wzruszyła ramionami. Jeśli będzie trzeba, pokona i tę przeszkodę.

Howard zauważył wtedy, iż nie chciałby jej co prawda zniechęcać, ale powinna spojrzeć prawdzie w oczy. Jeśli Garret żyje, to znaczy, że został porwany przez Lascellesa i jego załogę. Gdzie mogli go ukryć — i po co? Lascelles zameldował o utonięciu Garreta dwanaście dni po wypłynięciu z Seszeli. W ciągu tych dwunastu dni pokonał co najmniej tysiąc mil dzielące go od Dar es-Salaam; normalnie jednak taką trasę, w zależności od pogody, robi w sześć do dziesięciu dni. Teoretycznie mógł więc przepłynąć tysiąc mil więcej: co oznacza, że w grę wchodzić może rozległy obszar — poczynając od Somalii na północy po Mozambik na południu oraz dziesiątki wysp, włącznie z Madagaskarem. Po odnalezieniu Lascellesa będzie musiała nakłonić go lub członków jego załogi do mówienia, czyli przyznania się do winy. Jak zamierza tego dokonać?

Kolejny raz wzruszyła ramionami: najpierw musi go odnaleźć.

Howard próbował znowu się odezwać, ale Harriet przerwała mu.

— Dosyć na dzisiaj, Howardzie. Kirsty jest wyczerpana. Wrócimy do rozmowy jutro — do odpłynięcia statku ma jeszcze dziesięć dni.

Howard zgodził się i cicho dodał:

— Podziwiam pani determinację, Kirsty. Ale uważam, że słusznie robię mówiąc pani to, co myślę. Moim zdaniem to szukanie wiatru w polu. Jestem zdania, że pani syn nie żyje. Wszystko, powtarzam, wszystko na to wskazuje. Poza tym rozmawiałem z Lascellesem — to twardy, bezwzględny typ. Musi pani wiedzieć, na co się porywa. Pomogę pani, ile tylko będę mógł — służbowo i nie tylko. Ale kiedy pani stąd wyjedzie, żeby dotrzeć na statek, będzie pani musiała liczyć wyłącznie na siebie. A, proszę mi wierzyć, w tej części świata trafiają się naprawdę nieciekawe typy.

Kirsty zamykała już prawie oczy ze zmęczenia. W tym momencie nagle otworzyła je szeroko i pochylając się do przodu rzekła:

— Na podwórko koło mojego domu przybłąkała się kiedyś kotka. Miałam zwyczaj rzucać jej jedzenie. Urodziła małe kociaki i pewnego razu zobaczyłam, jak jakiś pies — duże, złośliwe bydlę — próbuje się dostać do maleństw. Kotka pazurami niemal rozerwała go na strzępy... Nie mam co prawda pazurów, ale nie boję się tych, któ-



rzy skrzywdzili mojego syna. — Zwracając się do Harriet dodała: — Nie umiem wprost wyrazić, jak bardzo jestem wam wdzięczna za gościnę i wsparcie. — Spojrzała na Lestera, który siedział po drugiej stronie stołu. Podobnie jak ojciec, niewysokiego wzrostu, miał okrągłą twarz i poważny wyraz oczu. — Możliwe, że oszalałam, może mój syn nie żyje... A może Boga w ogóle nie ma, a Lascelles to diabeł wcielony? Tak czy inaczej muszę z nim porozmawiać.

Zmrużyła oczy, ale nie był to objaw zmęczenia. Lester uśmiechnął się i powiedział:

— W suahili nazywaliby panią *memsahib Kali*.

Howard roześmiał się i wyjaśnił:

— Co znaczy „zawzięta”. To słowo używane jest w odniesieniu do niektórych dzikich kotów, na przykład lampartów. Teraz proszę iść już spać. Z samego rana zarezerwujemy pani bilet na Seszele.

## 6

Lani Sutowo stawiała właśnie puszki z groszkiem na górną półkę, kiedy usłyszała dyskretne kasznięcie. Gdy się odwróciła, ujrzała stojącego w progu mężczyznę ubranego w spodenki koloru khaki, niebieską koszulkę i sandały. Był wysoki, miał krótkie, czarne włosy siwiejące na skroniach. Podeszła do lady.

— Słucham pana?

Przybliżył się i wyciągnął rękę.

— Nazywam się Ramesh Patel, jestem z Bombaju.

Lani była nieco zmieszana — nie przywykła do takich grzeczności. Wymamrotała:

— Lani Sutowo, z Sumatry.

Podali sobie ręce, po czym stali patrząc na siebie w niezręcznym milczeniu. Przybysz trzymał w ręku złożoną kartkę.

— Chce pan coś kupić?

— Chciałbym zrobić trochę zapasów. — Uśmiechnął się i rozwinął kartkę. — Powiedziano mi, że u pani jest największy wybór, i że ceny są niewysokie. — Podał jej kartkę. Wzięła ją i przeczytała listę.

— Tak, mamy to czego pan potrzebuje. Trochę potrwa, zanim wszystko przygotuję.

— Nie śpieszy mi się.

Zaczęła krążyć po sklepie, zbierając konserwy z mięsem i warzywami. Odezwała się przez ramię:

— Widzę tu pana pierwszy raz.

— Tak, jestem przejazdem.

— Aha... Nie zauważyłam, żeby zawinął jakiś statek.

— Przy płynął własnym jachtem.

Odwróciła się zaskoczona. Nie przypominał innych właścicieli jachtów, którzy z rzadka zawijali do Male.

— Dokąd pan płynie? — spytała stawiając puszki na ladzie.

— Seszele, potem Afryka Wschodnia, następnie Morze Śródziemne i dalej w nieznanym... — Powiedział to bez zbytej pewności w głosie.

— To pewnie spory jacht.

— Skądże, bardzo mały — jakieś dwanaście metrów.

Odwracając się ku półkom rzuciła:

— Ma pan dużą załogę?

— Nie, jestem sam.

Spojrzała na niego nie kryjąc zdziwienia.

— Sam? W taką drogę?

Uśmiechnął się wzruszając ramionami i podszedł, żeby pomóc jej zdjąć paczki spaghetti z górnej półki.

Po kwadransie wszystko było już gotowe. Czas ten upłynął im na pogawędce: z każdą mijającą chwilą rozmawiało im się coraz lepiej. Dowiedziała się, że jest to jego pierwszy rejs. Z początku przebywanie na otwartym morzu napełniało go przerażeniem i na pewno by zawrócił, gdyby nie silny wiatr, który pchał go ciągle do przodu. Usłyszała, w jaką wpadł panikę, gdy puścił forsztak i kiedy w godzinę po jego naprawieniu, przy próbie ściągnięcia żagla, zaciął się refpatent. Opowiedział jej o nie przespanych nocach, które skończyły się, gdy nauczył się używać prawidłowo samosteru; o ciągłej obawie, że jego nawigacją może być błędna i że wpadnie na cieszące się złą sławą rafy na zachód od Nikobarów. Na koniec opisał błogi moment uspokojenia, kiedy nastąpiła poprawa pogody i morze uciszyło się, ofiarowując mu cztery dni spokojnego żeglowania, i wreszcie ulgę, gdy wypatrzył atol Male i wiedział już, że nie popełnił błędu w nawigacji.

Kiedy duże pudło pełne zapasów stało gotowe na ladzie, Lani spytała:

— Kiedy wyruszasz?

— Jutro o pierwszym brzasku — odparł z nieśmiałym uśmiechem. — Prognoza pogody jest pomyslna: wiatr z północnego wschodu o sile trzech stopni w skali Beauforta. Poza tym boję się, że jeśli zaraz nie odpłynę, to zaczną zżerać mnie nerwy...

Uśmiechnęła się pod wrażeniem jego szczerości. Wzięła liczydło i przesuwając szybko palce podliczyła rachunek. Zapłacił i podał jej rękę na pożegnanie, podniósł ciężkie pudło i na uginających się nogach ruszył do drzwi.

— Powodzenia! — krzyknęła za nim. Odwrócił się i posłał jej nieśmiały uśmiech.

Wieczorem, po zamknięciu sklepu, wybrała się do portu. Przy pomoście urzędu celnego cumowały dwa szkunery wyspiarskie, a za nimi jacht o białym kadłubie i płaskiej pawęży, na którym widniały niebieskie litery składające się na nazwę „Manasa”. Na pokładzie nie było nikogo. Przysiadła na pachołku i zaczęła przyglądać się jachtowi. O łodziach miała niewielkie pojęcie, ale mimo młodego wieku odznaczała się praktycznym zmysłem i bystrym okiem. Szybko spostrzegła, że pod warstwą nowej farby i świeżego werniksu kryje się stare drewno. Łódź wyglądała na bardzo starą — stojąc w spokojnych wodach portu wyglądała jak leciwa matrona. Na dźwięk kroków Lani odwróciła się i zobaczyła Ramesha, który szedł nabrzeżem dźwigając dwa duże kanistry. Uśmiechnął się na jej widok. Poderwała się i pomogła mu wtaszczyć kanistry na pokład.

— Zapasowe paliwo — wyjaśnił, przymocowując je do wsporników. — Jesteś już po pracy?

Przytaknęła.

— Przyszłam zobaczyć twoją łódź. Wygląda na bardzo starą.

— Ma więcej lat niż ja. — Wyprostował się. — Miałabyś ochotę ją obejrzyć?

— O tak, chętnie.

Oprowadzał ją po jachcie z nie ukrywaną dumą. Jej uwadze nie uszła panująca wszędzie niezwykła schludność. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu; jedynym wyjątkiem wydawała się gruba księga o postrzępionych, czarnych okładkach leżąca na stole w saloniku. Lani spytała o kilka spraw. Na koniec tej krótkiej wycieczki usiedli w saloniku i Ramesh otworzył dwa piwa. Lani rzuciła okiem na tytuł grubej księgi i przeczytała: „Podręcznik żeglarza”.

— Ile czasu zajmie ci rejs na Seszele? — spytała.

Postawił na stoliku dwie szklanice z zimnym piwem i odparł:

— Jeżeli utrzyma się stały wiatr monsunowy, to jakieś dwa tygodnie.

\* \* \*

Dwadzieścia dni później, o dziewiątej rano, Jack Nelson siedząc na werandzie swego bungalowu, położonego wysoko na szczycie Mahé, dostrzegł, po raz trzeci już w ciągu ostatnich trzech dni, biały żagiel. O tej porze dnia zjadał zawsze śniadanie na werandzie, słuchając na swym Grundigu wiadomości BBC ze świata. Potem nieodmiennie przepatrywał rozległą panoramę morza przez lornetkę, odziedziczoną po latach służby w Marynarce Królewskiej. Obserwował uważnie przez dwie minuty maleńki skrawek bieli, po czym przełknął ostatni kawałek grzanki i z chrząknięciem dźwignął się na nogi. Odznaczał się znaczną tuszą, miał krótkie siwe włosy i obwisłe policzki. Był bez koszuli i sflaczała skóra wokół pasa świadczyła o tym, że kiedyś był jeszcze grubszy. Przeszedł ciężkim krokiem do salonu pocąc się lekko — nawet tu, na wysokości trzystu sześćdziesięciu pięciu metrów, w nagrzanym powietrzu nie wyczuwało się najlżejszego podmuchu wiatru.

Podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do swego przyjaciela Dave’a Thomasa, sekretarza klubu jachtowego na Seszelach.

— Cześć, stary sukinkocie. Jak tam dziś głowa? Jeszcze ci służy? To dobrze... Słuchaj, ten jacht wciąż tu jest. Przesunął się jakieś dwa rumby na wschód... Tak, prąd zniósł go o parę mil. Nie, wiatru jak na lekarstwo, nawet tu, na górze. Słuchaj, „Lady Esme” płynie dziś na wyspę Praslin — może powinni zboczyć nieco z kursu i przyjrzeć mu się z bliska. Ta bezwietrzna cisza może trwać jeszcze wiele dni... Jak to, co masz powiedzieć? Powiesz im, stary fiucie, że jesteś sekretarzem i tak dalej... Tak, jakieś dwanaście mil od brzegu... Dobra, zobaczymy się na lunchu i strzelimy sobie po setce. Trzymaj się.

Odłożył słuchawkę i ruszył do kuchni. W połowie drogi nagle przystanął; jego śniadą, nalaną twarz wykrzywił ból. Stał bez ruchu ponad minutę, aż wreszcie ból minął. Odetchnął z ulgą.

\* \* \*

Dochodziła szósta wieczorem. Rządowy barkas „Lady Esme” holował jacht, wprowadzając go do portu w Victorii. Jack Nelson i Dave Thomas przeszli z klubu jachtowego do nabrzeża celnego i przyglądali się, jak jacht prowadzony jest na cumach. Dave był łysejącym mężczyzną o krępej sylwetce. Obnosił się dumnie ze swoim niesłychanie długim, podkreślanym wąsem. Na widok smukłej dziewczyny o orientalnych rysach, która stała na pokładzie u boku patrzącego ze zmieszaną miną mężczyzny w średnim wieku, Dave gwizdnał przez zęby i powiedział do Jacka:

— Ciekawe, skąd wytrzasnął taką zgrabną cizię?

Jack uśmiechnął się szeroko.

— Stara łódź i młoda kobieca załoga. Czegóż więcej potrzeba żeglarzowi do szczęścia?

— Jak na moje oko, to sprawnego silnika — odparł Dave.

Wkrótce dane im było poznać całą historię. Ale zanim do tego doszło, dziewczyna została zabrana do urzędu imigracyjnego, a urzędnik celny wszedł na pokład jachtu w celu przeprowadzenia inspekcji. W tym czasie nadciągnął Philip Mondon, kapitan portu, i opowiedział im o jachcie. Był zarejestrowany w Bombaju i odbywał rejs dookoła świata z emerytowanym *babu*, pół Hindusem, pół Anglikiem, który miał takie pojęcie o morzu, jak krowa o kwiatkach. Dziewczyna wsiadła na gapę na Malediwach — tak przynajmniej mówił *babu*, a dziewczyna to potwierdzała. W każdym razie nie miała paszportu — jedynym posiadanym dokumentem był indonezyjski dowód. Zostanie zatrzymana do czasu podjęcia decyzji o ewentualnej deportacji. Silnik łodzi miał około czterdziestu lat i zepsuł się jakieś pięćdziesiąt mil od brzegu. Dryfowali przez pięć dni, napoczęli już ostatni galon wody.

— Cholerny głupiec! — mruknął Jack. — Ale czego się spodziewać? Ci hinduscy mieszkańcy do niczego się nie nadają.

— Daj sobie spokój, Jack — hamował go zakłopotany Dave: wszyscy mieszkańcy Seszeli, w tej liczbie Philip Mondon, byli w taki czy inny sposób rasowo przemieszani. — Nie jesteś teraz w Afryce.

— Wiesz, co mam na myśli — ciągnął Jack bez śladu skruchy. A zwracając się do Philipa Mondona dodał: — Ty jesteś w porządku, Phil. Chodź, strzelimy sobie drinka w klubie.

Mondon pokręcił przecząco głową i puścił porozumiewawczo oko.

— Nie da rady, Jack. Za godzinę mam randkę — powiem ci tylko, że jest ładniejsza niż wy dwaj razem wzięci.

Odwrócili się i poszli w kierunku klubu jachtowego. Mondon patrzył za nimi, kręcąc z rezygnacją głową, ale bez śladu wrogości. Kiedy dawne posiadłości kolonialne w Afryce Wschodniej odzyskały niepodległość, cała rzesza byłych urzędników rządowych przeniosła się na Seszele. Nie byli z gruntu źli, jednakże u wielu wciąż pokutowały kolonialne uprzedzenia.

„State of Haryana” nie był okazem piękności — ani czystości, zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Kursował regularnie pomiędzy Bombajem i Mombasą przez Seszele, przewożąc ładunki i pasażerów. Pasażerowie pierwszej klasy cieszyli się względną wygodą w zaciszu kabin, z których każda miała iluminator wychodzący na morze. Podróżujący drugą klasą spali we wspólnych pomieszczeniach, w których dzień i noc unosił się smród. Pasażerowie pokładowi sypiali na pokładzie rufowym — deski były twarde, ale przynajmniej nie śmierdziało.

Kirsty stanęła w progu maleńkiej kajuty i rozejrzała się z niepokojem. Pod iluminatorem stał mały stolik i krzesło, po lewej stronie mieścił się kredens, po prawej zaś umieszczone były, jedna nad drugą, dwie wąskie koje. Po blacie stołu spacerował karaluch. Pokazała go hinduskiemu stewardowi, który burknął coś pod nosem, postawił walizkę i rozgniół owada ręką. Jeszcze dwa tygodnie temu taki obrazek wzbudziłby w niej wstręt — ale czas spędzony w Afryce uczył szybkiej adaptacji.

Wysłuchiwała jego szczegółowych instrukcji, po czym wręczyła mu dziesięć szylingów napiwku mówiąc, że idzie teraz na godzinę ha pokład, a po powrocie chce zobaczyć kabinę lśniąca czystością — iżyczyłaby sobie, żeby tak było przez całą podróż. Steward pokiwiał energicznie głową i pokazał zęby w uśmiechu. Kirsty przeszła korytarzem i wyszła na nieco chłodniejszy pokład. Było już dobrze po południu. Statek miał dwa dni opóźnienia, co najwidoczniej nie należało do rzadkości. Stanęła przy relingu i patrzyła na trap, po którym ostatni pasażerowie wchodzili na pokład statku. Byli to w większości biednie ubrani Hindusi, dźwigali najczęściej płócienne walizki i toboły zawinięte w krzykliwe kolorowe materiały. Przepychali się i kłócili o miejsce na pokładzie rufowym, pospiesznie wytyczając bagażami zajmowany teren. Tu i ówdzie można było rozpoznać całe wielopokoleniowe rodziny, od babek po niemowlęta. Rozlokowawszy się, przystępowali od razu do otwierania koszy i rozdziału jedzenia. Nie sprawiali wrażenia niezadowolonych. Zadziwiał ją ich stoicki spokój w obliczu perspektywy przepłynięcia trzech tysięcy mil w takich warunkach.

Jej uwagę zwrócił znowu ruch na trapie. Wchodził po nim bardzo wysoki, młody, jasnowłosy mężczyzna, uginający się nieco pod ciężarem niesionej na ramieniu marynarskiej płóciennej torby. Miał na sobie wyblakłe dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami, a na nogach wypolerowane do połysku kowbojskie buty, dziwnie do niego pasujące. Widziała go już wcześniej w budynku urzędu celnego. Wymienili wtedy spojrzenia: miał jasnoniebieskie oczy, żywo kontrastujące z blond włosami, i opaloną twarz, która — choć na pierwszy rzut oka zwiastowała siłę — zdradzała jednocześnie dziwną bezbronność.

Dochodząc do końca trapu podniósł głowę i ich oczy spotkały się znowu. Patrzył na nią, nie odrywając wzroku. Następnie uklonił się i przeszedł dalej, znikając jej z pola widzenia. Odeszła od relingu i zaczęła przechadzać się po pokładzie, przeznaczonym wyłącznie dla pasażerów pierwszej klasy; wokół pokładu znajdowały się kabiny, salon i jadalnia. Jak na razie spacerowiczów było niewielu. Wśród nich spotkała hinduską parę w średnim wieku: mężczyzna miał na sobie tradycyjny, elegancki garnitur, jego małżonka zaś była odziana w pomarańczowe sari odsłaniające brzuch. Zaraz potem Kirsty minęła starszego Europejczyka w stroju safari, który pozdrowił ją uprzejmym ukłonem. Miała wrażenie, że w ciągu nadchodzących dni niejedną godzinę przyjdzie jej spędzić na spacerach po pokładzie. Była to jej pierwsza podróż statkiem i wyczekiwała jej z mieszaniną ciekawości i obawy. Nie mogła wiedzieć, bo i skądże, czy nie dopadnie jej choroba morska i czy zdoła wytrzymać cztery dni karmienia — jak ją ostrzegano — podawaną w kółko na śniadanie, lunch i kolację marną curry.

Ale minione dwa tygodnie znacznie ją odmieniły. W pewnym sensie była nadal nieodświadczoną, naiwną i bojaźliwą kobietą, wracającą nieustannie pamięcią do dawnego życia, które niosło ze sobą poczucie psychicznego bezpieczeństwa. Znajome miejsca, te same twarze, zrozumiałe zwyczaje i zachowanie. Z drugiej wszakże strony, z wnętrza swej skorupy spoglądała na nowy dla niej świat bez zbytniego lęku. Widziała biedę i brud, podróżowała czując piasek w gardle i kąpała się w wodzie, w której pływały zdechłe owady. Z wolna poczęła zdawać sobie sprawę, iż pomimo kierującego nią wcześniej, dającego się bez trudu przewidzieć rytmu ustabilizowanej codzienności, ma umiejętność dopasowywania się i łatwej adaptacji. Sprawiała to Afryka. Afryka i jej nowi przyjaciele, Godfreyowie.

Dziesięć spędzonych u nich dni było doskonałym wprowadzeniem do Afryki Wschodniej. Oboje byli entuzjastami i znawcami Tanzanii. W weekend wybrali się wszyscy do oddalonego o sto sześćdziesiąt kilometrów, położonego w głębi kraju nowego rezerwatu przyrody Mikumi. Spali w namiotach i przemierzali Landroverem dziesiątki kilometrów dziennie. Widziała na własne oczy lwy i słonie, antylopy i hieny.

Drugiej nocy wyprawy spadł ulewny deszcz i lwy przyszły do obozu szukając osłony pod pobliskimi drzewami o parasolowatych koronach. Angielski strażnik przyro-



dy odgonił je za pomocą petard. Nazajutrz Landrover utknął w głębokim błocie i musieli wracać pieszo do obozu maszerując przez osiem kilometrów obok stad bawołów i żyraf. Natknęli się również na samotnego nosorożca, który lypał na nich podejrzliwie okiem. Strażnik, który jako jedyny miał przy sobie broń, po dotarciu do obozu przyznał, że nosorożec nie wzbudzał jego zaufania. Jakby nie było, jest to jedno z niewielu zwierząt afrykańskich, które potrafi zaatakować nie sprowokowane.

Leżąc samotnie w ciemności na parcianym łóżku, nasłuchiwała nocnych odgłosów Afryki. Słyszała nie kończące się bzykanie i brzęczenie owadów, ostre krzyki nocnych ptaków, przerywane, chrapliwe porykiwania lwa dochodzące z oddali i zimny, cyniczny chichot hieny. Nieco się bała, zwłaszcza wtedy, gdy lwy weszły do obozu, ale zarówno strażnik i Godfreyowie, jak i afrykańscy służący zachowywali się cały czas z takim spokojem, że wkrótce i jej strach minął. Najprzyjemniejsze były poranki. O świcie gorąca kawa, potem godzinka w Landroverze i patrzenie, jak słońce oświetla drzewa i fałiste krzaki. I podziwianie wielkich stad zwierząt. Widziała skaczące z wdziękiem antylopy, nieco komiczne zebry, galopujące żyrafy o długich, jakby oddalonych od reszty ciała szyjach, samotną antylopę kudu, piękną i nerwową, o majestatycznych, rozłożystych rogach. Widok kudu podekscytował strażnika, jako że zwierzęta te spotyka się nader rzadko tak daleko na południu. Próbował zbliżyć się do antylopy, podczas gdy Howard robił zdjęcia, ale kudu podniosła nozdrza i, powąchawszy wiatr, odbiegła w podskokach w zarośla.

Wieczory były równie czarujące. Najpierw gorąca kąpiel w brezentowej wannie — ciepło przynoszące ulgę obolałym nogom, nie nawykłym do ciężkiego, lecz jakże przyjemnego wysiłku. Potem zimne drinki w specjalnym namiocie pod syczącymi latarniami, na kolację perliczka, kaczka albo płaty pikantnego mięsa gazeli. I rozmowy, okraszone anegdotami, o Afryce Wschodniej, o jej faunie i zamieszkujących ją ludach.

Nowy Jork, Larry i Irving Goldman — wszystko to odchodziło powoli w niepamięć. Ale myśl o Garrecie towarzyszyła jej stale; nad zafascynowaniem i ciekawością górowało niecierpliwe pragnienie jak najszybszego podjęcia dalszych poszukiwań.

W Dar es-Salaam spędziła jeszcze cztery dni. Poznała niektórych znajomych Godfreyów i pływała do woli w Zatoce Ostryg.

Na jednym z przyjęć uśmiechnęło się do niej szczęście. Poznała indyjskiego biznesmena, który miał biura w całej Afryce Wschodniej i wkrótce wybierał się swoją własną awionetką do Mombasy. Z przyjemnością zaproponował jej miejsce w samolocie. To oszczędzało jej męczącej, podwójnej drogi z powrotem do Nairobi, a stamtąd pociągami do wybrzeża.

Opuszczała Godfreyów przepelniona żalem i ogromną wdzięcznością. Ściskając całą trójkę na lotnisku walczyła ze łzami, które w końcu znalazły ujście, kiedy dwusilnikowa *Cessna* wystartowała do lotu.

Siedziała za pilotem, obok nowego hinduskiego znajomego. Gdy już ochłonęła, zainteresowała się przesuającym się w dole krajobrazem. Przelatywali dokładnie nad wyspami Zanzibar i Pemba. W oprawie niebieskich wód i piaszczystych plaży, z domami o dachach z liści palmowych i schludnie utrzymanymi plantacjami, stwarzały wrażenie prawdziwej idylli. Jej towarzysz jednak, prawiąc ze swadą, opowiedział jej o aktach dzikiego okrucieństwa i śmierci, która zbierała tu swe żniwo zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Mówił o obecnych przywódcach, którzy nadal prześladowali Arabów i zmuszali do zamążpójścia dwunastoletnie Azjatki. Miał to być odwet za tysiąc lat niewolnictwa, zemsta, która przeobraziła rewolucjonistów w zwierzęta.

Pod koniec półtoragodzinnej podróży zmienił temat i zaczął jej opowiadać o statku „State of Haryana”. Płynął na jego pokładzie kilkakrotnie do rodziny zamieszkałej w Bombaju. Z nutą ubolewania w głosie przyznał, że statek nie należy do najprzyjemniejszych, a jedzenie tam podawane jest kiepskie i monotonne. Udzielił jej także kilku praktycznych rad. Przede wszystkim powinna zaopatrzyć się w spory zapas butelkowanej wody pitnej oraz ile tylko się da sucharów, owoców i innych produktów, którymi będzie mogła dożywiać się w zaciszu swej kabiny. Musi wziąć środek owadobójczy i rozpyłać go obficie w kabinie, jak również nie zapomnieć o papierze toaletowym, bo ten zwykle szybko się kończy albo znika bez śladu.

Kirsty powinna się była lekko zdenerwować taką perspektywą. Skoro jednak — pomyślała — jakoś przełamała strach, kiedy od lwa oddzielał ją jedynie cienki brezent, to dlaczego miała przejmować się paroma karaluchami.

Po przybyciu do Mombasy dowiedziała się, że statek jest opóźniony. Hindus załatwił jej usytuowany obok plaży dobry hotel za nader niską cenę. Zaprosił ją także do siebie na kolację, ale grzecznie odmówiła. Odczuwała potrzebę samotności. Pływała, zwiedzała, chodziła na zakupy, ale czas płynął jej bardzo wolno. Stąd też z ulgą przyjęła telefoniczną informację od przedstawiciela biura podróży, że statek odpływa o szóstej wieczorem, ona sama zaś może zaokrętować się poczawszy od trzeciej. Kilka minut później zadzwonił Howard z Dar es-Salaam z wiadomością od swego przyjaciela na Seszelach: według danych zgodzin porannych jacht „Jaloud” i Danny Lascelles przebywali nadal w basenie tamtejszego jachtklubu.

\* \* \*

Okrążając teraz pokład „State of Haryana” Kirsty doszła do wniosku, że statek nie jest taki zły, jak się tego obawiała. Nie sposób było, oczywiście, zarzucić mu nadmiaru czystości, był wszakże znacznie większy, niż się spodziewała, miał przestronne pokłady — no i mogła schronić się w zaciszu własnej kabiny.

Syrena statku dwukrotnie zawyła. Kirsty zbliżyła się do relingu, żeby przypatrywać się wciąganiu trapu. Pokład statku zadygotał jej pod nogami. Pasażerowie pomachali na

pożegnanie przyjaciółom pozostałym na nabrzeżu. Odrzucono cumy. Kiedy się odwróciła, ujrzała kierującą statek ku morzu małą, czarną łódź holowniczą, która zostawiała za sobą kłęb piany.

Powoli, wyrzuciwszy skłębioną masę czarnego dymu, „State of Haryana” odbił od nabrzeża. Kirsty przeszła na rufę, skąd mogła dalej obserwować teren portu. Olbrzymie dźwigi załadunkowe wyglądały jak modliszki, które widziała niedawno w Mikumi. Z lewej strony mijała ich arabska *dau* z wielkim żaglem łacińskim, przy którym kadłub łodzi wydawał się znacznie mniejszy. Grupka ubranych na biało Arabów siedziała w kręgu na rufówce.

Gdy statek minął główki falochronu, Kirsty poczuła, jak pokład unosi się nieco pod naporem pierwszej fali z Oceanu Indyjskiego. Ruszyła do kabiny z mocnym postanowieniem, że pierwsze, co wypakuje, to tabletki przeciwko chorobie morskiej.

Zabierała się właśnie do otwierania drzwi, kiedy otworzyły się drzwi sąsiedniej kajuty i wyszedł z nich olbrzym o blond włosach. Na jej widok przystanął, jakby go zamurowało. Z bliska wyglądał na młodszego, niż jej się początkowo zdawało. Opanował się po chwili, wymamrotał „Dobry wieczór”, po czym pomaszerował w kierunku baru. Była pewna, że nie spotkała w życiu równie męskiego i przystojnego faceta. Zamykając za sobą drzwi kabiny nie mogła opędzić się od myśli, że blondyn nie jest pewnie o wiele starszy od jej syna.

Przy kolacji czuła rosnące zdenerwowanie. Anonsowana przez stewarda musiała przejść przez rytuał poprowadzenia do stolika, przy którym zasiadała już piątka nieznamomych. Wśród nich znajdowało się hinduskie małżeństwo w średnim wieku, które widziała wcześniej na pokładzie, oraz drugie, młodsze małżeństwo, o śniadych cechach, choć należące do białej rasy. Mężczyzna był niski i krępy, kobieta szczupła, atrakcyjna, o długich, czarnych włosach. Piątym z siedzących przy stole Kirsty był Hindus około czterdziestki, ubrany w biały mundur. Wstał teraz, podsunął Kirsty krzesło i odezwał się:

— Witamy, pani Haywood. Pozwoli pani, że się przedstawię: Pandit Desai, pierwszy oficer.

Kiedy zajęła miejsce, usiadł obok niej i przedstawił pozostałych pasażerów.

— Państwo Muran, płyną do Bombaju, a to państwo Savy, udający się na Seszele.

Pierwsze minuty były dla niej nieco przykre. Łudziła się wcześniej, że będzie siedzieć sama, jednakże rzut oka po sali przekonał ją, że wszyscy pasażerowie w liczbie ponad sześćdziesięciu zostali usadowieni przy stolikach w grupach po cztery, sześć i osiem osób. Tu i ówdzie widać było umundurowanych oficerów. Wysoki blondyn siedział po drugiej stronie sali w towarzystwie Europejczyka w stroju safari oraz dwóch młodych Hindusów. Większość pasażerów stanowili Hindusi, gdzieniegdzie tylko widniały twarze Europejczyków i mieszkańców Afryki.

Rozmowa z wolna się potoczyła. Pan Muran okazał się księgowym z Nairobi. Wraz z żoną jechał do Indii na ślub ich najstarszego syna. Oboje byli mili, choć małowówni. Z kolei pan i pani Savy byli obywatelami Seszeli francuskiego pochodzenia, którzy wracali z Kenii, gdzie bawili na wakacjach. Kirsty dowiedziała się, że są właścicielami Bird Island, „ptasiej wyspy” położonej sześćdziesiąt mil na północ od Mahé, na której też mieszkają. Mierząca zaledwie pięć kilometrów kwadratowych wyspa była siedliskiem ogromnej kolonii ptaków — czarno-białych rybołówek. Poza państwem Savy na wysepce żyło z pół tuzina robotników, którzy pracowali na plantacji zbierając kokosy z przeznaczeniem na koprę. Państwo Savy zamierzali otworzyć niewielki hotelik dla miłośników ptaków i wędkowania. Wody opływające „ptasią wyspę” obfitowały w tuńczyka, wahoo, marlina, żaglicę i wiele innych gatunków ryb. Oboje przypadli Kirsty do gustu. Małżonek przedstawił się jako Guy, jego połowica zaś nosiła imiona Marie-France.

Podano kolację, na którą składały się różnorodne, choć wszystkie przyprawione curry, potrawy. Kirsty dziubnęła zaledwie kilka kęsów: morze było co prawda spokojne, lepiej jednak pamiętać o chorobie morskiej.

W trakcie posiłku Desai poświęcał jej całkowicie swoją uwagę. Był wysoki i dobrze zbudowany, co podkreślał mocno dopasowany mundur. Chłubił się swoim czarnym wąsem i muskał go bez przerwy kciukiem. Kiedy zapytał ją o cel podróży, odpowiedziała mu po chwili wahania, że jedzie na wakacje.

Po kolacji wszyscy przeszli do salonu. Desai nie odstępował Kirsty nawet na moment. W rogu salonu mieścił się bar, całości dopełniały kawiarniane stoliki otoczone krzesłami. Muranowie postanowili pójść do swojej kabiny, zostało ich więc czworo. Usiedli akurat przy stoliku, kiedy zbliżył się do nich Europejczyk w stroju safari, za którym postępował wysoki blondyn. Przybysz powitał serdecznie państwa Savy:

— Cóż za radość! Nie wiedziałem, że też płyniecie. Guy, pozwól sobie przedstawić pana Alistaira Cady'ego. Wybiera się właśnie na Seszele, na sportowe połowy. Ma nadzieję, że trafi mu się żaglica... Powiedziałem mu, że jesteś właściwą osobą, do której powinien się z tym zwrócić.

Europejczyk w stroju safari był Anglikiem i nazywał się John Stevens. Na jego znak zjawił się barman — masywnie zbudowany Hindus ubrany w spodenki koloru khaki i brudną koszulkę. Kiedy przyjął ich zamówienia i odszedł ociężałym krokiem, Stevens mruknął do Desai:

— Szkoda, że nie możecie nic z tym zrobić.

Desai wzruszył ramionami i zwrócił się z wyjaśnieniem do Kirsty:

— Na czas rejsu oddajemy bar w najem. Lepiej na tym wychodzimy, bo nasz własny personel oszukuje jak diabli i przez pół rejsu chodzi pijany.

Rozmowa zesłała na temat wędkarstwa. Stevens, który miał plantację herbaty na Mahé, był jednocześnie, podobnie jak Guy Savy, zapalonym wędkarzem, całkiem nie-

źle wykształconym w tej dziedzinie. Z rozmowy wynikało, że Cady, który dopiero co spróbował swych sił u wybrzeża Kenii, zdążył połknąć bakcyła. Wystarczyło, by usłyszał o niezwykłych połowach na wodach Seszeli, a już następnego dnia znalazł się na pokładzie statku, dziękując Bogu za to, że statek się opóźnił. Przysłuchiwał się z żywym zainteresowaniem, jak Stevens i Guy opowiadają sobie nawzajem anegdoty, ale strzelał bez przerwy niebieskimi oczami na Kirsty. Mocno zażenowana, starała się świadomie nie zerkać w jego stronę. Jednocześnie musiała słuchać siedzącego tuż za nią Desaia, który opowiadał o statkach, problemach oficerów oderwanych na tak długo od domów i, podkreślał przy tym, jakie to szczęście móc podróżować z miłymi pasażerami. Co chwila trącał jej ramię i ocierał nogę o jej nogę uwięzioną przy nodze stołu. Czuła od niego zapach taniego dezodorantu i brylantyny.

Zjawiły się drinki, a gdy zostały wypite, Guy zamówił następną kolejkę. Zaraz potem Desai zwrócił się do niej i — podając wyraźnie w wątpliwość kompetencje kapitana — oznajmił konspiracyjnym szeptem, że musi iść na obchód i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Może miałaby później ochotę, żeby oprowadził ją po statku?

Nie wyraziła chęci. Jest zmęczona i chce się wcześniej położyć spać. Może innym razem.

Nie wydawał się zrażony odmową. Oznajmił, że wróci wkrótce i zobaczy, czy Kirsty jeszcze nie poszła.

Zerknęła na Cady'ego i przekonała się, że przygląda się im obojgu. Po odejściu Desaia atmosfera znacznie się poprawiła. Marie-France zaczęła jej opowiadać o Seszelach, historii wysp i kreolskiej kuchni. Zadeklarowała się, że z samego rana porozmawia z ochmistrem i poprosi go o inne rozlokowanie przy stolikach, by mogli siedzieć w towarzystwie Cady'ego i Stevensa. Potem spróbuje dostać się do kuchni i przekupić kucharza, żeby pozwolił jej samej ugotować coś na ich stół. Każda odmiana będzie mile widziana.

Kirsty wybuchnęła śmiechem i poczuła się odprężona. Doszła do wniosku, że pora teraz, by sama zamówiła kolejkę. Pochwyciła spojrzenie barmana i dała mu znak. Poza nimi w salonie nie było już gości. Barman skrzywił się niechętnie, ale zabrał się do przygotowywania drinków. Gdy zjawił się z nimi przy stoliku, Cady podniósł na niego zdziwione oczy. Chciał zapłacić, ale Kirsty uparła się i odliczyła należność.

Upłynęło piętnaście minut i Cady, który nie miał zamiaru zrezygnować z postawienia kolejki, krzyknął do barmana dobronudnym tonem:

— Hej, kolego, podjedź no tu z tym towarem.

Kirsty usiłowała protestować, wspierana przez Marie-France, ale ich głosy uciszył gwałtowny rumor od strony baru. Kiedy spojrzeli w tamtą stronę, zobaczyli, jak zardzewiała, metalowa krata spada z hukiem na barowy kontuar. Zza kraty dobiegł ich wojowniczy głos barmana:

— Bar już zamknięty!

Zapadła cisza. Cady spojrział na zegarek.

— Do diabła, człowieku, dopiero za dwadzieścia jedenasta. Bar zamyka się o jedenastej.

Opierając dłonie na kontuarze, barman pochylił się do przodu, aż nosem niemal dotknął kraty. Patrząc prosto na Cady'ego odkrzyknął:

— Bar zamyka się wtedy, kiedy ja powiem!

Nastała cisza. Wreszcie Cady podniósł się. Jego młoda twarz pociemniała. Ruszył do baru bardzo powolnym krokiem. Przy każdym stąpieniu jego kowbojskie buty uderzały złowieszczo o deski pokładu. Zbliżył się do kraty i spojrział przez metalowe pręty. Barman, chociaż sam słusznego wzrostu, musiał wyciągać szyję. Ich twarze dzieliły centymetry.

Cady przemówił bardzo spokojnym, niemal obojętnym głosem.

— Opowiem ci historię, przyjacielu. Pewien stary farmer miał muła i sprzedał go za stówę sąsiadowi. Mówi tamtemu, że bydlę jest posłuszne, robi wszystko, co mu się każe. Następnego dnia sąsiad przylazł i narzeka, że muł nie chce się ruszyć, ani drgnie. No to farmer idzie do tamtego i patrzy, faktycznie, muł stoi jak skamieniały. Farmer bierze do ręki porządny kawał drąga, odsuwa się i wali stare mulisko między oczy, krzycząc: „Jazda!” Muł rusza. Farmer odwraca się do sąsiada i mówi: „Mówiłem ci, że to dobry muł, wykonuje każde polecenie. Tylko najpierw trzeba przyciągnąć jego uwagę”.

Przysunął twarz jeszcze bliżej, zacisnął palce na kracie i ścisząc głos o jeden ton dookończył:

— No, więc posłuchaj mnie teraz dobrze. Jeżeli będę musiał przyciągnąć twoją uwagę, to ta krucha siateczka, za którą się chowasz, na pewno mnie nie powstrzyma.

Nastała długa cisza. Barman wpatrywał się w zwężone źrenice przeciwnika. Wytarł niezdarnie dłonie o podkoszulek i wymamrotał:

— Czyli trzy piwa, dwa dziny z tonikiem i jeden wermut... Zgadza się, proszę pana?

Kirsty rozbierała się do snu radosna i lekko wstawiona. Nie przypominała sobie, kiedy po raz ostatni tyle wypła. Po „wznowieniu” działalności baru nastąpiły jeszcze trzy kolejki. Niedawny incydent nie zmącił miłej atmosfery. Cady potraktował wszystko tak, jakby nic się nie stało. Również barman zniósł całe zdarzenie nadzwyczaj spokojnie. Do tego stopnia, że dał się poczęstować i zamknął bar dopiero dobrze po jedenastej. Kirsty znalazła w Savych wspaniałych partnerów do rozmowy. Byli małżeństwem zaledwie od roku i oboje pochodzili ze starych rodzin francuskich kolonialistów. Informując o tym Kirsty, Marie-France zapuściła się głębiej w przeszłość i zaczęła wyjaśniać, że Brytyjczycy w dziewiętnastym wieku przechwytywali wiele statków handlowych z niewolnikami, które kursowały między Zanzibarem a Arabią. Niewolnicy byli wysadzani jako ludzie wolni na Seszelach, a ich małżeństwa z rodowitymi francuskimi osadnikami dały początek wielorasowemu społeczeństwu. Stąd też nie należało do rzadkości, że chłopiec o blond włosach miał ciemnoskórego kuzyna — i wcale z tego powodu nie ubolewał. Rodziny, w których występowały wyłącznie związki białych z białymi, nazywano *grand blancs*. W 1815 roku wyspy przejęli Brytyjczycy; uznawszy jednak, że są za małe, by sobie nimi zbyt zaprzętać głowę, pozwolili, aby przez kolejne trzydzieści lat na czele lokalnej administracji stał francuski gubernator. Dlatego właśnie język i kuchnia kreolska zachowały się do dziś, a rocznica Wzięcia Bastylli świętowana jest znacznie żarliwiej niż urodziny królowej.

Stevens z początku był nieco sztywny, ale przy kieliszku się rozkręcił. Pochwalił się, że ma dużą plantację herbaty w górach na Mahé, i zaprosił Kirsty w odwiedzinach w któryś weekend, dodając z błyskiem w oku, że żona będzie w tym czasie w domu. Nie mógł się również nadziwić, jak to jest możliwe, żeby ktoś tak młody jak Cady mógł sobie pozwolić na takie długie wakacje. Czy Cady pochodzi z bogatej rodziny? Cady pokręcił przecząco głową i z uśmiechem opowiedział o pracy na platformach naftowych, o odkładaniu miesięcznych pensji i wreszcie o stracie pracy.

— Jak to się stało? — zainteresował się Stevens.

Cady uśmiechnął się leciutko i odparł:

— Zwróciłem uwagę mojego szefa na fakt, że jest kłamcą.

Cady niewiele rozmawiał z Kirsty i wydawał się nieco onieśmielony jej towarzystwem.

Naciągnęła na siebie nocną koszulę i wyjrzała przez iluminator. Zobaczyła odbicie światła w wodzie i fale wzbijane przez dziób statku. Wszędzie panował spokój i cisza, jeśli nie liczyć pracy silnika i szmeru morskich fal. Nalała sobie szklankę wody z butelki i zaczęła łapczywie pić. Kevin zawsze powtarzał, że dwie szklanki wody przed pójściem spać chronią przed okropnym kacem nazajutrz. Tak właściwie podróżowanie po morzu zaczynało się jej podobać... Mała kabina była przytulna i nareszcie czysta. Steward przygotował dolną koję i złożył schludnie kołdrę.

Opróżniła szklankę i miała już wsunąć się na koję, kiedy usłyszała lekkie pukanie do drzwi. Zaciekawiona podeszła do drzwi i zrobiła w nich szparkę. W korytarzu stał Desai i uśmiechał się przymilnie.

— Zobaczyłem, że u pani jest jeszcze widno. Może teraz miałaby pani ochotę obejrzeć statek?

— Teraz? Dochodzi już północ.

— Właśnie, cisza i spokój, to najlepsza pora.

Potrząsnęła zdecydowanie głową.

— Dziękuję, ale nie skorzystam. Jestem bardzo zmęczona. Może innym razem.

Jakby od niechcienia oparł rękę o drzwi i spytał:

— W kabinie wszystko w porządku? Czasem ci leniwi stewardzi zostawiają w nich straszny bałagan... Niech no sam spojrzę.

Cofnęła się nieco.

— Jest bardzo czysto, proszę się nie martwić.

Stał już w drzwiach.

— Bardzo mi się pani podoba, pani Haywood. Ma pani na imię Kirsty, prawda? Mogę tak się do pani zwracać?

— Dobrze... Ale teraz chciałabym już iść w końcu spać.

Uśmiechnął się szeroko. Pod czarnym wąsem błysnęły zęby.

— Dobrze, dobrze... Tyle że nie mamy wiele czasu, to tylko trzy noce. Wiem przecież, że mnie lubisz, już ja się na tym znam.

Był teraz w środku kajuty i piętą zatrzaskał drzwi. Macając z tyto rękami odszukał zamek i przekręcił go. Poczowała, jak serce zaczyna jej bić szybciej.

— Proszę posłuchać: źle pan zrozumiał, nie mam wcale ochoty z panem spać.

Uśmiechnął się od ucha do ucha i widząc, że próbuje wycofać się w kąt kabiny, chwycił ją za ramię.

— Oczywiście, że chcesz. Znam was dobrze, Amerykanki. Dwa miesiące temu taka jedna płynęła do Bombaju. Przez trzy noce powtarzała „nie, nie, nie”, a przez następne dwa tygodnie krzyczała „tak, tak, tak”. Ale my nie mamy aż tyle czasu.



Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Pierwszy raz od lat czuła się zrelaksowana i wesoła, i nagle, w parę sekund, miła noc przemieniła się w koszmar. Widziała przyklejony do jego spoconej twarzy uśmiech i pożądanie w oczach. W panice zamachnęła się wolną ręką, żeby uderzyć go w twarz, ale bez trudu pochwycił jej dłoń w nadgarstku. Przyciągnął ją do siebie i zaśmiał się.

— Walcz, ślicznotko, walcz, lubię to. Ale kiedy wsadzę ci fiuta, zaraz się uspokoisz.

Podniosła kolano, lecz zablokował nogą jej kopnięcie. Z rosnącą desperacją zdała sobie sprawę, że mimo wydatnego brzucha napastnik jest niezwykle szybki i silny. Zakręcił ją dookoła, chwycił jedną ręką obie jej dłonie w nadgarstkach, a drugą zerwał z niej górę nocnej koszuli. Złapał ją za prawą pierś i boleśnie ścisnął. Nabrała powietrza i próbowała krzyknąć, ale oderwał w porę rękę od jej piersi i zakneblował jej usta. Próbowała go ugryźć, wtedy szybkim ruchem odjął dłoń i zdzielił ją w policzek. Na wpół zamroczona, czuła, jak ją podnosi i ciska na koję. Poczwała chłód na gołych nogach, gdy zadarł jej koszulę. Wbił rękę pomiędzy jej uda i zaczął ją boleśnie obmacywać. Potem zwałił się na nią całym ciężarem, drapiąc jej policzek szczeciną zarostu i obsliniając językiem usta. Wykręcała się i walczyła jęcząc w panicznym strachu. Naraz poczuła, jak wpycha w nią palec. Drugą ręką wygniatał jej piersi, wbijając głęboko paznokcie. Właśnie ból pozwolił jej wreszcie przezwyciężyć strach. Napastnik był zbyt silny, musiała użyć rozumu. Odwróciła głowę i szepnęła:

— Proszę poczekać. Tak, zgadzam się, ale niech pan nie robi mi krzywdy. Zrobię wszystko, co pan zechce. Bardzo proszę, niech pan się tak nie śpieszy. Bardzo mnie pan przygniata.

Spojrzał jej w twarz triumfującym wzrokiem, po czym przeniósł spojrzenie na jej ciężkie piersi poorane do czerwoności przez jego palce. Zmusiła się do uśmiechu i poprosiła, pokazując ręką podartą nocną koszulę:

— Chciałabym to zdjąć.

Rozdziawił gębę z zadowolenia, sapnął i stoczył się z niej. Spuściła nogi na podłogę i nabrała głęboko powietrza mierząc odległość dzielącą ją od ściany kabiny. Sięgnęła ręką do rąbka koszuli, zmusiła się jeszcze raz do uśmiechu, a następnie rzuciła się do przodu i zaczęła walić pięściami w ścianę krzycząc rozpaczliwie. W sekundę później Desai uderzył ją grzbietem dłoni w usta i potoczyła się w kąt kajuty.

Straciła w sekundę przytomność. Pierwsze, co doszło do jej uszu po odzyskaniu świadomości, to głos Cady'ego wykrzykującego jej imię i walenie w drzwi. Otworzyła oczy i spojrzała przez nogi stojącego okrakiem Desaia. Rozległ się trzask pękającego drzewa i w progu stanął Cady, okryty jedynie zwojem materiału owiniętym wokół bioder. Wszedł do środka i omiół bystrym wzrokiem całą scenę. Jego niebieskie oczy błysnęły wściekłością. Kirsty wczołgała się pod koję, słysząc przestraszony głos Desaia.

— Sama mnie zaprosiła...

— Nie pieprz!

Rozległ się głuchy odgłos, jakby uderzenie drewnem w drewno. Przekreśliła głowę i zobaczyła, jak Desai odbija się od ściany. Usiłował jeszcze walczyć. Zamachnął się prawym sierpowym, ale Cady uchylił się pod jego ręką i dosięgnął go swymi pięściami wielkimi jak bochny chleba, oddychał szybko z wściekłości i wysiłku.

Desai zwałił się na kolana. Próbował złapać Cady'ego za nogi, ale blondyn chwycił go za wybrylantynowane włosy, odciągnął mu głowę i trzasnął kolanem w twarz.

W chwilę potem w kabinie zaroilo się od członków załogi, którzy rozdzielili walczących. Zjawił się kapitan, zapinając jeszcze guziki koszuli, i zażądał wyjaśnień.

Zanim zamieszanie ucichło na dobre, upłynęło pół godziny. W tym czasie Desai odniesiono do jego kajuty. Kapitan wysłuchał ze współczuciem opowiadania Kirsty i westchnął.

— Całe zajście jest godne pożałowania — mówił. Już w przeszłości zdarzały się skargi na Desai. Niestety, jego ojciec jest wysokim urzędnikiem w Indyjskim Towarzystwie Żeglugi Parowcowej. Tym razem jednak kapitan będzie nieubłagany. Każe zamknąć Desai w kajucie do czasu zawinięcia do Bombaju i sporządzi stosowny raport. Weźmie od Kirsty oświadczenie, ale proponuje, by nie wносиła oskarżenia. Tego rodzaju sprawy na morzu znacznie się komplikują, zwłaszcza gdy jedna strona mówi jedno, a druga co innego. Zresztą Desai nie wyrządził jej fizycznej krzywdy. Kirsty przytaknęła i kapitan, ponawiając słowa przeprosin, wyszedł zostawiając ją samą z Cadym. Usiadła przy stole. Cady stał przy drzwiach obserwując ją pełnym troski wzrokiem. Patrzyła w blat stołu, rysując po nim palcem.

— To szczyt ironii — odezwała się. — Przeżyłam całe życie w Nowym Jorku i nigdy nie zostałam napadnięta. Musiałam przebyć szesnaście tysięcy kilometrów, żeby mnie to spotkało. — Podniosła głowę i uśmiechnęła się blado.

— Takie kanale wszędzie się trafiają — skonstatował Cady.

Skinęła głowę z twarzą pozbawioną wyrazu i zapytała:

— Zawsze w tym sypiasz?

Spojrzał na swój jaskrawo kolorowy sarong.

— Tak... Niedawno spędziłem cały rok przy próbnym odwiertach w Indonezji. Każdy tam tak śpi. To całkiem wygodne... Przyzwyczyłem się... Ale powinienem już iść i dać ci spać.

— Jaka jest Indonezja? — spytała.

Zaczął opowiadać o zasobnym we wszystko archipelagu, o jego lasach, pradawnych świątyniach i zróżnicowanej etnicznie ludności. Tak naprawdę jednak wcale tego nie słuchała; zdał sobie sprawę, że rozpoczęła rozmowę tylko dlatego, by nie zostać sama. Dorzucił pośpiesznie:

— Kirsty, taka przygoda każdego może wyprowadzić z równowagi, zwłaszcza w nocy i w obcym otoczeniu. — Wskazał pustą koję. — Chciałabyś, żebym został na noc? Zapewniam, że nic ci z mojej strony nie grozi.

Twarz jej pojaśniała.

— Wiem, że nie muszę się niczego bać. Naprawdę chciałbyś zostać? Wiem, że to głupie, ale rzeczywiście...

— Nie ma sprawy. Może pościelisz mi koję, a ja pójde po koszulę i spodnie, żebym miał rano co włożyć.

\* \* \*

W dwadzieścia minut później mogła podziwiać jego dużą stopę wystającą z nad brzegu górnej koi.

— Wygodnie ci, Cady? Te koje są przeznaczone dla ludzi niższego wzrostu.

— Oczywiście, przywykłem do takiego spania.

— Czy Alistair to nie szkockie nazwisko?

— Oczywiście. W żyłach wielu mieszkańców Nowej Szkocji płynie szkocka krew. Ale nie cierpię tego nazwiska. Możesz mówić do mnie Cady, jak wszyscy.

— Ile masz wzrostu?

— Metr dziewięćdziesiąt trzy.

— W butach czy bez butów?

Dobiegł ją z góry jego chichot.

— Bez. Wiem, że to wariactwo, ale każdy prawie nafcjarz nosi takie buciory. Do tego ubieramy się i mówimy jak kowboje — nawet my, Kanadole. Pewnie dlatego, że większość chłopaków to Teksańczycy, a reszta chce za takich uchodzić. Tworzymy pewną zamkniętą społeczność, człowiek siłą rzeczy się dopasowuje.

— Lubisz takie życie? Chcesz do niego wrócić?

— O, tak. Płacą dobrze i ma się mnóstwo wolnego czasu.

Ziewnął. Sięgnęła ręką i wyłączyła światło.

— Dobranoc, Cady.

— Dobrej nocy.

Kabina pogrążyła się w półmroku. W świetle sączącym się przez iluminator widziała wciąż zarys jego stopy. Nader kojąca ciemność.

Przewróciła się na bok i ułożyła wygodnie do snu. Po dziesięciu minutach wciąż jeszcze nie spała. Młody mężczyzna leżący półtora metra nad nią stanowił dla niej prawdziwą zagadkę. Położyła się na plecach i pobiegła wzrokiem ku stopie. Przeczucie podpowiadało jej, że mężczyzna również nie śpi.

— Cady? — zawołała cicho.

— Tak?

— Masz jakąś rodzinę?

— Tylko zamężną siostrę w Nowej Szkocji... Mama umarła, kiedy byłem dzieckiem, a tata zginął w wypadku samochodowym... Mniej więcej osiem lat temu.

— Masz dziewczynę?

Na moment zapadła cisza.

— Nie... Tak właściwie nie miałem nikogo na poważnie...

Zaskoczyło ją to.

— Chcesz powiedzieć, że taki przystojny facet jak ty...?

Milczał długo. Zaczęła już nawet myśleć, że powiedziała coś niestosownego. Wreszcie zaczął mówić. Może pomogła mu się otworzyć ciemność, która kryła przed nią jego twarz. Może sprawiła to różnica wieku i fakt, że była kobietą. A może po prostu nadszedł odpowiedni czas. Zabarwione goryczą słowa popłynęły cichym, jednostajnym strumieniem:

— Właśnie. Taki przystojny facet jak ja... Wiesz, w czym rzecz? Każda kobieta patrzy na mnie jak na ogiera. „Cady-ogier”. Wiem, to samo dotyczy i was — piękna kobieta jest obiektem seksualnym. Tyle że z mężczyznami sprawa przedstawia się inaczej — i to w szczególnie niemiły sposób. Facet taki jak ja pociąga głównie kobiety, które szukają seksualnego spełnienia. Spojrzy taka i myśli: „Ten to musi być dobry!” Rozumiesz? „Musi być dobry!” A skoro facet ma metr dziewięćdziesiąt trzy, niebieskie oczy, blond włosy i wygląda na niezłego twardziela, to nie daj Boże, żeby okazał się gorszy od gościa, który jest o kilkanaście centymetrów niższy, ma brązowe oczy i myszowate kuddły. Bo wtedy może kobietę cholernie mocno zawieść! Dla faceta takiego jak ja każde spojrzenie na kobietę oznacza wystawienie się na kolejną próbę. Oczywiście, zgadzam się — to samo można by odnieść do kobiet. Ale czy wolałabyś być brzydka? Nie. Tylko że w przypadku kobiety jest inaczej. Kładzie się i czeka, a jeśli nic nie czuje, zawsze może udać, że jest wspaniale, i mężczyzna w efekcie jest zadowolony. Potencjalny ogier nie może niczego udawać! Musi być jak maszyna, a jeśli mu coś nie wychodzi, to zaraz słyszy pytania w rodzaju: „Co z tobą, kochanie? Za dużo wypięś? Jesteś zmęczony? Nie jestem dla ciebie dość atrakcyjna?” Filmy i książki jeszcze wszystko bardziej pogarszają. Bohater w nich jest zawsze wysoki i przystojny. Cholerny świat! Alan Ladd mierzy tylko metr pięćdziesiąt dwa, więc występująca z nim partnerka musiała każdorazowo stać w dołku, żeby go pocałować! Nie przypominam sobie książki, w której amant byłby niski, łysy i nie był szeroki w barach. A więc to całkiem naturalne: kobiety spodziewają się, że facet o moim wyglądzie musi być fantastycznym kochankiem...

— A nie jesteś? — dobiegło go jej ciche pytanie.

— Nie o to chodzi... Trudno mi powiedzieć, jaki ze mnie kochanek. Pewnie fatalny. Na pewno nie jestem takim, jakiego większość z nich oczekuje.

— Ale nie jesteś impotentem?

Roześmiał się gorzko.

— Czasem to murowane. Zwłaszcza gdy widzę w jej oczach oczekiwanie, kiedy daje mi wyraźnie znak, patrzy na mnie tak, jakbym był świeżo upieczoną bułeczką... Tak, wtedy nawet nie mam erekcji! Chłopaki, z którymi pracuję, tkwią miesiąc, dwa na pustyni nie widząc kobiety. Dziewięćdziesiąt procent czasu schodzi im na rozmowach o babkach. Kiedy jadą wreszcie do miasta, żeby się wyżyć, to okazuje się, że im nawet nie chce stanąć... Przepraszam za język...

— Nic nie szkodzi. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Rozmawiacie o tym między sobą?

— Prawie nigdy, chyba że w gronie prawdziwych przyjaciół. Stąd też widuje się młodych nacierzy ze starszymi kobietami. Są w stanie lepiej ich zrozumieć.

— O...

— Nie, chwileczkę, nie to miałem na myśli. Przecież wiesz...

Zobaczyła zarys jego głowy nad krawędzią koi.

— W porządku, Cady, rozumiem. Po prostu zaskoczyło mnie trochę to, co powiedziałaś. Miałam zupełnie inne wyobrażenie, to wszystko.

Głowa zniknęła i zaraz doszły ją pełne goryczy słowa:

— Właśnie. Zupełnie inne wyobrażenie... Coś ci opowiem. Byłem kiedyś na Cyprze i z paroma kolegami wybrałem się w wolny dzień do nocnego klubu w Limassol. Była już trzecia rano, a my musieliśmy dostać się do położonego w górach Platres. Jakieś trzydzieści kilometrów jazdy, a tymczasem nasz samochód się rozkraczył. Wiesz, co moi kumple zrobili?

— Co?

— Kiedy poszedłem do toalety, wystawili mnie na licytację! W klubie było mnóstwo młodych turystek, niektóre przyjechały wynajętymi samochodami. Chłopaki obezšli dziewczyny i obiecali im, że ta, która podwiezie nas do Platres, będzie mogła się ze mną przespać. Znalazło się kilka chętnych. Bęcwały wybrały tę, która miała największy samochód. Niebieski Ford Cortina... — Słyszał, jak Kirsty stara się zdusić śmiech. — I wyobraź sobie, że powiedzieli mi dopiero wtedy, kiedy już dojechaliśmy na miejsce, a dziewczyna gramoliła się z wozu oblizując wargi.

— I co było?

— Powiedziałem jej, że nic z tego. Wściekła się, jak diabli. To była Niemka, wielka kołubryna... Wyzwała mnie od oszustów i pedałów. Musiałem dać jej pięć funtów za cholerną benzynę!

Nie mogła dłużej powstrzymać się od śmiechu. Cady odpowiedział tym samym i po chwili mruknął:

— Sukinsyny sprzedali mnie za możliwość podwiezienia do domu... I to już wszystko, jeśli chodzi o moją osobę. Jeszcze trochę i zacznę myśleć, że przydałby mi się jakiś środek, dzięki któremu mógłbym być mniejszy.

Upłynęło dziesięć minut. Statek kołysał się lekko. Kołysanie i szum morza za burta powinny były ją uspić, ale sen nie przychodził. Cady wydał jej się bardzo skomplikowaną postacią. Być może na jego psychice zaważyła wczesna śmierć matki — podobnie jak śmierć Kevina wywarła piętno na Garrecie.

Koja nad jej głową znowu zatrzeszczała i usłyszała jego ściszony głos:

— Kirsty, nie śpisz jeszcze?

— Nie.

— Powiedz coś o sobie? Masz męża?

— Miałam. Dziesięć lat temu spadł ze skały.

— Ze skały?

— Tak. Jego pasją była wspinaczka. Chodził zawsze sam. Był w tym naprawdę dobry, ale pewnego dnia widać popełnił błąd, bo spadł z wysokości sześciuset metrów.

— O Boże! Mieliście dzieci?

— Tak, syna... Ma na imię Garret.

— Gdzie teraz jest? W Nowym Jorku?

Nie odpowiedziała. Zastanawiała się, czy wyjawić mu prawdę; czuła ostatnio coraz większą niechęć do mówienia o swoim nieszczęściu.

— Kirsty, nic ci nie jest?

Podjęła decyzję: opowie mu o wszystkim.

— Cady, nie jadę na wakacje: szukam swojego syna. Powiedzieli mi, że nie żyje, ale ja w to nie wierzę.

Być może przyczynił się do tego panujący półmrok, który sprawiał, że Cady nie mógł jej widzieć — w każdym razie zaczęła mówić. Rozpoczęła od wizyty kapitana Buckleya i późniejszych wydarzeń. Następnie cofnęła się do śmierci Kevina. Cały majątek męża oszacowano zaledwie na piętnaście tysięcy dolarów: połowa przypadła Kirsty, druga zaś stać się miała własnością Garreta w dniu jego osiemnastych urodzin. Jej część została złożona jako depozyt za mieszkanie i przepadła, Garret swoją połowę zainwestował.

W tym momencie Cady pstryknął światło, wygramolił się z koi i usiadł na krześle, opierając swoje długie nogi na posłaniu Kirsty. Nalał sobie i jej po szklance wody i słu-chał patrząc na nią z uwagą.

Opowiedziała mu o Garrecie. O tym, że był trudnym dzieckiem, jeszcze zanim Kevin zginął, ale po stracie ojca było jeszcze gorzej. Uwielbiał ojca i sam go zresztą przypominał. Miał w sobie szalone poczucie niezależności i odrzucał wszelkie autorytety. Istniał także jeszcze inny kłopot: Garret urodził się z niezwykle rzadką grupą krwi, którą ma mniej niż jedna osoba na milion. To sprawiło, że stała się nad wyraz opiekuńcza: wiedziała bowiem, że w razie jakiegoś poważnego wypadku, który pociągałby za sobą konieczność transfuzji, Garret znalazłby się w ogromnym niebezpieczeństwie. Przez cały czas musiał nosić na szyi mosiężny znaczek z wybitą grupą krwi.

Patrząc teraz wstecz zdawała sobie sprawę, że była nadopiekuńcza i nadmiernie czu-  
lostkowa. Ale był przecież wszystkim, co miała, i kochała go ponad życie. W miarę jak  
dorastał, wzmagała się w nim uraza. Kirsty zabraniała mu brać udział w sportach kon-  
taktowych, jak piłka nożna czy koszykówka. Obawiając się wypadku, nie pozwalała mu  
jeździć na letnie obozy. Wystarczało, by spóźnił się kilka minut ze szkoły, a już wpada-  
ła w panikę. Krótko mówiąc, traktowała go jak maminsynka, co zrozumiała później  
z przeraźliwą jasnością, a czego konsekwencją było jego zachowanie. Kiedy nadszedł  
czas dojrzewania Garreta, zaczęły się karczemne awantury. Straszyl ją, że jak tylko skoń-  
czy osiemnaście lat i otrzyma należną mu część spadku, wyniesie się z domu — i nig-  
dy nie wróci.

Na wspomnienie tamtych chwil skrzywiła płaczliwie twarz i urwała. Cady odczekał  
kilka minut i odezwał się łagodnym tonem:

— I co się stało?

Pocierała dłoń o dłoń, jakby je myła. Spojrzała wreszcie na niego.

— Oczywiście wcale w to nie wierzyłam. Która matka myślałaby inaczej? Dzieci za-  
wsze tak straszą. — Wzięła głęboki oddech, zakrzuszyła się i nagle wybuchnęła płaczem.  
Podciągnęła kolana i oparła na nich głowę. Cady milczał. Czuł się, jakby był kataliza-  
torem przyspieszającym nadejście katharsis. Po chwili Kirsty podniosła głowę i otarła  
ręką łzy.

— To był mój błąd, Cady. Chłopak miał prawie osiemnaście lat, a traktowałam go  
jak dziecko. — Podniosła głos. — Jak jakieś smarkate dziecko! Był mężczyzną i czuł się  
mężczyzną. Boże, gdy sobie teraz pomyślę, przez co musiał przejść! Stracił ojca, kiedy  
był jeszcze naprawdę dzieckiem. Musiał stawić czoło myśli, że wyrośnie na jakiś me-  
dyczny okaz — i potrafił sobie z tym poradzić. Jak mężczyzna... Jak poradziłby sobie  
z tym jego ojciec... I do tego matka, która traktowała go jak kalekę!

Opuściła znów głowę na kolana. Zapadła długa cisza, którą przerwał w końcu Cady.

— A więc twoje przestępstwo polegało na tym, że za bardzo go kochałaś. Nie możesz  
winić się za to. Musisz coś zrozumieć — miłości nie da się zmierzyć. Zwłaszcza miłości  
matki do dziecka. Szczególnie po tym, co stało się z twoim mężem. Zrobiłaś to, co uwa-  
żałaś za najśluszniesze.

— Osiągnęłam tylko tyle, że go przepędziłam z domu.

— Więc co się stało?

Podniosła głowę. W jej oczach nie było łez, ale przysłaniała je mgła wspomnień.

— Miesiąc przed jego urodzinami doszło między nami do zażartej kłótni. Nie pamię-  
tam nawet, o co poszło. Potem prawie nie wychodził ze swojego pokoju. Puszczal płyty  
— przeważnie przeboje Beatlesów. Boże, jak ja nienawidziłam wtedy Beatlesów!

Uśmiechnęła się leciutko na to wspomnienie, ale zaraz znowu spoważniała.

— Rano w dzień swoich osiemnastych urodzin zaczął się pakować. Nie chciałam  
w to wierzyć... Stałam w drzwiach i patrzyłam. Spytałam, co robi, dokąd się wybiera....

Nawet nie chciał ze mną rozmawiać, nie zaszczylił mnie jednym spojrzeniem. Byłam dla niego obcą osobą. Nie, nawet nie to: byłam obiektem jego nienawiści. Czuł do mnie pewnie to, co więzień do strażnika.

— Nie mogłaś go powstrzymać?

Nie, nic nie mogła zrobić. Pieniądze prawnie należały do niego — suma wraz z procentem urosła do ponad dziesięciu tysięcy dolarów. Wybierał się do Indii. Jechał tam, żeby poszukiwać prawdy.

Odjechał. A ona została sama we łzach i z poczuciem winy, które rozrastało się w niej jak rak. Przez cztery miesiące nie otrzymała żadnej wiadomości, potem przyszedł list ostemplowany w Delhi. Napisał niewiele, ale bez wrogości: wszystko u niego w porządku, Kirsty nie musi się martwić.

Martwiła się. Sześć tygodni później przyszedł następny list — z Hajdarabad. Ten był nieco dłuższy. Znowu miesiąc obaw i kolejny list, tym razem z Bangaluru, trochę dłuższy niż poprzedni. Na mapie śledziła trasę wędrowki Garreta na południe po subkontynencie indyjskim. Nie podawał nigdy adresu zwrotnego, nie mogła więc odpisać. Wreszcie przyszedł list ze Sri Lanki. Długi list, w którym pisał, że wraca do domu i że teraz rozumie wszystko znacznie lepiej. A co najważniejsze, że ją kocha.

Znów zaczęła płakać, ale bez szlochów, i głos się jej nie załamywał. Cady przysunął się instynktownie, usiadł koło niej i wziął ją za rękę. Mówiła teraz niemal szeptem:

— Cady, przeżyłeś kiedyś taką chwilę? Chwilę takiej radości, że ma się wrażenie, jakby świat narodził się na nowo? Jakby słońce wzeszło pierwszy raz od miliona lat?

Ścisnął jej dłoń. Widział, jak oczy Kirsty wypełniają się łzami, które zaczynają się toczyć po jej wystających kościach policzkowych.

— Ja zazałam ich trzykrotnie. Pierwsza to mój ślub. Byłam dziewicą. Nie śmieję się... Byłam bardzo staroświecka... Uwielbiałam Kevina, ale panicznie się bałam. Moja matka już nie żyła, a ojciec był zbyt nieśmiały, żeby mi o czymkolwiek powiedzieć. Skąpa wiedza, która do mnie docierała, mogła tylko napełnić wstrętem. Pieszczoty, jakie uprawiałam w wieku nastu lat, odczuwałam jako coś plugawego; robiłam to chyba jedynie po to, żeby nie odstawać od innych. No więc bałam się. Na nasz miesiąc miodowy pojechaliśmy do małego hoteliku w górach. I wiesz, co robiłam, kiedy straciłam dziewictwo?

Spojrzał zaintrygowany w jej mokre oczy.

— Co?

— Śmiałam się! Po prostu się śmiałam. Kevin wszystkiego się domyślał i doskonale mnie rozumiał. Przygotowywał mnie przez wiele godzin. Przegnał wszelkie dręczące mnie obawy, sprawił, że to, co zawsze wydawało mi się wstrętne, okazało się piękne. Kolejny szczęśliwy moment to narodziny Garreta. Kevin był ze mną, chociaż w tamtych czasach nie było to praktykowane. Lekarz nie krył przerażenia, ale Kevin trwał w uporze. Zagroził, że w przeciwnym razie rozwali szpital. Poród miałam trudny... Garret był dużym noworodkiem.



Spojrzała na rękę Cady'ego splecioną z jej dłonią i ciągnęła:

— Poród trwał dziesięć godzin, a Kevin przez cały ten czas trzymał mnie za rękę. Po-  
dał mi Garreta w ramiona. — Jej cichy głos załamał się na wspomnienie tej chwili. Za-  
ciskała palce na rękę Cady'ego. W końcu podjęła przerwany wątek: — Mój trzeci naj-  
szczęśliwszy moment w życiu to dzień, w którym otrzymałam list od Garreta ze Sri  
Lanki. Byłam już wtedy na samym dnie, żyjąc w zakłamaniu, w przerażającej szarzyźnie  
codzienności. Ten list sprawił, że świat znów zaczął dla mnie istnieć. Całe brzemie winy  
opadło. Wiedziałam jedno: mój syn mnie kocha i wraca do domu. Przez wszystkie na-  
stępne dni nie wypuszczałam listu z rąk dalej niż na metr od siebie. Czytałam go przed  
zaśnięciem i rano po przebudzeniu.

Tak mocno ścisnęła jego dłoń, że aż się zdziwił.

— Bytem wolna, Cady, wyzbyłam się poczucia winy. To była najszczęśliwsza chwi-  
la w moim życiu.

Ale później zjawiał się kapitan Buckley i cały ciężar winy przygniół ją na nowo.

Nie mogła powstrzymać szlochu. Cady siedział bez ruchu, nie spuszczać z niej  
oczu. Mówiła o tym, jak nagle to na nią spadło: niezachwiane przekonanie, że Garret  
żyje i że nie ma dla niej ważniejszej rzeczy nad odnalezienie go.

Mijały godziny. Kiedy skończyła, podniósł się i wyjrzał przez iluminator na różowie-  
jące niebo.

Wpatrywała się w jego twarz: zamyślane, w półprzymknięte oczy, długie blond wło-  
sy z przedziałkiem pośrodku, opadające za uszami jak wiechcie słomy. Odwrócił głowę  
i posłał jej nieśmiały uśmiech.

— Wyjdźmy na pokład obejrzyć wschód słońca.

— Nie uważasz, że zwariowałam?

— Myślę, że to, co robisz, to najwspanialsza rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałem.  
Od dzisiaj masz pomocnika. Kiedy będziesz rozmawiać z tą kanalią Lascellesem, będę  
stał tuż przy tobie.

— A co z łowieniem ryb?

Uśmiechnął się.

— Wiesz co, mam je gdzieś!

— Ależ, panie Patel, nie ponosi pan za to najmniejszej odpowiedzialności — podkreślił adwokat.

Ramesh wzruszył ramionami.

— Czuję się odpowiedzialny.

— Z jakiego powodu? Przecież przyznała sama, że wsiadła na gapę.

Ramesh westchnął. Niełatwo było to wyjaśnić. Rzecz nawet nie w tym, że dziewczyna była narażona na niepewny los — na swój sposób była twardsza od niego. To, co nie dawało mu spokoju, to jej bierne poddanie się temu, co los przyniesie. Prawda, wkradła się na pokład bez pytania, ale przecież w jakimś sensie mu zawierzyła.

Pamiętał swoje osłupienie na widok odkrycia, jakiego dokonał drugiego dnia po wypłynięciu z Malediwów. Płynął pełnym wiatrem wiejącym z siłą trzech stopni w skali Beauforta. Otworzył komorę łańcuchową, żeby schować pusty kanister, i wtedy ją zobaczył: mimo iż taka drobna, ledwo mieściła się w komorze, skulona w niewygodnej pozycji na zwojach łańcucha kotwicznego. Jej czarne migdałowe oczy patrzyły na niego z mieszaniną buntu i strachu.

Siedząc później w saloniku i popijając zimne piwo, między jednym a drugim kąsem jedzenia, w prostych słowach przedstawiła mu motywy swojego postępku. Opowiedziała o swoim życiu na Malediwach, o coraz bardziej natarczywych umizgach męża kuzynki, o braku jakichkolwiek perspektyw, o trywialności otaczających ją ludzi. Poznawszy Ramesha uznała, że jest porządnym człowiekiem i jej nie skrzywdzi. Skoro Ramesh wybiera się w tak daleką podróż, to może gdzieś na trasie wyprawy uda jej się znaleźć miejsce, gdzie mogłaby żyć i zapewnić sobie lepszą przyszłość. Nie będzie się zachowywać jak pasażer. Ma trochę oszczędności — niewiele tego, ale wystarczy, żeby płacić mu za jedzenie. Będzie także gotować, prać i dbać o czystość na jachcie. Jeśli ją trochę poduczy, to mogłaby stać z nim na zmianę na wachcie.

Brzmiało to nad wyraz rozsądnie, ale Ramesha opanował paniczny strach. Był od urodzenia nieśmiały, a do tego nigdy jeszcze nie musiał brać na siebie odpowiedzialności za drugą osobę. Teraz zaś stał przed koniecznością przebywania blisko młodej, bardzo pięknej dziewczyny, a na domiar złego ponosił odpowiedzialność za jej losy.

Wyłuszczył jej swoje obawy: co innego zmagać się wariacko z żywiołami ryzykując tylko własnym życiem, czym innym natomiast jest mieszanie w to drugiej osoby.

Zbyła jego obiekcje. Zapewniła, że jest w pełni świadoma niebezpieczeństw. Pamięta przecież, jak przyznał się szczerze w sklepie do braku żeglarskiego doświadczenia. A o nią naprawdę nie musi się martwić.

Zaszokowała go kompletnie mówiąc, że chociaż jest dziewczcą, to przyjęła z góry, że być może będzie musiała pójść z nim do łóżka. Ale nic to. Skoro pomaga jej — choćby nie z własnej woli — uciec od znienawidzonego przez nią życia, to gotowa jest mu ulec, jeśli będzie nalegał. Ufa mu, jest przecież porządnym człowiekiem.

Słuchał tego oniemiały i mocno zażenowany. Zapewnił ją, że nic takiego nigdy się nie stanie. Jej honor nie zostanie w najmniejszym stopniu wystawiony na szwank.

Miał wrażenie, że przy tych słowach dostrzegł w jej oczach lekki błysk. Pewnie zdawała sobie doskonale sprawę, że rozmawiający z nią mężczyzna nie potrafiłby nikogo do niczego zmusić.

Rozważał możliwość zawrócenia na Malediwy. Zdążyli już jednak pokonać blisko czterysta mil, a płynięcie w kierunku przeciwnym do wiejącego monsunu oznaczałoby perspektywę długiego halsowania. Poza tym nie miał wcale pewności, czy chciałby, żeby dziewczyna musiała wrócić do życia, którego tak bardzo nienawidziła.

Obecność Lani stała się więc faktem dokonanym. Dziewczyna zaczęła od wysprzątania komory łańcuchowej, którą pierwszej nocy zabrudziła wymiocinami. Skórki od owoców (zabrała ze sobą banany, papaje i pomarańcze) były ułożone w kącie w zgrabną kupkę. Patrząc na to zdał sobie sprawę z odwagi i determinacji, jakie ją kierowały; musiała przeżywać istne piekło skulona w ciasnej dziurze bez światła, na miotanych falami jachcie. Później wyprała jego brudne ubrania. Siedząc za kołem sterowym mógł podziwiać swoje starannie pocerowane kalesony powiewające na bomie. Na koniec Lani wysprzątała do połysku wszystkie pomieszczenia na łodzi.

W ciągu dwóch dni ustalili się nowy rozkład dnia. Uczył ją, jak odczytywać kompas i trzymać kurs, i pozwalał jej stać na wachcie od ósmej do północy, kiedy sam kładł się spać; później znów go zmieniała o świcie. Szykowała wszystkie posiłki, dokonując niemal cudów kulinarnych za pomocą skąpych i kiepskich przypraw. Pilnowała, by w pomieszczeniach panowała nieskazitelna czystość, do niego zaś należały obowiązki na pokładzie. Potrafiła usunąć się na bok, doskonale wyczuwając, kiedy Ramesh nie ma ochoty na rozmowę. Wkrótce pojął, że trudno by mu było marzyć o lepszym układzie: z jednej strony mógł nadal cieszyć się niemal całkowitym spokojem i samotnością, z drugiej zaś mieć w każdej chwili towarzystwo i partnera do rozmowy.

Przez kolejne dziesięć dni żeglowali stałym kursem na południowy zachód, a jedyne, co czasem widzieli, to latające ryby i delfiny. Ta idylla pozwalała im się lepiej poznać; niezadługo wiedzieli o sobie bez mała wszystko. Dostrzegali nic, która zaczynała ich łą-

czyć. Wyczuwał jej rosnący szacunek i uczucie względem niego. Widział jej pełen podziwu wzrok, kiedy o świcie i w południe dokonywał za pomocą sekstansu pomiarów i nanosił pozycję na mapę. Dla niej samej była to czarna magia. Skąd mogła wiedzieć, że trójkąt wykreślony na podstawie takich pomiarów obejmować mógł nierzadko obszar kilkuset mil kwadratowych. Albo że w przypadku zachmurzonego nieba Ramesh musi polegać na nawigacji obliczeniowej prowadzonej przy użyciu starego logu obracającego się za rufą łodzi. Zauważyła wszakże jego niepokój, gdy pewnego ranka log zniknął, ściągnięty pewnie przypadkiem przez rekina. Ramesh długo ślezczał nad swoją podniszczoną „Biblią”, a potem zaangażował Lani do pomocy. Rzucała do wody skrawki papieru pod kątem prostym w stosunku do dziobu, a on stał na rufie ze stoperem i obliczał, w jakim czasie dopływały do końca łodzi.

Po takiej procedurze, powtarzanej kilkakrotnie w ciągu dnia, Ramesh pokrywał kartkę obliczeniami, a przy pomyślnym wietrze wpisywał do dziennika okrętowego notowania prędkości.

Lani pozostawała pod ogromnym wrażeniem. Nie widziała jednak, jak Ramesh każdego ranka modli się żarliwie, by niebo pozostawało czyste, aż dane im będzie ujrzeć szczyt na wyspie.

Spostrzegłszy, że Lani darzy go coraz gorętszym uczuciem, Ramesh starał się usilnie rozwinąć w sobie ojcowski stosunek do dziewczyny. Do pewnego stopnia to mu się udawało, były jednak chwile, gdy musiał łącać sam siebie w myślach. Przy wietrze od rufy pod pokładem robiło się nieznośnie gorąco i Lani, z braku bikini, ubierała się często w cienkie spodenki i stanik, po czym włączała pompę i stojąc na przednim pokładzie polewała się wodą z węża.

Ramesh ustawiony za rumplem wpatrywał się baczny wzrokiem w morze, ale oczy jakby same kierowały się nieustannie ku gibkiej postaci wyginającej się pod strumieniem wody. Najgorsze następowało potem. Lani siadała koło niego w kabinie i wdawała się w kilkuminutową pogawędkę. Żaden artysta nie stworzyłby równie rozkosznego obrazka: krople wody błyszczące na gładkiej, śniadej skórze, długie kosmyki mokrych włosów zwinięte i przytrzymane na głowie jedną spinką; drobny owal twarzy na szyi, której smukłość mogłaby przyprawić łabędzia o atak zazdrości. I wreszcie, gdy nieposłuszne oczy przesunęły się w dół jej sylwetki, dostrzegł dwa drobne pagórki doskonale ukształtowanych piersi i ciemne twarde guziczki przebijające przez mokry stanik.

Ramesh czuł przyśpieszone bicie serca. Kiedy zniknęła wreszcie pod pokładem, musiał szybko przestawiać myśli na inne tory. Skupiał się na obrazie pieczonego kurczaka albo roztrząsał kwestię, kiedy trzeba będzie zmienić filtry oleju.

Czasem wieczorami, gdy wiał łagodny, stały wiatr, siadywali po kolacji na przednim pokładzie, podczas gdy samoster utrzymywał „Manasę” na kursie.

Nie odczuwali potrzeby rozmowy. Długie chwile milczenia nigdy im nie przeszkadzały.

Niekiedy jednak rozmawiali. Rameshowi utkwił w pamięci jeden z takich wieczorów. „Manasa” płynęła leniwie z prędkością zaledwie dwóch węzłów na godzinę — nie poganiany przez nikogo, Ramesh nie myślał nawet o włączeniu silnika.

Była ciemna, bezksiężycowa noc. Jedyne źródło światła stanowiły gwiazdy i mdły blask światła pozycyjnych.

Pozmywawszy talerze po kolacji Lani wróciła na pokład i usadowiła się na płóciennym krześle. Przez pół godziny nic nie mąciło ciszy poza cichymi uderzeniami fali dziobowej i skrzypieniem takielunku. Przerwała ją wreszcie Lani:

— Byłeś kiedyś żonaty?

— Nie.

Po kilku minutach zadała kolejne pytanie:

— A zakochany?

— Raz... Jakieś dziesięć lat temu.

Chociaż dzieliły ich nie więcej niż dwa metry, widział jedynie zarys jej twarzy. Czekał na następne pytanie, ale nie padło.

Zanim się spostrzegł, sam zaczął się zwierzać. Opowiedział o młodzieńczym uczuciu, które zmieniło nagle jego spojrzenie na życie, nadało życiu cel i znaczenie, rozświetliło mroczne dotychczas zakamarki. Mówił o radosnej gorączce planów, jakże innej od rządzącej jeszcze niedawno całym jego życiem, łatwo przewidywalnej szarzyzny codzienności. I wreszcie o ogłuszającym wstrząsie, gdy pod naciskiem rodziców jego ukochana oznajmiła mu, że nie widzi dla nich wspólnej przyszłości.

— To znaczy, że cię nie kochała — zauważyła Lani. — Gdyby to była prawdziwa miłość, nic by jej nie zdołało powstrzymać.

Po krótkim namyśle Ramesh przyznał jej rację, choć z pewnym wahaniem. Dodał jednak zaraz, że system kastowy w Indiach obowiązuje szczególnie ściśle kobiety.

— Właśnie — przytaknęła Lani z goryczą. — Ze mną było podobnie.

Zaczęła swą opowieść o życiu na Sumatrze. Lani pochodziła z rodziny bogatych kupców i otrzymała staranne wykształcenie podstawowe. Ledwo jednak zaczęła myśleć samodzielnie i korzystać z nowo nabytej wiedzy, pojawiły się przeszkody. Chińczycy żyjący w Indonezji, podobnie jak w większości innych krajów Azji Południowo-Wschodniej, pielęgowali niezwykle surowo rodzime obyczaje i kulturę. Pod naciskiem rządu Indonezji wiele rodzin chińskich przyjęło indonezyjskie nazwiska i przystało na inne zmiany kosmetycznej natury, jednakże pod względem sposobu myślenia, w upodobaniach i przesądach nadal wszyscy pozostali Chińczykami. Lani poznała w szkole i polubiła pewnego indonezyjskiego chłopca. Któregoś dnia jej najstarszy brat wypatrzył ich, jak po lekcjach piją razem kawę przy ulicznym straganie.

Ojciec spuścił jej tęgie lanie. Jednakże w pamięć zapadł jej nie tyle ból, co pałające gniewem oczy ojca, nie mogącego ścierpieć myśli, że córka ściągnęła na niego wstyd, zadając się z kimś niższej rasy.

Ramesh poczuł w tym momencie zawiązującą się między nimi nić porozumienia. Zaczął jej opowiadać o swym wczesnym dzieciństwie pełnym upokorzeń spowodowanych tylko tym, że nie jest ani Brytyjczykiem, ani Hindusem. Obie nacje patrzyły na niego z jednaką niechęcią. Przypominało to jakby przebywanie na wiszącym moście nad huczącym potokiem, po którego obu brzegach czaiły się na niego wrogość, kpiny i pogarda. Życie w kompletnej próżni i niepewności.

Nauczył się zamykać w sobie, oceniać swoją osobę wedle własnych kryteriów. Stworzył własną interpretację dobra i zła, tego co ważne i nieważne. Ludzi oceniał jedynie po stosunku do niego samego. To nie pomagało w nawiązywaniu przyjaźni.

— Byłeś więc samotny? — spytała go w ciemności.

— Nie do końca — miałem towarzystwo książek, choć przyjaciół niewielu. Właściwie mogę mówić o dwojgu, wliczając w to moją matkę. Nie zaznałem wiele radości. Moje życie było ciągłą pracą, jeden dzień nie różnił się od drugiego. Jedynie książki pomagały mi wznieść się ponad horyzont.

Opowiedział jej również o posądku i o tym, w jaki sposób figurka umożliwiła mu nabycie „Manasy”.

— Jak wszedłeś w posiadanie jachtu? — spytała. — I dlaczego?

Odpowiedział bez chwili wahania:

— Co do pierwszego, to było to niezwykle łatwe: tak naprawdę bowiem nikomu więcej nie zależało na nieszczęsnej „Manasie”. Miałem wrażenie, że sama mnie przywołuje. A dlaczego chciałem ją mieć? Tego nie jestem do końca pewny. Myślę, że chciałem uciec przed samotnością.

— Popłynąłeś jednak sam.

— Tak. Ale uciekłem od samotności w codziennej szarzyźnie, od monotonnego odmierzania upływających minut. Uciekłem od samotności osła wprzęgniętego w kierat.

— Co chciałeś znaleźć?

Zaśmiał się cicho.

— Chyba szukałem ludzi, którzy spojrzeliby na mnie świeżymi oczami.

Zamyśliła się nad tym, co powiedział.

— To dziwne, Ramesh. Pod pewnymi względami jesteście tacy sami, pod innymi zupełnie różni. Chcesz, żeby inni widzieli cię takim, jakim naprawdę jesteś, a nie jaki im się wydajesz w świetle uprzedzeń. Wyruszasz więc w szeroki świat, by ludzie mogli ci się przyjrzeć. Mnie nie obchodzi, jak będą na mnie patrzeć. Zależy mi tylko na tym, bym mogła sama poznać jak najwięcej.

Było w tym stwierdzeniu wiele prawdy. Płynął, by udowodnić sobie i światu, kim naprawdę jest; Lani zaś, wychowana w kształtowanym przez wiele pokoleń poczuciu dumy z przynależności do własnej rasy, nic sobie nie robiła z tego, co myślą o niej inni. Nie musiała niczego udowadniać, pragnęła jedynie odkryć dla siebie własny świat.

Ta rozmowa była dla niego nowym natchnieniem. Mądrość dziewczyny zrobiła na nim duże wrażenie — sam nigdy nie rozmawiał z nikim w taki sposób.

Lani odczuwała to samo. Spowici ciemnością, czuli łączącą ich nić sympatii.

Idyllę podróży przerwała awaria silnika. Kiedy dzieliło ich od Mahé około dwustu mil, monsunowy wiatr zaczął słabnąć, aż w końcu żagle zatrzepotały żałośnie. Nie przejął się tym. Wspólnie z Lani opuścił je i umocował, po czym włączył silnik. Przez resztę dnia i większą część nocy „Manasa” posuwała się ze stałą prędkością pięciu węzłów. Około czwartej nad ranem Lani śpiącą w dziobówce obudził łoskot. Wciągnęła na siebie spodenki i przez salonik przeszła do maszynowni. Ramesh już tam był i patrzył z niepokojem na martwy, dymiący silnik.

Z naprawą musiał poczekać do świtu. Kiedy się rozwidniło, spędził bezowocne pół godziny, próbując uruchomić silnik, Lani tymczasem zajęła się śniadaniem.

Podczas kolacji pod płóciennym daszkiem przymocowanym nad bomem przyznał się jej do swej bezradności w sprawach techniki. Co prawda dzięki pomocy mechanika okrętowego, Murdjaniego, który w Bombaju nauczył go podstawowych zasad obsługi silnika, potrafi dokonywać drobnych napraw i zna się na konserwacji, wiedza ta jednak nie na wiele mu się teraz przydała. Nie ma najmniejszego pojęcia, co zepsuło się w Perkinsie.

Popadł w przygnębienie, ale Lani zaczęła go pocieszać. Przecież od Mahé dzieliło ich zaledwie czterdzieści, pięćdziesiąt mil. Wkrótce wiatr ożywi się, a wtedy dostaną się na wyspę w jeden dzień. W oczekiwaniu na ten moment podnieśli żagle. Załopotały żałośnie.

Ale wiatr nie pojawił się i przez pięć dni znosiło ich z prądem. Drugiego dnia dostrzegli majaczący na horyzoncie szczyt wyspy. Wkrótce jednak opanowała ich prawdziwa frustracja, jako że każdy następny dzień nie przybliżał ich wcale do lądu.

Dla Ramesha zaczęło się pasmo zmartwień. Głównym problemem była woda. Wyruszając z Malediwów zabrał ją w ilości aż nadto wystarczającej dla jednej osoby, ale wskutek pojawienia się niespodziewanego pasażera zapasy wody osiągnęły teraz niebezpiecznie niski poziom. Lani nie okazywała zdenerwowania — pokładała pełną wiarę w Rameshu. Ten jednak chodził jak struty, nie miał bowiem zielonego pojęcia, jaka jest przyczyna awarii silnika, nie mówiąc już o tym, że nie wiedział, jak zabrać się do jego naprawienia. Podczas gdy Lani łowiła z powodzeniem ryby w stosunkowo płytkiej wodzie, Ramesh majstrował przy silniku przygnębiony własną nieudolnością.

Piątego dnia popadł w prawdziwą rozpacz widząc, że prąd znosi ich na wschód. Gdyby taki stan miał się utrzymać, nie zdołaliby w ogóle dobić do Seszeli — a poza wyspami, na obszarze tysiąca mil dzielących ich od Afryki, nie było już nic.

Przeklinał w duchu własną głupotę: powinien był wysupłać jeszcze trochę pieniędzy i kupić radionadajnik. Przesadna oszczędność doprowadziła do tego, że wystawił na niebezpieczeństwo własne życie i — co gorsza — naraził na ryzyko życie Lani.

Otóż owego piątego dnia Lani udowodniła, ile jest warta. Przez cały czas święcie wierzyła — i starała się tę wiarę zaszczepić Rameshowi — że wiatr nadejdzie lada moment i przygna ich bezpiecznie do brzegów Mahé. Ugotowała mu pyszny lunch, zacerowała parę koszul, paplając nieprzerwanie o tym, co będą robić po wylądowaniu. W obliczu takiego optymizmu również i jemu poprawił się nastrój. Oczywiście, powiedział sobie w duchu, bezwietrzna cisza nie może trwać dłużej. A jeśli skończy się im woda, mogą wyciskać potrzebny płyn z pływających w obfitości ryb.

Dosiadł się właśnie do Lani z wędką w ręku, kiedy przed ich oczami pojawiła się łódź zmierzająca w ich kierunku.

\* \* \*

Niełatwo mu przyszło wytłumaczyć to wszystko adwokatowi Radżaratnamowi, chociaż ten był Hindusem, którego rodzina osiadła na Seszelach ponad wiek temu. Między Rameshem a Lani powstała więź, która z jednej strony wprawiała go w zmieszanie, ale jednocześnie sprawiała mu przyjemność. Perspektywa ujrzenia jej w więzieniu wydawała mu się nie do zniesienia.

— Co się z nią stanie?

Radżaratnam wzruszył ramionami. Był niewysokim, akuratnym mężczyzną w okrągłych okularach, schludnie ubranym — w białą koszulę i ciemny krawat.

— To nie takie proste. Zwykle pasażer na gapę jest odsyłany tam, skąd przybył. Osoba chcąca się osiedlić musi wykazać się posiadaniem znacznej sumy pieniędzy, a tego pana pasażerka nie może uczynić. Poza tym nie ma paszportu. Decyzję w jej sprawie podjąć może jedynie gubernator, a ten pozostanie jeszcze do przyszłego tygodnia na Amirantach...

— Do tej pory miałyby tkwić w więzieniu?

Adwokat skrzywił się.

— Taka jest procedura. Może jednak udałoby mi się coś zrobić... Możliwe, że wypuściliby ją za pana poręczeniem, ale musiałby pan złożyć kaucję.

— W jakiej wysokości?

— Nie wiem. Pewnie w granicach do dziesięciu tysięcy tutejszych rupii.

Ma pan tyle?

Ramesh dokonał w głowie obliczeń i skinął głową.

— A pana honorarium? — dociekał Ramesh.

Adwokat machnął ręką.

— O to niech się pan nie martwi. Najpierw spróbujemy wydostać ją z więzienia i przekazać pod pana nadzór.

— Bardzo dziękuję. — Ramesh wstawał już z krzesła, kiedy sobie coś przypomniał.

— Tak przy okazji, czy mógłby mi pan polecić jakiegoś mechanika? Silnik na moim jachcie...



Radżaratnam zagryzł usta i skrzywił się, robiąc beznadziejną minę.

— To trudna sprawa. Jest taki jeden, Charlie Marzzochi, Włoch. Dobry fachowiec, ale ma teraz robotę na Mauritiusie i nie będzie go przez kilka tygodni. A mechanik rządowy siedzi w więzieniu — dostał cztery miesiące za kradzież diesla. Nie znam nikogo innego. To niewielki kraj... Jakaś poważna awaria?

— Tak sędzę. Osobiście niewiele się na tym znam...

Adwokat przez długą chwilę uważnie mu się przyglądał. Ramesh miał wrażenie, że w oczach rozmówcy widzi połączone z wyrzutem pytanie: do czego to podobne, żeby zwykły *babu* w średnim wieku bawił się w żeglarza siedmiu mórz? W sekundę później okazało się, jak bardzo się mylił. Radżaratnam bowiem nieoczekiwanie uśmiechnął się i rzekł:

— Istne szaleństwo! Ale co za przygoda! Gdybym nie miał na karku żony, teściowej, ośmiorga dzieci i Bóg jeden wie ilu jeszcze gęb do wyżywienia, to zrobiłbym to samo. I pal licha wszystko!

Rozsiadł się wygodnie na krześle i wpatrywał się w wolno obracający się wentylator pod sufitem. Potem zaczął mówić, starannie dobierając słowa, jakby występował w sądzie.

— Najpierw musi pan określić, co dolega pańskiemu silnikowi. Ile ma już lat?

— Ze czterdzieści.

Adwokat skrzywił się.

— Strasznie u nas trudno o części zamienne, nawet do nowych silników. W każdym razie trzeba na początek ustalić przyczynę awarii. Proponuję, żeby porozmawiał pan z Jackiem Nelsonem. To Brytyjczyk, emerytowany urzędnik kolonialny, który osiedlił się na Seszelach. W czasie wojny służył jako mechanik okrętowy w Royal Navy.

— O, świetnie — westchnął Ramesh z ulgą, ale adwokat zgasił jego entuzjazm.

— Sprawa może nie być taka prosta. Jedna rzecz to jego gadanina — jeśli mu tylko pozwolić, to buzia mu się nie zamyka. Z tego, co mówi, można by odnieść wrażenie, że cała flota brytyjska pływa wyłącznie dzięki niemu. Poza tym od zakończenia wojny budował drogi w Afryce Wschodniej i nie wydaje mi się, by zdarzyło mu się w ciągu tych lat widzieć choć raz na oczy jakiś silnik okrętowy. Według mnie facet więcej się chwali, niż naprawdę potrafi.

Widząc zaszępiłą minę Ramesha, Radżaratnam dodał:

— Mimo wszystko może będzie umiał ocenić stan pańskiego silnika. Sęk w tym, że musi go pan do tego namówić, a to może okazać się wcale nie takie łatwe!

— Dlaczego? Zapłacę mu przecież, to oczywiste... Jeśli cena nie będzie zbyt wygórowana...

Adwokat uśmiechnął się.

— Nie o to chodzi. Jack Nelson to cholerny uparciuch, podobnie jak większość dawnych mieszkańców kolonii i co poniektórzy przedstawiciele naszych instytucji rządowych.

wych. Co do mnie, to nie mam z nim kłopotów — pomogłem mu w załatwianiu papierków, kiedy nabywał dla siebie bungalow. Ale wobec pana — pół Hindusa, pół Anglika — może odnosić się z większą pogardą niż choćby do mnie.

Ramesh uśmiechnął się ponuro.

— To dla mnie nie nowość. Tacy jak on pewnie sobie myślą, że kalamy czystość ich rasy.

Radżaratnam wzruszył ramionami i spojrzął na zegarek.

— Proponuję, panie Patel, żeby wybrał się pan teraz do jachtklubu. O tej porze Nelson podpiera zwykle ściany w barze. Niech pan spróbuje się z nim zaprzyjaźnić. Może pan zastosować połączoną taktykę pochlebstwa i piwa — jest podatny na obie pokusy. Ja tymczasem zorientuję się, co mogę zrobić w sprawie panny Sutowo. W każdym razie proszę się o nią nie niepokoić — nasze więzienie jest względnie wygodne. Załatwię panu widzenie z nią jutro rano.

Ramesh podziękował mu i powstał. Był już przy drzwiach, kiedy zatrzymał go głos prawnika.

— Gdyby udało się panu zaprzyjaźnić z Nelsonem, mógłby pan mu wspomnieć o sytuacji panny Sutowo. Może okazać się pomocny.

— W jaki sposób?

Radżaratnam rozłożył dłonie w geście bezradności.

— Black, nasz komisarz policji, jest także Brytyjczykiem i byłym mieszkańcem kolonii brytyjskich w Afryce Wschodniej. I przyjacielem Nelsona.

— Rozumiem — odparł Ramesh z zamyśloną miną. — To może mnie kosztować sporo piwa.

Adwokat uśmiechnął się.

— I to drogiego. Nelson pija tylko importowanego Heinekena.

\* \* \*

Siedząc na drewnianej ławce na więziennym dziedzińcu Lani patrzyła na wschód słońca. W celi, która miała jedno małe okienko, upał nie pozwalał zasnąć. Kiedy kilka godzin wcześniej zauważyła ku swemu zaskoczeniu, że jej cela nie jest zamykana na noc, strażniczka wyjaśniła z uśmiechem, że nawet w razie ucieczki Lani nie miałyby gdzie się schronić.

Była jedyną mieszkanką oddziału kobiecego, cały dziedziniec więc należał do niej.

Z więzienia położonego na grzbiecie wzgórze rozciągała się panorama rozciągającej się w dole stolicy kraju Victorii, portu i pierścienia otaczających go wysepek. W świetle wstającego słońca wypatrzyła biały kadłub „Manasy” cumującej przy pirsie klubu jachtowego. Widok ten wzbudził w niej po raz pierwszy bolesny żal nad samą sobą. Dni spędzone na jachcie z Rameshem były najszcześniejszym okresem w jej życiu. Zaczęła sobie

teraz zdawać w pełni sprawę, że przyszłość rysująca się przed nią nie wygląda różowo: Brytyjczycy znani byli z rygorystycznego przestrzegania prawa. Od strażniczki dowiedziała się, że w bieżącym roku deportowano już kilka osób — w większości byli to wędrujący z miejsca na miejsce miłośnicy przygód, którzy, nie dysponując własnymi środkami utrzymania, korzystali z hojności tuziemców. Poprzedniego dnia Ramesh obiecał jej, że znajdzie adwokata i spróbuje uzyskać zgodę na ranne widzenie. Ciekawe, czy już się obudził. Pewnie z powodu upału śpi na pokładzie. Wyteżyła wzrok, ale przy takiej odległości nie można było dostrzec nawet zarysu postaci.

Następne pół godziny zeszło jej na odgadywanie, jaki los ją czeka. Czy odeślą ją z powrotem? Czy Rameshowi uda się naprawić silnik i kontynuować rejs? I czy pozwolą jej z nim popłynąć — jeśli w ogóle będzie tego chciał?

Rozmyślenia przerwał jej odgłos otwieranych drzwi. Odwróciła się i ujrzała grubą ciemnoskórą strażniczkę, która uśmiechała się do niej niosąc w ręku tacę.

— Śniadanie, młoda damo — odezwała się śpiwnym akcentem mieszkanki Sesze-li. — Dobrze się spało?

Podeszła i postawiła tacę obok Lani na ławce. Klapnęła sama na ławce i zaczęła wachlować się dłonią.

— Dzień ledwo co wstał, a gorąc już taki, że można by smażyć jajka na kamieniu.

Lani przyjrzała się temu, co mieściło się na tacy: dwa smażone jajka i lekko przyrumieniony boczek, cienka kromka chleba z dżemem i herbata z mlekiem w cynowym kubku.

Nagle poczuła się głodna jak wilk. Wzięła się za jedzenie, podczas gdy strażniczka gawędziła beztrosko o swojej rodzinie, przyjaciółach i przyjęciu, które się odbyło poprzedniego wieczoru na plaży w Anse la Mouche.

Kiedy odeszła wreszcie z pustą tacą kołysząc się na krótkich nogach, Lani odczuła na powrót nędzę swego położenia. Tutejsi mieszkańcy promieniowali naturalnym szczęściem i spokojem, jakże innym od atmosfery, od której uciekła, lecz do której będzie musiała być może powrócić.

Była już bliska czarnej rozpacz, kiedy drzwi prowadzące na dziedziniec otworzyły się znowu i ukazał się w nich Ramesh w towarzystwie strażniczki. Na widok jego zmartwionej twarzy jej własne kłopoty wydały jej się niczym.

Zerwawszy się na równe nogi, zarzuciła mu ramiona na szyję w mocnym uścisku. Strażniczka uśmiechnęła się promiennie i wyszła zamykając za sobą drzwi.

Lani wzięła go za rękę i poprowadziła na ławkę.

— Złe wiadomości, co? — spytała, ściskając mocno jego dłoń.

— Na razie nic nowego w twojej sprawie. Jedynie gubernator może podjąć decyzję, ale wyjechał na kilka dni. Wynająłem adwokata. Bardzo miły dżentelmen, nazywa się Radżaratnam. To Hindus, jego rodzina mieszka tu od wielu pokoleń. Nie jest zbyt wielkim optymistą, ale zrobi, co będzie w jego mocy... Słyszałem, że jest bardzo dobry.

Z troską w głosie zauważyła:

— Musi być drogi.

— Może, chociaż nie sędzę.

— A co z jachtem? Z silnikiem bardzo źle?

— Skąd niby mam wiedzieć! — zachnął się nieoczekiwanie ostro. — Przepraszam, wciąż nic nie wiem.

Zaskoczył ją tym niespodziewanym wybuchem — nigdy przedtem nie widziała, by coś doprowadziło go do wściekłości.

— Nie możesz tego się dowiedzieć? Musi przecież być jakiś mechanik.

— Mechanik! — powtórzył szyderczo. — Jeden przebywa na Mauritiusie, a drugi w więzieniu. Jest jeszcze trzeci, który sam siebie nazywa mechanikiem, ale tego akurat wolałbym widzieć w piekle, dokąd zresztą pewnego dnia trafi. Wybacz!

— Co się stało?

Odwrócił ku niej twarz, wziął głęboki oddech i zaczął opowiadać.

Kiedy poprzedniego wieczoru wszedł do jachtklubu, Jack Nelson siedział przy barze z Dave'em Thomasem i dwoma innymi Anglikami. Tworzyli mały, zamknięty krąg; spojrzeli na niego przelotnie i podjęli na nowo rozmowę.

Ramesh, z natury nieśmiały, nie chciał narzucać im swego towarzystwa. Przeszedł w drugi koniec baru, zamówił piwo i usiadł przy narożnym stoliku. Pił piwo powoli, aż wreszcie po pół godzinie dwaj angielscy dżentelmeni opuścili bar pożegnawszy się żarcikami z resztą towarzystwa. Wówczas Ramesh wrócił do baru i usiadł bliżej Thomasa i Nelsona, zamówił kolejne piwo, po czym spoglądając kątem oka na obu Anglików odezwał się do barmana:

— Może panowie również chcieliby się napić?

Thomas pokręcił głową i odparł dobrodusznie:

— Ja dziękuję. Muszę już iść na kolację. — Wskazując na Nelsona dodał: — Ale Jack na pewno się napije. W całym swoim życiu nigdy jeszcze nie odmówił. — Opróżnił szklankę, zszedł ze stołka barowego i ruszył do drzwi, rzuciwszy Nelsonowi na pożegnanie: — Na razie, brachu, do jutra.

Przewyciężając nieśmiałość Ramesh usiadł na zwolnionym stołku. Barman postawił oszronioną zieloną butelkę z piwem obok pełnej szklanki Nelsona.

— Pozwoli pan, że się przedstawię: Ramesh Patel, pochodzę z Bombaju.

Nelson kiwnął głową i odrzekł nie wyciągając ręki:

— Jack Nelson.

— Słyszałem, że służył pan w Marynarce Królewskiej.

Na twarzy Nelsona pojawił się wyraz irytacji.

— Kto to panu powiedział?

— Pan Radżaratnam. Widziałem się z nim dzisiaj.

Nelsonowi twarz się rozjaśniła.

— A, stary Radża. Porządny z niego gość. Tak, służyłem w Marynarce, przez całą wojnę i kilka następnych lat. To były czasy...

Upił porządny łyk i ponownie napełnił szklankę, po czym usadowił swoje zwaliste ciało wygodniej na stołku i zaczął wspominać.

Przez następną godzinę Ramesh czynił wysiłki, by zachować na twarzy wyraz szczerzego zainteresowania. Słuchał o dokonaniach Nelsona w maszynowniach jednostek morskich, począwszy od pancerników, a skończywszy na okrętach podwodnych. Od czasu do czasu wtrącał ciche „Coś takiego! Niesamowite!” Po sześciu kolejnych piwach i po wysłuchaniu opowieści o tym, jak Nelson leżąc na brzuchu przez czterdzieści osiem godzin skraplał olejem zniszczone łożyska wału na płynącym na Maltę niszczycielu, Ramesh przystąpił do rzeczy:

— Musi być pan niezrównanym mechanikiem, panie Nelson.

Anglik wzruszył ramionami na znak skromności. Jego obwisłe policzki zatrzęsły się w uśmiechu.

— No, nie dostaliśmy tyle medali co oficerowie pokładowi, ale to dzięki nam te cholerne okręty mogły pływać. Spisywaliśmy się, jak należy!

— Święta prawda — mruknął Ramesh z szacunkiem. — Przyszło mi do głowy, czy nie mógłby pan zajrzeć do mojego silnika?

Z twarzy Nelsona zniknął uśmiech.

— Pana silnika? — powtórzył.

— Właśnie, chodzi o Perkinsa P-4 — kompletnie mi nawalił.

— To wiem. Posłuchaj pan: czy po to stawiałeś mi pan te piwa?

— Ależ nie! Z ogromnym zainteresowaniem słuchałem pana opowieści.

Z twarzy Ramesha biła szczerłość. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Nelsona.

— Cholerne pajace! — wybuchnął. — Wydaje się wam, że możecie kupić facetowi parę piw, a gotów będzie wszystko dla was zrobić.

— Wcale nie tak — zaprzeczył pośpiesznie Ramesh. — To oczywiste, że panu zapłacę.

— Zapłacisz?! — ryknął Nelson. Podniósł się, doskoczył do Ramesha, i pochylił nad nim czerwoną, mokrą od potu twarz. — Ty mi zapłacisz! Uważasz, że pracuję dla takich dupków, jak ty? Chryste, gdyby ode mnie zależało, to tacy jak ty nie byłiby nawet wpuszczani za próg tego klubu!

— Naprawdę? — odparł Ramesh z rosnącą irytacją. — Ale moje piwo ci smakowało. Co jutro powiesz swojemu przyjacielowi? Ze piłeś na koszt mieszańca? — Również się podniósł. Stali mierząc się gniewnym wzrokiem. Na koniec Nelson spojrzał w stronę barmana.

— Jimmy, oddaj temu typkowi pieniądze. Zapisz piwa na mój rachunek. — A zwracając się do Ramesha, dodał: — Posłuchaj mojej rady. Lada dzień zawinie tu statek płynący do Bombaju. Zabieraj się na niego i wracaj do domu. Żaden z ciebie żeglarz i nigdy nim nie zostaniesz. Wiem o tobie wystarczająco dużo. Jesteś niczym więcej jak żalonym *babu*. Wracaj za biurko, gryzpiórku!

— Aż ciebie taki mechanik jak ze mnie baletnica! — odpalił Ramesh. — Potrafisz tylko dużo gadać. Wielki ważniacha! Siedzi, pije i się przechwala. — Wybuch gniewu był dla niego samego zaskoczeniem, ale przecież zmartwienie i frustracja musiały znaleźć gdzieś ujście. — Zwykły świętoszek — ciągnął. — Nie rządzicie już światem, panowie w hełmach korkowych i wariackich gaciach jak worki, otoczeni służbą i szcycący się przynależnością do szykownych, rasowo czystych klubów. Te dni już minęły, Nelson. Tacy jak wy powoli wymierają — zbyt powoli. Niedługo zaliczać się was będzie do wymarłych gatunków, co mnie ogromnie cieszy!

Odwrócił się i poszedł sztywnym krokiem do otwartych drzwi, pozostawiając Nelsona przy barze z rozdziawionymi ustami.

\* \* \*

— No więc, Lani, nadal nie wiem, co dolega silnikowi, czy w ogóle nadaje się do naprawy.

Lani skinęła posępnie głową, zaraz jednak uśmiechnęła się dla dodania Rameshowi otuchy i uściśnęła mu rękę.

— Nie przejmuj się, na pewno coś się jeszcze trafi... Zaraz! A ten statek z Indii, który ma przyplłynąć? Mógłbyś poprosić ich mechanika, żeby rzucił okiem na silnik.

— Też o tym myślałem i, oczywiście, spróbuję to zrobić. Tylko że statek zatrzymuje się na Seszelach zaledwie na kilka godzin.

Lani przetrwała to w myślach, po czym spytała cicho:

— Zastanawiałeś się nad tym, żeby wrócić na jego pokładzie do Bombaju?

Ramesh westchnął.

— Rozważałem taką ewentualność — przyznał. — Ale to oznaczałoby koniec moich marzeń i... No właśnie, co wtedy z tobą?

Ścisnęła mocniej jego rękę.

— Narzuciłam ci się ze swoim towarzystwem bez pytania o zgodę. Nie powinieneś się poczuwać do żadnej odpowiedzialności. Musisz postanowić, co masz robić dalej, nie zwracając sobie mną głowy.

— Wykluczone — odpowiedział jej z uśmiechem i zerknął na zegarek. — Adwokat o tej porze jest u siebie w biurze. To rozsądny człowiek. Spróbuję zasięgnąć jego rady co do jachtu. Może podpowie mi też coś w twojej sprawie. Przyjdę jeszcze raz wieczorem.

Kiedy wstali, objęła go i pocałowała w policzek.

— Głowa do góry, Ramesh — powiedziała pocieszająco. — Zapomnij o głupich ludziach pokroju Nelsona. Na pewno coś się jeszcze trafi.

\* \* \*

Spotkanie z Radžaratnamem pogrążyło go w jeszcze większej depresji. Jedyne, co adwokat potrafił mu doradzić, to żeby zwrócił się o pomoc w sprawie silnika do niejakiego Jeana Lamonta. Lamonte był kimś w rodzaju pomocnika w warsztacie nieobecnego teraz Charliego Marzzochi, ale powszechnie uważano, że zajmuje się raczej zamiataniem podłóg niż naprawą silników.

Na sprawę Lani adwokat zapatrywał się równie pesymistycznie. Po południu miał spotkać się co prawda z komisarzem policji, ale znając go dobrze, nie spodziewał się, by komisarz chciał podjąć decyzję nie czekając na powrót gubernatora. A to oznaczało, że do tego czasu Lani najpewniej pozostanie w więzieniu.

Do Ramesha odniósł się z pełnym współczuciem, ale doradzał mu obiektywizm, jeżeli nie może znaleźć kogoś kompetentnego, kto chociaż zbadałby silnik, a nie stać go na zamontowanie nowego, to przyszłość rysuje się czarno. W takim układzie powinien poważnie rozważyć ewentualność powrotu na pokładzie „State of Haryana” do Bombaju. Nie musi się wszakże śpieszyć z podjęciem decyzji: statek nie przyplynie wcześniej niż za kilka dni, a do tego czasu może coś się trafi.

„Może coś się trafi!” — powtarzał sobie Ramesh z goryczą, idąc ulicą w kierunku jachtklubu. Przy jego obecnym szczęściu mogło mu się przytrafić co najwyżej zarażenie dudem brzuszny.

Po dojściu do klubu, przy którym parkował należący do Nelsona biały Ford Escort, obszedł budynek i ruszył w ponurym nastroju w kierunku pirsu. Podniósł wzrok i stanął jak wryty: obok „Manasy”, na poobijanej skrzynce z narzędziami siedział nie kto inny tylko sam Jack Nelson. Ramesh nie wierzył przez chwilę własnym oczom. Do porządku przywołał go głos Nelsona:

— Wreszcie pan idzie, czekam już pół godziny.

Ramesh powoli ruszył bąkając pod adresem Anglika, który tymczasem wstał:

— Ale... Nic z tego nie rozumiem.

Nelson miał nieco zakłopotaną minę.

— Jak wróciłem wczoraj wieczorem do domu, wychyliłem jeszcze parę szklaneczek i zacząłem sobie to wszystko przemyśliwać. Byłem wściekły, prawda, i powiedziałem parę ostrych słów — ale pan też nie był lepszy! Później jednak myślę sobie tak: skoro Marzzochi wyjechał, a ten palant Dauvell siedzi w ciupie, to faktycznie nie ma nikogo innego...

Ramesh czuł, jak kamień spada mu z serca.

— To bardzo miło — wymamrotał — naprawdę bardzo uprzejmie...

Nelson był najwyraźniej zażenowany.

— Nie ma o czym mówić. Ostatnio jestem trochę jak wulkan... Wszystko zaczęło się od śmierci żony... Ale nic, zapomnijmy o tym, co było, i spójrzmy na ten dziadowski silnik.

Ramesh pomógł mu wnieść skrzynkę z narzędziami na pokład.

— W każdym razie niech pan sobie nie robi zbyt wielkich nadziei — przestrzegł go Nelson. — Czasem trochę zalewam, ale faktem jest, że byłem naprawdę dobrym mechanikiem. Tylko że słowa „byłem” nie używam bez przyczyny. Przez ostatnie piętnaście lat buduję drogi i nie miałem ani razu do czynienia z żadnym silnikiem okrętowym. Mówił pan, że to Perkins P-4?

Ramesh przytaknął.

— To już lepiej, ten typ silnika nie jest mi nie znany. Zaczęli je produkować tuż przed wojną. Z którego roku?

— To jeden z wczesnych modeli — odparł Ramesh z wahaniem.

Nelson się skrzywił.

— Tak czy inaczej, w tamtych czasach budowali rzeczywiście dobre silniki — przyjrzyjmy mu się.

Taszcząc skrzynkę, zeszli z pokładu do saloniku. Nelson obejrzał pomieszczenie i przyznał:

— Widzę, że dba pan o czystość.

— Dziękuję. Tu jest przejście do maszynowni.

Ramesh ruszył przodem, po czym wcisnął się w kąt korytarza, by przepuścić Nelsona przez małe drzwiczki.

Nelson obejrzał silnik kiwając głową i na koniec powiedział:

— Proszę opisać dokładnie, co się stało.

— Zaczęło się w czasie psiej wachty. Byłem wtedy na pokładzie, ale trochę drzemałem. Nagle usłyszałem stukot. Kiedy sięgnąłem do przepustnicy, rozległo się głośne uderzenie i silnik przestał pracować.

Nelson wciągnął ze świstem powietrze przez zęby.

— Hm, brzmi to nieciekawie. I potem nie chciał się już obracać?

— Nie, co najwyżej o parę stopni. Jaka może być przyczyna?

Nelson wzruszył ramionami.

— Przyczyn może być wiele. Najpierw zdejmę pokrywę skrzyni rozrządu i zajrzę do środka.

Zdażył się już spocić w otaczającej go ciasnocie. Rozpinając guziki koszuli orzekł:

— Trochę to potrwa. Jest faktycznie stary, będzie mi chyba potrzebny przecinak ślusarski. Mógłby pan przyciągnąć do mnie skrzynkę z narzędziami? A potem skoczyć do klubu i poprosić Jimmy'ego, żeby dał kilka piw w pojemniku z lodem?



Podał Rameshowi koszulę i dopowiedział z lekkim uśmiechem:

— Niech je dopisze na mój rachunek. — Zanim Ramesh zdążył zaprotestować, odwrócił się i pochylił nad silnikiem cmokając z dezaprobatą.

W drodze do jachtklubu Ramesh sam sobie w duchu wymyślał. Kiedy bowiem Nelson zdjął koszulę i nachylił się nad silnikiem, tuż nad paskiem spodenek, po prawej stronie jego pleców, Ramesh ujrzał szeroki na piętnaście centymetrów pas plastiku. Rozpoznał go natychmiast: było to zakończenie woreczka przetokowego, widomy znak, że Nelson poddał się operacji na raka jelit. Taką samą operację przeszła matka Ramesha na kilka miesięcy przed śmiercią. W tym kryła się przyczyna, że Nelson tracił na wadze i miał ziemistą cerę. Świadomość zbliżającej się śmierci nie pozostawała z pewnością bez wpływu na jego drażliwość.

Ramesh z całego serca żałował, że nie może cofnąć niektórych słów wypowiedzianych nieopatrznie wczorajszego wieczoru.

## 10

— Jakie wiadomości chce pan usłyszeć najpierw: złe, fatalne czy katastrofalne?

Jack Nelson spojrział pytająco na Ramesha i pociągnął łyk z ostatniej butelki piwa. Pocił się po niedawno zakończonej pracy.

Siedzieli na brezentowych krzesłach pod daszkiem na pokładzie rufowym. Było południe i słońce stojące w zenicie grzało niemiłosiernie.

— Aż tak źle? — spytał ponuro Ramesh.

Nelson przytaknął. Jego twarz w lejącym się z nieba żarze przybrała ceglastoczerwona barwę.

— Przedstawię to jak najprościej. Po odpiłowaniu pokrywy skrzyni rozrzędu przekonałem się, że oś dźwigienek zaworowych jest przesunięta i pogięta. Zawory były zakleszczone. Wiedziałem już, że mamy do czynienia z poważną awarią rozrzędu. Wymontowałem rozsuwne koło pasowe, amortyzator i osłonę napędu rozrzędu — wszystko było zardzewiałe i zakleszczone. Okazało się, że pękł łańcuch napędu rozrzędu, co doprowadziło do wyłamania niektórych zębów w pędnym kole łańcuchowym. W rezultacie silnik jest bardzo chory i wymaga poważnej interwencji chirurgicznej, którą może przeprowadzić doświadczony chirurg geriatra.

— Ale da się go naprawić? — Ramesh spytał żałośnie.

Nelson pociągnął zdrowo z butelki i odetchnął głęboko.

— Wszystko można naprawić, trzeba tylko mieć czas, części zamienne, narzędzia i odpowiednią wiedzę. Ale jest to brudna, nielekka, irytująca i frustrująca robota. Jeśli chodzi o części, to znalazłem kilka rzeczy na pana jachcie w skrzyni z częściami zamiennymi. Na przykład stare zawory, które przy odrobinie szczęścia da się może przeszlifować, i uszczelkę głowicy cylindra. Gorzej będzie z łańcuchem napędu rozrzędu. Gdyby udało się znaleźć jakiś na lądzie, to byłby to dopiero początek. Koło łańcuchowe trzeba będzie zespawać, a uszkodzone zęby odtworzyć poprzez pilnikowanie, a następnie utwardzić je powierzchniowo. Należy starannie wyprostować oś dźwigienek zaworowych i jedną dźwignię pędną. Po zdjęciu głowicy na pewno okaże się, że zawory, a możliwe, że i uszczelniacze tłoków, są zepsute. Po wyregulowaniu zaworów i pompy

paliwowej przyjdzie kolej na umocowanie koła łańcuchowego i łańcucha napędu rozrządu. Trzeba będzie zrobić uszczelniacz korkowy i zamontować na nowo rozsuwne koło pasowe. Potem koło pasowe i tak dalej.

Ramesh na próżno usiłował zrozumieć wszystko, co słyszy. Potrząsał głową zdeorientowany, a Nelson nieubłaganie ciągnął dalej:

— Po tym wszystkim trzeba założyć z powrotem głowicę cylindra i stawidła, sprawdzić ustawienie rozrządu, zamontować wtryskiwacze, rury dolotowe, układ wydechowy i rurki pomocnicze — tak naprawę to kompletna przebudowa.

Przerwał dla wzięcia oddechu, po czym wlał w siebie kolejną porcję piwa, patrząc na całkiem osłupiałego Ramesha.

— No tak, wiem, dla pana to prawdziwa chińszczyzna. Powiem zatem językiem zrozumiałym dla laika: najwyższej klasy mechanik, mający do dyspozycji odpowiedni warsztat i części, mógłby doprowadzić taki silnik do porządku w jakieś dziesięć dni. Jedyny, który mi przychodzi do głowy, to Charlie Marzzochi. Chłopak jest młody i bez formalnego przygotowania, ale ma serce do silników — no i warsztat. Będzie tylko kłopot ze znalezieniem łańcucha napędu rozrządu. Niestety, Marzzochi na razie wyjechał i może go nie być przez kilka tygodni. Jak długo może pan czekać?

Ramesh rozłożył ręce.

— Nie mam harmonogramu rejsu. Ale widzę, że zanoszą się na ogromne koszty.

— Niezupełnie — zaprzeczył Nelson. — Za dziesięć dni pracy Marzzochi policzy sobie dwa do trzech tysięcy rupii — o ile, oczywiście, znajdzie ten łańcuch i... — Przerwał raptownie i zmarszczył czoło z namysłem. — Zaraz, zaraz... No tak, przypominam sobie. W ubiegłym roku oprowadzał mnie po swoim warsztacie — porządek, że aż miło — i przy tej okazji widziałem u niego stare silniki z przeznaczeniem na części. Miał też takiego samego Perkinsa — został tylko szkielet, ale z łańcuchem.

Nelson zgarbił się i pochylił do przodu, ściskając w prawej dłoni pustą już butelkę po piwie. Zacisnął wargi i zaczął się zastanawiać. Po kilku minutach podniósł wolno wzrok na Ramesha i na jego spoconej twarzy o obwisłych policzkach wykwitł szeroki uśmiech, który rozjaśnił do niedawna mroczny nastrój.

Ramesh odpowiedział ostrożnym uśmiechem, jakby i jemu udzieliła się nagła poprawa humoru.

— Wiem! — odezwał się Nelson z emfazą. — Dajmy sobie spokój z Marzzochim — ja to zrobię!

W zapadłej ciszy patrzyli na siebie. Nelson miał wciąż na twarzy lekki uśmiech.

— To możliwe? — spytał Ramesh cicho.

Nelson usiadł wygodnie na krześle i postawił ostrożnie butelkę na deskach pokładu.

— Tak! — potwierdził z mocą. — Charlie nie będzie miał nic przeciwko temu, bym skorzystał z jego warsztatu. Naprawię to cholerstwo!

Wpadł niemal w euforię. Ramesh domyślał się przyczyny. Od trzech godzin Anglik przeżywał na nowo swoją młodość, odkrywając dawne umiejętności i przyjemność płynącą z wysiłku. Przed urodzonym mechanikiem stanęło wyzwanie: sprawić, by stary, wymęczony kawał żelastwa zaczął na nowo pracować. Udowodnić samemu sobie, że talent, jeśli nawet przez długi czas usypiony, wciąż jest mu dany.

Mimo trawiącego go niepokoju Ramesh odczuł nagłą radość na widok entuzjazmu Nelsona i dziwne zadowolenie, że sam jest ignorantem.

Nelson, w ogromnym skupieniu, mówił jakby do siebie:

— Parę dni na rozmontowanie i wyjęcie głowicy cylindra i innych zniszczonych rzeczy, reszta roboty w warsztacie... Zabiorę się do pracy po lunchu.

Wstał i zaczął przemierzać pokład — trzy kroki w jedną, trzy kroki w drugą stronę. Patrząc na niego Ramesh dojrzał pod sflaczałą, otyłą powłoką tryskającego młodością, energią i inwencją męczyzną, który potrafił leżeć przez czterdzieści osiem godzin na brzuchu skraplając olejem łożyska wału na płynącym niszczycielu. Uśmiechnął się i powiedział:

— Teraz wiem: to pan mi się przytrafił, panie Nelson!

— Nie bardzo rozumiem?

— Nieważne. Przepraszam za wczorajszy wieczór. A co do pana spodenek, to „wariackie” odwołuję, ale workowate są w istocie!

Nelson skrzywił twarz w uśmiechu.

— Przyjmuję. A tak w ogóle, mam na imię Jack. — Przystanął i wyciągnął rękę.  
— Zaczniemy wszystko od początku.

Ramesh wstał i uroczyście uścisnął podaną mu dłoń.

— Jestem Ramesh.

Zapadła krótka, nieco niezręczna cisza, jaka towarzyszy często początkom przyjaźni ludzi o z gruntu nieśmiałych, odmiennych charakterach. Pierwszy odezwał się Ramesh:

— Co byś powiedział na lunch?

— Dobry pomysł. A przy okazji, co się dzieje z twoją pasażerką na gapę?

Rameshowi w jednej chwili zrzęda mina.

— W tym właśnie problem. Trzymają ją w więzieniu do czasu powrotu gubernatora. Dziś po południu adwokat Radżaratnam ma spotkać się z komisarzem policji, żeby zabiegać o jej uwolnienie... Ale nie jest zbyt wielkim optymistą.

— A jeśli uda mu się ją wyciągnąć?

Ramesh wzruszył ramionami.

— Gdyby udało ci się naprawić silnik, zabrałbym ją ze sobą. Dziewczyna nie ma żadnego domu, poza tym trochę się zżyliśmy...

Nelson zapinał guziki koszuli. Spojrzał na Ramesha z porozumiewawczym uśmiechem, który jednak zamarł mu na ustach na widok miny rozmówcy.

— W jakim sensie się zżyliście? — spytał z powagą.

— O, nic z tych rzeczy — zapewnił Ramesh, znów zażenowany. — Na swój sposób Lani jest wciąż dzieckiem. Martwię się o nią.

Nelson w zamyśleniu zapiął ostatni guzik.

— Tak, Bob Black to porządny chłop, ale nieskory do podejmowania decyzji. Zawsze trzeba mu było trochę w tym dopomóc. Wiesz co? Chodzi na lunch do „Seychelles Club” w Victorii; zajrzyjmy tam i pomożemy mu się namyślić.

Odwrócili się na dźwięk silnika i zobaczyli gładkopokładowy jacht motorowo-żaglowy o dwóch masztach i czarnym kadłubie, który wpłynął do portu jachtowego mijając po drodze małą wysepkę. Na pokładzie dziobowym stało trzech mężczyzn, a za sterem potężnej postury mężczyzna o krótkiej czarnej brodzie i czarnych zmierzwionych włosach porastających ramiona i odkrytą klatkę piersiową.

— „Jaloud” — mruknął Nelson posępnie i dodał pokazując głową sternika: — Danny Lascelles. Trzymaj się od niego z daleka. To kawał sukinsyna. No dobra, zbieramy się.

Zeszli z pokładu i ruszyli pomostem: wysoki, śniadoskóry pół Hindus, pół Anglik i gruby Brytyjczyk o sflaczałym ciele. Szli żwawym, lekkim krokiem.

## **KSIĘGA DRUGA**

## 11

Siarczyste odgłosy uderzeń były dla Kirsty najokropniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszała. Ciosy spadały na ciało Cady'ego z przerażającą systematycznością. Kirsty stała oniemiała i sparaliżowana. Kiedy jednak Cady zwałił się na żwir parkingu zwijając się w kłębek, a Lascelles zaczął go kopać z dziką zawziętością, Kirsty krzyknęła i rzuciła się do przodu. Portugalczyk złapał ją od tyłu w mocnym uścisku i podniósł do góry, krzycząc i wierzgając. Reszta stała i patrzyła, jak Lascelles usiłuje kopnąć w twarz Cady'ego, który zasłaniał się ramionami. Kirsty miała wrażenie, że piekło przed jej oczami nigdy się nie skończy. Wreszcie Lascelles kopnął Cady'ego buciorem w okolicę nerki i odwrócił się. Oczy błyszczały mu sadystycznym zadowoleniem, ślina ściekała z kącika ust w brodę. Oddychając ciężko, warknął:

— To powinno nauczyć tego małego gnojka! — Wykrzywił gębę w uśmiechu do Portugalczyka i polecił: — Puść ją, Carlo.

Gdy tylko stanęła na ziemi uwolniona od jego uścisku, podbiegła ze szlochem do leżącego nieruchomo Cady'ego i upadła przy nim na kolana. Leżał nadal zwinięty w kłębek, osłaniając twarz ramionami. Wyszpeptała jego imię i spróbowała delikatnie rozłączyć zaciśnięte ramiona. W tej samej chwili na żwirowate podłoże obok niej upadł jakiś przedmiot. Zobaczyła złoty zegarek Garreta. Podniosła oczy: Lascelles szczyrzył zęby w uśmiechu.

— Zabierz sobie to gównno! — prychnął, a następnie wskazał na Cady'ego. — Piękny chłoptuś stracił co nieco na urodzie. Jak się obudzi, powiedz mu, żeby bawił się z chłopcami równymi sobie.

Odwrócił się i wszedł z powrotem do baru. Portugalczyk i reszta kompanów podążyli za nim.

W trzy godziny później Kirsty siedziała samotnie przy stoliku na tarasie hotelu „Northolme”. Rozciągająca się w dole mała zatoczka z piaszczystą plażą zwróconą ku samotnej skale, na której w sposób graniczący z cudem rosła samotna palma kokosowa, oraz zachód słońca zdobiący niebo czerwoną poświatą, tworzyły idylliczną scenerię jakże kontrastującą z mrokiem spowijającym jej serce.

Gdy udało się jej wreszcie rozłączyć zaciśnięte ramiona Cady'ego, zamiast twarzy zobaczyła jedną czerwoną miazgę. Zakrztusiła się i o mało nie wymiotowała. Zerwała się szybko i podbiegła do drogi. Właśnie zjeżdżał ze wzgórza *camion*, jaskrawo pomalowana ciężarówka, jakiej mieszkańcy Seszeli używają w charakterze autobusów. Samochód był wypełniony robotnikami z plantacji wracającymi do domu. Wybiegła na środek drogi wymachując rękami i *camion* zatrzymał się z piskiem opon. W kilka minut później czyjeś delikatne ręce wniosły Cady'ego na tył pojazdu i złożyły jego głowę na kolanach Kirsty. Ruszyli, podskakując na porytej koleinami drodze, w stronę szpitala, który na szczęście okazał się położony całkiem niedaleko.

Cady cały czas zachował przytomność, pojękiwał tylko, gdy samochód podskakiwał na wybojach. Kirsty, która pierwszy raz widziała tak zmasakrowaną twarz, myślała z początku, że Cady umiera. Miał wargi spuchnięte jak dętki, zgnieciony i przesunięty nos, z kilku ran ciekła krew. Wyglądał, jakby wszedł przez nieuważę pod szybkoobrotowy wentylator o zaostrzonych łopatkach. W tym momencie przypomniała sobie ciężkie złote pierścienie na palcach Lascellesa i do uczucia niepokoju dołączył gniew. Cady miał jedno oko zamknięte, ale drugim patrzył na nią. Pochyliła głowę ku niemu.

— Nie martw się — szepnęła mu prosto do ucha. — Za kilka minut będziemy w szpitalu.

Kiwnął niemrawo głową i poruszył ustami, jakby próbował coś powiedzieć. Zaraz potem jednak zobaczyła, jak spośród zakrwawionych, opuchniętych warg wysuwa się, wypychane językiem, coś białego: kawałek złamanego zęba. Zdjęła go ostrożnie z dolnej wargi i, nie wiedząc, co z nim zrobić, trzymała w dłoni.

W szpitalu szybko znalazły się nosze i Cady został zaniesiony do izby pourazowej. Pielęgniarka zaczęła mu właśnie wycierać krew z twarzy, gdy nadszedł irlandzki lekarz o nazwisku O'Reilly. Kirsty poczuła od niego zapach whisky, mimo to zrobił na niej wrażenie osoby nader kompetentnej. Po krótkim badaniu poprosił Kirsty, aby poczekała na zewnątrz. Usiadła na krześle na korytarzu. Niezadługo zjawiała się pielęgniarka z filiżanką herbaty, informując ją z dumą w głosie, że do herbaty dołała prawdziwego krowiego mleka; niewątpliwie stanowiło ono na wyspie rzadkość.

W pół godziny później wyszedł O'Reilly, wycierając ręce w ręcznik. Spojrzał na wystraszoną minę Kirsty i uśmiechnął się.

— Proszę się nie martwić, wyjdzie z tego.

Usiadł obok niej, przerzucił zakrwawiony ręcznik przez kolano, wyjął paczkę papierosów i chciał ją poczęstować. Pokręciła głową z lekkim zniecierpliwieniem. Sam zapalił, zaciągnął się głęboko, a następnie wypuścił wolno dym z ciężkim westchnieniem.

— Danny Lascelles — powiedział przeciągle. — Gdybym miał prywatną praktykę, to wystarczyłoby mi wynająć tego bandytę, a przysyłałby mi tylu pacjentów, że żyłbym sobie w dostatku.



— Jest bardzo źle? — spytała.

— Nie tak źle, jak na to wygląda — zapewnił O'Reilly. — Nos jest na pewno złamany, pękła też przypuszczalnie kość policzkowa, poszło może parę żeber. Ale to będę wiedział dopiero wtedy, gdy zjawi się radiolog i zrobi prześwietlenia. Poza tym pani znajomy odniósł też z pewnością wewnętrzne obrażenia. Stary Morey, tutejszy dentysta, będzie miał przy nim kilka godzin pracy. Lascelles i tym razem spisał się na piątkę. Takie samo lanie spuścił parę miesięcy temu jednemu brytyjskiemu marynarzowi ze statku handlowego. Też w „Trianon”. Jakies nieporozumienia przy pokerze...

Przerażenie zaczęło ustępować z twarz Kirsty.

— Czyli wyjdzie z tego?

O'Reilly skinął głową.

— Będę tego całkowicie pewny dopiero po zobaczeniu zdjęć rentgenowskich. Ale na szczęście jest młody, silny i wysportowany. Trzeba będzie zaszyć cięte rany twarzy, pozostaną mu więc blizny. Przyjdzie mi też popracować trochę nad nosem. — Zaciągnął się w zamyśleniu dymem z papierosa. — Był przedtem przystojny? Bo teraz trudno to orzec.

— Tak, bardzo — przyznała Kirsty i mimo ponurego nastroju musiała się uśmiechnąć. — Nie sądzę jednak, by blizny i złamany nos zbyt go zmartwiły.

O'Reilly rzucił jej pytające spojrzenie i otwierał już usta, by coś powiedzieć, gdy na korytarzu pojawił się szybko kroczący młody mężczyzna o śniadej skórze.

— Leclerc, nasz radiolog — wyjaśnił O'Reilly i wstawszy z krzesła przedstawił Kirsty koledze. Żegnając się w końcu z Kirsty, oznajmił: — Za pół godziny zrobimy prześwietlenie. Potem może się pani z nim zobaczyć. Potrzymam go w szpitalu dwa, trzy dni na obserwacji. Odwiedzić go pani będzie mogła jutro rano o jedenastej. — Uśmiechnął się. — Poproszę dentystę, żeby zjawił się wcześniej i doprowadził bużkę pani przyjaciela do jako takiego porządku.

\* \* \*

Słońce zaszło już za linię horyzontu i oddalona o dziesięć mil wyspa Silhouette przypominała teraz, zgodnie ze swą nazwą, „ciemny kontur”: wyglądała na tle czerwonego nieba jak czarna góra. Kirsty powróciła wspomnieniami do ostatnich wydarzeń.

Zanim „State of Haryana” zawinał na Seszele, jej przyjaźń z Cadym znacznie się pogłębiła. Pociągał ją fizycznie, mimo to ani razu nie pomyślała o romansie. Uczucie miało charakter platoniczny i takim powinno pozostać. Przekonywała o tym sama siebie mając jednocześnie nadzieję, że jego uczucia i oczekiwania są takie same.

Reszta podróży upłynęła w więcej niż miłej atmosferze. Wraz z państwem Savy i Stevens tworzyli dobre grono, zapewniające miłe, pogodne towarzystwo i interesujące tematy do rozmowy.

Kiedy statek zakotwiczył na redzie, łódź zawiozła ich na długi pirs, gdzie przeszli odprawę celną. W drodze na brzeg Cady spytał sternika, czy jacht „Jaloud” stoi w porcie. Ten skinął głową i wskazał dwa czarne maszty wystające nad falochronem przy jacht-klubie. Pożegnali się z państwem Savy obiecując uroczyście, że postarają się odwiedzić ich na Bird Island. Stevens zatelefonował do hotelu „Northolme” i załatwił im rezerwację, po czym, nie zważając na protesty obojga, odwiózł ich krętą nadbrzeżną drogą i przedstawił właścicielce. Pani White była wdową i prowadziła hotel przy pomocy dwunastoletniej córki i kilkorga osób lokalnego personelu. Żegnając Kirsty i Cady’ego Stevens ponowił gorące zaproszenie na kolację, kiedy tylko ustalili datę z żoną.

Hotel mieścił się w przerobionym budynku plantacyjnym, wśród kwiecistych ogrodów i stwarzał czarującą atmosferę. Miał drewniane, skrzypiące podłogi, stare meble i roztaczał się z niego panoramiczny widok na ocean. Pani White, postawna, czerstwo wyglądająca kobieta, zgotowała im serdeczne powitanie. Kirsty jednak uczestniczyła w nim tylko ciałem, paląc się z niecierpliwości do spotkania z Lascellesem. Poprosiła panią White o zatelefonowanie po taksówkę i pośpiesznie rozpakowała walizkę.

Jadąc do klubu jachtowego oboje byli milczący i pogrążeni w myślach. Z natury rozmowny taksówkarz wskazywał mijane interesujące miejsca, szybko jednak wyczuł nastroj pasażerów i sam zapadł w milczenie.

Klub jachtowy był zupełnie pusty, nie licząc zaspanego barmana. Było wczesne popołudnie, pora, gdy większość mieszkańców zażywała sjesty. Wyszli na balkon i stali przez kilka minut przyglądając się jachtowi o czarnym kadłubie. Utrzymany w porządku pokład był opustoszały. Kirsty spróbowała wyobrazić sobie Garreta, w tamtą sztormową noc, jak uwija się po pokładzie, nagle traci równowagę i wypada za burtę. Jej uwagę zwróciły otaczające pokład wysokie wsporniki i biegnące między nimi dwa rzędy napiętych drutów. Była to gładkopokładowa łódź o szerokim kadłubie i zewnętrznym stanowisku sterowym umieszczonym za niską pokładówką.

Zastanawiała się właśnie, czy Lascelles jest może pod pokładem, kiedy Cady odwrócił się i zawołał do barmana:

— Wie pan, czy Lascelles jest na swoim jachcie?

Barman przerwał drzemkę i pokręcił głową.

— Dzisiaj piątek, to poszli na pokera do „Trianon”.

— Gdzie to jest?

Barman pokazał palcem za siebie.

— Na stoku, przy drodze do Beau Vallon. To taki bar ze spiczastym, zielonym dachem.

Pojechali tam taksówką. Na miejscu zapłacili taksówkarzowi i odesłali go: powrotną drogę mogli przebyć z powodzeniem pieszo, od Victorii dzielił ich bowiem krótki spacer w dół stoku.

Bar był brudny i mroczny. Kiedy oczy przywykły jej do panującego mroku, doznała przykrego zawodu: poza siedzącą przy barze Mulatką w brudnej sukience i starcem, który stał za kontuarem polerując szklanki, w sali nie było nikogo.

Usłyszała za sobą pytający głos Cady'ego:

— Lascelles?

Dziewczyna wyciągnęła palec z polakierowanym na czerwono paznokciem, pokazując przeciwny kąt baru. Nie było tam nikogo, ale Kirsty spostrzegła brązową klamkę i niewyraźny kontur drzwi pomalowanych tak jak ściany na ciemnozielono. Zdeteminowana, czując obecność Cady'ego za plecami, podeszła do drzwi, otworzyła je i znalazła się na wprost drewnianych schodów.

Na ich szczycie dojrzała kolejne drzwi, zza których dobiegał szmer głosów.

Stojący u jej boku Cady zapytał cicho:

— Chcesz, żebym poszedł pierwszy?

Potrząsnęła stanowczo głową i ruszyła po schodach. Na górze przystanęła, nabrała powietrza w płuca, po czym otworzyła drzwi i przekroczyła próg.

Znajdowała się na dużym poddaszu bez okna. Jedynym źródłem światła była pojedyncza żarówka bez klosza, która oświetlała drewniany stół i pięciu siedzących wokół niego mężczyzn. Stół zagracały butelki, szklanki, przepełnione popielniczki i kupki pieniędzy. Wnętrze wypełniał odór piwa, potu i chciwości. Najbardziej imponujący stosik pieniędzy leżał przed znajdującym się na wprost niej mężczyzną, którego zwalista sylwetka przywodziła na myśl solidną szafę. Na twarzy nieznanego malowała się mina osobnika zawsze skorego do awantur. Miał szeroko rozstawione, wąskie oczy, a stercząca broda nadawała mu dominujący, władczy wygląd. Położył prawą dłoń na talii kart, pokazując zdobiące palce ciężkie, złote pierścienie. Kolejny pierścień nosił na palcu lewej dłoni, ściskającej teraz szklankę z whisky. Na nadgarstku lewej ręki Kirsty dojrzała migoczący w świetle złoty zegarek i wiedziała już, że stoi twarzą w twarz z Dannym Lascellesem.

Oczy wszystkich mężczyzn skierowane były na nią i na potężnego blondyna u jej boku. Gracz siedzący po prawej ręce Lascellesa, równy mu niemal posturą i jeszcze bardziej śniady na twarzy, skrzywił się w uśmiechu i odezwał z ciężkim akcentem:

— Co, skarbie, chcesz się przyłączyć?

Zignorowała go całkowicie. Nie spuszczała wzroku z twarzy Lascellesa, na której widać było oczekiwanie. A może już się domyślał?

— Pan nazywa się Danny Lascelles — zaczęła.

— Zgadza się, paniusiu, i co z tego?

— Jestem Kirsty Haywood.

Skinał głową siląc się na powagę i wykrzywił w półuśmiechu cienkie wargi. Podniósł szklankę w stronę Kirsty.

— Jestem matką Garreta Haywooda — oznajmiła, pochylając się w jego stronę.

Przez chwilę Lascelles jeszcze nie kojarzył. Kiedy zrozumiał, uśmiech zamarł mu na twarzy. Opuścił wolno szklankę. Na moment zapadła cisza. Przerwał ją Lascelles.

— Aha, to ten chłopak, który utonął...

— Nie, panie Lascelles. Garret nie utonął, on żyje.

Wpatrywała się uważnie w jego oczy i przez krótki, odbierany niemal w podświadomości moment dojrzała w nich to, co spodziewała się zobaczyć, kiedy postanawiała poświęcić wszystko i przemierzyć tysiące kilometrów. Nie był to szok ani zaskoczenie, lecz nieomylny wyraz zwierzęcej paniki.

Lascelles był pokerzystą i już w sekundę później jego oczy znów stały się puste. Ale Kirsty przepełniała teraz pewność i ulga: zobaczyła to, co miała nadzieję zobaczyć.

— Żyje? — mruknął Lascelles i spojrzał zezem na siedzącego obok towarzysza, który spoglądał na Kirsty z zaciekawieniem. — Co pani chce przez to powiedzieć? — dociękał Lascelles. — W jaki sposób mógłby... Gdzie niby teraz jest?

Kirsty wymierzyła palec w jego stronę. Podniosła głos.

— Pan dobrze wie, gdzie jest mój syn. I pan mi to powie.

Lascelles rozsiadł się wygodnie w krześle, które zatrzeszczało pod jego ciężarem. Miał mętłą minę.

— Skąd to pani przyszło do głowy? Skąd ta pewność, że on żyje?

— Po prostu wiem.

— Ale na jakiej podstawie? — powtórzył z narastającą agresją. Nie doczekawszy się odpowiedzi, kiwnął głową jakby na znak potwierdzenia i spojrzał znowu na swego sąsiada.

— Intuicja — orzekł. — Albo instynkt matki. Nic w tym niezwykłego. Przykro mi, pani Haywood, ale pani dzieciak nie żyje. — Wskazał na prawo. — Carlo był wtedy ze mną. Szalał paskudny sztorm i zdarzył się jeden z tych cholernych wypadków, które nigdy nie powinny mieć miejsca, ale do których czasem dochodzi. Szukaliśmy go przez trzy dni. Tak było, Carlo?

Portugalczyk przytaknął z ponurą miną.

— Prawda. Morze huštało jak diabli. Przykro mi, dobry był z niego dzieciak. Takie rzeczy się zdarzają.

Obaj pokiwali zgodnie głowami. Lascelles przybrał minę mającą imitować współczucie.

Palec Kirsty mierzył ponownie w stronę Lascellesa. Tym razem celował w nadgarstek lewej ręki.

— Skąd ma pan ten zegarek?

Lascelles przeniósł niespiesznie wzrok na zegarek. Potem spojrzał na leżącą przed nim talię kart i puknął w nie żółtym od nikotyny palcem.

— Wygrałem go w pokera.

— To zegarek Garreta — wypaliła.

— Zgadza się — przytaknął. — Wygrałem od niego w pokera.

Kirsty pokręciła stanowczo głową.

— Nigdy nie grałby o niego w karty. Zegarek był pamiątką po jego ojcu i Garret traktował go jak największy skarb.

Lascalles wzruszył ramionami.

— Zagalopował się w grze i zgrał się do czysta. Mężczyzna musi płacić karciane długi.

— Jest pan kłamcą!

Twarz Lascallesa zmieniła się w okamgnieniu. Czarna broda wysunęła się wojowniczo do przodu, wargi skrzywiły się w gniewie.

— Dziękuj Bogu, że jesteś kobietą! — warknął. — Gdyby coś takiego powiedział mężczyzna, rozwalilibym mu łeb!

W tym momencie do rozmowy wtrącił się Cady. Przysunął się do Kirsty i wycodził przez zęby:

— Ja też nazywam cię kłamcą, Lascalles. A na wypadek, gdybyś tego nie zauważył, informuję cię, że nie jestem kobietą.

W jednej sekundzie Kirsty przestała dla wszystkich istnieć. Przywołując później na pamięć całą scenę widziała wyraźnie, że wstępna faza przypominała swoisty rytuał, coś w rodzaju plemiennego tańca wojennego. Spojrzenia, ruchy, wymiana zdań — wszystko toczyło się w myśl ustalonego rytuału. Cady spytał, patrząc na czterech towarzyszy Lascallesa:

— Oni też?

Lascalles odparł z pogardą w głosie:

— Za mnie nikt nie musi walczyć.

Zeszli całą grupą po schodach i wyszli z baru na słońce. Kirsty zżerał niepokój. Na parkingu chwyciła Cady'ego za ramię i poprosiła z napięciem:

— Daj sobie spokój, Cady. Chodźmy stąd.

Odsunął ją i szedł dalej z zaciętą miną. Podobnie jak Lascalles, stawiał nogi w dziwnie sztywny sposób.

Zatrzymali się pośrodku parkingu. Reszta mężczyzn otoczyła ich kołem. Carlo stał blisko Kirsty z rozgorzałym wzrokiem.

Obu dzieliły nie więcej jak dwa metry. Na twarzy Lascallesa błąkał się uśmiezek. Łypnął okiem na Cady'ego i spytał:

— Zdejmujemy koszule?

Cady przytaknął i dodał wskazując na palce Lascallesa:

— Pierścienie też.

— Oczywiście.

Cady spuścił głowę i zaczął rozpinać guziki koszuli, Lascelles tymczasem zabrał się za ściąganie pierwszego pierścienia. Zawołał do Carla:

— Mógłbyś mi je potrzymać? — i posunął się od niechcienia do przodu.

Cady podniósł błyskawicznie oczy, ale było już za późno. Prawa pięść Lascellesa, uzbrojona w pierścienie, zdążyła wylądować na jego szczęce.

Ten cios zdecydował o losach walki. Oczy Cady'ego zasnuły się mgłą. Próbował jeszcze chwycić przeciwnika za bary, ale Lascelles wymierzył mu dwa potężne ciosy w brzuch pozbawiając go oddechu. Następnie, wykorzystując swą przewagę, z uśmiechem na ustach zaczął walić w twarz i korpus Cady'ego niczym w worek treningowy, aż Cady runął na ziemię jak ścięte drzewo i Lascelles mógł przystąpić do kopania leżącego.

— Zrobiłem już koło łańcuchowe — oznajmił Nelson z zadowoleniem. Upił spory łyk piwa i postawił kufel na stole.

Ramesh i Lani wymamrotali słowa podziwu. Siedzieli na tarasie barowym hotelu „Northolme”, tym samym co Kirsty, tyle że w drugim końcu. Przy barze piło drinki sześciu wyspiarzy.

— To musi być bardzo ciężka praca — zauważyła Lani i posłała Nelsonowi jeden ze swoich uśmiechów. Zawładnęła nim już całkowicie. Należał do tych mężczyzn, którzy w obecności pięknej kobiety zaczynają nagle rozkwitać; cechująca go gnuśność ustępowała wówczas miejsca jowialności i dowcipowi. Pokiwał głową jak mędrzec.

— Nie inaczej, dziecino. To trochę tak, jakby wziąć starą, rozklekotaną damulkę i przerobić ją na... na taką ślicznotkę jak ty.

Lani odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

— Świetnie. Kiedy będę stara i rozklekotana, zwrócę się do ciebie.

Nelson na moment zmarkotniał, ale zaraz się rozchmurzył.

— Bardzo proszę, dziecino. Wymienię ci koło łańcuchowe i łańcuch, i ustawię ci zawory.

— Tak bym chciał być w czymś pomocny — wtrącił się Ramesh. — Czuję się tylko niepotrzebnym gapiem.

— Nie martw się — pocieszył go Nelson. — Tak to już jest, że jedni są bardziej uzdolnieni technicznie od innych. W Marynarce zostałbyś pewnie oficerem pokładowym. W każdym razie przynajmniej patrzysz i uczysz się, jak silnik działa.

— To prawda! — przytaknął Ramesh z entuzjazmem. — Tyle już się nauczyłem... To, co było czarną magią, okazuje się najprawdziwszą medycyną.

Nelson skinął na barmana i rozsiadł się wygodnie w trzcinowym krześle. Był z siebie najwyraźniej zadowolony. Co jakiś czas zerkał na samotną kobietę, siedzącą po drugiej stronie tarasu.

— Jeszcze jakiś tydzień — podjął — i będziemy mogli sprawdzić, jak silnik działa. Później rozbiorę i sprawdzę pompę zęzową... Rzucę też okiem na toaletę, no, w ogóle obejrzę wszystkie urządzenia mechaniczne. Potem możesz ruszać.

Ramesh zaczął bąkać podziękowania, kiedy podeszła do nich potężnie zbudowana kobieta. Postawiła szklankę przed pustym krzesłem i usiadła.

— Jak się masz, Jack — powiedziała. — Posiedzę z wami z dziesięć minut i popatrzę, jak Fiona karmi ryby, potem wracam do kuchni.

Nelson przedstawił przybyłą jako panią Joan White, właścicielkę hotelu, zapoznał ją pokrótce z odyseją dwójki swoich przyjaciół i zakończył pytaniem:

— A co u ciebie, Joan? Jak interesy?

Joan wzruszyła ramionami.

— Całkiem spokojnie, jak na tę porę roku. Mam tylko dwoje gości z „Haryany” — jedno z nich trafiło właśnie do szpitala.

— Co się stało?

— Bóg jeden wie. Przyszli — kobieta i młodszy od niej mężczyzna — rozpakowali się, pojechali taksówką do Victorii i wylądowali najpewniej w tej melinie „Trianon”. Był tam Lascelles i stłukł faceta na kwaśne jabłko.

Nelson zaklął pod nosem.

— Cały Lascelles: lepiej mieć do czynienia z odbezpieczonym granatem niż z nim. — Wskazał głową na drugi koniec tarasu. — To ta kobieta?

Joan przytaknęła.

— Ona jest Amerykanką, jej towarzysz Kanadyjczykiem. Przystojny, postawny mężczyzna. Wygląda na to, że poznali się na statku.

Ramesh i Lani odwrócili się w stronę samotnie siedzącej kobiety.

— Sprawia wrażenie bardzo przygnębionej — skomentował Ramesh.

— Tak z pewnością jest — przyznała Joan. — Nie wiem, czy są kochankami — zamówili oddzielne pokoje. Jack, a może zaprosiłbyś ją na kolację do waszego stolika? — Mrugnęła okiem. — Może dzięki twojemu czarowi udałoby ci się ją rozweselić.

Nelson zrobił minę pełną powątpiewania, ale Lani krzyknęła:

— Ależ tak! Idź do niej, Jack, trochę ją rozerwiesz!

W tej właśnie chwili przeszła koło nich młoda, korpulentna dziewczyna z talerzem.

— Chodźcie — poderwał ich Jack. — Nie możecie przegapić wieczornego rytuału.

Wraz z innymi gośćmi z baru podeszli do brzegu tarasu. Mała zatoczka leżała nie dalej niż dziesięć metrów pod nimi. Lampa umieszczona na podwodnych skałach rozświetlała wodę i piaszczyste dno, ukazując ze dwa tuziny jaskrawo kolorowych ryb, które pływały wokół w pełnym podniecenia oczekiwaniu. Niektóre miały kilkanaście centymetrów, inne dochodziły do blisko metra długości. Korpulentna dziewczyna zeszła na plażę. Miała boscie nogi i czerwony podwinięty sarong. Kiedy znalazła się po kolana w wodzie, wzięła coś z talerza i przytrzymała pod wodą. Natychmiast podpłynęła jedna z dużych ryb i delikatnie chwyciła pokarm z palców dziewczyny. Lani zaśmiała się radośnie i klasnęła w dłonie. Karmienie trwało dziesięć minut. Dziewczyna pilnowa-



ła, żeby każda z ryb dostała po kawałku — odpędzała większe sztuki, by mniejsze miały też szansę coś zjeść.

Nelson, który stał blisko Amerykanki, usłyszał jej głośny komentarz:

— Coś takiego, jak tresowane!

Odwrócił się do niej i rzekł:

— Joan zabroniła urządzać jakichkolwiek połowów w wodach zatoczki. — Wskazał na dziewczynę i ciągnął dalej: — Fiona, jej córka, zaczęła karmić ryby jeszcze jako berbec. Jedne przyplływają, inne odpływają, ale każda ma swoje imię.

Pod wpływem widowiska Amerykanka zapomniała na chwilę o swym zmartwieniu. Kiedy spektakl dobiegł końca i dziewczyna wróciła na brzeg, Jack odezwał się ponownie do swej rozmówczynie:

— Przykro mi z powodu tego, co spotkało pani przyjaciela. Odniósł poważne obrażenia?

Momentalnie poszarzała na twarzy.

— Nie jest dobrze, ale zdaniem lekarza wyjdzie z tego.

— Co to za lekarz?

— O'Reilly.

— Dobry specjalista — zapewnił Nelson. — Trochę pije, ale w końcu kto tego nie robi? — Zawahał się. — Jeżeli jest pani sama, to może dosiędzie się pani do nas na kolację? Moi przyjaciele tworzą interesującą parę... Może uda się pani zapomnieć na moment o kłopotach.

Jack Nelson nie był pociągającym mężczyzną ani typem czarusia, ale cechowała go pełna prostota i szczerść. Kobieta wahała się przez moment, wreszcie skinęła głową.

— Dobrze, dziękuję.

— Cieszę się. Jestem Jack Nelson.

— Kirsty Haywood.

W pięć minut później siedzieli już wszyscy na tarasie restauracyjnym. Jack podświadomie wyczuwał, że pani Haywood chciałaby zapomnieć o dzisiejszym incydencie, skierował zatem rozmowę na wyprawę Ramesha i Lani. Kirsty słuchała z uprzejmą uwagą, ale widać było wyraźnie, że głowę zaprzęta jej co innego. Ramesh doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Siedział naprzeciwko nowej znajomej, przyglądając się ukradkiem jej twarzy. Kiedy spojrzała mu w oczy, zmieszał się i uciekł szybko wzrokiem. Upłynęło jednak zaledwie parę minut, a znów się jej przyglądał, nie zdając sobie sprawy z tego, dlaczego to robi. Coś go w niej pociągało, ale nie od razu zrozumiał co. Kobieta nie odzywała się, skąd więc to zainteresowanie? Nagle pojął przyczynę i odkrycie to ogromnie go zmieszało: odczuwał fizyczny pociąg. Pobudzała go fizycznie! Poczł mętlik w głowie. Nie był bynajmniej obojętny na niewieścią urodę, ale jego reakcje były zawsze w pełni kontrolowane, nie przybierały wyraźnych form. Siedząca naprze-

ciwko kobieta działała na jego zmysły. Dlaczego? Czy sprawiała to jej uroda? Przyjrzał się uważnie jej twarzy: pełne usta, wystające kości policzkowe, delikatna linia podbródka. Była piękna, ale w grę wchodziło na pewno coś więcej. Lani na swój sposób też była piękna, choć może jej uroda była bardziej konwencjonalna. Musiało chodzić o coś innego. Zapatrzył się na nią i tak zamyślił, że dopiero po pewnym czasie spostrzegł, że kobieta również mu się przygląda. Zakasłał i odwrócił głowę speszony. Ale znał już odpowiedź. Dojrzał to w jej oczach, zupełnie jakby zobaczył ją całkiem nagą. Pociągała go w niej nie piękna buzia czy ciało, ale coś, co kryło się w jej duszy. Czy to możliwe? Czy kobieta może zachwycić i pobudzić mężczyznę samym swoim wnętrzem? Czuł ciekawość, niepokój i lekkie onieśmienie.

Na kolację podano miejscowe ryby w dużym wyborze, przygotowane według kuchni kreolskiej. Jack wiódł prym i przy stoliku panowała miła, swobodna atmosfera.

Kiedy jednak i jemu skończył się wątek, zapadła przygniatająca cisza i na twarzy Kirsty odbiła się jeszcze większa melancholia. Ramesh i Lani próbowali zastąpić Jacka, bez większego wszakże powodzenia. W końcu zdesperowany Ramesh nakierował rozmowę na służbę Nelsona w Marynarce Królewskiej i ten, sprytnie połączony przez Lani, zaczął wspominać wojenną przeszłość.

Po kilku opowieściach Lani spytała z figlarnym błyskiem w oku:

— Powiedz, Jack, nie zdarzyło ci się nigdy popełnić błędu? Choćby jednego?

Patrzyła na niego uśmiechnięta, z głową przechyloną na bok.

Jack przyglądał się przez moment pięknemu owalowi jej twarzy. Wreszcie pokiwał głową i spochmurniały rozpoczął swoją historię. Opowiadał ją po raz pierwszy i sam nie wiedział, co dzisiaj skłoniło go do tego. Może wpłynęła na to melancholia siedzącej obok kobiety, może świadomość, że jego życie nie potrwa już długo, a może nowo odkryta umiejętność spojrzenia na siebie z innej strony. Opowieść odnosiła się do początku wojny, kiedy Jack służył na trałowcu. Stacjonowali w Scapa Flow w Szkocji. Po szczególnie ostrej pijackiej rundzie na ładzie, pracował kilka godzin przy silnikach okrętowych. Miał kaca i potężny ból głowy, pracował więc byle jak. Też nocy statek dostał nieoczekiwanie rozkaz wypłynięcia w morze przy siedmiu stopniach w skali Beauforta. Czekali ich przeczesywanie akwenu przy wschodnich wybrzeżach Orkadów. Brzeg mieli po zawietrznej, a to oznaczało paskudną, niebezpieczną robotę. Zanim wstał świt, wczorajsza fuszerka dała o sobie znać: na skutek niedokładnego dokręcenia filtrów oleju silniki jeden po drugim się zatarły.

Zniosło ich na skaliste wybrzeże wyspy Stronsay: czterech członków załogi utonęło. Trałowiec był bardzo stary, a model silnika znany powszechnie z zawodności, stąd też nikt Jacka o nic nie oskarżał. Jednak on sam w głębi serca poczuwał się do winy. Słuchacze przyjęli to wyznanie ze współczuciem. Od owego fatalnego dnia Jack nie oszczędzał się w pracy, aby mieć całkowitą pewność, że nikt więcej nie zginie z powodu jego niedbalstwa.

— W takim razie — wtrącił Ramesh — ten wypadek uratował najpewniej życie wielu ludziom. Po nim pracowałeś ciężiej niż kiedykolwiek przedtem.

— Możliwe — przyznał Jack. — Ale powiem wam jedno: chociaż wypadek zdarzył się przed dwudziestu laty, jego wspomnienie nie daje mi spokoju po dziś dzień. Nawiedza mnie jak widmo!

Kirsty, która słuchała z oczami wbitymi w obrus, podniosła na te słowa wzrok i spojrzała mu w twarz. W jednej chwili wyraźnie się ożywiła.

— Nie daje panu spokoju... — powiedziała. Zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie faktu niż pytanie. Zabębniła po stole palcami prawej dłoni. — Tak, ja też tak postąpię. — Mówiła teraz jakby do siebie. — Nie dam mu spokoju, aż dowiem się prawdy.

Uśmiechnęła się gorzko na widok zaintrygowanych spojrzeń reszty towarzystwa.

— Przepraszam, muszę was przeprosić. Byliście wszyscy naprawdę bardzo mili, a ze mnie marny kompan. Faktem jest, że mam poważny problem. Jestem wam chyba winna wyjaśnienie.

Spojrzała na Nelsona, potem na Lani i na koniec przeniosła wzrok na Ramesha. Patrzyła mu w oczy przez dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie zaczęła mówić, spoglądała w stronę Nelsona, Ramesh jednak miał nieodparte wrażenie, że zwraca się właśnie do niego.

— Ja również mam pewną historię do opowiedzenia. Nauczyłam się być z tym ostrożna, ale dzisiaj zrobię wyjątek. Proponuję napić się kawy.

Kiedy usiedli przy stoliku koło baru, gdzie podano im kawę i likiery, w krótki i zwięzły sposób wyjawiała im przyczynę swojego przyjazdu na Seszele.

Jedyną osobą, która przerywała jej monolog, był Nelson. Włączał się dwukrotnie. Na wzmiankę Kirsty, że Lascelles twierdził, jakoby przez trzy dni prowadził poszukiwania Garreta, Nelson prychnął i nie omieszkał skomentować:

— Ten drań bez serca własnego syna nie szukałby nawet przez trzy godziny!

Z kolei kiedy Kirsty opisała okoliczności, w jakich Lascelles zwrócił jej zegarek Garreta, Nelson potrząsnął głową, aż zakołysał się mu podbródek.

— Za nic w świecie nie oddałby wygranej w pokera — orzekł.

Kirsty opowiadała całą historię z pewną swadą, ale spokojnie. Dała się ponieść emocjom dopiero przy opisie konfrontacji w „Trianon”. Słuchali w oniemieniu, gdy Kirsty opisywała moment, w którym w oczach Lascellesa dojrzała błysk paniki i wiedziała już ponad wszelką wątpliwość, że ma rację, że Garret żyje. Głos jej się załamał, gdy zaczęła opowiadać o tym, jak Lascelles skatował Cady’ego.

Kiedy skończyła, w barze nie było już innych gości. Zanim ktokolwiek zdążył skomentować jej opowieść, nadeszła Joan White i położyła na stół klucz.

— Mamy taki zwyczaj — zwróciła się do Kirsty z uśmiechem — że gość hotelowy, który jako ostatni pozostaje w barze, obsługuje pozostałych, zmywa szklanki i zamyka.

Jack pokaże pani, gdzie co jest. Śniadania jadamy w kuchni: proszę przyjść, kiedy będzie pani gotowa.

Rzuciwszy pogodne „dobranoc” odeszła. Oczy Lani błyszczały podnieceniem. Odczekała tylko, aż pani White oddali się poza zasięg głosu, i spytała niecierpliwie:

— Co pani rozumie przez: „Nie dam mu spokoju”?

Kirsty rozłożyła ręce.

— Dokładnie to, co kryje się pod tymi słowami. Będę wszędzie tam, gdzie on. Gdziekolwiek się ruszy, tam mnie zobaczy. — Podniosła głos i rzuciła zaciekle: — Nie dam mu spokoju, aż pęknie i wyzna całą prawdę!

Odpowiedziało jej milczenie. Wreszcie Nelson odezwał się niemal przepaszającym tonem:

— To nie będzie łatwe. Lascelles wypływa jutro z grupą ornitologów, którzy wynajęli go, żeby zawiózł ich na Bird Island, Amiranty i Aldabrę. Do Aldabry jest stąd ponad siedemset mil. Potem ma ich wysadzić w Mombasie. Nie wróci tu wcześniej niż za kilka miesięcy.

— Nieważne — odrzekła bez chwili wahania. — Znajdę jakiś sposób. Można tu wynająć jakąś łódź? Chociaż nie mam zbyt wiele pieniędzy...

Nelson zastanawiał się z powątpiewającą miną.

— Jeden Włoch ma na wyspie Praslin kuter do połowu merlinów, ale za czarter bierze około stu dolarów dziennie — poinformował.

Kirsty pokręciła głową.

— W takim razie pozostają jedynie szkunery żeglugi wyspiarskiej — orzekł Nelson. — Ich właścicielami są miejscowi, ale i oni będą chcieli pewnie nieźle zarobić. Popytamy rano. Na koniec są jeszcze małe łodzie rybackie i parę starych motorowych łodzi kabinowych, tyle że nie nadają się do takiego rejsu.

Ramesh czuł się teraz jak jasnowidz: patrząc na Kirsty wiedział doskonale, co dzieje się w jej umyśle. Nie miał pojęcia, dlaczego tak jest, po prostu wiedział. Po jej twarzy nie można było niczego poznać, mimo to czytał wszystkie myśli kotłujące się teraz w jej głowie: „A więc to ma być koniec drogi? Siedząc na miejscu tracę jedynie czas. Lascelles odpłynie, a wraz z nim jego tajemnica. Cady jest chory, zostałam sama. Nie widzę żadnego wyjścia. Co będzie z Garretem?”

Czuł jej ból i cierpiał wraz z nią. Serce waliło mu jak młotem. Nachylił się do niej i powiedział cicho:

— Jak pani wiadomo, jestem właścicielem łodzi. Myślę, że przed podjęciem dalszej drogi do Mombasy mógłbym odwiedzić wyspy, do których płynie Lascelles. — Zwrócił się do Lani: — Co o tym myślisz?

Kiwnęła głową z entuzjazmem. Nelson i Kirsty mieli zaskoczone miny.

— Dlaczego, panie Patel? — zdziwiła się. — Przecież właściwie pan mnie nie zna.

— Czy to ważne? — Wskazał na Nelsona. — Jack nie znał mnie przedtem, a mimo to przyszedł mi bez wahania z pomocą — chociaż wcześniej mu naubliżałem. — Zastanawiał się chwilę, zanim zaczął mówić: — Może to właśnie jedna ze zmian, jakim uległo całe moje życie? Kiedy ktoś taki jak ja wpada na wariacki pomysł, żeby rzucić wszystko i wyruszyć w rejs dookoła świata. Coś człowieka gna, jakaś tęsknota za przygodą, chęć poznania nowych ludzi... Może moje spotkanie z panią jest w jakimś sensie przeznaczeniem. Podobnie jak los zrządził, że Lani wsiadła na „Manasę”.

— Sama nie wiem, co powiedzieć — szepnęła Kirsty i odwróciła głowę kryjąc wypełnione łzami oczy. Lani pochyliła się ku niej i położyła rękę na jej dłoni. Nelson zakasłał i podał schludnie złożoną białą chusteczkę.

— Niezła z was będzie załoga — burknął. — Pół Hindus, pół Anglik, Chinka urodzona na Sumatrze i Amerykanka... I wszyscy macie tyle doświadczenia na morzu co tybetański mnich. A co z tym Kanadyjczykiem?

Kirsty wytarła oczy i westchnęła.

— Nie wiem. Pójdę go odwiedzić jutro rano. Może po tym, co mu się przytrafiło, zrezygnuje z dalszej podróży i będzie chciał wracać do pracy.

— Cóż — Nelson zwrócił się do Ramesha — nie mam zamiaru cię zniechęcać, ale musisz być świadomy grożących niebezpieczeństw. Lascelles to podły typ — taki sam jak i jego kumpel Carlo. Ich znajomość zaczęła się podobno we Wschodnim Timorze parę lat temu. Krąży opowieść, że stoczyli ze sobą walkę, która zakończyła się remisem — Lascelles chyba po raz pierwszy w życiu nie zdołał rozstrzygnąć walki na swoją korzyść. Z miejsca zatrudnił Carla i od tej pory nie rozstają się: para dobranych łajdaków.

Ramesh przyjął to wzruszeniem ramion.

— Nie sądzę, żeby próbował jakichś głupstw w obecności świadków. Wspominałeś przecież, że ma na pokładzie ornitologów...

— Kto to są „ornitolodzy”? — chciała wiedzieć Lani.

— Badacze ptaków — wyjaśnił Nelson. — Na okolicznych wyspach żyje kilka bardzo rzadkich gatunków. Posłuchaj, Ramesh, jestem pełen podziwu dla twojej decyzji, ale miej oczy szeroko otwarte. Tam, dokąd popłyniesz, nie ma przedstawicieli prawa. — Spojrzał na zegarek. — No, uczcijmy to jeszcze jednym drinkiem i do domu, bo inaczej będziemy jeść tutaj śniadanie.

\* \* \*

Kirsty nie mogła zasnąć. Leżała w łóżku, słuchając uderzeń fal o skrawek plaży pod oknem. Była psychicznie wyczerpana, w głowie huczało jej od chaosu myśli i zdarzeń: Cady leżący nieruchomo w ulicznym pyłu i Lascelles szydzący z niej triumfalnie; Nelson ze swymi nie kończącymi się opowieściami i jego nalana twarz o obwisłych policzkach, która w chwili gdy wyznawał swój najcięższy grzech, nabrała dziwnej godności;

jego rady, jak powinna postępować z Lascellesem, i nagła, przygniatająca świadomość tego, że nie starczy jej pieniędzy na realizację założonego planu. Wreszcie Ramesh. Zauważyła już wcześniej, jak patrzy na nią swymi łagodnymi brązowymi oczami. W czasie kolacji wydawał się niespokojny, wodził dookoła rozbieranym wzrokiem. Niewiele się odzywał. Jakim jest człowiekiem? Pół Hindus, pół Anglik goniący za marzeniami w towarzystwie pięknej, młodej Azjatki. Czy są kochankami? Chyba nie. Skąd ta nieoczekiwana propozycja użyczenia łodzi i popłynięcia za Lascellesem? Co takiego w nim jest, co przypomniało jej Kevina? Ramesh i Kevin to przecież dwa przeciwne bieguny. Ramesh nie ma w sobie nic z siły i osobowości Kevina. Zapadła powoli w półsen. Nie wiedziała, czy śni, czy jest wciąż w pełni przytomna, kiedy w końcu przyszła odpowiedź: podobnie jak Kevin, Ramesh Patel potrafił wejrzeć w jej wnętrze.

\* \* \*

Leżąc na koi na pokładzie „Manasy” Ramesh również zapadał powoli w sen. Wciąż myślał o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru. Dlaczego tak postąpił? W powrotnej drodze do Victorii Nelson nie pozostawił mu żadnych złudzeń co do niebezpieczeństwa, jakie związane było z osobą Lascellesa. Nie próbował Ramesha odwozić od jego zamiaru, uważał jednak za absolutnie konieczne poinformowanie go o wszystkim.

Dziwna rzecz, ale Ramesh nie martwił się wcale osobą Lascellesa. Niepokoił się za to o samego siebie. Mężczyzna w jego wieku nie powinien podejmować zobowiązań tylko dlatego, że jakaś kobieta spojrzała na niego. Nie powinien sobie od razu wyobrażać, że potrafi czytać w jej myślach. Ani pozwolić, by zrodzone w głowie wdzięczne wyobrażenie uśpiło mu zmysły. Do kolacji wypił dwa kieliszki wina: może tu tkwi odpowiedź? Może po prostu wypił za dużo?

Przewrócił się na bok, poprawił poduszkę i ułożył wygodnie głowę. Zasypiał spokojny, dobrze wiedząc, że to nie wino zamąciło mu w głowie.

Kirsty usłyszała go jeszcze na korytarzu, jakieś trzydzieści metrów od wejścia na salę szpitalną.

— Ty cholerny irlandzki moczymordo, nie będziesz mi dyktował, co mam robić!

Kiedy znalazła się przy drzwiach, dobiegła ją odpowiedź O'Reilly'ego:

— Kładź się z powrotem do łóżka, ty wielgachna małpo!

Otworzyła pośpiesznie drzwi: stali obaj przy łóżku, patrząc jeden na drugiego spode łba. Gwoli prawdy trzeba by dodać, że „patrzył” raczej O'Reilly, jako że oczy Cady'ego ginęły niemal w sonej opuchliznie. Twarz Kanadyjczyka wyglądała jak szachownica złożona z ciemnych sińców i płatów białego plastra, pośród której widniały zniekształcone, napuchnięte usta. Miał na sobie jedynie wypłowiałe dżinsy. Mocny bandaż opasywał mu żebra, resztę odkrytego torsu pokrywały sińce.

Odwrócili się na widok wchodzącej Kirsty.

— Może pani uda się przemówić mu do rozsądku — poprosił lekarz. Posłał Cady'emu ostatnie pogardliwe spojrzenie i przeszedł obok Kirsty dostojnym krokiem, zamykając za sobą głośno drzwi.

— Cady, co się dzieje?

— Wynoszę się stąd — nie cierpię szpitali! — Podeszedł do krzesła i wziął koszulę. — A w ogóle nic mi nie jest. Ten irlandzki dzikus na niczym się nie zna — mówił niewyraźnie przez rozbite usta.

— Widziałeś siebie w lusterku?

Spróbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko grymas.

— Jasne. Widok nie najpiękniejszy. Bołą mnie wszystkie kości, ale leżenie w łóżku w niczym nie pomoże. Najlepsze lekarstwo to dużo ruchu. Za parę dni odszukam Lascellesa i wtedy zobaczymy, jak drań spisie się w drugiej rundzie.

Westchnęła.

— Dobry Boże, Cady! O mało nie wyzionąłeś ducha i znów szukasz guza? Siadaj, musimy porozmawiać.

Pokręcił z uporem głową i powiedział wskazując łóżko:

— Nie, Kirsty, to ty usiądź. Musisz zrozumieć parę rzeczy.

Z trudem założył na siebie koszulę. Wzruszyła ramionami i przysiadła na łóżku. Stawiając na szeroko rozstawionych nogach, przypatrywał się jej uważnie, wreszcie zaczął:

— Nie przerywaj mi tylko, zanim skończę. Dwukrotnie już oberwałem mocniej niż wczoraj. Kiedy miałem osiemnaście lat, zadarłem w Toronto z chłopakami z gangu motocyklowego i trafiłem na miesiąc do szpitala. Drugie lanie dostałem parę lat temu, kiedy pracowałem przy odwiercie. Mieliliśmy tam kucharza, Szkota, który był ode mnie dwa razy starszy i o połowę mniejszy. Gotował marnie, więc pewnego dnia wyrwało mi się, że wsadzę mu jego breję do gardła. Co się okazało? Facet był dawniej zawodowym bokserem, a wcześniej jeszcze instruktorem walki wręcz w Królewskiej Piechocie Morskiej. — Pokręcił w milczeniu głową z żalosną miną na wspomnienie tamtych wydarzeń. — Złamana ręka i kolejny pobyt w szpitalu. Ale to mnie czegoś nauczyło. Gdy wróciłem na platformę wiertniczą, przez trzy miesiące oddawałem mu połowę swojej pensji, by codziennie przez wiele godzin uczył mnie wszystkiego, co sam potrafi. Niech mnie diabli, wpychałem nawet w siebie to jego paskudztwo, uśmiechając się przy tym słodko. Od tego czasu wychodziłem bez szwanku z każdej walki. Szkopuł w tym, że stałem się zbyt pewny siebie i wczoraj przyszło mi za to zapłacić. — Odetchnął głęboko. — Wiesz, Kirsty, Lascelles to zwykły awanturnik; oczywiście, kawał z niego chłopca, ale wygrał tylko dlatego, że popełniłem błąd: spuściłem go na ułamek sekundy z oka w najmniej odpowiednim momencie. Ten jeden cios kompletnie mnie oszołomił, pozbawił wszelkich szans. Jedyne, co mogłem robić, to osłaniać się i przyjmować uderzenia. Ale zaufaj mi, coś takiego więcej się nie zdarzy.

Jakże mogła mu nie wierzyć. Mimo przerażającego stanu jego twarzy wciąż biła od niego siła i pewność siebie.

— Za kilka dni — powtórzył — przekonamy się, jaki z Lascellesa twardziel.

Pokręciła smutno głową.

— Dziś rano popłynął na Bird Island. Usiądź, zaraz ci wszystko opowiem.

Zdała mu pokrótce relację z ostatnich wydarzeń. Zaczęła od tego, że dostrzegła strach w oczach Lascellesa, które to spostrzeżenie utwierdziło ją ostatecznie w przekonaniu, że Garret żyje. Usłyszawszy, że Cady zauważył to samo i podziela jej przekonanie, poczuła nowy przypływ otuchy. Opowiedziała mu także o Nelsonie, Rameshu i Lani. I o swoim postanowieniu, że nie da Lascellesowi spokoju tak długo, aż pozna całą prawdę. Pokręciła przecząco głową na propozycję Cady'ego, że przy pierwszej okazji pięściami wydobędzie z drania prawdę. Nic by to nie dało: była przekonana, że nie uda się biciem wymusić na Lascellesie przyznania się do winy. Coś jej natomiast mówiło, że podążając za nim krok w krok doprowadzi do tego, że Lascelles pęknie. Nie była to kwestia logiki — wszak cała jej pogoń zdawała się pozbawiona wszelkiej logiki. To przekonanie pły-



nęło całkowicie z wewnątrz. Na koniec dodała, że do Mombasy przybędzie pewnie nie wcześniej niż za dwa miesiące. Cady tymczasem powinien odpocząć łowiąc ryby, a potem wsiąść na „State of Haryana” i ruszyć w drogę powrotną.

Na te słowa Cady wstał, podszedł do łóżka, usiadł obok niej i ujął jej rękę.

— Mowy nie ma, Kirsty. Zostaję z tobą — jeśli, oczywiście, tego chcesz. Mam jeszcze przy sobie z pięć tysięcy dolców i wcale nie śpieszy mi się z powrotem do pracy. — Ścisnął jej dłoń. — Wolę być blisko, gdyby Lascelles zaczął być niebezpieczny.

Po chwili milczenia Kirsty rzekła:

— Jedna rzecz nie daje mi spokoju i muszę o tym z tobą szczerze porozmawiać. — Spojrzała na niego z poważną miną. — Nie pozwolę ci popłynąć ze sobą, dopóki ta kwestia nie zostanie w pełni wyjaśniona. W przeciwnym razie czułabym się okropnie.

— O co więc chodzi?

Zawahała się, świadoma tego, że musi nader starannie dobierać słowa.

— Jesteśmy przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo cię podziwiam i jak jestem ci wdzięczna za to, co zrobiłeś, ale... Musisz zrozumieć, że... nigdy nie zostaniemy kochankami...

— Do diabła, Kirsty!

— Pozwól mi skończyć. To musi zostać powiedziane. Otóż nie chcę, żebyś tracił czas i pieniądze, jeśli decydując się towarzyszyć mi, spodziewasz się czegoś więcej niż przyjaźni i sympatii. Mam w głowie tylko jedno: odnaleźć Garreta. Nic poza tym mnie nie interesuje. Nie znajduję w sobie siły, by darzyć teraz kogoś miłością — może nigdy już nie będę w stanie nikogo pokochać...

Nawet w chwili gdy to mówiła, czuła rodzące się w niej wątpliwości. Pamiętała dobrze myśli, które towarzyszyły jej ubiegłej nocy, gdy zapadała w sen.

Cady kiwał głową, mrużąc w zamyśleniu popodbijane oczy. Ujął jej dłonie i zaczął uroczyście:

— A więc posłuchaj, droga pani, i nie wracajmy do tego więcej. Wszystko, co powiedziałeś, to prawda i cieszę się, że to usłyszałem. Ale jednego możesz być pewna: nie jadę z tobą po to, bym miał zamiar dobierać ci się do majtek. Jasne? Wiem, wtedy na statku powiedziałem, że zwykle pociągają mnie starsze ode mnie kobiety — a co do ciebie, to jesteś bez wątpienia piękna. — Mówiąc to ścisnął mocniej jej dłonie. — Ale wolałbym uważać cię za prawdziwego przyjaciela, unikając wszelkich komplikacji i problemów. Tak naprawdę to nigdy przedtem z kobietą nie łączyła mnie przyjaźń; i nie powiem, nawet mi się to podoba. Mieszanie do tego seksu zepsułoby nasz związek, wiem o tym równie dobrze jak ty. Płynę z tobą, bo chcę pomóc przyjacielowi, to wszystko. Jasne?

Widząc jego szczerze spojrzenie doznała ogromnej ulgi. Uśmiechnęła się.

— Dobrze. Ale proszę cię o jedno: zostań w szpitalu jeszcze jeden dzień.

Pokręcił głową.

— Nie ma takiej potrzeby, nic mi nie jest. Odpocznę dzisiaj w hotelu i trochę popływam. A jutro pomogę Nelsonowi przy silniku.

\* \* \*

Rankiem następnego dnia Nelson obrabiał właśnie pilnikiem zniszczone zęby koła łańcuchowego, kiedy na stół warsztatowy padł jakiś cień. Podniósł oczy na postać, która ledwo mieściła się w otwartych drzwiach, i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Nie musisz nic mówić — to ty pewnie jesteś Cady?

— Zgadza się. — Cady wszedł do środka i podali sobie ręce.

— Jeżeli będziesz łąził po Victorii z taką facjatą, to wystraszysz wszystkie dzieciaki.

— I wszystkie kobiety — dodał Cady. Patrzył na części rozłożone na stole; sięgnął po łańcuch napędu rozrządu.

— Jezu! Ma chyba więcej lat niż ja!

— Pewnie tak — potwierdził Jack. — Znasz się trochę na silnikach?

— Tyle o ile. Przez całe życie mam do czynienia z różnymi urządzeniami. — Mówiąc to oglądał uważnie koło łańcuchowe umocowane w imadle. — Dobra robota, Jack. Mogę być w czymś pomocny?

Nelson wyciągnął z kieszeni chusteczkę, przetarł twarz, wyjął z paczki leżącej na stole papierosa dla siebie i poczęstował Cady'ego. Ten jednak potrząsnął przecząco głową. Nelson zapalił, zaciągnął się mocno i wydmuchnął na stół kłęb dymu.

— Hm — zaczął — ja będę kończył zęby, a ty mógłbyś wyprostować oś dźwigierek zaworowych i dźwignię. Potem możesz wyczyścić i przeszlifować dwa zawory.

— Zrobi się.

Cady rozejrzał się po dobrze wyposażonym warsztacie i dostrzegł jeszcze jeden stół z imadłem. Podszedł do ściany, na której wisiały starannie rozmieszczone narzędzia, i wybrał kilka. Zaniósł je na stół i zdjął koszulę. Nelson skrzywił się na widok fioletowych siniaków i ciasnego opatrunku.

— Na pewno możesz już brać się do pracy?

— Nie zaczynaj — uciął Cady krótko. — Nasłuchałem się już dosyć głupot od Kirsty i pani White. Nie jestem żadnym inwalidą!

— Dobrze, dobrze. — Nelson zajął się z powrotem pilnikowaniem. Nie przestawał jednak zerkać na sąsiedni stół. Przekonawszy się po kilku minutach, że Cady doskonale wie, co robi, skoncentrował się na swojej pracy.

Przez następne dwie godziny pracowali w niemal całkowitym milczeniu, pochłonięci wykonywanymi czynnościami. Na koniec Jack spojrzął na zegarek, odłożył pilnik i podszedł do Cady'ego. Podniósł przeszlifowany zawór i chrząknął z uznaniem.

— Napijmy się przed lunchem — zaproponował.

Byli zaproszeni na lunch na pokład „Manasy”. W drodze do jachtklubu Jack rozwodził się nad tym, co jeszcze należy zrobić przy silniku. Zakończył słowami:

— Potrzebowałbym siedmiu, ośmiu dni, ale z twoją pomocą możemy to zrobić o połowę szybciej — nie wątpię, że Kirsty pali się do ruszenia za Lascellesem.

— Wprost nie może usiedzieć na miejscu — przytaknął Cady. — Ale Bóg jeden wie, jak Lascelles się zachowa, gdy zorientuje się, że depczemy mu po piętach. Może rzeczywiście pęknie, chociaż osobiście za bardzo w to nie wierzę. — Westchnął. — Szkopuł w tym,; że nie widzę innego sposobu. Kirsty ma rację: siłą nic się z niego nie wydusi.

Jack zerknął na niego z boku.

— Naprawdę wierzysz, że chłopak żyje?

— Tak — odparł Cady bez wahania. — Widziałem to w spojrzeniu Lascellesa w „Trianon”. Ale tak naprawdę uwierzyłem w to już znacznie wcześniej, w chwili, gdy Kirsty opowiedziała mi na statku całą historię. Szczerze mówiąc sam nie wiem, skąd u mnie takie przekonanie — może powstało ono pod wpływem jej niezachwianej pewności...

— Cóż za kobieta! — westchnął Jack niemal tęsknie. Cady uśmiechnął się i przytaknął:

— Prawdziwa dama, bez dwóch zdań.

Kirsty i Ramesha zastali w jachtklubie, zajętych rozmową z rudowłosym mężczyzną w wieku około trzydziestu pięciu lat. Kirsty i przedstawiła Cady'ego Rameshowi, po czym dokonała prezentacji rudowłosego nieznajomego, który nazywał się Bruce McDonald.

Zamówiwszy drinki, Jack zapytał:

— A gdzie Lani?

— Przygotowuje lunch — odrzekła Kirsty. — Znosi się na coś specjalnego. Odkryła mały sklepik prowadzony przez chińską rodzinę, a w nim wszystkie potrzebne przyprawy i produkty. Poszła na targ rybny, a kiedy wróciła, wyrzuciła mnie i Ramesha z łodzi zapowiadając, że mamy nie przychodzić wcześniej jak o pierwszej.

Jack nie mógł ukryć radości.

— Naprawdę miła z niej dziecina. — Oblizał usta. — Od lat nie miałem okazji smakować prawdziwej chińskiej kuchni. — Odwrócił się do rudowłosego McDonalda i zmieniając temat zapytał: — Jak postępuje robota przy łodzi, Bruce?

— Powoli, ale wciąż do przodu, Jack — trzeba jeszcze ze dwa miesiące.

Pociągnąwszy łyk piwa, Jack przestrzegł Bruce'a poważnym głosem:

— Miej na nią oko, chłopcze. — A zwracając się do reszty towarzystwa wyjaśnił: — Bruce buduje własny jacht na La Digue — to ta mała wysepka obok Praslinu. — Zaczyna budowę po raz trzeci, bo już dwukrotnie jakiś drań spalił mu jacht, zanim został ukończony.

— Dlaczego? — zdziwił się Cady.

McDonald wzruszył ramionami.

— Kto to może wiedzieć? Pewnie ktoś żywi do mnie jakąś urazę, chociaż zupełnie nie mam pojęcia, o co chodzi. — Nie sprawiał wszakże wrażenia szczególnie zmartwionego.

— Zje pan z nami lunch? — zapytał Ramesh. — Jedzenia starczy z pewnością dla wszystkich.

McDonald z wyraźnym żalem odmówił. Jak wyjaśnił, przyszedł tylko po parę miedzianych śrub i zaraz wraca na pokład „Lady Esme”.

Kiedy odszedł, Kirsty westchnęła:

— To okropne — ale przy tym cóż za wytrwałość! Niemożliwe jednak, żeby na tak małej wysepce nikt nie wiedział, czyja to sprawka.

Jack pokiwał głową.

— Na La Digue żyje jakieś tysiąc osób i uwierz mi, że każda z nich dobrze wie, kto dokonuje podpaleń. Wiedzą to także wszyscy mieszkańcy Mahé i innych wysp.

— No to kto?

Jack opowiedział całą historię.

Kilka lat temu Bruce McDonald pływał po Seszelach jako członek załogi dużego francuskiego jachtu. Pokochał te wyspy, zwłaszcza La Digue, która w owym czasie była niemal dziewiczym terenem, nie było na niej nawet najmniejszego hoteliku. Zdarzyło się, że w parę miesięcy później zmarł jego bogaty krewny, zostawiając mu znaczny spadek. McDonald bez wahania wrócił na Seszele ogłaszając wszem i wobec, że zamierza zamieszkać na La Digue i zbudować piętnastometrowy szkuner za pomocą tradycyjnych metod i używając miejscowych gatunków drewna.

Po przyjeździe na La Digue McDonald za kilka rupii rocznie wydzierżawił kawałek ziemi na samej plaży i dosłownie parę metrów od morza zbudował sobie mały bungalow kryty dachem z liści palmowych. Obok niego postawił wsparte na palach zadaszenie z liści palmowych, które miało mu służyć za szopę na łódź. Potem osobiście wybierał drzewa, korzystając z pomocy staruszka, który przez siedemdziesiąt lat życia zbudował więcej niż tuzin szkunerów. Idąc za radą owego starca wziął się za przygotowywanie budulca w tradycyjny sposób, piłując deski ręcznie. Cała praca miała mu zająć ze dwa lata. Szybko ustalił się plan dnia: wstawał o świcie, pracował trzy godziny, aż upał zaczynał za bardzo doskwierać, wtedy szedł popływać, potem łowił ryby na lunch, a po lunchu robił sobie sjęstę. Po sjęście znowu pływanie i kolejne trzy godziny pracy.

Wtopił się w życie wyspy i zdobył sobie ogromną popularność. Był jedynym obcokrajowcem, a wyspiarze widząc jego poświęcenie i determinację zapałali do niego ogromną sympatią i otaczali go na swój sposób opieką. Wieczorami wychylał drinka w towarzystwie miejscowych mężczyzn w małym barze, pełniącym jednocześnie rolę sklepu. Najpierw pił głównie whisky, później zaś, kiedy już w nim zasmakował, pijał miejscowy napój alkoholowy *calou*, który otrzymuje się ze sfermentowanego soku palmowego. Draństwo jest zdradliwie słodkie, ale uderza do głowy, jakby koń kopnął.

Kobiety przygotowywały mu posiłki, dzieci zaś lubiły obserwować go przy pracy, słu-chały jego opowieści o dalekich ładach i ochoczo biegały na posyłki.

W sobotnie wieczory w szopie bez ścian, gdzie składowano koprę, odbywały się tań-ce. Zabawa stanowiła całkowite przeciwieństwo wysublimowanego smaku: piaszczysta podłoga, ręczny gramofon i deska między dwiema beczkami mająca uchodzić za bar, Ale bawiono się wesoło i wśród śmiechów. Tubylcy nauczyli go tańczyć *sega* — zmysło- wy, uwodzicielski taniec typowy dla dawnych wysp francuskich na Oceanie Indyjskim. Właśnie na owych „potańcówkach” McDonald przekonał się o prawdziwości opowie- ści, jakimi go wcześniej często raczono: o tym mianowicie, że mieszkańcy Seszeli upra- wiają wolną miłość w dosłownym tego słowa znaczeniu. Mimo iż cała ludność jest wia- ry katolickiej, ponad pięćdziesiąt procent to dzieci nieślubne. Według Kodeksu Napole- ona, który Brytyjczycy przejęli od Francuzów, dzieci urodzone z nieprawego łoża, jeśli uznane zostają przez ojca, cieszą się takimi samymi prawami i przywilejami jak prawo- wite potomstwo. Wyspiarze byli pod tym względem niezwykle swobodni i wyrozumia- li: jeżeli młoda, niezamężna kobieta rodziła dziecko, najczęściej otaczane było ono tro- skliwą opieką babki ze strony matki i nie ciążyło na nim żadne piętno.

McDonald odkrył, że żyje w raju. Jedzenie, mieszkanie i alkohol miał niemal za dar- mo, a nie było prawie soboty, żeby jakaś miejscowa piękność nie obdarzyła go w tańcu znaczącym uśmiechem, po czym wymykali się gdzieś w zaciszny zakątek plaży, kocha- li się, a następnie wracali, by dalej tańczyć i raczyć się kolejnymi porcjami *calou*. Każdy z obecnych wiedział, gdzie przed chwilą byli, ale nikomu to nie wadziło.

Wiodło mu się wspaniale, zwłaszcza że miał cel: budowę jachtu. Należał bowiem do tego rodzaju ludzi, którzy muszą wyznaczać sobie cele w życiu.

Minęły dwa lata. Łódź nabierała kształtu i zbliżał się dzień zamontowania silnika i spuszczenia szkunera na czyste wody zatoki La Passę. Wyspiarze zaczęli przygotowa- nia do wielkiego święta. Miały go uświetnić miejscowe specjały: „sałatka milionera” (z mięszu specjalnie ściętej palmy), pieczone prosię i wyjątkowo rzadki rarytas — *caille*, potrawa z olbrzymiego żółwia, który gotował się przez wiele godzin w skorupie, poda- na z ryżem i warzywami. Szykowano już na zapas olbrzymie zapasy *calou*.

I wtedy zdarzyła się tragedia. Po kolejnej sobotniej nocy, urozmaicanej alkoholem, tańcami i miłością, McDonald tuż przed świtem przybiegł do wioski budząc tubylców głośnymi okrzykami „Pali się! Pali się!”

Bungalow i szopę dzieliło od wioski jakieś trzysta metrów. Zanim wyspiarze utwo- rzili żywy łańcuch ludzki i zaczęli podawać wiadra z morską wodą, było już za późno — cała łódź stała w płomieniach. Kiedy pożar wreszcie ugaszono, pozostał z niej jedy- nie czarny szkielet kilu i wręg.

Wyspiarze podzielali rozpacz McDonalda. Z początku wszyscy myśleli, że to wypa- dek, ale stary budowniczy szkunerów zbadawszy szczątki orzekł, że przyczyną było pod-

palenie. Pożar zaczął się przynajmniej w trzech różnych miejscach, a sądząc po szybkości jego rozprzestrzeniania się i po wyglądzie zwęglonego drewna, sprawca użył benzyny albo jakiejś innej substancji palnej.

Śledztwo policji utknęło w martwym punkcie. Podejrzewano jedynie, że sprawcą mógł być jeden z młodych mężczyzn, zazdrosny o powodzenie, jakim McDonald cieszył się u miejscowych dziewcząt. Wyspiarze nie bardzo w to jednak wierzyli.

Po tygodniu żałoby McDonald oznajmił, że zaczyna od początku. I tak też uczynił. Przeżył dwa kolejne lata idylli, chodząc na bosaka, odziany tylko w sarong.

Ale tym razem wyspiarze woleli nie ryzykować. Kiedy łódź była bliska ukończenia, nie mówiąc o niczym McDonaldowi zorganizowali grupę młodych mężczyzn do trzymania nocnych straży. Cała wioska znów żyła przygotowaniem do święta wodowania. Ale łódź ponownie została doszczętnie spalona — tyle że tym razem widziano, jak McDonald, pijany i ze łzami w oczach, polewa cały szkuner benzyną i rzuca zapalną.

— Bo nie chciał odjeżdżać! — wykrzyknął Cady, kręcąc głową.

— Nie inaczej — przytaknął Jack. — Wie, że kiedy łódź będzie ukończona i gotowa do rejsu, to powinien na nią wsiąść i odpłynąć. Przecież po to ją budował.

— I co było potem? — zaciekał się Ramesh. — Postawili mu zarzut?

— Skądże — zaprzeczył Jack. — Odegrali do końca tę komedię. Pocieszyli go, wyrazili słowa podziwu na wieść, że postanowił zacząć od nowa... Polubili go, myślę, że go nawet rozumieją.

— Sympatyczna historia — skomentowała Kirsty w zadumie. — Oczywiście, szkoda, że wszystko idzie na marne i tak dalej, ale to całkiem miłe. Myślisz, że będzie dalej budował łodzie po to, by je potem palić?

Jack wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie? Ma dość pieniędzy na życie — i na kupowanie drewna. W końcu ożeni się pewnie z jedną z dziewcząt, ustakuje się i założy formalną rodzinę — już teraz przyznaje się do ojcostwa dwóch synów... — Spojrzał na zegarek. — No dobra, jedzenie czeka!

Widząc, że spławik zanurza się, Cady poderwał mocno wędkę. Wędzisko wygięło się, zaczął więc nawijać żyłkę na kołowrotek, wbijając wzrok w krystalicznie czystą wodę. Dostrzegł tęczyowy błysk, jeszcze dobrych kilka metrów od powierzchni, i chrząknął z zadowolenia. Kolejna papużnica, a Joan White zależało właśnie najbardziej na papużnicach. Godzinę temu wręczyła Cady'emu wędkę i, opisawszy drogę do skały odległej o kilometr od hotelu, kazała mu nałapać ryb na kolację dla ośmiorga gości hotelowych. Potrząsając palcem, surowo zapowiedziała, że nie wolno mu łowić w promieniu trzystu metrów od hotelu.

Podciągnął rybę pod powierzchnię, sięgnął po leżący obok podbierak o długiej ręczce i po minucie rybą trzepotała się w wiklinowym koszyku, gdzie znajdowały się już trzy inne papużnice i dwa czerwone graniki. W koszyku zebrało się z dziesięć kilo ryb, więcej, niż trzeba.

Odłożył wędkę, nie śpieszył się jednak ze wstawaniem. Miejsce było zaciszne, położone dużo poniżej nadbrzeżnej drogi, na tyle daleko, by spokoju nie zakłócał z rzadka przejeżdżający tamtędy samochód czy *camion*. W oddali widać było zarysy niewysokich wzgórz na odległych o dwadzieścia parę mil wyspach Praslin i La Digue. Zamyśliwszy się nad przypadkiem Bruce'a McDonalda, doszedł po chwili do wniosku, że coraz lepiej go rozumie. Zaraz jednak przyszła refleksja, że o wiele trudniej jest mu zrozumieć samego siebie.

Zawsze pociągały go kobiety starsze od niego. Nie uważał przy tym, by fizyczne piękno było w kobiecie rzeczą najważniejszą. Oczywiście, cenił sobie niewieścią urodę, nie sama uroda jednak urzekała go w kobiecie najbardziej. Kirsty bez wątplenia wyróżniała się urodą, lecz nie to przecież sprawiało, że przez ostatnie dni stawali się sobie coraz bliżsi. Z początku instynktownie wyczuwał, że z czasem zostaną kochankami — wydawało się, że taki będzie naturalny, niemalże logiczny rozwój sytuacji. Myślał tak do czasu ich rozmowy w szpitalu, która jasno określiła ramy ich, związku. Przyniosło to Cady'emu dziwną ulgę. Miał w niej teraz: przyjaciela, nie potencjalną kochankę. Tak, Kirsty była po prostu bardzo dobrym przyjacielem.

Ale jeszcze tego samego dnia, ku własnemu zdziwieniu, po raz pierwszy w życiu uległ czarowi pięknej dziewczęcej buzi. Wchodził właśnie na pokład „Manasy”, kiedy z dolnych pomieszczeń wyłoniła się Lani z tacą w ręku. Odwróciła się i spojrzała na niego, a on stanął dosłownie jak wryty z jedną nogą na pokładzie, a drugą na pirsie. Kirsty, Ramesh i Jack przebywali już na jachcie i nie zauważyli jego niezwykłego zachowania. Cady szybko się opanował i zaczął się zastanawiać nad swoją reakcją. Pracował wcześniej w Indonezji, podróżował do Hongkongu, widział więc wiele orientalnych piękności, a przecież nigdy nie doświadczył tego, co teraz.

Lani zareagowała dokładnie na odwrót. Wyraźnie cofnęła się na widok jego posiniaczonej twarzy, zaraz jednak opanowała się i postawiła tacę na stole.

Lunch przeszedł wszelkie oczekiwania. Lani przygotowała z pół tuzina różnych potraw, w tym ryby, warzywa, kurczaka i ryż, wszystko przyprawione bardzo delikatnie. Jedli nożem i widelcem. Jak wyjaśniła Lani, w sklepie były również pałeczki, ale pomysł, by jeść pałeczkami ze zwykłej zastawy wydał się jej nie na miejscu. Cady zainteresował się, czy w sklepie mają także chińską porcelanę. Lani potwierdziła, zaznaczając wszakże, że jest bardzo kosztowna. Cady bez namysłu zwrócił się do Ramesha i powiedział:

— Pozwolisz, że kupię komplet i dam wam w prezencie. Takie jedzenie zasługuje na godną oprawę.

Ramesh obrzucił wzrokiem stojący przed nim porysowany talerz z plastiku.

— Przyjmuję z wdzięcznością, ogromnie dziękuję.

— I jeszcze jedno — ciągnął Cady zdecydowanym tonem. — Wiem od Kirsty, że wieziecie nas za darmo. Wtedy zresztą nie była jeszcze pewna, czy popłynę z wami... No więc chociaż nie stać mnie na zapłacenie pełnych cen czarterowych, to nie mam zamiaru nic nie płacić.

Ramesh pokręcił z uśmiechem głową.

— Naprawdę nie trzeba. I tak planowaliśmy wyprawę w tamtym kierunku. Będę czuł się znacznie lepiej wiedząc, że płyniesz z nami i możesz mi pomóc przy silniku. Prawdziwy majster z niego, co? — zwrócił się do Jacka.

— Bez dwóch zdań — wykrztusił Jack z ustami pełnymi kurczaka w cytrynie.

— Mniejsza o to — nie ustępował Cady. — Jeżeli nie godzisz się na przyjęcie opłaty, to umówmy się, że będę płacił za prowiant, ropę i pokrywał inne bieżące wydatki.

— Podzielimy wydatki po połowie — wtrąciła Kirsty.

Cady pokręcił stanowczo głową.

— Mowy nie ma. Zachowaj lepiej swoje pieniądze na później. Do diaska, wiem, po co płyniemy, ale dla mnie to będą również wakacje. Kocham łodzie, morze i łowienie ryb. — Wskazując na suto zastawiony stół, dorzucił: — I to pyszne jedzenie, czegoś takiego w życiu nie jadłem... Niejeden za takie wakacje gotów byłby zapłacić fortunę — pozwólcie więc, że będę przynajmniej pokrywał bieżące wydatki.



Ramesh posłał pytające spojrzenie Nelsonowi.

— Myślę, Ramesh, że to uczciwy układ — orzekł Jack. — Zresztą koszty nie powinny być zbyt wysokie. Przy stałym wietrze monsunowym nie trzeba będzie zbyt często uruchamiać silnika, a co do prowiantu, to większości pożywienia dostarczać wam będzie morze.

— No dobrze — zgodził się Ramesh. — Dziękuję, Cady. — Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. — A może od razu zamieszkasz z Kirsty na jachcie? To zaoszczędzi wam pieniędzy i pozwoli szybciej przywyknąć do łodzi. Poza tym będziesz miał bliżej do warsztatu.

Po omówieniu tej propozycji uzgodnili, że Kirsty i Cady spędzą jeszcze jedną noc w hotelu. Joan White okazywała im wiele życzliwości, nie chcieli więc sprawiać jej przykrości. Jack co prawda zapewniał, że pani White nie będzie miała nic przeciwko ich przeprowadzce, postanowili jednak pozostać przy swoim.

Po lunchu Kirsty, Ramesh i Lani wyruszyli samochodem na zwiedzanie okolicy, natomiast Cady i Jack udali się do warsztatu. Kiedy Jack odwiózł go po pracy do hotelu, okazało się, że Kirsty jeszcze nie wróciła — pani White wysłała go zatem na ryby.

Pozbierawszy wędkę, podbierak i kosz, wdrapał się po skałach na górę i wyszedł na drogę. Pasażerowie przejeżdżającej właśnie ciężarówki *camion* pomachali do niego radośnie.

Po powrocie do hotelu zastał Joan w kuchni czytającą gazetę. Kiedy postawił przed nią kosz, zajrzała do środka kiwając z uznaniem głową.

— Dobrze się spisałeś. Fiona jest w barze razem z Kirsty; powiedz jej, żeby postawiła ci dużego drinka na koszt firmy.

Ramesh siedział na rufie „Manasy” popijając piwo i obserwując zachód słońca, co stało się już cowieczornym rytuałem. Jak mówił Nelson, czasem — choć zdarzało się to nader rzadko — przy doskonałych warunkach atmosferycznych, w chwili gdy słońce chowało się za horyzont, na krótki moment pojawiała się na niebie wstęga żywej zieleni. Wypiarze uważali to za szczęśliwy znak i okazję do wypowiedzania życzeń. Dzisiejszego wieczoru jednak, choć zachód słońca był jak zwykle efektowny, Ramesh próżno wypatrywał zielonej wstęgi.

Słyszac, jak Lani krząta się w kuchni przy kolacji, zadumał się nad swą szczęśliwą gwiazdą. Ponownie też zadał sobie pytanie, co skłoniło go do zaproponowania Kirsty pomocy w pogoni za Lascellesem. Przecież dotychczasowe życie z Lani na pokładzie było przykładem doskonałej egzystencji. Teraz będzie ich czworo i nawet jeśli założyc, że stosunki między wszystkimi układać się będą jak najlepiej, nie będzie to już to samo. Dlaczego więc tak postąpił? Oczywiście, był z natury rycerski, a do tego poruszyła go opowieść nieszczęśliwej matki — nie była to wszelako cała prawda. Zdawał sobie sprawę, że Kirsty Haywood wywiera na niego dziwny wpływ, nie miał jednak w sobie

dość odwagi, by ten stan rzeczy dokładnie przeanalizować. Była atrakcyjna, inteligentna — lecz nie tylko tym go pociągała. Kiedy pierwszego wieczoru snuła swoją opowieść, dostrzegł miękkie zmarszczki na jej twarzy, znamionujące siłę i determinację. Lubił jej amerykański akcent, chociaż brzmiał w jego uszach nieco obco. Podobało mu się, jak gestykułuje rękami w trakcie rozmowy. Lubił, jak śmiała się beztrąsko, gdy coś ją roz-  
bawiło.

Mimo żywionych obaw czekał z niecierpliwością na rychłe rozpoczęcie rejsu.

— Wciśnij guzik!

— Nie! — krzyknął Ramesh pod pokład. — Chodź tu i zrób to sam. Z maszynowni znów dobiegł przytłumiony głos Jacka:

— Nie wydurniaj się!

— Wykluczone. To należy do ciebie. — Ramesh spojrział na stojące obok Kirsty i Lani. Obie uśmiechnęły się i pokiwały głowami. Po kilku sekundach Jack wyszedł sapiąc spod pokładu, spocony i bez koszuli. Przez ostatnie cztery godziny, niemal bez chwili odpoczynku, pracował wspólnie z Cadym przy zamontowaniu silnika. Korzystając z pożyczonego generatora, załadowali do pełna akumulator. Silnik był w końcu gotowy i oto nadszedł wielki moment.

Ramesh czuł ogromne napięcie. Nie tyle chodziło mu o siebie (choć modlił się w duchu, żeby silnik zadziałał), co o Jacka. Cady stwierdził, że zrobiono wszystko, co możliwe, ale że wśród silników, zwłaszcza tych starszych, zdarzają się „uparte dranie, które kierują się własnym rozumem”. Ramesh gorąco pragnął, by nadchodzący moment okazał się dla Jacka chwilą zwycięstwa i spełnienia.

Jack obrzucił spojrzeniem całą trójkę. Roztaczał wokół siebie atmosferę gorączkowej krzątaniny, ale starał się pozorować całkowite opanowanie. Wytarł twarz chusteczką i stanął za sterem. Zamarł z kciukiem nad przyciskiem i krzyknął pod pokład:

— Gotowe?

— Tak! — z dołu napłynęła odpowiedź. Nelson wcisnął guzik.

Ramesh słuchał wstrzymując oddech, jak silnik rozruchowy wprawia silnik jachtu w obroty: trzy, cztery, pięć obrotów.

Nelson chrząknął, zdjął kciuk z przycisku i podkręcił przepustnicę o jedno oczko. Ponownie wcisnął guzik.

Silnik obrócił się sześć razy. Ramesh już był w strachu, lecz za siódmym obrotem silnik dwukrotnie zakaszłał i z warkotem obudził się do życia.

Wśród rozlegających się okrzyków aplauzu Nelson, śmiejąc się od ucha do ucha, zmniejszył obroty i słuchał, jak silnik zaczyna pracować równym rytmem.

Spod pokładu dobiegł ich wojenny okrzyk Cady'ego, a zaraz potem usłyszeli jego komentarz:

— Nowiutki jak pupa nowo narodzonego niemowlaka!

Ramesh poklepał wylewnie Jacka po mokrych jeszcze plecach.

Lani i Kirsty wyściskały go i ucałowały. Jack starał się robić cały czas skromną minę, co przynosiło niemal komiczny efekt: raz po raz rozciągał usta w szerokim uśmiechu, by natychmiast zacisnąć je na siłę w wąską szparkę.

Z rury wydechowej pod nawisem rufowym wydobywał się ciemnoniebieski dym. Jack zauważył zaniepokojoną minę Ramesha.

— Nie ma powodu do obaw — wyjaśnił uśmiechnięty. — Po prostu wydmuchuje sobie nos. Niedługo się przeczyści.

— Jack — zaczął Ramesh uroczyście — nie potrafię znaleźć odpowiednich słów, żeby ci podziękować. Nie wiem, co bym zrobił bez twojej pomocy.

Jack machnął nonszalancko ręką, zadowolony, ale lekko zmieszany.

— Nie ma o czym mówić, miałem dobrą zabawę. Poza tym Cady bardzo mi pomógł — odwalił więcej niż połowę roboty.

— Nie zalewaj! — krzyknął pogodnie Cady wychodząc spod pokładu. Twarz i tors wciąż pokrywały mu żółknące siniaki. — Po prostu miałeś jedną parę rąk więcej do pracy. — W tym momencie spowaźniał i zwrócił się do Ramesha: — Jestem niezłym mechanikiem, ale nawet nie próbowałbym się podjąć takiego zadania. Nie mam tyle doświadczenia ani wiedzy. A Jack jest specem, jakiego jeszcze nigdy nie spotkałem.

Nelson znów próbował udawać skromnisia, ale nagle wyraz twarzy mu się zmienił.

— A to co? — zawołał zdziwiony.

Odwrócili się i ujrzeni Dave'a Thomasa, który kroczył nabrzeżem ściskając pod pachą jakiś rulon. Za nim podążał barman Jimmy niosąc tacę zastawioną kieliszkami i pojemnik z lodem.

— Szampan — oznajmił Ramesh. — Prosiłem Dave'a, żeby przysłał butelkę, jak tylko usłyszysz pracę silnika.

Dwójka przybyłych weszła na pokład. Podczas gdy Jimmy rozlewał szampana, Dave wręczył Rameshowi gruby rulon.

— Przyniosłem mapy nawigacyjne Admiralicji obejmujące wszystkie tutejsze wyspy — wyjaśnił. — Pewnie ma pan już swoje mapy, ale te zawierają dopiski miejscowych żeglarzy, ukazujące nie oznakowane rafy koralowe, i tym podobne wskazówki. Po dopłynięciu do Afryki Wschodniej, proszę mi je po prostu odesłać pocztą.

Ramesh zaczął dziękować, ale Dave zbył to machnięciem ręki.

Podano kieliszki i oczy wszystkich zwróciły się na Ramesha.

— Za Jacka i doskonałą robotę — wznosił toast.

Jeden Jack wstrzymał się ze spełnieniem toastu. Odczekał, aż wszyscy wypiją, po czym podniósł kieliszek.

— Za „Manasę” — zaczął i dokończył spoglądając w stronę Kirsty: — I za powodzenie wyprawy.

Zebrani powtórzyli toast i wypili.

— Kiedy zamierza pan wyruszyć? — spytał Ramesha Dave.

— Jak dobrze pójdzie, to jutro o świcie. Gdyby wiatr się utrzymał, to do zachodu słońca powinniśmy się znaleźć na Bird Island. — Spojrzał w stronę Jacka, czekając co on na to powie.

— Myślę, że zdążę — przytaknął Jack. — Dziś po południu sprawdzę razem z Cadym wszystkie urządzenia mechaniczne na jachcie. — Zastanawiał się przez kilka sekund. — Niewykluczone, że teraz Lascelles płynie już na Amiranty... Tak czy inaczej, musicie najpierw dotrzeć na Bird Island. Ornitologzy, którzy go wynajęli, nie kierują się żadną ustaloną trasą ani rozkładem — z pewnością będą chcieli zawinąć na Poivre i potem na Aldabrę, ale równie dobrze mogą zboczyć z zakładanej trasy. Guy Savy będzie wiedział, jaki jest ich następny przystanek po Bird Island.

— Guy Savy zaprosił nas niedawno do siebie — wtrąciła Kirsty. — Zaprzyjaźniliśmy się na statku.

— W takim razie postanowione — orzekł Ramesh i opróżnił kieliszek. — A wieczorem zapraszam wszystkich na wieczór pożegnalny do hotelu. Dave, dasz radę przyjść?

— Jasne — odparł Dave uśmiechając się. — Sobota to dobry dzień. Joan puści adapter i trochę potańczymy. — Mrugnął do Lani. — Potrafisz tańczyć twista, młoda damo?

Odpowiedziała mu pytającym spojrzeniem.

— Nic się nie martw. — Cady pośpieszył jej z pomocą. — Nauczę cię. — Spojrzał na Jacka. — Rzućmy monetę, który z nas przejrzy pompę zęzową, a który zajmie się toaletą.

Jack zgasił go od razu.

— Nic z tego, obie roboty bierzesz na siebie. Ja muszę sprawdzić mechanizm sterowniczy i okablowanie.

Cady pokiwał głową.

— Coś mi się dziwne zdawało, że właśnie tak będzie.

## **KSIĘGA TRZECIA**

Z daleka wyglądało to na olbrzymi rój pszczoł krążący nad zieloną smugą na linii horyzontu.

— To naprawdę ptaki? — Kirsty nie mogła się nadziwić.

— Chyba tak — odrzekł Cady. — Guy mówił, że od maja do września gniazduje tu blisko dwa miliony.

Stali na pokładzie dziobowym „Manasy”, która szła półwiatrem, lekko przechylona.

— Ale wyspa jest taka mała — ciągnęła Kirsty. — Ptaki zajmują pewnie całą jej powierzchnię.

— Wcale nie. Zakładają gniazda tylko na kilkuakrowym obszarze we wschodniej części wyspy. Na każdą parę przypada zaledwie maleńki skrawek piaszczystego terenu.

Kirsty nie przestawała kręcić głową.

— Przecież cała wyspa nie ma chyba więcej jak kilka akrów — upierała się.

Cady uśmiechnął się.

— Dzieli nas od niej jeszcze jakieś dziesięć mil, a teren wyspy jest nizinny. Dopłyniemy za kilka godzin.

Odwrócili się i wracając przeszli koło budki sternika. Ramesh stał za sterem. Nie wyglądał dużo lepiej niż zaraz po przebudzeniu.

— Ciągłe cię męczy? — spytał Cady z szerokim uśmiechem.

Skinął głową z ponurą miną.

— Nigdy, przenigdy nie wezmę już kropli alkoholu do ust!

— Co ty wygadujesz, Ramesh — odezwała się uspokajająco Kirsty. — Zabawa była naprawdę wspaniała, a ty wcale się nie upiłeś. Po prostu byłeś wesoły.

Na twarzy Ramesha pojawił się ponury uśmiech.

— Tylko że dziś rano daleko mi było do wesołości, zapewniam was.

— Zejdź pod pokład i odpocznij — zaproponował Cady. — Stanę za sterem, a kiedy będziemy kilka mil od brzegu, zawołam cię.

Ramesh przyjął to z niepewną miną.

— I tak robisz więcej, niż do ciebie należy. — Wahał się.

— Bo mnie to bawi — zapewnił Cady pogodnie. — Tak dawno już nie pływałem na jachcie.

Ramesh z radością opuścił miejsce za sterem i zszedł pod pokład, Kirsty zaś usiadła na krześle i zaczęła się opalać, Cady pozostał sam ze swoimi myślami.

Przyjęcie istotnie było udane. Wśród gości znaleźli się Radżaratnam i Stevens — obydwaj z małżonkami. Na początku tygodnia Stevens zaprosił całą ich czwórkę na swoją plantację herbaty, gdzie spędzili bardzo miły wieczór.

Zjawiwszy się w hotelu Jack Nelson i Dave Thomas zaoferowali swoje usługi w charakterze barmanów i ochoczo zabrali się do dzieła.

Joan White przygotowała olbrzymią porcję curry. Zostawiła ją na ogniu, by powoli dochodziła, a sama przyłączyła się do reszty gości na tarasie. Kiedy nadszedł moment karmienia ryb, Fiona poprosiła Lani, by jej towarzyszyła. Lani, która kupiła kilka ręcznie barwionych sarongów miejscowego wyrobu, ubrała się na ten wieczór w jeden z nich. Sarong o biało-czerwonym wzorze upięty był nad piersiami i spływał w dół, opinając jej szczupłą sylwetkę.

Po zejściu na plażę obie podwinęły sarongi i weszły do wody. Lani była podekscytowana i niespokojna. Kiedy zanurzyła pod wodę pierwszą porcję pokarmu, do którego z miejsca ruszył duży granik, uciekła z piskiem i ze śmiechem, ochlapując wodą siebie i Fionę.

Cady nie mógł oprzeć się myśli, że nigdy nie widział w nikim tyle życia i nie uświadomionego wdzięku.

\* \* \*

Leżąc na swej koi Ramesh także wspominał przyjęcie. Po kolejnych trzech aspirynach ból głowy zaczął powoli ustępować. Podobnie jak Cady, miał przed oczami postać Lani rozpryskującej wodę, ale obraz ten wywoływał w nim zgoła inne odczucia: patrząc wówczas na nią nie mógł się nadziwić, jak bardzo jest młoda, widział w niej niemalże dziecko. Przez kilka ostatnich dni jego uczucia wobec Lani skryształizowały się, nabierając zdecydowanego charakteru: darzył ją czysto ojcowskim uczuciem. Z perspektywy czasu wiedział teraz, że trawiący go niepokój o los Lani siedzącej w więzieniu był niczym innym, jak troską ojca o córkę.

W połowie przyjęcia uprzytomnił sobie, że jest to jego pierwsza w życiu zabawa. Rozglądając się po otaczających go twarzach poczuł nagły zalew ciepłych uczuć. On, który jeszcze dwa miesiące temu miał tylko jednego przyjaciela w osobie Jarana Singha, dzisiaj przebywa w niemałym gronie całkiem różnych ludzi, których może śmiało uważać za przyjaciół. Rozmyślał właśnie nad dziwnymi kolejami losu, które doprowadziły go do dnia dzisiejszego, kiedy stanął przed nim Jack z wysoką szklanicą pokrytą lodem.

— Rusz się, stary byku. Starczy tego piwa, masz, spróbuj to.



— Co to takiego?

Jack mrugnął porozumiewawczo.

— Singapurski dżin z wodą.

— Nie jest za mocny?

— W sam raz na przyjęcie.

Ramesh ostrożnie popróbował alkoholu i momentalnie zagustował w jego orzeźwiający gorzkawo-słodkawy smaku.

Noc była gorąca, wychylił więc napój duszkiem i zaraz poprawił następną porcją. Jak podliczył później, przed kolacją wypił cztery szklanki — inna sprawa, że wszyscy pili w przyspieszonym tempie.

Po kolacji, podczas której wypito kilka butelek białego wytrawnego wina, goście przeszli na taras i Joan puściła muzykę. W barze zjawily się tymczasem z dwie dziesiątki miejscowych bywalców sobotnich imprez. Usunięto stoliki, żeby zrobić więcej miejsca do tańczenia, i niezadługo taras ożył barwnym tłumem tancerzy.

Ramesh wcisnął się w róg baru z mocnym postanowieniem występowania jedynie w roli widza. Nie tańczył nigdy w życiu, a przy swojej nieśmiałości nie palił się, żeby spróbować tej sztuki właśnie dzisiaj. Postanowił napić się piwa, ale Dave, który obsługiwał przy barze, poradził mu co innego.

— Pozostań przy dżinie — rzekł, podkreślając koniec wąsa. — Przyrządę ci dżin z odrobiną toniku i całą górą lodu.

Ramesh przystał z ochotą. Czuł się ogromnie odprężony. Patrzył na Cady'ego, który uczył Lani tańczyć twista.

— Udawaj, że wycierasz plecy ręcznikiem — tłumaczył jej. Lani posłuchała go i od razu podchwyciła charakterystyczny ruch. Tańczyła i zanosila się śmiechem na widok kołyszącego przed nią olbrzyma.

Kiedy przysza kolej na wolniejsze kawałki, Jack poprowadził Kirsty na taneczny parkiet. Ramesh patrzył na niego z rosnącym zdumieniem, bo pomimo swych zwalistych kształtów Jack poruszał się lekko niczym piórko. Podzielił się swym spostrzeżeniem z Dave'em, ten zaś odpowiedział z uśmiechem:

— Wśród grubasów nierzadko trafiają się doskonali tancerze. Poczekaj, aż mnie zobaczysz w akcji!

Kirsty miała na sobie ciemnoniebieską suknię z dekoltem w karo, obcisłą w pasie, lekko rozszerzoną u dołu i kończącą się tuż nad kolanami. Po kilku dniach słonecznych kąpieli była mocno opalona, a jej długie, rozwiane w tańcu włosy były teraz jeszcze jaśniejsze.

Ramesh, który skusił się tymczasem na dwa kolejne dżiny z tonikiem, wybijał ręką rytm na bufecie, kiedy Kirsty precyzyjnie się przez tłum i stanęła przed nim.

— Rusz się, Ramesh. Tylko ty jeden dzisiaj nie tańczyłeś.

— Nie, Kirsty — przestraszył się. — Nie umiem tańczyć, w życiu nie tańczyłem.

Przywarł plecami do ściany, ale Kirsty chwyciła go za rękę i, nie zważając na protesty, pociągnęła go na parkiet.

— Nie znam nawet kroków — bronił się w panice.

— Nie bój się. — Wybuchnęła śmiechem. — Ruszaj nogami w takt muzyki — rób to, co ja.

Zarzuciła mu rękę na ramię i przysunęła się bliżej. Objąwszy ją ostrożnie w pasie przyłgnął do niej i kręcił się z nią razem w rytm muzyki.

Miał uczucie, jakby go zaczarował jakiś iluzjonista — cała wstydlivość i skrępowanie minęły bez śladu. Od czubków włosów po palce u nóg wypełniała go muzyka. Czuł miękkość kobiecego ciała i wypukłość bioder pod ręką.

— Ja tańczę... Naprawdę tańczę — szepnął z niedowierzaniem.

Kirsty roześmiała się radośnie.

— Jesteś świetnym tancerzem, masz wrodzony talent.

Przez następną godzinę tańczyli jeszcze trzy razy. W przerwach zaś między tańcami siadali przy barze i Ramesh opowiadał Kirsty o Indiach — jak są różne od jej życia w Nowym Jorku. Nigdy jeszcze nie był tak rozmowny. Rozprawiał z zapałem, pił i zanościł się śmiechem, jakby znali się całe życie. W pewnym momencie Kirsty zauważyła:

— Ostatnio bardzo się zmieniłeś.

— Cóż — odpowiedział — to całkiem normalne u kogoś, kto spędził trzydzieści lat przy biurku, by raptem pewnego dnia wskoczyć na łódź i odpłynąć w nieznane.

— Zdaje się, że wiem, co masz na myśli.

Koło północy tubylcy odtańczyli *sega*, po czym wciągnęli resztę towarzystwa do wspólnej zabawy.

Kołysząc tanecznie biodrami i krążąc wokół Kirsty Ramesh odebrał nagle emanujący z tańca erotyzm. Kiedy patrzył w jej lekko uśmiechniętą twarz i zmrużone oczy, które odpowiadały mu spojrzeniem, poczuł w całym ciele gwałtowne uderzenie gorąca, zupełnie jakby ktoś zanurzył go w ciepłym syropie.

Wrażenie to w połączeniu z alkoholem wprawiło go w niemałe zmieszanie. Kiedy wszyscy po tanecznych płużach udali się do baru, on przeszedł przez taras i schronił się w lekkim cieniu kazuaryn. Szumiało mu trochę w głowie, wrażenia i emocje tworzyły razem istny mętlik. Wmawiał sobie, że to sprawka alkoholu — nie miał przecież żadnej wprawy w picie.

Po kilku minutach przejaśniło mu się nieco w głowie. Zbierał się właśnie do powrotu na zabawę, kiedy w odległości kilku metrów dostrzegł sylwetkę Jacka Nelsona. Jack stał zwrócony profilem — w świetle widać było jego wykrzywioną od bólu twarz; wtem wyciągnął coś z kieszeni i wsunął do ust. Ramesh ruszył szybko w jego kierunku.

— Jack, dobrze się czujesz?

— A, to ty, Ramesh... Nic mi nie jest. — Przerwał, próbując opanować grymas bólu.

— Jakaś lekka niestrawność, zjadłem za dużo curry.

W jednej chwili stan euforii ustąpił miejsca przygnębieniu. Ramesh gorączkowo myślał, czy powinien coś powiedzieć, wyrazić współczucie lub słowa zrozumienia, ale Jack dochodził już do siebie. Oddychał lżej i twarz mu wyspokojniała. Klepnął Ramesha w ramię.

— Naprawdę udane przyjęcie, staruszk. Zbyt udane, żeby je już kończyć, ale za godzinę powinniście zacząć się zbierać. Do Bird Island macie cały dzień drogi, a nie chcecie chyba wpaść w ciemności na rafy.

Wziął Ramesha pod ramię i powiodł go z powrotem do baru. Nie minęło dużo czasu, a Ramesh odzyskał pogodny nastrój.

Rano było jednak inaczej. Po raz pierwszy w życiu obudził się z potwornym kacem i w swojej niewiedzy myślał, że umiera. Cady siedział na sąsiedniej koi, uśmiechając się jak małpa, co wcale nie poprawiło mu samopoczucia. Idąc wszakże za radą Cady'ego wsadził głowę na dziesięć minut pod prysznic, wziął trzy aspiryny i zmusił się do przełknięcia kromki chleba oraz wypicia kubka herbaty. Poczul się odrobinę lepiej. Odrzucił pomysł, by przesunąć o jeden dzień datę wypłynięcia, i zaczął szykować jacht do drogi.

Pożegnanie było smutne, zwłaszcza dla Ramesha. Przybyli wszyscy: Radżaratnam z żoną, Stevensowie, Joan i Fiona, Dave, Jack. Zjawił się nawet policjant o zaspanych oczach, który miał za zadanie sprawdzić, czy Lani istotnie odpływa na pokładzie „Manasy”. Dał się chętnie poczęstować filiżanką herbaty i, usiadłszy na pirsie, wybiegł zamglonym wzrokiem w morską przestrzeń.

Dave przyniósł trzy wyładowane pudła z prośbą o przekazanie państwu Savy; zapakował do nich prowiant włącznie ze świeżymi warzywami, pocztę i gazety. Załodze „Manasy” natomiast ofiarował w prezencie upieczone przez siebie dwa olbrzymie wieprzowe pasztety, które cieszyły się na wyspach zasłużoną sławą.

Joan White przysłała ze świeżym pieczywem domowego wypieku i butelką dżinu Gordons, którą wręczyła Rameshowi z lekko ironicznym uśmiechem.

Stevensowie podarowali kilka kilogramów herbaty z własnej plantacji, a Radżaratnamowie kosz owoców z własnego ogrodu. Dziękując tym ostatnim, Ramesh zwrócił się do nich w języku urdu. Nie udało mu się żadną miarą zmusić adwokata do przyjęcia choćby jednej rupii za udzieloną pomoc prawną.

Jack Nelson zjawił się z pustymi rękami. Kiedy jednak Cady zamierzał właśnie oddać mu skrzynkę z narzędziami, którą Jack zostawił na pokładzie, Jack stanowczo zaproponował:

— Narzędzia zostają na jachcie! To mój prezent.

Ramesh próbował protestować: narzędzia należały do Nelsona od lat i musiały przedstawiać dla niego osobistą wartość. Ale Nelson pozostał nieugięty w swym postanowieniu. Ramesh zszedł z jachtu na pirs, wziął go pod ramię i oddalił się z nim poza zasięg głosu. Z trudem znajdował odpowiednie słowa.

— Wiesz, że poznałem tutaj prawdziwych przyjaciół, i to wśród ludzi, których nigdy bym o to nie posądzał. Wszyscy ogromnie mi pomogliście w moim wariackim przedsięwzięciu, ale ty zostaniesz dla mnie na zawsze kimś zupełnie wyjątkowym. Jakże żałuję, że nie możesz z nami popłynąć!

Nelson uśmiechnął się lekko.

— Ja także, uwierz mi. Ale to niemożliwe. Wkrótce wyjeżdżam do Anglii i pewnie już nie powrócę.

— Domyślam się, co chcesz powiedzieć. — Ramesh zasępił się. — Tego dnia, gdy wszedłeś pierwszy raz na pokład „Manasy”, zauważyłem, że nosisz woreczek przetokowy. Żałowałem wówczas, że nie uciałem sobie wcześniej języka! Moja matka przeszła przez to samo; dobrze wiem, ile się wczorajszej nocy musiałaś nacierpieć, kiedy chwycił cię ból.

Przypatrywali się sobie długo. Wreszcie Nelson pokiwał wolno głową.

— Rozumiesz więc, co to oznacza? — spytał.

— Nigdy nie można tracić nadziei. Choroba nie oznacza przecież automatycznie wyroku. Wciąż próbuje się nowych leków...

— Nie, Ramesh. — W głosie Jacka brzmiała stanowczość. — Drań siedzi w żołądku i mam już przerzuty. Tracę na wadze i ból jest coraz gorszy. O'Reilly głądzi o kolejnej operacji, ale ja mam już dosyć. Wrócę do Anglii, uporządkuję swoje sprawy... Pozostało mi jeszcze tylko kilka miesięcy. — Zerknął na zasępioną twarz Ramesha i poklepał go po ramieniu. — Nie martw się, wcale się nie boję. Z początku czułem strach, to prawda, ale kiedy człowiek spojrzy prawdzie w oczy i pogodzi się z losem, to nie jest już tak źle.

Ramesh nie potrafił nic powiedzieć. Walczył ze łzami napływającymi do oczu.

— Tak bardzo... Mam ci tyle do zawdzięczenia...

— Nie! To ja ci dziękuję. Robota przy silniku była dla mnie prawdziwą przyjemnością i bardzo mi pomogła w umocnieniu szacunku dla samego siebie. I jeszcze jedno: dzięki tobie nie umrę jako kabotyn. — Na jego poważnej twarzy pojawił się uśmiech. — W testamencie zapiszę ci swoje wariackie workowate spodenki. Tylko masz je nosić przynajmniej raz w tygodniu!

Ramesh zmusił się do uśmiechu.

— No chodźmy. — Jack ujął go za ramię. — Pora odcumować.

Po serii kolejnych uścisków i pocałunków, przy których mało komu nie popłynęły łzy z oczu, „Manasa” odbiła od brzegu.

\* \* \*

Od pół godziny Ramesh zdawał sobie niejasno sprawę, że dobiega do jego uszu wrzaskliwy hałas, raz głośniejszy, to znów jakby oddalony. Nie bolała go już głowa. Miał właśnie wyjść na pokład i sprawdzić, co się dzieje, kiedy usłyszał wołanie Cady'ego:

— Ramesh, zbliżamy się do wyspy. Za dziesięć minut będziemy przy zachodnim przylądku.

Znalazłszy się na pokładzie Ramesh ujrzał niezwykle zjawisko, któremu przyglądali się już pozostali członkowie załogi. W odległości pół mili od dziobu jachtu leżała długa, nizinna wyspa, która w całości wydawała się pokryta palmami kokosowymi. Wzdłuż wyspy ciągnął się pas prawie białej plaży. Nad wyspą i okalającymi ją wodami kołowały i pikowały w pozornym bezładzie i kakofonii dźwięków dziesiątki tysięcy ptaków. Z daleka wyglądały jak olbrzymie pszczoły krążące wokół gniazda; dopiero później zaobserwował, że niektóre zbliżają się do powierzchni morza i nie poruszając skrzydłami, przelizgują się ponad grzbietami fal.

Widok ten można by oglądać bez końca. W pewnym momencie jednak dostrzegł przed sobą w oddali biel piany, sygnalizującej obecność raf, podszedł więc szybko do Cady'ego i zaczął dokładnie studiować mapę rozwieszoną przy sterze. Dave zaznaczył na niej przejście między rafami, dokładne namiary i inne szczegóły związane z bezpieczeństwem.

Ramesh był lekko spięty. Nie martwił się o to, czy zdoła bezpiecznie doprowadzić „Manasę” do brzegu — niepokoił go Cady.

Obecność dwóch mężczyzn na jednej łodzi może rodzić kłopoty; zwłaszcza gdy jednym jest właściciel o niewielkim doświadczeniu żeglarskim, drugi zaś zna słabe strony swego towarzysza i nawet uważa siebie za znacznie lepszego w tej profesji.

Ramesh miał świadomość tego, że czeka go za chwilę poważny sprawdzian. Cady stał odprężony za sterem, na szeroko rozstawionych nogach, wpatrując się w szybko zbliżający się zachodni cypel wyspy i zerkając od czasu do czasu na kompas. Ramesh zapoznał się już z mapą, powinien więc teraz przejąć ster i poprowadzić jacht ku brzegowi; nie miał jednak odwagi powiedzieć o tym Cady'emu. Było to czyste wariactwo, gdyż dobrze wiedział, że za moment i tak będzie musiał to zrobić — ważne bowiem było, aby już pierwszego dnia pokazać, kto rządzi na jachcie. Odczekał jeszcze dwie minuty i właśnie otwierał usta, żeby się odezwać, kiedy Cady, nie odrywając oczu od wyspy, odsunął się na bok i trzymając jednym palcem koło sterowe, zaczął przeciągając swoim zwyczajem słowa:

— Pana kolej, kapitanie. Powiedz mi, co mam teraz robić.

Ramesh odetchnął w duchu z ulgą i stanął za sterem.

— Dzięki. Za parę minut wpłyniemy na tor wodny. Trzeba zwinąć żagle. Później przejdiesz na dziób jachtu, przygotujesz kotwicę i będziesz uważał na koralowe występy. Sygnalizuj mi wszystko i podawaj stopnie.

Włączył zapłon i wcisnął przycisk startowy. Silnik zapalił po dwóch obrotach. Ramesh posłał w myślach gorące podziękowania do oddalonego o sześćdziesiąt mil Jacka Nelsona.

Po kwadransie posuwali się powoli torem wodnym w kierunku przystani. Cady, wychylony ponad dziobem, wpatrywał się przez lustro krystalicznie czystej wody w piaszczyste dno i korale. Kirsty stała obok Ramesha. Gdy minęli przylądek, ich oczom ukazała się tylko jedna zakotwiczona przy plaży jednostka — była nią mała motorowa łódź kabinowa. Na plaży spoczywała pneumatyczna łódź w sąsiedztwie kanoe wydrążonego z pnia.

— Może jacht Lascellesa stoi po drugiej stronie wyspy? — zasugerowała Kirsty.

— Niemożliwe — orzekł kategorycznie Ramesh. — Wszędzie wokół są rafy. Tędy wiedzie jedyna droga. W każdym razie wkrótce się przekonamy.

Wśród palm kokosowych dostrzegli zarysy budynku. Na brzegu pojawiły się dwie postacie, które zepchnęły pneumatyczną łódź na wodę. Ramesh wyłączył silnik i „Manasa” zwolniła, stanąwszy niemal w miejscu.

Napędzana przez silnik przyczepny łódź pomknęła w ich kierunku: Guy za kołem sterowym i Marie-France ze swego miejsca na przedzie łodzi uśmiechali się do nich na powitanie. Zatoczyli krąg przed dziobem „Manasy” i zwolnili.

— Płyńcie za nami! — krzyknął Guy.

Pięć minut później jacht stał już bezpiecznie zacumowany przy plaży. Przyjmując z rąk Ramesha zimne piwo Guy zapewnił go solennie, że łańcuch cumowniczy ma dwa i pół centymetra grubości i jest zamocowany do pięciotonowego bloku betonowego, że najbliższy wypust koralowy oddalony jest o pięćdziesiąt metrów i że „Manasa” jest równie bezpieczna, jak niemowlę w swoim łóżeczku.

Kiedy tylko wszyscy zostali sobie przedstawieni, Kirsty nie zwlekając zapytała o jacht Lascellesa. Zrzęła jej mina, gdy okazało się, że „Jaloud” odpłynął poprzedniego dnia na oddaloną o dwieście mil wyspę Poivre. Rozjaśniła się nieco na wieść, że Lascelles zamierzał spędzić na Poivre i okolicznych wysepkach kilka dni, by następnie udać się na Farquhar i Aldabrę.

Kirsty uznała, że czas już wyjaśnić sytuację, i podała gospodarzom prawdziwy powód przyjazdu na Seszele.

Ramesh gotów był ruszać natychmiast w dalszą pogoń, Guy jednak odradził mu to. Jak wyjaśnił, jacht taki jak „Manasa” potrzebowałby na odbycie tej drogi co najmniej dwadzieścia cztery godziny, a więc akurat nocą wpłynęliby na niebezpieczne wody. To też najlepiej będzie, jeśli wyruszą wczesnym popołudniem. Jeden dzień nie zrobi zresztą żadnej różnicy — przekonywał Guy. Poza tym — nalegał — muszą przyjąć zaproszenie na kolację i zwiedzić wyspę. Rano zaś, jeśli Cady zbudzi się o świcie, zabierze go ze sobą na morze i postara się znaleźć mu żaglicę. Kirsty odwróciła się i spojrzała na Cady'ego. Zanim zdążył otworzyć usta, odezwała się w jego imieniu:

— Dobrze. Jestem niecierpliwa, ale muszę nauczyć się jakoś z tym żyć. Zanim to się skończy, mogą upłynąć tygodnie, a nawet miesiące. Życzę ci udanych połowów, Cady.

Cady obserwował z uwagą ciemny trójkąt, który przecinał fale pięćdziesiąt metrów za jachtem. Zza pleców dobiegł go ściszony, podekscytowany głos Guya:

— Jeżeli chwyci, daj mu odpłynąć. Powiem ci, kiedy masz pociągnąć.

Cady skinął głową. Serce biło mu szybciej.

Siedział na składanym krzeselku na rufie motorowej łodzi kabinowej Guya i nie tracił nadziei, że uda mu się wreszcie złowić żaglicę. W ciągu ostatnich trzech godzin był dwukrotnie blisko celu, ale za każdym razem okazywał się zbyt niecierpliwy i zbyt szybko podrywał wędzisko.

Płetwa grzbietowa ryby krążyła wokół przynęty niczym zgrabny jacht lawirujący pod wiatr. Nagle popłynęła do przodu i zanurzyła się w wodzie. W następnej sekundzie duży kołowrotek, który Cady ścisnął między udami, zaczął się bezszelestnie kręcić.

— Poczekaj! — przestrzegł Guy i począł cicho odliczać. Cady trzymał kciuk na przycisku hamulcowym kołowrotka. Krótkie wędzisko wystawało z rufy równoległe do linii wody.

— ...osiem, dziewięć, dziesięć. Teraz!

Cady wcisnął przycisk i ściągnął wędkę.

— Jezu! — wybuchnął radośnie na widok żaglicy, która sto metrów za łodzią wyskoczyła z wody na pięć metrów, zatańczyła na ogonie, po czym runęła na powrót w fale, wzbijając olbrzymią fontannę wody.

— Co za sztuka! — zachwycił się Guy. — Nie popuszczaj żyłki!

Cady nawijał kołowrotek, czując napór w lewej dłoni zaciśniętej na wędzisku. Z dużą rybą łączyła go nylonowa żyłka, gotowa pęknąć przy naprężeniu rzędu dwudziestu kilogramów. Żaglica dwukrotnie jeszcze zrywała się do skoku i odpływała, i za każdym razem Cady nie miał innego wyjścia, jak pozwolić, by odpłynęła unosząc ze sobą wiele metrów żyłki.

W końcu się zmęczyła. Zaczął ją ciągnąć, ściągając kij do tyłu i nawijając żyłkę. Po dwudziestu minutach dojrzał zarys ryby za łodzią. Guy założył parę starych skórzanych rękawiczek, przeszedł koło Cady'ego i otworzył część pawęży umocowaną na zawiasach. Sięgnawszy ręką pochwycił przypon.

— Mam ją! — zawołał.

Cady odłożył wędkę i patrzył, jak Guy ciągnie rybę przez ostatnie kilkadziesiąt centymetrów. Widział długi, ostry pysk i wystającą z niego czerwień przynęty.

— Trzymaj przypon! — krzyknął Guy.

Cady złapał za linkę tuż nad przynętą. Guy wychylił się i chwycił prawą ręką pysk ryby, następnie zacisnął na pysku drugą rękę i pociągnął z całej siły w górę.

W prześwicie pawęży ukazała się głowa żaglicy, ale reszta ciała wraz z szaleńczo trzepocącym ogonem pozostawały wciąż w wodzie.

— Do diabła! Pomóż mi! — ryknął Guy.

Cady nachylił się, ale Guy powstrzymał go:

— Nie tak! Chwyć przez szmatę. Pysk ma jak papier ścierny, poharatasz sobie dłonie.

Cady znalazł błyskawicznie kawałek płótna żeglarskiego, owinął go u dołu rybiego pyska i objął pysk dwiema rękami. Guy zaczął odliczać:

— Jeden, dwa, trzy — w górę!

Ryba na moment utknęła w prześwicie, zaraz jednak prześlizgnęła się przez przeszkodę. Nastąpiło to tak gwałtownie, że Guy i Cady rąbnęli na siedzenia z obu stron trzepocącego się ciała.

Cady przeturlał się szybko i zerwał czujnie na nogi. Guy leżał, gdzie upadł, wydając z siebie dziwne dźwięki. Cady w pierwszym odruchu przestraszył się, że Guyowi coś się stało — ale już po chwili zrozumiał, że owe dziwne dźwięki to nic innego jak śmiech, i sam się roześmiał.

Żaglica, która miała dobre dwa metry długości, na skutek ich mocnego szarpnięcia wpadła połową ciała do kabiny. Wciąż rechocząc Guy podniósł się i wciągnął ją do zalanego słońcem kabiny.

— A teraz patrz! — polecił.

Żaglica zaczęła mienić się tysiącami odcieni niebieskości. Cady patrzył nie wierząc własnym oczom. Wprost trudno było pojąć, że jeden kolor może mienić się i błyszczeć na tyle sposobów.

Po zaledwie minucie wszystko zbladło, zlewając się w monotony, ciemny granat.

— W życiu czegoś takiego nie widziałem. — Cady kręcił głową w zadziwieniu. — Co to było?

— Zaczyna tak błyszczeć w chwili śmierci. Starzy ludzie powiadają, że uchodzi z niej dusza i wędruje do nieba. Podobno ze wszystkich ryb tylko żaglica idzie do nieba — a blask, który przed chwilą widziałeś, jest identyczny z niebiańską światłością.

— Aż żal je łapać.

— Jemy tu wszystko, co da się schwycić, nie zabijamy dla sportu. — Tracił rybę nogą i wyjaśnił: — Tę osolę i uwędze — smakuje wybornie i można ją długo przechowywać.



— Pobiegł wzrokiem w kierunku oddalonej wyspy i spojrzął na zegarek. — Pora wracać. Ryb mamy aż nadto, a czeka nas godzina drogi.

Stanął za sterem i zapalił silnik. Łódź zaczęła nabierać prędkości. Cady nie bez wysiłku wyciągnął haczyk z pyska ryby, po czym doprowadził do porządku wędkę i kabinę. Ciągle zastanawiał się nad jednym: do tej pory Guy, by wciągnąć złowione ryby na pokład — a mieli już wahoo, koryfeny, tuńczyki i barrakudy — korzystał z osęki. Kiedy więc tylko stanął koło niego przy sterze, od razu zapytał:

— Dlaczego tym razem nie użyłeś osęki?

— Z uwagi na tradycję i ze względów kosmetycznych. Żaglica jest jedną z niewielu ryb, które wędkarze lubią wypychać i wieszać na ścianie, a osęką można rybę za bardzo pokaleczyć. Nie jestem zainteresowany wypychaniem, ale mimo wszystko staram się ich nie uszkodzić. — Uśmiechnął się. — Pewnie to trochę sentymentalne.

Cady patrzył w milczeniu na plamę zieleni mającą na dalekim horyzoncie.

— Stokrotne dzięki, Guy. To było coś niebywałego.

— Nie ma za co. Ale jak ci już mówiłem, jemy tu naprawdę wszystko. To, czego nie zdoła zjeść naszych ośmiu robotników z plantacji, suszymy, solimy i wysyłamy na Mahé.

Po krótkiej chwili milczenia Guy nawiązał do Lascellesa. Usłyszawszy podczas wczorajszej kolacji o całej historii wyraźnie się zasepił: znał Lascellesa od lat i obawiał się, że jeśli Kirsty będzie, jak zaplanowała, deptać mu po piętach, Lascelles może w końcu uciec się do przemocy.

Ale Cady nie tracił optymizmu. Wciąż nosił na ciele ślady po spotkaniu z Lascellesem, wyjaśnił jednak Guyowi okoliczności walki i dodał, że jeśli Lascelles użyje siły fizycznej, on sobie poradzi.

Guy wysłuchał wszystkiego i pokiwał głową.

— Tak, to cały Lascelles. Nie wątpię, że drugi raz mu się z tobą nie uda. — Zamilkł i po chwili dodał: — Szkopuł w tym, że Lascelles trzyma zawsze na jachcie różnego rodzaju broń...

— Myślisz, że nie zawahałby się strzelać?

— Musisz zrozumieć jedną rzecz — zaczął Guy z namysłem. — Lascelles, jak większość zwykłych łobuzów, jest tak naprawdę tchórzem. Pamiętam, jak kilka lat temu zjawił się pierwszy raz na Bird Island. Przypłynął z dziewczyną, Angielką. Co dziwne, była całkiem sympatyczna. Od pewnego czasu byli ze sobą, Lascelles wtedy nawet tyle nie pił. Któregoś dnia poszła popływać. Lascelles został na plaży. Była jakieś siedemdziesiąt metrów od brzegu i podziwiała właśnie rafy koralowe, kiedy nadpłynął sześciometrowy rekin młot. To jeszcze nie powód do strachu: w tutejszych wodach pływa mnóstwo rekinów, ale nie atakują ludzi. Może zdarza się to przy dalej położonych wyspach, jak Aldabra, ale nie tutaj: nikt z miejscowych nie pamięta przypadku, żeby rekin kogoś napadł.

Dzieciaki na widok rekina nie wychodzą nawet z wody. Ale Angielka tego nie wiedziała i wpadła w panikę. Gnała tak szaleńczo do brzegu, że chwycił ją skurcz w nodze. Byłem w domu, kiedy usłyszałem jej krzyki. Gdy dobiegłem na plażę, Lascelles stał na brzegu, jakby go замуrowało. Był blady na twarzy ze strachu.

— I co dalej?

— Wskoczyłem do wody i wyciągnąłem ją. Była już na wpółżywa, ale wyszła z tego bez szwanku. Nie chciała z Lascellesem odtąd rozmawiać i nie chciała skorzystać z jego jachtu. Czekala miesiąc, aż przybił do wyspy szkuner żeglugi wyspiarskiej. — Uśmiechnął się. — Ładna była z niej dziewczyna. I nie mogła mi się nadziękować — byłem wtedy kawalerem i, nie powiem, jej towarzystwo sprawiało mi przyjemność. — Wrócił znów do poważnego tonu. — Chodzi mi o to, że ten wypadek pokazał Lascellesa w prawdziwym świetle — to najzwyczajniejszy tchórz. Kłopot w tym, że tchórz zapędzony w kozi róg gotów użyć wszystkiego, co tylko ma pod ręką — nawet broni.

Cady trawił w myślach to, co usłyszał. Guy ciągnął dalej:

— Wczoraj nic nie mówiłem, bo nie chciałem straszyć pozostałych. Sądziś, że Kirsty zmieni zdanie, kiedy się o tym dowie?

Cady w odpowiedzi pokręcił wolno głową.

— No a ty, a Ramesh? I dziewczyna? — pytał Guy.

— Mnie to nie odstraszy — odparł Cady po namyśle. — Nie zostawię Kirsty. Myślę, że Ramesh też zostanie — jest wszystkiego ogromnie ciekawy. Wygląda na chodzącą łagodność, ale coś mi się wydaje, że ma w sobie wiele siły i że to facet z charakterem. Lani go nie odstąpi — nie ma innego wyjścia. Zresztą gdyby nawet mogła wybierać, i tak by chyba została. Dziewczyna też ma silny charakter.

— Ale powiesz im, że Lascelles jest uzbrojony?

— Nie mogę inaczej. Widzę jednak, że w takim układzie nie mamy równych szans... Naprawdę uważasz, że może być gorąco? Przecież ornitologdy będą w pobliżu...

— Nie bez przerwy. Kiedy popłyną na dalsze wyspy, przyjdzie im obozować na brzegu — nie ma tam żadnych osad. Przecież Lascelles nie będzie musiał być z nimi cały czas — może ich na krótko zostawić i odpłynąć. A wtedy, skoro zamierzacie nie odstępować go ani na krok, może wam grozić realne niebezpieczeństwo.

Obaj milczeli w zadumie. Wyspa przybliżała się powoli. Guy zerkał od czasu do czasu na pogrążonego w myślach Cady'ego i wreszcie podjął decyzję.

— Stań na moment za sterem — poprosił.

Cady ujął ster, a Guy zniknął pod pokładem. Nie było go przez dziesięć minut. Z dołu dochodziły tylko odgłosy przesuwania i trzaskania. Cady zajrzawszy przez zejściówkę dostrzegł wyjęte deski podłogi i Guya, który leżał na brzuchu macając ręką w zęzie.

Cady patrzył ze zdziwieniem. Czyżby mieli przeciek?

Kiedy Guy wyłonił się spod pokładu, dźwigał poobijaną metalową skrzynkę długą na jakieś siedemdziesiąt centymetrów, szeroką i głęboką na mniej więcej trzydzieści centy-

metrów. Była zamknięta na kłódkę. Postawił ją na deskach kabiny i zaczął przeszukiwać puszkę pod szybą ochronną. Znalazszy klucz wręczył go Cady'emu.

— Otwórz.

Ogromnie zaciekawiony Cady przykucnął nad skrzynką. Zamek otworzył się z piśkiem zardzewiałej stali. W środku leżało kilka zawiniętych w ceratę pakunków. Podniósł pytający wzrok na Guya.

— Odwiń.

Cady wziął najdłuższą z paczek, rozwinął i ze zdziwieniem zobaczył, że trzyma w rękach pistolet maszynowy. Spojrzał oniemiały na Guya. Ten uśmiechnął się i powiedział:

— *Sten Mk2*. Stary, ale sprawny. Potrafisz się nim posługiwać?

— Chyba tak. Wielu nacierzy to prawdziwi miłośnicy broni — ja sam strzelałem ze *Sterlinga* i *Thompsona*.

— To dobrze. Obejrzyj resztę.

Pozostałe pakunki zawierały sześć pełnych magazynków do *Stena* oraz pistolet *Walther P1* kalibru 9 mm wraz z sześcioma pełnymi magazynkami.

— Skąd je masz?

Guy uśmiechnął się.

— Zakrawa to na ironię, ale dostałem je od Lascellesa.

Opowiedział Cady'emu całą historię.

Mniej więcej dziewięć miesięcy temu „*Jaloud*” zakotwiczył przy Bird Island. Lascelles zszedł na ląd prosząc o paliwo, wodę i prowiant. Jak wyjaśnił, płynie z Indii i z uwagi na pęknięcie w głównym maszcie musiał przez większość rejsu korzystać z silnika. Dodał, że zmierza do Afryki Wschodniej — nie wyłuszczył dokładnie gdzie — i że bardzo mu się śpieszy. Zastanowiło to Guya: dlaczego nie zawinął po paliwo do Mahé? Lascelles z porozumiewawczym mrugnięciem przyłożył palec do ust. Guy zrozumiał od razu, że Lascelles wiezie jakąś kontrabandę i wolał ominąć władze celne w Mahé. Bez wielkiego entuzjazmu, bo sam miał nader szczupłe zapasy, zgodził się na prośbę Lascellesa i dał mu zbiornik paliwa, pięćdziesiąt galonów wody i konserwy.

Kiedy razem ze swoimi robotnikami pomagał Lascellesowi i Carlowi załadować wszystko na pokład, spostrzegł, że „*Jaloud*” jest głęboko zanurzony w wodzie. Lascelles kazał umocować zbiornik paliwa i pojemniki z wodą na pokładzie, co było widowym znakiem, że ładownia jachtu jest pełna. Na pytanie Guya o zapłatę Lascelles bąknął pod nosem, że cierpi teraz na brak gotówki, ale za trzy tygodnie wróci i wtedy mu zapłaci.

Guy nie zamierzał udzielać mu kredytu i powiedział to bez ogródek; nie bał się, bo miał przy sobie czterech swoich robotników. Lascelles zaczął się najpierw wściekać, jednak w chwilę potem, naradziwszy się szeptem z Carlem, zaproponował transakcję wymienną: za paliwo i żywność Guy może sobie wybrać towar podobnej wartości.

— Okazało się, że wieziony ładunek to broń i amunicja — ciągnął Guy. — Miał różne modele, przeważnie stare: *Steny*, karabiny, pistolety. Nawet dwa ciężkie karabiny maszynowe. W Indiach jest mnóstwo broni z okresu wojny i walk o niepodległość. — Wskazał na broń i amunicję na deskach kabiny. — Po krótkich targach wybrałem to, co widzisz.

— Dokąd mógł płynąć z tym towarem?

— Kto to może wiedzieć... Odpływając kierował się na zachód, co by wskazywało na wybrzeże Afryki Wschodniej: na mój nos był to pewnie Zanzibar. W jakieś sześć tygodni po tym, jak wypłynął z Bird Island, w Zanzibarze wybuchła rewolucja: w masakrze zginęło kilka tysięcy Arabów, w tym kobiety i dzieci — wielu Zanzibarczyków.

Gady chrząknął gniewnie.

— Czytałem o tym. Niezły przyjemniaczek z tego Lascellesa!

— Właśnie... Gdyby więc próbował jakichś brudnych sztuczek, nie będziecie przynajmniej bezbronni.

— Zapłacę ci za broń.

— Nie trzeba. — Guy potrząsnął głową. — Niech to będzie mój udział. Ale nie wspominaj o broni, póki nie odpłyniecie. Marie-France nic o niej nie wie — dlatego trzymałem wszystko na łodzi. Zresztą posiadanie broni bez pozwolenia jest tu bardzo poważnym przestępstwem.

\* \* \*

Marie-France stała pośrodku kolonii ptaków w towarzystwie Kirsty, Ramesha i Lani. Mówiła głośno, starając się przekrzyczeć ptasią wrzawą. Goście co rusz odchylali instynktownie głowy przed pikującymi wprost na nich ptakami, które — rozsierdzone obecnością intruzów — mijały ich o centymetry.

Rybołówki, wyjaśniła Marie-France, dobierają sobie partnerów na całe życie. Co roku przylatują na ten sam skrawek plaży, by znieść tam jaja. Jak się przypuszcza, w czasie sezonowych wędrówek odlatują aż do Australii lub do obu Ameryk. Młode nie łączą się do trzeciego roku życia — i z tym wiąże się zagadka, nad którą ornitolodzy dyskutują od lat. Rybołówki, w przeciwieństwie do mew, nie siadają na wodzie, ponieważ nie mają pokrytych tłuszczem skrzydeł, a na ląd zlatują tylko w okresie godowym i dla wychowania potomstwa. Młodych, niedojrzałych sztuk nie widuje się nigdy na lądzie, stąd też przekonanie, że rybołówki przez trzy pierwsze lata życia przebywają wyłącznie w powietrzu, nie dotykając ziemi.

Kirsty patrzyła na mrowie ptactwa i nie mogła wyjść z zadziwienia.

— Nie pomyślałabym nawet, że na całym świecie żyje tyle ptaków.

Marie-France się roześmiała.

— Tam, dokąd płyniecie, również są kolonie ptaków. — Zatoczyła ręką łuk, pokazując dwa akry piaszczystej plaży. — Pięćdziesiąt lat temu w sezonie zbierano tu czterdzie-

ści tysięcy pojemników jaj, które uznawane są za wielki rarytas. Samica, gdy się jej zabierze jajo, składa następne, ale nie więcej niż jedno. Z tego wynika, że w owym czasie wyspę zamieszkiwało ponad dziesięć milionów ptaków! Ówczesni mieszkańcy w swej zachłanności zaczęli zabierać także jaja z drugiego wylęgu, no i kolonia niemal wymarła. Dzisiaj znowu się odradza: naukowcy od Lascellesa obliczyli, że mamy teraz blisko dwa miliony ptaków.

Na wzmiankę o Lascellesie Kirsty spojrzała na zegarek.

— Nie denerwuj się — uspokoiła ją Marie-France. — Guy obiecał, że wróci do południa. Chodźcie, poszukamy Esmeraldy. Tak właściwie to nie ona, ale on: uchodzi za największego i najstarszego żółwia świata. O tej porze dnia zazwyczaj śpi w cieniu kazuaryn.

\* \* \*

W pół godziny później stojąc na plaży obserwowali, jak łódź Guya wpływa na kowicowisko. Kiedy przepływała obok „Manasy”, Cady przeniósł jakiś pakunek na pokład jachtu, po czym dobił wraz z Guyem do innego cumowiska. Robotnicy z plantacji jak jeden mąż wylegli na brzeg; dwóch z nich zepchnęło do wody czółno i powiosłowało do łodzi.

Widząc, jak wracają z długą, ciemną rybą, Marie-France westchnęła z zadowoleniem:

— Świetnie, złapali żaglicę. Cady ma powód do radości.

Po dziesięciu minutach mogli już podziwiać zdobycz leżącą na plaży i słuchać Cady’ego, jak opisuje w najdrobniejszych szczegółach swoją walkę z żaglicą. Kiedy opowiadanie dobiegło końca, Guy wziął Marie-France pod ramię i poszedł z żoną do domu, zostawiając czwórkę gości na plaży.

— Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć, Kirsty. — Cady był znów poważny. — Guy przestrzegł mnie dzisiaj, że Lascelles ma na pokładzie broń. Twierdzi, że Lascelles przycisnięty do muru może zacząć strzelać.

— O nie! — Kirsty spochmurniała. — Ale przecież są z nim ci ornitologowie? Na pewno by nie...

— Niekoniecznie muszą być zawsze blisko.

— Rozumiem. — Wbiła wzrok w piasek, rysując po nim palcami bosych stóp.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — włączył się Ramesh z gniewnym błyskiem w oku. — Mamy według ciebie zrezygnować ze ścigania Lascellesa?

— Do diabła, nie! — krzyknął Cady, zaskoczony tonem głosu Ramesha. — Powtarzam jedynie, co usłyszałem od Guya — to mój obowiązek. Rzecz w tym, że teraz zanoś się na zupełnie inną grę.

— Masz rację, Cady — rzekła Kirsty po namyśle. — Ja, oczywiście, się nie cofnę — bez względu na grożące niebezpieczeństwa. Ale nie mam prawa wciągać do tego was.

Ramesh, Łódź należy do ciebie. — Ramesh chciał coś powiedzieć, ale powstrzymała go ruchem ręki. — Poczekaj. Myślę, że powinniście omówić to sami w trójkę. Nie będę się dziwić, jeżeli postanowicie płynąć prosto do Mombasy. Moglibyście mnie tylko podrzucić na Mahé, może uda mi się dalej coś wymyślić... Naprawdę nie będę się dziwić. Dla mnie to sprawa osobista; nie mogę oczekiwać, że inni będą narażać dla mnie życie. — Odwróciła się i zaczęła oddalać się plażą.

— Zaczekaj! — dogonił ją krzyk Ramesha. Zatrzymała się.

— Wracaj natychmiast! — zawołał. I nagle przestał być spokojnym, ugrzecznionym, niemal nieśmiałym człowiekiem, za jakiego wszyscy go mieli. Mówił głosem nie znoszącym sprzeciwu: — Kirsty! Wracaj tutaj!

Ruszyła z powrotem, zastanawiając się nad zmianą, jaka zaszła w Rameshu. Przeobrażał się jak poczwarzka. Od momentu wypłynięcia z Mahé była świadkiem, jak nabiera wiary we własne siły. Był nadal grzeczny i uważający, ale pozbywał się powoli swojej nieśmiałości. Poprzez trawiący ją niepokój czuła rosnący z każdą chwilą podziw.

Ramesh popatrzył po kolei na każdego z obecnych. Stał wyprostowany, trzymając wysoko głowę.

— Tak, to prawda — zaczął. — Łódź należy do mnie. Ja jestem kapitanem, na mnie więc ciąży odpowiedzialność za jacht i bezpieczeństwo wszystkich na pokładzie. Do mnie należy podejmowanie decyzji — chociaż, jak dobrze wiecie, jeszcze nie tak dawno byłem zwykłym *babu*, nie mającym pojęcia o żeglarskim. Zatem decyzje spoczywają w moim ręku, zgadza się, Cady?

— No tak. Ale...

— Nie ma żadnego ale. — Ramesh uciszył go stanowczym ruchem ręki. — Oczywiście, chętnie słucham rad innych, nie jestem przecież dyktatorem. Ale wiem jedno: na pokładzie rządzić może tylko jedna osoba, zwłaszcza w momentach zagrożenia i w chwilach niebezpieczeństwa. — Zwrócił się do Lani. — Twoja sytuacja nie jest łatwa, bo nie masz żadnego wyboru.

— Ja już raz wybrałam — odparła bez namysłu. — Dobrze o tym wiesz.

— W porządku. No więc tak, Kirsty: podjąłem decyzję. „Manasa” płynie do Poivre i będzie trzymać się jak cień jachtu Lascellesa. Jeżeli Cady chce wysiąść w Mahé, to...

— Zaraz, zaraz! — ryknął Cady. Postąpił krok do przodu z twarzą poczerwieniałą ze złości. — Kto tu chrzani o wysiadaniu!

Lani rozładowała sytuację wybuchając śmiechem. Spojrzeli na nią z zaskoczonymi minami. Zaczęła śmiać się jeszcze głośniej. Wreszcie wzięła głęboki oddech i odezwała się:

— Chyba wszyscy poszaleliście. Przecież nikt ani przez chwilę nie myślał o wycofaniu się. A wy drepczecie w kółko i klepicie to samo. Mam przynieść Biblię, żebyśmy wszyscy złożyli przysięgę?

Na twarzach wszystkich pojawił się uśmiech.

— Guy miał rację, że nas ostrzegł — uznała Kirsty. — A Cady słusznie zrobił, że nam o tym powiedział. Zawsze lepiej wiedzieć, czego trzeba się spodziewać.

— W każdym razie nie jest aż tak źle — rzekł uspokajająco Cady. — Szansę są teraz nieco bardziej wyrównane. Ale o tym powiem wam już na łodzi. Co do ciebie, Ramesh, to nigdy nie podawałem w wątpliwość, że to ty jesteś kapitanem i dzierżysz władzę. Mam chyba z dziesięć razy większe doświadczenie na morzu niż ty i jeśli będziesz potrzebował rady, chętnie ci jej udzielę — ale tylko wtedy, gdy sam o nią poprosisz.

Ramesh kiwnął głową na znak zgody.

— Wiem o tym, Cady. Jest mi o wiele lżej, kiedy pomyślę, że mam cię na pokładzie. Zerknął na zegarek. — Pora pożegnać się z Guyem i Marie-France. Chciałbym o pierwszej być już na morzu.

Padł strzał. Kula wzbiła fontannę wody jakieś dziesięć metrów za pływającą butelką.  
— Skacze mi w rękę! — wykrzyknął Ramesh.

— Nic dziwnego — odparł Cady ze stoickim spokojem. — Przy strzale następuje odrzut. Obejmij lewą ręką prawy nadgarstek unieruchamiając dłoń — o, w ten sposób. Wymierz jeszcze raz. Masz sobie wyobrazić, że lufa to twój palec. Skieruj ją na cel. Trzymaj rękę sztywno i naciśnij delikatnie spust.

Stali na rufie „Manasy” znajdującej się czterdzieści mil na południowy zachód od Bird Island. Był wczesny wieczór i wiatr zamarł — zjawisko nader częste w okresie zmiany kierunku monsunów. Wiedząc, że Ramesh nie miał nigdy pistoletu w rękę, Cady zaproponował, aby poświęcić jeden magazynek dziewięciomilimetrowych nabo-  
jów i poćwiczyć strzelanie z *Walthem*. Kusiło go, żeby samemu popробować strzelania ze *Stena*, szkoda mu było jednak amunicji: każdy magazynek zawierał tylko trzydzieści dwa naboje, a przy ogniu automatycznym wystarczała dwusekundowa seria, by magazynek był pusty. Uznał, że lepiej zrobi zachowując na wszelki wypadek wszystkie sześć magazynków.

Kirsty i Lani stały na podwyższeniu pokładówki obserwując z zainteresowaniem strzelecki trening. Przy kolejnym strzale krzyknęły i zaklaskały w dłonie: kula wzbiła fontannę wody niecały metr za celem, nieco w lewo.

— Dobrze! — pochwalił Cady i schylił się, żeby podnieść łuskę z pokładu.

Następny pocisk znowu przeniósł, tym razem mocno w prawo. Ramesh zrobił ponurą minę.

— Szarpnąłeś za spust — pouczył go surowo Cady. — Lufa tuż przed strzałem drgnęła. Musisz pociągać za spust delikatnie, jakbyś zrywał przejrzałą śliwkę.

Po kolejnym strzale kula uderzyła tak blisko celu, że fontanna wody niemal przesłoniła butelkę. Ostatnie cztery próby były również nieudane, chociaż kule trafiały coraz bliżej celu. Cady był zadowolony z wyniku.

Z Rameshem było dokładnie na odwrót.

— Cholera! — mruknął do siebie, kiedy huk ostatniego wystrzału przetoczył się po pustym morzu.



— Nie przejmuj się — pocieszył go Cady. — Jak na pierwszy raz poszło ci naprawdę dobrze. Każdy z ostatnich czterech strzałów położyłby człowieka. Zresztą broń krótka jest używana przy bliskich odległościach. Z pięciu metrów trafisz gościa bez pudła.

Ramesh spojrział na trzymany w ręku pistolet: granat metalu, solidna, żłobkowana kolba i cienka lufa z muszką. Broń była dobrze wyważona. Spróbował wyobrazić sobie, co czułby mierząc z niej do człowieka i naciskając spust. Zamiast fontanny wody lub rozbitego szkła widziałby rozerwane ciało, strzaskane kości i krew. Czy odważyłby się strzelić?

Cady czytał w jego myślach.

— Gdyby ktoś usiłował cię zabić, nie wahałbyś się ani chwili, uwierz mi.

Ramesh kiwnął głową z ponurą miną.

— Wierzę. Strzelałeś już do kogoś?

— Tylko raz. Na pokładzie frachtowca stojącego na redzie portu w Dżakarcie, gdzie z powodu przepełnienia musieliśmy czekać tygodniami na rozładunek. W tym czasie panoszyło się tam prawdziwe piractwo. Rabusie przyplływali cicho w środku nocy, zarzucali na pokład owinięte szmatami chwytaaki i wpadali chmarą. Trzymaliśmy na zmianę wartę mając do dyspozycji *Colta 1911*, potężną czterdziestkępiątkę, która mogłaby powalić słonia. Pewnej nocy zjawili się. Ocknąłem się na szczęście z drzemki i przy relingu, od strony rufy, dostrzegłem cienie. Muszę przyznać, że naprawdę spanikowałem — wywaliłem w nich caluteńki magazynek. Faceci przyplłynęli na wielkich czółnach napędzanych silnikami zaburtowymi — jak dali dyla, to tylko dym za nimi było widać.

— Myślisz, że któregoś zabiłeś?

— Kto wie. Na relingu były ślady krwi. Pewnie jednego postrzeliłem.

— Uhm — mruknął Ramesh w zamyśleniu, spoglądając na pistolet. Podsunął go Cady'emu. Ten odchylił delikatnie lufę w bok.

— Pamiętaj, Ramesh, nie kieruj nigdy broni lufą do człowieka.

— Przecież nie jest nabity.

— Pewnie. Całkiem sporo ludzi zginęło od broni, która w ich przeświadczeniu nie była nabita.

Wziął pistolet, zabezpieczył i wyjął magazynek.

— Muszę go wyczyścić. Przy okazji przeczyszczę *Stena*. Należy ci się pochwała, Ramesh. Jak na pierwszy raz spisałeś się całkiem nieźle. — Spojrzął na zegarek. — Kiedy skończę z bronią, zafunduję sobie dwie godzinki drzemki przed wachtą.

Ramesh rozdzielił nocne wachty między siebie i Cady'ego. Nie zważając na protesty tego ostatniego, sam wybrał psią wachtę: paskudne, nużące cztery godziny od północy do czwartej.

Stanął za sterem i dodał biegu. „Manasa” nabrała szybkości, przemykając po gładkim morzu w kierunku Amirantów.

\* \* \*

Tuż po trzeciej rano zerwał się wiatr. Cady obudził się na dźwięk wyłączanego silnika. W pierwszej chwili pomyślał, że coś się stało, usłyszawszy jednak kroki Ramesha domyślił się, że kapitan będzie stawiał żagle. Zastanawiał się, czy nie pójść mu pomóc, ale uznał, że nie jest to najlepszy pomysł: Ramesh mógłby to odebrać jako brak zaufania do jego umiejętności. W chwilę potem dobiegła go cicha komenda Ramesha, po której jacht zmienił nieco kurs — z tego wynikało, że Lani albo Kirsty stoi przy sterze.

Spojrzał na świecące wskazówki zegarka i doszedł do wniosku, że może jeszcze trochę się przespać, zanim zluzuje Ramesha. Przewrócił się na drugi bok na wąskiej koi, poprawił poduszkę i próbował wygodnie się ułożyć.

Ale sen odszedł na dobre. Tak jak to miało miejsce ostatnio, zaczął krążyć myślami wokół Lani.

Był zakochany i świadomość tego wprawiała go w zmieszanie. Tego wieczoru jedli kolację na pokładzie rufowym: zjedli jeden z pasztetów wieprzowych Dave'a z sałatką, a przedtem skosztowali wędzonej żaglicy od Guya, która pochodziła z poprzedniego połowu. Ramesh i Kirsty wiedli prym w rozmowie, skupiającej się na zwyczajach i życiu rybołówek oraz żółwi olbrzymów: zastanawiało ich, czy zwierzęta porozumiewają się i czy coś odczuwają. Czuli się tak dobrze w swoim towarzystwie, że gdyby Cady sam nie był pochłonięty myślami o Lani, musiałyby spostrzec uczucie rodzące się między Kirsty i Rameshem. On patrzył jednak na Lani, która dziobała w jedzeniu bez apetytu.

— Nie smakuje ci? — zapytał. — Pasztet jest naprawdę doskonały.

Podniosła na niego oczy, uśmiechając się lekko.

— Nie wątpię. Po prostu nie jestem przyzwyczajona. Tam, skąd pochodzę, przyrządzamy wieprzowinę na inny sposób.

— No tak, zachodnia kuchnia musi wydawać ci się rzeczywiście dziwna. Ja osobiście wcale bym się nie gniewał, gdybym miał być codziennie karmiony chińską kuchnią.

— Nic z tego — zaoponowała stanowczo. — Muszę przywyknąć do różnego jedzenia. Muszę nauczyć się tylu nowych rzeczy...

Miał już na czubku języka pytanie, jak Lani widzi swoją przyszłość, ale się powstrzymał. Sam nie bardzo wiedział, co go czeka, a cóż dopiero Lani?

Lani miała dziwny zwyczaj patrzenia na niego: nigdy nie spoglądała wprost, rzucała tylko ukradkowe spojrzenia. Każdą inną podejrzewałby o to, że udaje skromniśnię, może nawet stara się być zalotna, ale z Lani było inaczej. Odnosił wrażenie, że dziewczyna się go boi. Widział przecież, że w trakcie rozmowy z Rameshem czy z Kirsty patrzy im prosto w oczy.

Nie dawało mu to spokoju. Poprawił poduszkę i starał się ułożyć wygodnie swoje metr dziewięćdziesiąt. Na próżno. Westchnął i sprawdził godzinę: wpół do czwartej.

Nie było sensu przykładać się do snu. Wygramolił się z koi i ubrał w dżinsowe spodnie. Może Ramesh będzie chciał się napić kawy.

Przeszedł bosy korytarzem obok cichej maszynowni i dotarł do ciemnego saloniku. Miał właśnie wejść na pokład, kiedy dobiegły go niewyraźne głosy. Rozmawiano cicho, niemal szeptem, ale wiatr od rufy przywiewał słowa prosto do niego.

— Bardzo ją lubię, Lani. Nie spodziewałem się, że to zauważysz. Aż tak to widać?

Słowa Lani były słabiej słyszalne: musiała być blisko relingu.

— W jakimś sensie tak. Zdążyłam cię już poznać. Widzę, w jaki sposób na nią patrzysz, jak jej nadskakujesz, jak ożywasz się, kiedy do ciebie mówi. Ale nie ma w tym nic nienaturalnego.

Cady stał jak skamieniały z nogą na stopniu schodów. W głosie Ramesha przebijała nuta troski.

— Nie masz żalu, Lani? Czy to ci przeszkadza?

— Skądże — zaprzeczyła szczerze. — To wspaniała kobieta i podziela twoje uczucia. Ja to widzę. — Po krótkiej przerwie dodała: — Ale martwię się o ciebie. Kirsty opanowana jest jedną obsesją: święcie wierzy, że jej syn żyje, chociaż nie ma na to żadnego dowodu.

— Też w to wierzę — odparł Ramesh krótko.

— Wiem. Ja także, ale chyba raczej dlatego, że chcę w to wierzyć — dla niej samej. Na Bird Island, kiedy Cady wspomniał, że Lascelles jest uzbrojony, odrzuciłeś z gniewem pomysł zaprzestania poszukiwań. Obawiam się, że zaczyna ogarniać cię ta sama obsesja. A to niedobrze. Co będzie, jeśli chłopak rzeczywiście nie żyje? Jak długo zamierzasz prowadzić poszukiwania?

— Nie mam pojęcia. Podobnie jak nie wiem, co nam przyniosą najbliższe tygodnie. Zdaję się na los: będzie to, co ma być. — Umilkł na moment. — Ja także się czymś martwię: chodzi mi o Cady'ego.

— Co się stało?

— Widzisz... On i Kirsty znali się wcześniej... Cady bardzo ją lubi, może nawet kocha.

— Nie — zaprzeczyła z łagodną stanowczością. — Lubi ją, to prawda, ale nie ma mowy o miłości. Są sobie bliscy, lecz to nie miłość. Czuje chyba do niej to, co ja do ciebie.

W ciszy, jaka teraz zapadła, słychać było tylko skrzypienie żagli. Wreszcie Ramesh szepnął:

— Ale jest taki przystojny, męski... Kobięcie trudno chyba zachować wobec niego obojętność... Nie uważasz?

— Wcale tak nie myślę.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Czasami zapominasz, że jestem Chinką: my, Chinki, mamy inne pojęcie o atrakcyjności. W naszych oczach większość mężczyzn Zachodu to nieokrzesane drągale owłosione jak małpy. Pierwsi, którzy zjawili się w Chinach, zyskali przydomek *fang gweilo*, co znaczy „zamorskie diabły”, czyli inaczej barbarzyńcy. Niełatwo nam przyzwyczać się do ich widoku: z trudem zmuszam się, by nie odwracać oczu od twarzy Cady’ego.

— No tak, siniec na sińcu.

— Nie chodzi o to. Widzę jego jasne brwi i długie włosy jak u albinosa, zarost na twarzy, kiedy się nie ogoli — i owłosioną klatkę piersiową i ramiona. Z czasem się przyzwyczaję — zachichotała — tak jak do pasztetu z wieprzowiny.

Ton jej głosu zaintrygował najwyraźniej Ramesha.

— Ale go lubisz?

— O tak, bardzo. Ma dobry charakter i jest bardzo miły... Tyle że taki brzydki.

Gdyby obdarzeni byli bardziej wyczulonym słuchem, dosłyszeliby zapewne zduszone „A niech to!” wypowiedziane w saloniku. Gdyby zaś potrafili przebić wzrokiem ciemność i drewnianą zrębnicę, mieliby okazję dostrzec, że twarz Cady’ego przecina uśmiech od ucha do ucha.

W dwie godziny po wschodzie słońca minęli południowo-wschodni cypel Daros. Cady trzymał wachtę, reszta załogi spała. Unieruchomił koło sterowe, dokonał namiaru i następnie zmienił kurs o kilka stopni na południe. Siła wiatru wzmożła się do czterech stopni w skali Beauforta — „Manasa” posuwała się ze stałą prędkością sześciu węzłów na godzinę.

Cady czuł się pojednany z całym światem. Odnotowawszy zmianę kursu w dzienniku pokładowym obliczył, że do Poivre dopłyną wczesnym popołudniem. Nareszcie będą mogli zacząć deptać Lascellesowi po piętach. Z niecierpliwością wypatrywał tej chwili, przepełniony dziwnym pragnieniem ponownego spotkania z Lascellesem. Nie zamierzał niczego prowokować, po prostu chciał się znaleźć w jego bliskości. Nie spuścił go z oka, niczym myśliwy osaczający zwierzynę, w przekonaniu, że rozstrzygający moment musi kiedyś nadejść.

Miał też zupełną jasność co do rządzących nim uczuć: Kirsty darzył ogromną sympatią i podziwem, ale kochał Lani.

Dobrze jest widzieć wszystko jasno. Był jak biegacz, który ukończył właśnie długi, wyczerpujący wyścig i odpoczywa teraz pod gorącym prysznicem: poprzez zmęczenie przebija się miłe ciepło, odpływa napięcie. W ciągu dwudziestu sześciu lat życia widział niejedno. Przez ostatnie osiem lat harował jak wół, podróżował po świecie, przeżywał chwile ekscytacji, a czasem strachu. Nigdy wszakże nie zaznał miłości, jakiej teraz doświadczał: miał uczucie, jakby wspiął się na szczyt i po raz pierwszy oddychał czystym, świeżym powietrzem.

Usłyszał hałas w saloniku i zaraz potem zobaczył twarz Kirsty wyłaniającą się spod pokładu. Włosy miała potargane od spania i ziewała przysłaniając ręką usta.

— Dzień dobry, Cady — wymamrotała. — Sam tu jesteś?

— Mhm. Wyspałaś się?

Uśmiechnęła się sennie.

— I owszem! Gdzie jesteśmy?

— Mijamy właśnie Daros. Za sześć godzin powinniśmy dopłynąć do Poivre.

— To chyba niezłe tempo, co?

— W nocy chwyciliśmy wiatr.

Weszła po stopniach i spojrzała w stronę oddalonej o dwie mile wyspy: rząd kokosowych palm, biel plaży i więcej nic.

— Zjesz śniadanie? — zaproponowała. — Co powiesz na jajka na bekonie i kawę?

— Wspaniale! — Poczul się nagle bardzo głodny.

— Przygotować jedzenie dla reszty?

— Nie, oboje czuwali do czwartej. Dajmy im pospać.

W kwadrans później jedli przy składanym stoliku na pokładzie rufowym. „Manasa” pchana silnym bocznym wiatrem sama posuwała się do przodu.

Kirsty rozbudziła się już zupełnie. Wiatr rozwiewał jej włosy, oczy błyszcząły. Zerkała ustawicznie na Cady’ego, który zjadał żarłocznie jajecznicę z czterech jaj usmażoną na sześciu plastrach bekonu.

Kiedy wytarł do czysta talerz kawałkiem chleba, dołała mu kawy i zaczęła:

— No więc słucham.

— Nie rozumiem? — wymamrotał z pełnymi ustami.

— Powiesz mi, co ci jest? Wyglądasz, jakbyś coś przeszkrobał.

Przyjrzał się jej bacznie. Uśmiechnęła się.

— Niech sama zgadnę: zakochałeś się. Nie we mnie, więc na pewno w Lani. — Wybuchnęła śmiechem na widok rumieńca na jego twarzy.

— Lani uważa mnie za brzydala — powiedział, jakby się usprawiedliwiając.

— Wiem, wspomniała mi o tym wczoraj wieczorem.

— Rozmawiała z tobą?!

— No pewnie. Kiedy poszliśmy do łóżek po kolacji, ucięliśmy sobie długą pogawędkę. Jak to między kobietami. Potrzebowała chyba się wygadać.

— Słucham, mów dalej. — Aż się nachylił nad stołem.

— To wszystko — skwitowała. — Rozmawialiśmy o tobie, o Rameshu i o... Wiesz, taka babska gadanina. — Zrobiła krótką przerwę. — Cieszę się ze względu na ciebie — i na siebie. To wiele między nami wyjaśnia. Pamiętasz naszą rozmowę w szpitalu na Mahé? Wciąż nie miałam pewności, czy nie odciągam cię przypadkiem od pracy lub coś w tym rodzaju. — Uśmiechnęła się i wokół jej oczu pojawiła się siateczka zmarszczek. — Teraz nie będzie mnie już dręczyć poczucie winy. Nie muszę się denerwować i myśleć, jak głęboko zaangażowałeś się w nasz związek, bo nabrałam przekonania, że łączy nas po prostu prawdziwa przyjaźń.

Pokiwał uroczyście głową i ścisnął jej rękę.

— Wiem, co chcesz powiedzieć. To wspaniałe uczucie. Popatrzyła na niego z uśmiechem.

— Ale musisz być ostrożny. Lani to wrażliwa dziewczyna. I pomijając wszystko inne, jest jeszcze dziewicą.

— Naprawdę? Powiedziała ci to?

— Właśnie. A także to, że zaoferowała Rameshowi samą siebie w podzięcie za to, co dla niej zrobił. I wyobraź sobie, że przez dwadzieścia dni przebywali na morzu sam na sam, a on jej nawet nie dotknął.

— Taki facet trafia się jeden na milion — orzekł Cady z podziwem w głosie. — Przytaknęła skinieniem. — Coś ci jeszcze powiem — dodał Cady. — Nie wyciągałem go na żadne zwierzenia, po prostu podsłuchałem przypadkiem, jak rozmawia z Lani w czasie psiej wachty: otóż zwierzył się jej, że nie może przestać o tobie myśleć.

Westchnęła i pobiegła wzrokiem ku smudze zieleni ginącej za horyzontem.

— Wiem, czuję to.

— I co ty na to?

Obróciła na niego spojrzenie. Zdawało mu się, że w jej oczach widzi twardy upór.

— Wiem, ja również nie pozostaje obojętna, i trochę mnie to przeraża. Im lepiej go poznaję, tym większą darzę go sympatią. Coraz więcej mnie z nim łączy. Ale chcę od tego uciec, zdusić to w sobie. Nie pozwolę, by uczucia przeszkodziły mi w dotarciu do prawdy o Garrecie. Nie po to przebyłam taki szmat drogi, żeby się zakochać albo przeżyć przyjemny, choć ulotny romans. Moim celem jest odnalezienie syna.

— Rozumiem. Ale życie toczy się jak dawniej, nie możesz zamykać się w skorupie. Widać przecież, co czujesz do Ramesha.

— Niech ci będzie. Nie zapominaj tylko, że podobnie jak u Lani, nad wszystkim góruje wdzięczność. Ramesh, tak jak i ty, bardzo mi pomaga. Jeżeli nawet żywią jakieś inne uczucia, to do zakończenia poszukiwań muszę trzymać je pod kluczem.

W jej oczach znów pojawił się upór.

— Już dobrze, Kirsty — rzekł cicho. — Ramesh to porządny chłopak, ale nie zdziw się, jeśli przekręci ten klucz i otworzy sobie drzwi.

Kirsty nic nie odparła. Nie chciała przyznać się przed samą sobą, że Ramesh dokonał już tej sztuki.

\* \* \*

Tuż przed południem wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Ramesh wszedł na pokład i spojrzał w górę: wysoko po niebie ciągnęły się smugi przeredzonych chmur. Zwrócił się z pytaniem do stojącego za sterem Cady'ego:

— Barometr opada, co o tym myślisz?

Cady przyglądał się uważnie wysoko płynącym obłokom.

— Wieje z południowego wschodu. Idzie chyba sztorm od Madagaskaru — możemy o niego zahaczyć. Ale jesteśmy za daleko na północ, żeby dostać się w sam środek nawałnicy.

Ramesh zszedł pod pokład; chciał pewnie przestudiować w swojej „Biblii” zasady postępowania w warunkach sztormowych. Wrócił po dwudziestu minutach.

— Barometr opada coraz szybciej. W notatkach od Dave’a Thomasa wyczytałem, że — choć bardzo rzadko, ale jednak — szaleją na tych obszarach porywiste wiatry, które docierają daleko na północ, aż po Providence. Ostatni taki przypadek miał miejsce przed czterema laty.

Cady spojrział kątem oka na swego towarzysza. Mylił się: na twarzy Ramesha nie było śladu zdenerwowania. Wybiegał wzrokiem w morze, patrząc na tworzące się już na powierzchni małe baranki. „Manasa” przechyliła się na bok pod gwałtownym podmuchem wiatru.

— Providence jest jeszcze daleko na południe od nas — odezwał się uspokajająco Cady. — Mimo wszystko można spodziewać się wiatru o sile sześciu, siedmiu stopni w skali Beauforta.

Ramesh przywołał Lani i Kirsty. Kiedy zjawiły się na pokładzie, poprosił Lani o zajęcie miejsca za sterem, a Kirsty o umocowanie wszystkiego pod pokładem. Sam wziął się z Cadym za refowanie grotu.

Późnym popołudniem wiatr wzmógł się do czterdziestu węzłów na godzinę. Morze rozkołysało się, łamiąc się pod naporem zbitych fal. Woda usiana była bielą spienionych baranków. Barometr wciąż spadał. Ramesh i Cady wciągnęli kliwer sztormowy i jeszcze bardziej zrefowali grot. Jacht wznosił się i opadał na falach.

Cady patrzył z podziwem na poczynania Ramesha, który — chociaż był wciąż nowicjuszem — działał w sposób metodyczny i ze spokojną wiarą we własne siły. Najpierw przeciągnęli linę nad budką sternika, a do niej zamocowali cztery liny sztormowe. W kabinie rozmieścili kamizelki ratunkowe tak, aby zapewnić sobie do nich łatwy dostęp. Do dwóch zamocowane były lampy automatyczne, które Ramesh starannie skontrolował. Cady poszedł sprawdzić, czy wszystko w maszynowni jest właściwie zabezpieczone, Ramesh zaś naszykował dryfkotwę, umocował ją do krótkiego łańcucha, ten zaś połączył z liną o długości dwudziestu sążni. Na koniec zrobił obchód, sprawdzając szlagi i osprzęt pokładowy.

Po powrocie z maszynowni Cady odczytał wskazania barometru: ciśnienie nadal spadało. Odwrócił się na odgłos kroków Kirsty, która wychodziła z kubryku. Błada jak płótno, trzymała się relingu, podczas gdy jacht tańczył na falach.

— Dobrze się czujesz, Kirsty?

— Okropnie — pokręciła głową z żalosną miną. — Wzięłam proszki, ale nic nie pomogło. Naprawdę kiwa.

— Tak, a będzie jeszcze gorzej. Najlepiej zrobisz nie wstając z koi. — Przecisnął się koło niej i sprawdził, czy koka jest dobrze umocowana do ściany kabiny. Kirsty osunęła się na koję i szepnęła:

— Może być niebezpiecznie?

Pokręcił z przekonaniem głową.



— Skądże. Czeka nas niemiła noc, ale do rana powinno się roz pogodzić.

Z nastaniem wczesnego wieczoru było już osiem stopni w skali Beauforta. Szli pełnym wiatrem, mając rozpięty jedynie kliwer sztormowy. Łódź podskakiwała dziko na falach. Barometr spadał o ponad milimetr na godzinę. W tej sytuacji Ramesh i Cady odbyli naradę w kabinie.

— Moje podręczniki sugerują kilka — niestety, całkiem różnych — sposobów postępowania w takich warunkach — przyznał Ramesh. — Zaleca się utrzymywanie jednostki rufą do fali za pomocą cum albo dziobem do fali za pomocą dryfkotwy. A ty co myślisz?

Cady obejrzał się na olbrzymie fale piętrzące się za rufą. Toczyły się jedna za drugą, wynosząc jacht za każdym razem wysoko w górę i rzucając go co jakiś czas z przerażającym impetem w wodną kipieli.

— Ja wybrałbym to drugie — odparł. — Sztormowanie dziobem do fali z silnikiem na jałowym biegu. — Machnął ręką na morze za rufą. — Przy takich falach mogłoby nas wyrzucić przez dziób.

Ramesh kiwnął głową.

— Zgoda. No to do roboty.

Nim zapadła noc, „Manasa” płynęła ustawiona dziobem do fali i kierunku wiatru, miotana w górę i w dół, jakby była zrobiona z korka. Rzucało nią jak diabli, ale utrzymywała przynajmniej względną stateczność. Ramesh i Cady siedzieli w kabinie ubrani w kamizelki ratunkowe przyłączone do lin sztormowych. Nad głowami rozpięli osłonę brezentową, więc mimo potoków wody zalewających dziób nie byli przemoczeni do suchej nitki. Lani wyłoniła się spod pokładu, mocno trzymając w dłoniach talerz z kanapkami. Usiadła koło Ramesha. Pomógł jej wbić się w kamizelkę ratunkową, którą zaraz przypiął do liny sztormowej.

— Jadłś już? — spytał Cady. Odpowiedziała przeczącym ruchem głowy.

— Trochę mi niedobrze — przyznała. — Ale da się wytrzymać.

— A jak Kirsty? — zainteresował się Ramesh.

— Wymiotowała dwa razy, ale już jest lepiej. Zasnęła — pewnie po proszkach.

— To dobrze, może się trochę prześpi.

Sztorm rozszalał się na dobre koło północy. Lani i Kirsty spały pod pokładem, Ramesh z Cadym nadal pozostawali w sterówce. Zrezygnowali z pomysłu odpoczynku na zmianę — w razie jakichś kłopotów dotarcie na pokład z pomocą koledze mogłoby zabrać zbyt wiele czasu.

Dochodziła właśnie pierwsza, kiedy olbrzymia fala zalała dziób, zrywając brezentową osłonę. Przemoczyło ich porządnie. Cady'emu zdawało się, że z przodu jachtu dobiegł go odgłos pęknięcia, postanowił więc to sprawdzić. Ruszył w kierunku dziobu, łapiąc się każdego możliwego zabezpieczenia. Ramesh przesunął się pod bok sterówki i obserwował.

Tymczasem Kirsty przebudziła się z krótkiej drzemki i czując mdłości podchodząc jej do gardła postanowiła odetchnąć świeżym powietrzem.

Cady, posuwając się na klęczkach sprawdzał właśnie, czy dryf-kotwa jest dobrze zamocowana do knagi. Oględziny wypadły pomyślnie. Odwrócił się do Ramesha dając znak, że wszystko w porządku, gdy dojrzał głowę Kirsty wyłaniającą się nad sterówką.

— Załóż kamizelkę! — krzyknął. Nagle dziób skoczył raptownie do góry. Cady przywarł do pokładu pod walącą się na niego ścianą wody. Kiedy się przejaśniło, serce podeszło mu do gardła na widok tego, co ujrzał: Kirsty wisiała jedną nogą i połową ciała za relingiem, obejmując kurczowo ramieniem pachołek. Mokre, sklejone włosy przesłaniały jej twarz. Ramesh z wyciągniętą ręką pędził na ratunek niczym olbrzymi krab. „Manasa” znowu stanęła dęba, na jacht spadła kolejna ściana wody i Kirsty zniknęła. Ramesh upadł obok stermasztu, ale w dwie sekundy był już na nogach. Cady patrzył jak zahipnotyzowany. Ramesh odpiął zabezpieczającą go linę sztormową, zrobił dwa krótkie kroki i skoczył z rufy do wody.

Cady poderwał się do działania. Jak tylko rozwiązał linę dryf-kotwy, uwolniona od balastu „Manasa” skoczyła i wykonała zwrot. Zakołysało nią potężnie i myślał już, że idą na dno, ale jacht z gniewnym szarpnięciem opadł na fale.

Powrócił jak mógł najprędzej do kabiny przywołując głośno Lani; niepotrzebnie jednak, bo ta wyłaniała się właśnie spod pokładu. Wepchnął jej w ręce kamizelkę ratunkową i koniec liny sztormowej. Sam chwycił koło sterowe i odczepiwszy blokujący je ramię pchnął rączkę przepustnicy. Nie odwracając się krzyknął przez ramię:

— Biegnij do grotmasztu i złap się go z całej siły rękami i nogami. Rozglądaj się i szukaj światła wśród fal. W tamtym kierunku.

— Pokazał dziobową część prawej burty.

Minęła go szybko, przeczekwała gwałtowny wznos rufy, by wreszcie, dobiegłszy w trzech krokach do masztu, przywrzeć do niego całym ciałem. Cady zmniejszył nieco obroty silnika starając się, by „Manasa” podążała z biegiem fal. Nie miał żadnych złudzeń: jeśli nie odnajdą ich w ciągu dwóch minut, wszystko stracone. Przy takich warunkach, dodawszy do tego grozę chwili, utonąć mogłaby nawet osoba zaopatrzona w kamizelkę ratunkową — a Kirsty jest bez kamizelki. Modląc się w duchu, by Ramesh znalazł ją odszukać, dziękował równocześnie Bogu, że kamizelka Ramesha jest wyposażona w światelko.

\* \* \*

Oddalona o dwieście metrów od prawej burty Kirsty widziała, jak światelko miga z przerwami. Słyszała również głos zdenerwowanego Ramesha:

— Kirsty, płyń do światła. Kieruj się w stronę światła!

Znowu zamigotało. Poruszała ramionami, ale były jak z ołowiu. Chciała zawołać, lecz woda zalała jej usta. W chwilę potem znalazła się z głową pod wodą i naraz przeszył ją

paniczny strach, jakby ktoś przebijał ją rozpalonym ostrzem. Wychynęła twarzą na powierzchnię i dostrzegła światło, tym razem już bliżej siebie: byli w dolinie tej samej fali. Rzuciła się w kierunku światła krzyząc:

— Ramesh!

Zaraz potem znalazła się znów pod powierzchnią morza z ustami pełnymi wody. Pomyślała z przeraźliwą jasnością, że umiera. Nie miała czucia w rękach ani w nogach, była krańcowo zmęczono.

Zawołała w myślach „Nie! Nie!” i poderwała się do jeszcze jednego wysiłku. Ujrzała światło i nagle poczuła na ramieniu czyjąś dłoń i usłyszała zmęczony głos Ramesha, który krzyczał jej do ucha:

— Przewróć się na plecy i wyciągnij ręce. Oprzyj na mnie głowę, tylko się nie szarp. Nie wolno ci się szarpać!

\* \* \*

Lani rozbolały ręce i nogi zaciśnięte kurczowo wokół masztu. Co kilka sekund spadały na nią kaskady utrudniając jej widzenie.

Płakała z bezsilności. Starła się uspokoić: zaciskała mocno powieki, następnie otwierała szeroko oczy i wypatrywała przed sobą. Nie widziała nic poza ciemnością i fontanną wody. Uchylając się przed kolejnym strumieniem pobiegła wzrokiem o kilka stopni w kierunku prawej burty. Czy jej się zdaje, czy coś tam naprawdę jest? Tak, widzi światło. Wskazała ręką i krzyknęła do Cady’ego. Błysnęło ponownie. Cady także je dostrzegł.

— Wracaj tutaj! — wrzasnął, wyciągając do niej rękę. Odwróciła się, wyczekała na spokojny moment i puściła się biegiem.

— Musisz wziąć ster — polecił stanowczym tonem. — Wypatrzeć ich to jedno, teraz trzeba ich wciągnąć na pokład. Muszę spuścić dinghy. Trzymaj kurs i obserwuj światelko na morzu.

Lani przejęła koło sterowe. Cady wślizgnął się pod pokład, włączył światła i nie zwlekając ani sekundy wrócił, popędził na pokład dziobowy do dinghy. Jedną ręką zaczął odwiązywać ponton, a drugą odkręcił odpowietrznik przy jednej komorze. Powietrze zaczęło z sykiem uchodzić. Kiedy komora była do połowy opróżniona, zakręcił mocno odpowietrznik. Następnie otworzył luk dziobowy, wysunął zwój mocnej liny i przywiązał ją do linki cumowej przy łodzi.

Zmagając się z wiatrem, spuścił dinghy za burtę zawietrzną. Trzymając mocno koniec liny w dłoni dotarł na rufę, przeciągnął linę przez kluzę, a następnie okręcił wokół kabestanu grotmasztu. Dinghy podskakiwała na falach dwadzieścia metrów za rufą.

— Dobra — mruknął, stając za Lani. — Ja zajmę się sterem, a ty, jak ci powiem, uruchomisz kabestan. Gdzie jest światelko?

Ucieszył się widząc, że migocze nie dalej jak pięćdziesiąt metrów przed dziobem, tuż przy linii prawej burty. Wiedział już, co musi zrobić; była tylko jedna szansa i nie mógł jej zmarnować. Zwiększył obroty silnika i skręcił sterem. Minie ich wolno od nawietrznej i zgasi silnik: dinghy i przywiązana do niej lina podryfują w stronę Kirsty i Ramesha. Muszą dotrzeć do pontonu i wdrapać się do środka. Ułatwił im zadanie, spuszcza-  
jąc do połowy powietrze z jednej komory.

— Lani, przynieś mi dużą latarkę, jest w schowku w saloniku — poprosił. W chwili później dojrzał dwie głowy: czarnowłosą czuprynę i blond włosy. Uczucie ulgi mąciła teraz świadomość, że oboje mogą być w stanie krańcowego wyczerpania i najgorsze dopiero się zaczyna.

Skupił się na obserwacji fal pilnując, by wiatr nie zniósł go z kursu. Światło zniknęło pod dziobem, lecz po chwili pojawiło się z boku jachtu. Niosła ich ta sama fala. Zgasił momentalnie silnik i krzyknął:

— Ramesh, lina od strony rufy! Musicie ją złapać i dostać się na łódź. Wchodźcie od prawej strony.

Kiedy go mijali, Ramesh pomachał do niego. Cady włączył wsteczny bieg i ruszył odrobinę do tyłu. Chwycił latarkę i nakierował na dowiązaną linę. Po dwóch kolejnych falach spostrzegł, że światło jest już blisko liny. Zaraz potem lina napięte się. Wydał okrzyk radości i polecił Lani:

— Wybieraj linę, tylko powoli!

Zaczęła kręcić korbą kabestanu. Dinghy zbliżała się wolno do światła i dwóch unoszących się na wodzie głów. Z ulgą zauważył, że wiatr słabnie. Łódź i błyskające światło zeszyły się ze sobą.

— Mam nadzieję, że zostało mu jeszcze dość siły — mruknął.

Tak też było. Ramesh wciągnął bezwładne ciało Kirsty przez prawą burtę i sam wgramolił się do środka.

— Dobrze, Lani, teraz kręć. Tylko pomału i równo. To jeszcze nie koniec trudności. Kiedy będą blisko, rzucę im dwie liny sztormowe i kamizelkę ratunkową dla bezpieczeństwa. Może sam będę musiał do nich zejść, żeby pomóc im dostać się na pokład.

Lani pokręciła głową.

— Niezbyt mądry pomysł. Nie wolno ci opuszczać jachtu. Gdyby coś się działo, nie wiedziałabym, co robić... Ja do nich zejdem z linami i kamizelką. Nie próbuj się sprzeczać, wiesz, że mam rację.

Nie sprzeczał się: miała rację.

Lani wyczekała na odpowiedni moment. Kiedy „Manasa” podniosła się na fali, skoczyła przytwierdzona liną sztormową dierzając dwie dodatkowe liny i kamizelkę ratunkową. Wylądowała obok Ramesha, który trzymał w ramionach ledwie przytomną Kirsty.

Cady odetchnął spokojniej, gdy cała trójka była już przepasana linami. Wiatr nieco zelżał, morze się uspokajało.

Ustawił „Manasę” lekko pod wiatr, przywiązał koło sterowe i przyciągnął łódź ratunkową od strony zawietrznej. Ramesh i Lani trzymali Kirsty między sobą. Kiedy łódź wzbija się na fali, podnieśli Kirsty jak mogli najwyżej, a Cady wychyliwszy się chwycił ją pod ramiona i jednym ruchem przerzucił na pokład.

Potem przyszła kolej na Lani i wreszcie na Ramesha. Biedak trząsał się cały pod wpływem doznanej ulgi i szoku.

\* \* \*

W dwie godziny później Cady i Ramesh siedzieli w kabinie popijając kawę. Jacht szedł na lekkim ożaglowaniu przy stałym wietrze o sile pięciu stopni w skali Beauforta.

— Mieliśmy cholerne szczęście — mruknął Cady. — Przy takiej pogodzie w dziewięciu przypadkach na dziesięć akcja ratunkowa kończy się fiaskiem.

Ramesh skinał tylko głową. Wydawał się zbyt zmęczony, by rozmawiać, ale nie zgodził się wcześniej zejść pod pokład.

— Dokonałeś niesamowitej rzeczy — rzekł z uznaniem Cady. — Zdawałeś sobie chyba sprawę, że masz znikome szanse?

Ramesh podniósł głowę.

— Tak, ale co miałem robić? Jestem kapitanem i odpowiadam za ludzi na jachcie.

W jego głosie nie było udawanej skromności. Mówił szczerze to, co myślał. Tymczasem Lani wyszła spod pokładu i zwróciła się cło Ramesha:

— Kirsty chce z tobą mówić. Czuje się już lepiej, wypija trochę zupy.

Kiedy Ramesh zszedł na dół, Lani usiadła w kabinie naprzeciwko Cady’ego.

— Ale noc! — szepnęła.

Uśmiechnął się.

— W jakimś sensie wyszło to nam na dobre, bo bardziej nas wszystkich ze sobą związało. Wspólnie przeżyte chwile grozy zbliżają ludzi.

Siedziała zgarbiona, opierając się plecami o ścianę sterówki, krucha i słaba. A przecież wciąż miał przed oczami, jak daje dwumetrowego susa ponad spienionym morzem i ląduje w dinghy.

— Powiem ci coś.

— Słucham?

— My tak mówimy między sobą na platformach wiertniczych... jesteś babką z jajami do samej ziemi.

— Ależ jestem dziewczyną...

— O tym akurat nie musisz mi mówić.

\* \* \*

Ramesh usiadł na koi naprzeciwko Kirsty. Wyciągnęła rękę dotykając jego dłoni.

— Nie mam siły rozmawiać, Ramesh. Nie znam słów, które mogłyby wyrazić moją wdzięczność. Może któregoś dnia to mi się uda, teraz pewnie zasnę. Chciałam cię dotknąć, przytulić się na moment.

Milczał. Patrzył, jak Kirsty przymyka oczy i zapada w sen. Przez całą godzinę nie ruszył się z miejsca, trzymając ją za rękę i patrząc na jej twarz w mdłym świetle małej kabiny.

\* \* \*

Byli jeszcze na pełnym morzu, kiedy dostrzegli dwa rzędy masztów. Cady obejrzał je dokładnie przez lornetkę i oznajmił:

— Jeden to „Jaloud”, a drugi to szkuner — wygląda mi na jednostkę handlową żeglugi wyspiarskiej.

Po pół godzinie uruchomili silnik i spuścili żagle. Kirsty stanęła za sterem, a Ramesh zajął się studiowaniem mapy. Cady napompował dinghy. Kiedy dopływali do toru wodnego, Ramesh przejął ster. Kirsty zaczęła wypatrywać przez lornetkę. „Jaloud” stał zaledwie ćwierć mili od nich, zakotwiczony blisko plaży, mając po prawej stronie rufy duży szkuner. Widziała wyraźnie Lascellesa i Carla, jak siedzą przy stoliku na pokładzie rufowym. Nie odrywając lornetki od oczu przebiegła wzrokiem plażę: na brzegu znajdowały się trzy czółna i dwie łodzie pontonowe, za nimi, pośród palm i kazuaryn, wyłaniały się kryte liśćmi palmowymi dachy domów.

Odłożyła lornetkę i zwróciła się do Ramesha:

— Poradzisz sobie z zakotwiczeniem z samą Lani?

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem i kiwnął potakująco głową, dodając:

— Stanę jak najbliżej jego lewej burty.

Odwróciła się do Cady'ego i zawołała:

— Możesz zejść na chwilę pod pokład?

Carlo i Lascelles patrzyli z ciekawością na jacht zbliżający się do brzegu. Na stoliku pełno było resztek jedzenia i butelek po piwie. Carlo gwizdnął cicho na widok dziewczyny w bikini, która wyszła na forpik i zaczęła przygotowywać kotwicę do spuszczenia. Kiedy jacht znalazł się na wprost nich w odległości zaledwie czterdziestu metrów, Lascelles podniósł się i krzyknął:

— Hej, wy tam! Jesteście trochę za blisko.

Sternik machnął na to lekceważąco ręką i powiedział coś do dziewczyny. W chwilę później kotwica spadła z pluskiem do wody.

Kirsty odczekała w saloniku, aż Ramesh wyłączy silnik, po czym wyszła na pokład. Lascelles i Carlo stali przy relingu mierząc oczami odległość między obu jachtami. La-

scelles podniósł oczy i wtedy ją zobaczył. Wbił szybko z powrotem wzrok w wodę. Gdyby był aktorem, to czekająca go za chwilę próba oznaczałaby koniec jego kariery.

— Lascelles! — usłyszał. — Gdzie jest mój syn?

Kompletnie zaniemówił. Szczęka mu opadła, usta poruszały się nerwowo. Zebrał się wreszcie w sobie i miał już coś powiedzieć, kiedy obok Kirsty pojawił się Cady.

— Gdzie mój syn? — powtórzyła.

Lascelles wziął głęboki oddech, zerknął na Carla i wyrzucił z siebie:

— Mówiłem ci, kobieto, że twój syn nie żyje. Co ty tu robisz, do diabła?

Oba jachty zbliżyły się do siebie, tworząc między rufami kąt sześćdziesięciu stopni. Dzieliło je teraz mniej więcej trzydzieści metrów. Nie przestając patrzeć Lascellesowi w oczy przeszła na rufę, żeby być bliżej niego. Nie musiała już krzyknąć.

— Przyplłynęłam tu, żeby zadać ci to pytanie. Przywrę do ciebie jak pijawka i nie dam ci spokoju, dopóki mi nie powiesz, gdzie jest mój syn.

Lascelles i Carlo patrzyli na nią z niemą fascynacją, jak na zwierzę w ogrodzie zoologicznym — pas wody oddzielał ich od niej niczym pręty klatki.

Lascelles pierwszy odzyskał język w gębie. Przychylił się nad poręczą wyciągając w jej stronę sterczącą brodę.

— Pomieszało ci się we łbie! — syknął. — Twój chłopak nie żyje. Rozumiesz? Nie żyje!

Kirsty nic nie odrzekła. Przyciągnęła zza pleców brezentowe krzesło i usiadła zakładając nogę na nogę. Ani na moment nie odrywała wzroku od twarzy Lascellesa.

Wytrzymał minutę pod jej kamiennym spojrzeniem. Prychnąwszy pogardliwie, odwrócił się do Cady'ego, który stał z założonymi rękami oparty plecami o grotmaszt.

Lascelles, z krzywym uśmiechem na ustach, trącił Carla i rzucił pod adresem Cady'ego:

— Hej, przystojniaczku, przychodzisz po kolejną porcję lekarstwa?

Cady ani drgnął. Odezwał się cichym głosem, który jednak niósł się daleko:

— Czy ja coś mówię?

— I nawet nie próbuj — zadrwił Carlo. — Nie mają tu szpitala.

Na plaży pojawił się mężczyzna ubrany w wypłowiałe spodenki i podkoszulek. Ze-pchnął jedno z czółen na wodę, wskoczył do środka i powiosłował w kierunku „Manasy”. Zrównawszy się z jachtem odłożył wiosła, zadarł głowę i krzyknął:

— Henri Daubin, kapitan tutejszego portu. Witam na Poivre

Ramesh chwycił końcówkę falenia i zamocował ją do jachtu.

Przedstawwszy się powiedział:

— Prosimy na pokład. Napije się pan czegoś?

Daubin wszedł lekkim krokiem na jacht. Był niskim, zwinnym mężczyzną o ciemnej karnacji, niemal łysym, jeśli nie liczyć wianuszka włosów wokół czubka głowy. Kiedy dokończono prezentacji, poprosił o szkocką.

— Jesteście na wakacjach? — spytał, biorąc podsunięte krzesło.

— W pewnym sensie — odparł Ramesh i zerknąwszy na Kirsty wyjaśnił: — Chcemy porozmawiać z Lascellesem. Syn Kirsty przed paru miesiącami podobno wypadł z jachtu Lascellesa i przepadł bez śladu. A Kirsty w to nie wierzy.

— Mhm — kiwnął głową Daubin. — Słyszałem o tej historii.

— Jak to? — zdziwiła się Kirsty.

Daubin wskazał ręką pobliski szkuner.

— „La Belle Vue” zawinął do nas kilka dni temu z Mahé. Żyjemy tu w pewnej izolacji, ale wieści rozchodzą się zadziwiająco szybko, i tak właśnie poznałem historię kobiety poszukującej syna i usłyszałem o walce wielkiego blondyna z Lascellesem. — Spojrzał na Cady’ego z wyraźnym współczuciem. — Musicie wiedzieć, że mieszkańcy naszych wysp podróżują za pracą z wyspy na wyspę, z rzadka tylko wracając na Mahé. Stanowimy dziwne społeczeństwo, w którym wiadomości krążą jak niesione wiatrem, docierając nawet na Mauritius czy oddalone o tysiąc mil Komory. — Skierował wzrok na Lani i dokończył domyślnie: — A pani jest zapewne tą pasażerką, która wsiadła na gapę na Malediwach? — Posłał jej łagodny uśmiech. — Nie winie pani za to, też miałem kiedyś pecha być na Malediwach.

Ramesh napełnił pustą szklankę gościa.

— Jak długo zamierzacie zostać? — spytał go Daubin.

— Tak długo, jak długo będzie tu Lascelles.

Kirsty przedstawiła gościowi całą strategię podkreślając, że nie dadzą Lascellesowi spokoju, podążając za nim wszędzie, dokądkolwiek się uda. Daubin nie wydawał się do tego sceptycznie nastawiony. Pobiegł spojrzeniem w kierunku „Jaloud”. Lascelles i Carl siedzieli znów przy stoliku i grali w karty, zerkając często na grupkę ludzi na pokładzie „Manasy”.

— Nie dacie mu spokoju... — mruknął w zadumie Daubin. — W czasie trzydziestu lat pracy na Amirantach i innych wyspach widziałem przeróżne dziwy i ludzi wyrabiających najdziwniejsze rzeczy. Wszystko jest możliwe. W każdym razie musicie wiedzieć, że „Jaloud” wypływa jutro do Desnouf. Kolejnymi etapami jego trasy mają być Farquhar i Aldabra.

Dopił szkocką i wstał.

— Zjawiliście się w odpowiednim momencie: szkuner przyniósł również wiadomość, że żona jednego z naszych pracowników urodziła syna — wydarzenie tym większe, że to ich pierworodny. Dzisiaj zamierzamy to uczcić — jesteście wszyscy zaproszeni.

— Lascelles też będzie? — zapytała Kirsty.

— Nie — odparł Daubin krótko. — W ubiegłym roku upił się na wyspie i zaatakował jednego z naszych pracowników. Odtąd nie wolno mu schodzić na ląd. Ale zjawi się



pewnie cała reszta: ornitolodzy, załoga z „La Belle Vue”, być może przyjdzie nawet Carlo. Zgodnie z tradycją zapraszany jest każdy, kto ma pozwolenie zejścia na ląd.

— Dziękuję, ja zostanę — zdecydowała Kirsty.

Daubin zrobił zdziwioną minę, ale po chwili zrozumiał.

— No tak, chodzi o wasz plan. — Obrócił się do Ramesha. — Potrzebujecie czegoś? My tutaj możemy się zaliczać do szczęśliwców, bo mamy wystarczająco dużo wody... Trochę zamulona, ale nadaje się do picia.

— Zawsze dobrze uzupełnić zapasy — odrzekł Ramesh z wdzięcznością w głosie.

Ramesh postanowił zostać z Kirsty. Nalegała, żeby poszedł na przyjęcie z Lani i Cady, ale zdecydowanie odmówił. Między Bogiem a prawdą, jej nalegania nie były zbyt usilne.

Siedzieli na pokładzie, popijając drinka i obserwowali zachodzące słońce. Po południu Lani i Cady wyprawili się czółnem na ryby i wśród innych zdobyczy przywieźli duży okaz lucjana. Kirsty zamarynowała rybę w soku z cytryny z dodatkiem ziół i ledwo wepchnęła ją do piecyka. Uwielbiała dania z ryb. Krojąc w kuchni warzywa, które miały być dodatkiem do ryby, wróciła na moment myślami do Nowego Jorku i rzadkich wieczorów, kiedy szła z Larrym na kolację do małej restauracji, gdzie jedli flambrowane krewetki. Ciekawe, co porabia Larry, Irving i cała reszta... Bardzo rzadko wspominała Nowy Jork, a jeżeli już — to nie było w tym cienia nostalgii.

Kiedy patrzyła teraz na czerwoną kulę słońca i na niebo powlekające się różnobarwną zasłoną, Nowy Jork i dotychczasowe życie wydawały się jej oddalone o całe lata świetlne.

Zwróciła oczy na „Jaloud”, który wyglądał groźnie ze swym czarnym kadłubem i pochylonymi masztami.

Carlo siedział sam na pokładzie ze szklanką w ręku. Przez całe minione popołudnie Lascelles nie mógł ani na moment umknąć przed wzrokiem Kirsty, aż wreszcie skrył się pod pokładem i więcej się nie pokazał. Była przekonana, że zdrowo załazła mu za skórę. Nie miał dokąd uciec i ilekroć pojawiał się na pokładzie, napotykał spojrzenie swej nametis, spokojne i wyczekujące. Na myśl o tym robiło jej się przyjemnie.

Siedzący obok niej Ramesh westchnął i wciągnął w nozdrza zapach unoszący się z kuchni.

— Czuję się jak mały chłopiec, który czeka na cukierka.

Miała mu odpowiedzieć, kiedy nagle zawołał:

— Spójrz!

Podniósłszy głowę zobaczyła, jak niebo na horyzoncie przecina zielona wstęga: pulsująca, ulotna i zapierająca dech. Zaraz zniknęła i Kirsty przez moment zwątpiła, czy w ogóle ją widziała, ale Ramesh już krzyczał:

— Życzenie, Kirsty! Wypowiedz życzenie!

Zrobiła to. Ramesh odwrócił się podekscytowany.

— To dobra wróżba, szczęśliwy znak! Rzadkość, prawdziwa rzadkość. — Uśmiechnął się. — Domyślam się, czego sobie życzyłaś... Moje życzenie było identyczne. Ale wypowiedziałem jeszcze jedno. Kto wie, może dwa też się czasami spełniają...

Wciąż poruszona i zafascynowana niezwykłym zjawiskiem, Kirsty podświadomie dotknęła jego ręki i spytała:

— A jakie było twoje drugie życzenie?

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, opadły ją wątpliwości. Mogła odgadnąć, czego Ramesh pragnie. Sama też pomyślała jeszcze drugie życzenie. Bała się, że jej pytanie może go wprowadzić w zakłopotanie. Ale Ramesh wcale się nie zmieszał. Ścisnął jej dłoń i wyznał szczerze:

— Pragnąłbym, żebyśmy po odnalezieniu Garreta mogli dalej być razem.

Nie odpowiedziała. Siedziała wpatrzona w ciemniejący horyzont. Po dłuższej chwili cofnęła rękę, wstała i zeszła do kuchni.

\* \* \*

Nie pozwoliła mu nic robić. Nakryła do stołu, otworzyła butelkę schłodzonego wina i zaniósła jedzenie na pokład. Usiadła na wprost jachtu *Lascallesa*. Ramesh zajął miejsce przy stole, nalał wina i podniósł kieliszek:

— Za księgowych.

— Słucham?

— Za księgowych — powtórzył. — Oboje pracowaliśmy w tym zawodzie. Wypijmy za nich — wypijmy zdrowie księgowych na całym świecie. I żeby chociaż raz w życiu przeżyli podobnie radosny moment jak ten.

Odwzajemniła uśmiech, upiła łyk wina i rozejrzała się. Gdyby nie kotwiczący czterdzieści metrów dalej jacht *Lascallesa* i łączące się z nim odczucia, cała scena wyglądałaby jak kartka z księgi rajy. Metry zaledwie dzieliły ich od obrzeżonej palmami plaży, oświetlonej przyćmionym blaskiem wschodzącego księżyca, który skrzył się w gładkiej jak lustro powierzchni wody. Od strony drzew dobiegały odległe dźwięki melodii, do której zaledwie trzy dni temu w *Mahé* tańczyli *sega*. Gwiazdy nad ich głowami przypominały olbrzymie diamenty rozsiane po czarnym aksamicie. Siedziała na pokładzie jachtu i miała za chwilę zacząć raczyć się rybą tak świeżą, że żaden mieszczuch nie mógłby nawet o takiej marzyć. Naprzeciw siebie miała mężczyznę, który wydawał się jej atrakcyjny i interesujący — ale nie tylko. Mała naftowa lampa wisząca na bomie rzucała migotliwe światło na jego śniadą twarz o orlich rysach, podkreślając wąski nos i prostą szczękę, jeszcze bardziej ściemniając oczy i przydając mu aury tajemniczości.

Uśmiechnęła się i podniosła kieliszek.

— Zdrowie księgowych — szepnęła.

W czasie kolacji niewiele się odzywali, jeśli nie liczyć pełnych zachwyty młażnięć Ramesha.

Po posiłku, znowu odmawiając przyjęcia pomocy, sprzątnęła ze stołu, zaparzyła kawę i przyniosła ją na górę.

Tak zaczęła się rozmowa. Siedzieli najpierw przy stoliku, później stanęli przy poręczy na rufie. Kirsty wsparła się o baksztag, Ramesh stał tuż przy niej na szeroko rozstawionych nogach, pochylając ku niej głowę.

Mówili o tym, co dotychczas przeżyli. Kirsty opowiedziała o swoim małżeństwie i dzieciństwie Garreta, Ramesh zaś o życiu w Bombaju, o niechęci wobec Anglo-Hindusów, z którą zetknął się bardzo wcześnie, o matce i jej niewzruszonej postawie. Wyznał Kirsty także historię miłości do dziewczyny z Goa, powiedział o uczuciu bezsilności i gniewu w obliczu fanatyzmu i biedy. Słuchając go zdała sobie po raz kolejny sprawę ze zmian, jakie w nim nastąpiły w tak krótkim stosunkowo okresie ich znajomości. Owszem, pozostał nadal uprzedzająco grzeczny i nieco wstydlivy, ale trudno było nie dostrzec budzącego się w nim poczucia siły. Było to tak, jakby ktoś zdejmował powoli zasłonę z portretu. Z początku śmieszył ją jego akcent, z czasem jednak doszła do wniosku, że w jakiś sposób dodaje mu on godności.

— Nie potrafię ukryć, co do ciebie czuję — szepnęła. — Zaczęło się chyba pierwszego dnia i od tej pory umacnia się i rośnie. Nie myśl, że jestem zimna albo nie zauważam twoich uczuć... Po prostu nie pora jeszcze... Sytuacja nie sprzyja temu, by...

— Wiem, Kirsty. Nie przejmuj się niczym.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

— Jeszcze parę dni temu naprawdę myślałam, że nie potrafię już kochać. Byłam pewna, że ten ośrodek w mózgu — czy co tam rządzi u człowieka miłością — umarł we mnie raz na zawsze. Przekonałam się dzięki tobie, że tak nie jest... Ale nie chcę o tym myśleć, nie chcę od jutra wracać do tego w rozmowie. Boję się, że będę słaba. Nie mogę myśleć o sobie... muszę myśleć o synu.

Zapewnił ją, że wszystko rozumie i niczego po niej nie oczekuje. Najważniejsze, że są razem. Jest szczęśliwy i patrzy z ufnością w przyszłość.

Na brzegu nadal rozbrzmiewały dźwięki muzyki. Kirsty spojrzała na zegarek: dochodziła północ.

— Położę się.

— Dziękuję za przepyszną kolację — odezwał się uroczyście i wstał przepuszczając ją przed sobą.

Mijając go przystanęła i dotknęła dłonią jego policzka w ciepłym geście. Kierowała już kroki do kubryku, kiedy dobiegły ją głosy. Odwróciła się i ujrzała dwie ciemne sylwetki na pokładzie „Jaloud”. Lascelles bełkotał po pijacku:

— Dobra, zapieprzaj do nich, jak ci tak spieszno.  
— Pewnie, że idę — odparł Carlo buńczucznie. — Skończyło nam się piwo, a tam mają całe galony *calou*... No i zobaczę tą chińską sukę... Dawno jej nikt nie przyłożył. Wgramolił się do łodzi. Lascelles mruknął coś jeszcze.  
— Nic się nie martw — uspokoił go Carlo. — Przyniosę ci tę pieprzoną butelkę. Powiosłował do plaży, a Lascelles zniknął pod pokładem.  
— Może być gorąco — powiedziała Kirsty ze strachem w głosie. — Jeżeli będzie próbował dobierać się do Lani, Cady nie wytrzyma.  
— Chyba tak. Chcesz wyjść na brzeg?  
— Nie — zaprzeczyła po krótkim namyśle. — Ale odechciało mi się kłaść do łóżka. Zrobię jeszcze kawy.

\* \* \*

Było to nader udane, proste, ale mogące każdego zadowolić przyjęcie: były góry jedzenia i rzeka alkoholu. Na tuzin robotników plantacyjnych przypadały tylko dwie pannie: Lani i żona Daubina, korpulentna, pełna humoru kobieta. Po skończonym posiłku każda z nich musiała więc zatańczyć z każdym z mężczyzn, nie wyłączając trzech angielskich ornitologów. Wszyscy trzej byli poważnymi panami w średnim wieku, ale po kilku szklaneczkach *calou* wyraźnie się rozkręcili i przyłączyli do zabawy.

Cady wypił niewiele, lecz kiedy patrzył na Lani tańczącą z kapitanem „La Belle Vue”, szumiało mu lekko w głowie. Nie była to jednak sprawka wyłącznie alkoholu. Czuł się jak młody chłopak na randce. Chociaż z uwagi na obecność tylu mężczyzn Lani zatańczyła z nim tylko raz, to przecież jej zachowanie nie pozostawiało wątpliwości, że przyszła razem z nim. Po każdym tańcu wracała do niego, uznając to za rzecz całkiem naturalną. Nie mieli szansy na rozmowę od serca, mimo to czuł jej bliskość.

Orkiestrę stanowiło trzech miejscowych robotników, jeden grał na banjo, drugi na skrzypcach, trzeci zaś poczynał sobie dzielnie na *zeze*, znanym od wieków tradycyjnym instrumencie, który składa się z jednej struny przymocowanej do kalebasy zapewniającej rezonans.

Tworzyli niesamowite trio, ale muzyczne niedociągnięcia rekompensowali w nadmiarze okazywanym entuzjazmem. Miejscem zabawy była suszarnia kopry pokryta jedynie dachem. Do północy świeżo upieczony tatuś był już dostatecznie pijany, co naprowadziło Cady'ego na myśl, że przyjęcie wkrótce dobiegnie końca.

Skorzystał wcześniej z okazji i porozmawiał z trzema ornitologami. Wszyscy znali już historię Kirsty i ogromnie jej współczuli. Wykonywali prace badawcze w terenie dla Towarzystwa Królewskiego, które miały poprzedzić założenie stałej bazy naukowej na jednej z wysp. Byli głęboko rozczarowani kilkudniowym pobytem na pokładzie „Jaloud”: jedzenie było okropne, jacht brudny, a Lascelles i Carlo często pijani i wulgarni.

Kiedy po przybyciu na Poivre zobaczyli zakotwiczony szkuner „La Belle Vue”, chcieli go wyczarterować, jednak statek musiał wracać rano na Mahé z ładunkiem kopry. Uzgodniono w każdym razie, że kapitan zabierze list do właściciela i jeśli obie strony dojdą do porozumienia, przyplynie po ornitologów na Farquhar albo na Aldabrę. Do czasu rozstrzygnięcia tej sprawy Anglicy postanowili spędzać jak najwięcej czasu na lądzie.

Lani, wróciwszy po kolejnym tańcu, opadła zmęczona na krzesło, wachlując sobie twarz. W tej właśnie chwili zjawił się Carlo. Uczestnicy zabawy zasiadali półkolem naprzeciw muzycznego tria,; dzięki czemu pośrodku było miejsce na zaimprovizowany parkiet taneczny. Henri Daubin miał obok siebie stół zastawiony butelkami i szklankami. Wstał i napełniwszy szklankę podał ją Carlowi.

— *Calou* — tylko to zostało.

— Dzięki. — Carlo opróżnił od razu połowę szklanki. Zespół grał; dalej. Pani Daubin tańczyła z jednym z marynarzy z „La Belle Vue”, ale zabawa nagle straciła swój urok.

Carlo rozejrzał się wokół, nieświadomy nawet wrażenia, jakie wywołało jego przybycie. Dostrzegł Lani i Cady’ego siedzących z ornitologami i ruszył wolniutko w ich kierunku. Ignorując zupełnie Cady’ego, kiwnął głową Anglikom i zwrócił się do Lani.

— Zatańczymy?

Lani odmówiła krótkim ruchem głowy i uciekła spojrzeniem. Carlo stał w miejscu, kołysząc się na piętach i wędrując wzrokiem po ciele dziewczyny.

— Skąd to pochodzi nasz dwunożny pekińczyk? Z Fucien, z Kantonu?

Widząc, że podnosi oczy, wykrzywił usta w uśmiechu i powiedział; coś, czego nikt z pozostałych nie zrozumiał. Na twarzy dziewczyny! pojawił się wyraz zaskoczenia. Pokręciła głową.

— Nie chcę tańczyć.

Muzyka ucichła. Carlo przyglądał się Lani jeszcze przez chwilę, po czym, krzywiąc się szyderczo, znowu coś powiedział.

Zerwała się błyskawicznie z krzesła i wymierzyła mu siarczysty policzek, który odbił się echem po pomieszczeniu.

Cofnął się dwa kroki z zadowoloną gębą. Cady podszedł do Lani i stanął blisko niej.

— Co on ci powiedział?

Z oczami pełnymi nienawiści wykrzyknęła:

— Nazwał mnie kurwą!

— Spokojnie. — Łagodnym ruchem odsunął ją do tyłu. Nie spuszczać wzroku z Carla powiedział: — Drogo za to zapłacisz.

Carlo śmiał się teraz pełną gębą.

— Mówiłem ci już, chłoptasiu, że nie ma tu szpitala. Spróbuj do mnie startować, to urządzę cię lepiej niż Danny. — Wskazał głową na Lani i dodał z rechem: — Jak z to-

bą skończę, to nawet nasza słodka Suzy Wong nie połąpie się, gdzie w tej kupie gnoju jest twój kutas.

W mgnieniu oka otoczyło ich dwunastu mężczyzn patrzących groźnie na Carla. Henri Daubin przestrzegł intruza:

— Wracaj lepiej na swoją łódź i nie pokazuj się więcej.

Carlo jakby go nie słyszał. Obrzucił spojrzeniem Cady'ego i zaniósł się od nowa śmiechem.

— Widzę, że potrzebujesz małej armii?

Cady pokręcił głową. Czując na sobie wzrok Daubina spojrzął na niego porozumiewawczo. Daubin po krótkim wahaniu powiedział coś po kreolsku i mężczyźni rozstąpili się, tworząc większy krąg.

— Tylko ty i ja — wycedził Cady i ruszył do przodu. Carlo z uśmiechem na ustach ugiął nogi i wysunął lewy bark.

Cady, wyprostowany jak struna, zbliżał się czujnym krokiem. Carlo zamachnął się lewym sierpowym, celując w twarz, ale Cady zrobił błyskawiczny unik.

Rozległo się głucho walnięcie: Carlo zgiął się w pół po ciosie w żołądek. Cady rąbnął kolanem w odsłoniętą twarz przeciwnika. Coś chrupnęło i Carlo poleciał do tyłu, lądując na ubitej ziemi. Jedną ręką ścisnął brzuch, drugą trzymał się za twarz. Już się nie uśmiechał.

— Wstawaj! — Głos Cady'ego był jak polarny wiatr.

Carlo przeturlał się na bok i dźwignął na kolana. Krew kapiąca ze złamanego nosa mieszała się z brunatną ziemią. Postawił jedną nogę, potem drugą, odczekał i pochyliwszy się do przodu runął z rykiem na Cady'ego mierząc głową w jego krocze.

Cady niczym rasowy matador odchylił się w lewo, wykonał lekki skręt i uderzył Carla kantem dłoni w kark.

— Wstawaj!

Carlo wpadł do połowy pod stół. Leżał z ustami w piasku, poruszając ciężko ramionami. Obrócił się na bok. W jego oczach pojawił się strach — i bezbrzeżne zdumienie. Wygramoliwszy się spod stołu podniósł się na nogi czepiając się mebla. Oparł się o stół, z trudem łapiąc powietrze. Po czarnej szczecinie nie ogolonej brody ciekła krew.

Zatoczył się na stół, aż zabrzęczały szklanki. Kiedy już wydawało się, że nie ustoi na nogach, chwycił nagle butelkę i roztrzaskał ją o kant stołu. Lani krzyknęła. Zanim ktokolwiek się spostrzegł, Portugalczyk ruszył do ataku, mierząc w twarz Cady'ego.

Był szybki niczym atakujący wąż, ale Cady przemienił się w mangustę. Cofnął się, uciekając głową przed pchnięciem, a kiedy Carlo stracił równowagę, skoczył do przodu, złapał go za nadgarstek i wykonując błyskawiczny skręt, podniósł kolano.

Ręka trzasnęła jak zapalka. Carlo zaskowyczał i wypuścił butelkę z palców.

— Wstawaj!

Carlo leżał i jęczał trzymając się za rękę.

— Wstawaj! — powtórzył dobitnie Cady.

— Złamałeś mi rękę!

— Nie chrzań, wstawaj! Bo tak cię kopnę, że jaja wyjdą ci tyłkiem!

Cady usłyszał za plecami szept jednego z Anglików:

— Boże, to straszne!

— Sam się o to prosił — odpowiedział mu któryś z rodaków.

Carlo wodził błagalnym spojrzeniem po twarzach pozostałych mężczyzn. Patrzyli na niego kamiennym wzrokiem.

— Wstawaj! — Cady zrobił krok do przodu. Carlo odtoczył się jęcząc z bólu. Dźwignął się na kolana i wstał na nogi z miną oszalałą ze strachu. Próbował uciec, ale Cady, zadziwiająco szybki jak na swój wzrost, złapał go bez wysiłku. Pchnął Portugalczyka na jeden z pali wspierających dach i zakończył precyzyjnym lewym hakiem w szczękę. Cofnął się i patrzył, jak Carlo osuwa się na kolana i zwala bezwładnie twarzą w piasek.

Cady wziął długi, głęboki oddech i wypuścił powietrze, odreagowując gniew i napięcie.

Oczy wszystkich mężczyzn były skierowane na niego. Daubin i wyspiarze przyglądali mu się z respektem, Anglicy z przerażeniem i fascynacją. Tylko Lani patrzyła gdzie indziej: nie odrywała wzroku od Carla. Podeszła do leżącego, stanęła nad nim i powiedziała coś, co brzmiało jak „bezzębny kundel”!

\* \* \*

Księżyc był już wysoko na niebie. Z pokładu „Manasy” Kirsty i Ramesh widzieli niewyraźne sylwetki ludzi zmiernających na plażę i dźwigających coś ciężkiego. Ciężar złożono do łodzi, do której wsiadło kilka osób i powiosłowało w kierunku jachtu Lascellesa. Od brzegu odbiła jeszcze jedna łódź, zmiernając do „Manasy”. Jako pierwsza dotarła do celu i na pokład weszli Cady i Lani.

— Co się stało? — spytał Ramesh.

— Zaczekaj — powstrzymał go Cady.

Druga z łodzi dobiła do burty „Jaloud”. Ktoś głośno przywołał Lascellesa i ten po kilku minutach zjawił się na pokładzie. Zajrzał do łodzi i usłyszeli, jak mamrocze:

— Carlo! Co jest, do cholery?

Nie mogący ustać na nogach i pojękujący Carlo został nie bez trudności wywindowany na jacht. Zaraz potem mężczyźni zawrócili do brzegu wykrzyknawszy pogodne „dobranoc” w kierunku „Manasy”.

Kirsty zaparzyła kawę. Podczas gdy Cady zszedł pod pokład zmyć krew z rąk, Lani opowiedziała całe zdarzenie.



Kirsty i Ramesh nie posiadali się z radości. Szala przechylała się na ich stronę. Cady udowodnił, ile jest wart. Kirsty przypomniała przyjacielom słowa Jacka Nelsona, że Carlo jako jedyny nie został zwyciężony w walce przez Lascellesa.

— A Cady stłukł go na kwaśne jabłko! — cieszyła się Lani. — Chociaż łajdak rzucił się na niego z obtłuczoną butelką. „Bezzębny kundel” był do niczego. Cady pokonał go niemal jednym palcem!

— Dlaczego „bezzębny kundel”?

Słyszac pytanie Ramesha Lani uśmiechnęła się.

— Bo to zwykły śmieć. Ważył się nazwać mnie kurwą i Cady nauczył go rozumu.

Z oczami błyszczącymi z podniecenia przypomniała po raz kolejny, jak Carlo zaatakował obtłuczoną butelką, a Cady bez żadnego wysiłku złamał mu rękę.

Ale Cady, kiedy się zjawił, nie miał tak wesołej miny. Wydarzenia dzisiejszego wieczoru uznał za poważny błąd: Lascelles wie już teraz, że swoją wygraną w walce z Cady zawdzięcza tylko podstępowi. A ponieważ jest tchórzem, nie będzie ryzykował następnego starcia. Został więc przyparty do muru i było więcej niż prawdopodobne, że posunie się do użycia broni. Tym samym dzisiejsza walka mogła się obrócić przeciwko nim.

Kirsty i Ramesh nie dzielali jego niepokoju. Ich zdaniem widok pobitego kompana może tylko przyspieszyć moment załamania się Lascellesa. Kirsty obawiała się jedynie, że Lascelles może popłynąć z powrotem na Mahé. Co ze złamaną ręką Carla? Może Lascelles będzie chciał odesłać go na pokładzie szkunera?

Cady uspokoił jej obawy. Złamanie nie pociągnęło za sobą komplikacji: Daubin, dzięki swemu doświadczeniu, złożył rękę i wsadził w gips. Carlo pozostanie na jachcie i z samego rana wespół z Lascellesem i angielskimi ornitologami pożegluje na Desnouf.

„Manasa” będzie za nimi podążać jak cień.

## 21

Godzinę po wschodzie słońca zaczął się ruch. Na plaży zjawili się z bagażami „ludzie od ptaków”, jak ich nazywała Lani, i Daubin powiosłował z nimi na jacht Lascellesa. Kiedy dobili do burty, Lascelles wyszedł na pokład. Pobiegł spojrzeniem w kierunku „Manasy”, gdzie cała czwórka jadła właśnie śniadanie. Przyjrzał się najpierw Cady’emu, potem utkwiał wzrok w Kirsty.

— Zobaczcie, jak się zmienił — szepnął Ramesh. — Jakby zmałał, i broda nie sterczy mu tak jak wczoraj.

Kiedy tylko ornitolodzy znaleźli się na jachcie, Lascelles odwrócił się i poszedł w kierunku steru. Zaraz potem z rury wydechowej łodzi wystrzelił niebieski kłęb spalin. Jeden z ornitologów podszedł do łańcucha kotwicznego.

— Do roboty, Cady — zakomenderował Ramesh, kończąc chrupać grzanekę.

W kilku minut później „Jaloud” z prędkością sześciu węzłów zbliżał się do toru wodnego, „Manasa” posuwała się trzydzieści metrów za nim. Ramesh ze zdziwieniem zauważył, że Lascelles nie trzyma się bezpiecznie środka kanału, ale jak najbliżej prawego brzegu. Cóż, uznał po namyśle, Lascelles pływał tędy wiele razy, na pewno zna najlepszą drogę. Kiedy jednak rzucił okiem na mapę od Dave’a, spostrzegł narysowane obok siebie dwa maleńkie krzyżyki i towarzyszącą im uwagę: „Wystające rafy koralowe. Nie oznakowane. 4”.

A więc tak się rzeczy mają... Lascelles wiedząc doskonale o rafach zamierzał przeprowadzić swój jacht między nimi, przez przesmyk nie szerszy niż dwa i pół metra, w nadziei, że Ramesh, nieświadomy przeszkody, wpadnie na którąś z nich dziurawiąc dno „Manasy”.

Ramesh uśmiechnął się surowo. Podążał dotychczasowym kursem. Ale kiedy od raf dzieliło go pięćdziesiąt metrów, skręcił i skierował jacht na środek toru.

Lascelles, skupiony na kierowaniu jachtem, nie zauważył tego manewru. Nagle skręcił ster w jedną, a zaraz potem w drugą stronę i „Jaloud” pomknął zygzakowatym ruchem do przodu. Jeden z ornitologów, który stał przy sterówce, krzyknął głośno pokazując coś w wodzie tuż przy burcie.

Ale „Jaloud” prześlizgnął się obok przeszkody. Lascelles odwrócił się, żeby sprawdzić, czy „Manasa” płynie jego śladem, i osłupiał ujrawszy łódź Ramesha po lewej burcie, sunącą bezpiecznie środkiem toru. Załoga „Manasy” mogła widzieć, jak sinieje ze złości.

\* \* \*

Minęła godzina i humor im dopisywał. Mieli stały wiatr od prawej rufy, a „Jaloud” płynął po lewym trawersie w odległości stu metrów. Oba jachty przez ostatnie pół godziny posuwały się napędzane tylko siłą wiatru i Ramesh ku swej radości przekonał się, że „Manasa”, chociaż mniejsza, bez trudu dotrzymuje tempa jachtowi Lascellesa. „Jaloud” kilkakrotnie zmieniał kurs, ale „Manasa” trzymała się blisko niego bez względu na to, czy Rameshowi przyszło żeglować półwiatrem, iść pełnym wiatrem czy halsować. Wreszcie Lascelles skręcił na południowy wschód, biorąc kurs na Desnouf i włączył silnik. Ramesh zrobił to samo.

— Teraz odskoczy od nas — mruknął Cady. Ale odległość między jachtami pozostawała taka sama.

— Patrzcie państwo! — wykrzyknął Cady. — Jak na swój rozmiar ten czarny śmierdziel porusza się niczym tłusta, stara krowa! — Klepnął radośnie dach pokładówki i odwrócił roześmianą twarz do Ramesha. — A stara „Manasa” sunie po falach jak dobrze nasmarowane narty. Ten widok nie polepszy humoru Lascellesowi.

Nie mylił się. „Manasa” płynęła równolegle z „Jaloud” i ilekroć Lascelles spojrział w jej stronę, widział Kirsty, która nie spuszczała z niego wzroku. W końcu wyłączył silnik i zszedł pod pokład. Przy sterze postawił jednego z ornitologów, który pomachał wesoło załodze „Manasy”. Ramesh także zgasił silnik. Obie łodzie zwolniły i żeglowały w ciszy.

Cady i Lani zarzucili za rufą wędkę w nadziei złowienia ryb na lunch i założyli się, któremu z nich prędzej się poszczęści. W rezultacie trafili na ławicę koryfen i oboje krzyknęli jednocześnie. Cady wyprzedził Lani z wciągnięciem swojej zdobyczy na łódź, ale ona upierała się, że jej ryba pierwsza chwyciła. Zresztą złowiona przez nią sztuka była minimalnie większa, tak więc uznali wynik za remisowy.

Do Desnouf dotarli wczesnym popołudniem. Podobnie jak przy dopływaniu do Bird Island, tak i tym razem już wiele mil od brzegu widzieli mrowie rybołówek.

Podążając za „Jaloud” wpłynęli na kotwiczowisko i, tak jak poprzednio, rzucili kotwicę czterdzieści metrów dalej od łodzi Lascellesa. Ten, nie spojrzawszy w ich stronę, zszedł na ląd załatwić ubezpieczenie jachtu. Gonił go krzyk Kirsty, dwa razy zadała mu to samo pytanie:

— Lascelles, gdzie mój syn?

Szedł przed siebie, jakby nic nie słyszał. Kirsty odprowadzała go spokojnym spojrzeniem.

Załadowawszy na łódź pontonową namioty i ekwipunek, ornitolodzy powiosłowali w kierunku „Manasy”.

— Noc spędzimy na ładzie — wyjaśnił jeden robiąc znaczącą minę. — A jutro ruszamy na Farquhar.

Ramesh odwrócił się do Lani i coś do niej szeptał. Lani kiwnęła potakująco głową.

— Zapraszamy do siebie na kolację — zawołał Ramesh do Anglików. — Czekamy o siódmej, będzie chińska kuchnia.

— Wspaniale! — krzyknęli zgodnym chórem i popłynęli w stronę plaży.

\* \* \*

„Rudy”, „Brazowy” i „Biały” — tak Lani nazwała trzech ornitologów z racji koloru ich włosów. Z błyskiem w oku dodała, że dla niej wszyscy ludzie z Zachodu wyglądają identycznie, dzięki Bogu jednak różnią się przynajmniej kolorem czupryny.

— Lascelles miota się jak niedźwiedź w klatce — zauważył Rudy i zgrabnie włożył do ust kolejny kawałek kraba na ostro.

Biały, którego włosy w rzeczywistości były ledwie przyprószone siwizną, skinął potakująco głową.

— Nigdy nie odznaczał się miłym usposobieniem, jednak przez ostatnie dwa dni trudno zbliżyć się do niego bez kija — dorzucił. Sięgnął po kawałek lucjana, ale cienki płatek ryby rozpadł mu się między pałeczkami.

Lani za pomocą długich gościnnych pałeczek nałożyła delikatnie kawałek ryby do miseczki gościa. Dodała również po trochu innych smakołyków, a wśród nich potrawy z kraba, granika, koryfeny i warzyw.

— Dziękuję, Lani. — Ucieszył się i westchnął, spoglądając na pyszności, które miał przed oczami. — I kto by pomyślał, że setki kilometrów od cywilizacji będziemy mieć okazję jeść takie wspaniałości.

Do rozmowy włączył się Brazowy.

— Wyśmienite — wymamrotał. Odłożył pałeczki, którymi posługiwał się z wielką wprawą, wytarł usta serwetką i, zgodnie z wymaganiami etykiety Orientu, pozwolewszy sobie na ciche beknięcie zwrócił się do Ramesha:

— Powinien pan zachować ostrożność. Nie trzeba być psychologiem, by stwierdzić, że Lascelles w obecnym stanie może być niebezpieczny. Według mnie on jest całkowicie niepoczytalny. — Zrobił krótką przerwę. — Ma na jachcie sprzęt do nurkowania, co przy doskonałych umiejętnościach pływackich może podstępnie wykorzystać.

Ramesh i Cady zgodnie pokiwali głowami. Wcześniej tego wieczoru odbyli naradę wojenną i doszli wspólnie do wniosku, że Lascelles może w nocy spróbować sabotażu. Postanowili więc odegrać zmyślną scenkę. Ramesh zszedł pod pokład i przyniósł groźnie wyglądający trójzębny harpun. Lascelles i Carlo siedzieli na pokładzie swego jachtu. Portugalczyk miał prawą rękę w gipsie, a całą twarz posiniaczoną i spuchniętą. Patrzyli, jak Ramesh opiera harpun o reling i zagląda przez burtę w przejrzystą wodę. Cady,

stanąwszy bliżej dziobu, też wpatrywał się w wodną taflę. Odezwał się głośno do swego towarzysza: — Masz rację, Ramesh. Z każdej strony powiesimy po dwie latarnie i będziemy widzieli nawet dno. Tym kawałkiem wykałaczkii trafimy wszystko w promieniu czterech metrów. — Uśmiechnął się promiennie i dodał spoglądając na Lascellesa: — Może trafi nam się jakaś soczysta, tłusta sztuka. Lascelles odwrócił głowę z wściekłą miną, mrużąc coś do Carla.

Ramesh powiódł spojrzeniem po twarzach ornitologów i odpowiadając na uwagę Brązowego powiedział:

— Uzgodziłem z Cadym, że w nocy będziemy stać na wachcie. A w ogóle to kotwicowisko nie bardzo mi się podoba. Jesteśmy całkowicie zdani na łaskę wiatru, gdyby się zmienił czy choćby nasilił.

— Rozsądna decyzja — pochwalił Brązowy. Skupił uwagę na Kirsty. — Pani historia jest naprawdę fascynująca. Rozumiem, że bardzo to pani przeżywa, i wcale się nie zdziwię, jeśli nie zechce pani o tym mówić. — Uśmiechnął się do niej współczująco. Był niewysokim mężczyzną o korpulentnej sylwetce i szczerym wyrazie twarzy. Spojrzał na nią przez grube szkła okularów. — Widzi pani, bardzo mnie interesują wszelkie zjawiska z dziedziny poznania pozazmysłowego. Przystudiowałem ten temat gruntownie i doszedłem do przekonania, że ptaki — jak również niektóre gatunki ssaków — mogą porozumiewać się między sobą za pomocą szóstego zmysłu.

— Aha — przerwał mu Biały ze znaczącym mrugnięciem. — Wsiadamy na swojego ulubionego konika, co?

Ale Kirsty zainteresowała się tematem. Nachyliła się do rozmówcy.

— Czytałam trochę o tym, ale niewiele wiem. Naprawdę badał pan te zjawiska?

Brązowy przytaknął i przez następne dwadzieścia minut szczegółowo rozwijał temat. Nawiązał do przeprowadzonych w Europie i Ameryce eksperymentów, które zostały poddane naukowej kontroli.

Polegały one na tym, że jednej grupie ludzi kazano skupiać się na ciągach liczb, kolorów czy przypadkowo dobranych przedmiotów, podczas gdy inna grupa ludzi, czasem zgromadzona w sąsiednim pokoju, a czasem wiele kilometrów dalej, zapisywała przekazywane im w sposób pozazmysłowy liczby, kolory czy przedmioty. Podane rozwiązania wykazywały w niektórych przypadkach zbieżność rzędu siedemdziesięciu procent, co było wynikiem zbyt wysokim, by mówić o zbiegu okoliczności. Kryła się w tym zresztą pewna logika. Człowiek wynalazł i zbudował radiodbiornik i telewizor, które mogą przesyłać informacje oraz obrazy na cały świat, nawet na miliony kilometrów w przestrzeń kosmiczną, a przecież mózg ludzki jest nieskończenie bardziej doskonały od jakiegokolwiek urządzenia i wiadomo na pewno, że emituje wiązki fal.

— Czy miała pani tego rodzaju doświadczenia? — zainteresował się. — Odczuwa pani w jakiś sposób obecność syna?

— Tak — wyznała cicho. — Czasem silniej niż inne rzeczy. Pewnego razu w Dar es-Salaam obudziłam się wcześniej rano i, jeszcze chyba na wpół przytomna, zaczęłam rozmyślać o Garrecie. Nagle doznałam dziwnego wrażenia, że jest gdzieś bardzo blisko, zupełnie jakby był w tym samym pokoju, i wtedy... — Rozejrzała się po wszystkich spodziewając się sceptycznych spojrzeń.

— Proszę mówić dalej — ponaglił Brązowy.

— Poczułam zapach, taki, jakbym znalazła się w szpitalu... Szpitale charakterystycznie pachną, taka mieszanka eteru i innych rzeczy... Przestraszyłam się. Zawsze bałam się szpitali, bałam się o Garreta... — Głos się jej załamał. — Garret ma bardzo rzadko spotykaną grupę krwi... Zastanawiałam się, czy mi się to wszystko nie śniło...

Brązowy oparł się wygodnie na krzesło i pokiwał głową.

— Oczywiście, mogły to być jakieś reminiscencje z przeszłości — odparł w zamyśleniu. — Ale z drugiej strony... Tak, to fascynujące.

Kolacja dobiegła końca. Wszystko zostało zjedzone do ostatniego kęsa. Lani wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Kirsty chciała jej pomóc, ale Lani powstrzymała ją stanowczym ruchem ręki.

— Dzisiaj zmywanie należy do mnie. Zaraz zrobię wam kawę.

Jak można było przypuszczać, rozmowa zesłała na ptaki i innych przedstawicieli świata zwierzęcego, zamieszkujących wyspy. Rudy zauważył, że wyspy, które dotychczas zwiedzili, jak na przykład Bird Island czy Desnouf, są interesujące tylko pod jednym względem — z powodu ptasich kolonii. Tak naprawdę czekają na spotkanie z Aldabrą, gdzie zamierzają spędzić kilka tygodni. Oczywiście, kiedy o tym mówił, porównując Aldabrę z Galapagos, jednym z najbardziej niezwykłych archipelagów świata.

Z uwagi na niedostępność i otoczenie Aldabra nie doświadczyła niemal ingerencji człowieka, dzięki czemu jej fauna i flora rozwijały się w stanie nie naruszonym. Opowiedział im o rozległej lagunie, która — niczym olbrzymia spłuczka — wysycha przy każdym odpływie, by wraz z przypływem wypełnić się na powrót wodą. Wspominał o dziesiątkach tysięcy lądowych i morskich żółwi, które koegzystują z olbrzymimi krabami żywiącymi się kokosami, o małym nielotnym ptaku z rzędu chruścili, spokrewnionym ze strusiem emu i z wymarłym już dodo. Tylko na Aldabrze udało się im umknąć przed dewastacją będącą dziełem człowieka. Z uwagi na krążące pogłoski o planach Ministerstwa Obrony Wielkiej Brytanii, które zamierzało przekształcić Aldabrę w olbrzymią bazę lotniczą na wschód od Suez, ornitologowie jechali z zadaniem oszacowania potencjalnych szkód ekologicznych. Chcą pozostać na wyspie co najmniej przez miesiąc, lecz już teraz wiedzą, że w swym sprawozdaniu będą się sprzeciwiać zamiarom postawienia tam choćby jednego hotelu. Przez dobre pół godziny mówił z takim entuzjazmem i swadą, że nawet Kirsty dała się porwać magii jego opisu i zapomniała na chwilę o zmartwieniach.

Kiedy jednak goście, podziękowawszy wylewnie, powiosłowali do brzegu, a Cady z Rameshem zawiesili tuż nad wodą latarnie, oświetlając nimi czarny kadłub „Jaloud”, jej nastrój uległ znowu zmianie.

Tej nocy niewiele spała. Leżała na boku na koi w ciasnym kubryku, niemal dotykając stopami nóg Lani, i w głowie kotłowało się jej od nadmiaru wrażeń: myślała o Garcie, o Rameshu i o cudach Aldabry.

Regularnie co dwie godziny jacht ożywał w łagodnych wibracjach: to Ramesh i Cady uruchamiali na kwadrans silnik, żeby załadować akumulatory i zapewnić wiszącym lampom odpowiednie napięcie.

W czasie trzystumilowej żeglugi na południe do atolu Farquhar Kirsty pokochała morze. Zamykała się nieświadomie w sobie, nie zwracając prawie uwagi na pozostałych. Lani, Cady i Ramesh rozumieli jej nastrój i nie czuli się urażeni.

Lani i Cady coraz bardziej mieli się ku sobie. Kiedy na Cady'ego przypadła nocna wachta, Lani najczęściej też znikwała z kubryku.

Ramesh także wyglądał na pogrążonego we własnych myślach. W ciągu dnia często zajęty był lekturą. Czytał nie tylko mocno już sfatygowaną żeglarską „Biblię”, ale i książki, które trzymał w schowku pod koją: były to różne publikacje o tematyce historycznej, morskiej i podróżniczej oraz dzieła współczesnych filozofów. W panującej na pokładzie atmosferze odprężenia Kirsty w ciągu trzech dni rejsu zaczęła poznawać zarówno morze, jak i samą siebie.

„Jaloud” pozostawał zawsze w polu widzenia, nawet w nocy, dzięki pełni księżyca i bezchmurnemu niebu.

Siedząc samotnie pierwszej nocy na pokładzie dziobowym i obserwując ciemne żagle kilkaset metrów dalej Kirsty była pewna, że ta ich wspólna wyprawa nie pójdzie na marne. Czuła wyraźnie, że płynie do Garreta, z każdą falą jest coraz bliżej celu. Morze było jej przyjacielem, który prowadził ją niestrudzenie do syna. Po raz pierwszy od wyjazdu z Nowego Jorku uwolniła się od niecierpliwości, która wyparowała z niej pod kojącym działaniem morza, uśmierzona spokojnym kołysaniem posuwającej się wciąż do przodu „Manasy”. Przrzekła sobie, że na tym jej przygoda z morzem się nie skończy. Morze stało się elementem jej życia, jak krew płynąca w żyłach.

Trzeciego dnia obudziła się jeszcze przed brzaskiem. Lani spała. Kirsty przeszła przez salonik i wyrzała przez zejściówkę na pokład.

— Napijesz się kawy, Ramesh?

— Czytasz w moich myślach.

Przyniosła kawę i postawiła Rameshowi kubek przed sterem, opierając go o jeden ze sztagów. Dał lekki wiatr i „Manasa” sunęła powoli po wodzie. Ciszę rozpraszał jedynie plusk fali dziobowej. Horyzont na wschodzie zaczął się lekko przejaśniać.



— Przepraszam, Ramesh... Przez kilka ostatnich dni niewiele się odzywałam...  
Odwrócił się i w panującym półmroku ujrzała, jak uśmiecha się błyskając zębami.

— Nic nie szkodzi, Kirsty. Nie jesteś chyba nieszczęśliwa.

— Skądże, wprost przeciwnie. Czuję taki spokój. Myślę, że to wpływ morza.

Ramesh umilkł na chwilę.

— Wiem, co masz na myśli. Też to często czuję. Ogrom morza, jego bezmiar sprawia, iż mam wrażenie, jakbym przemierzał kosmos. Mała drobinka w niezmierzonej przestrzeni — a drobinki naturalnie są wolne od wszelkich problemów.

Położyła rękę na jego ramieniu, przysunęła się i pocałowała go w ucho. Zatopił palce w jej włosach i zaczął całować usta wymawiając jej imię.

— Bądź cierpliwy — szepnęła mu do ucha.

— Będę — obiecał cicho. — Małe drobinki w kosmosie są zawsze cierpliwe.

Spleceni ramionami, odwrócili się i patrzyli na różowiejące na wschodzie niebo.

\* \* \*

Ze wszystkich dotychczas widzianych wysp Farquhar zachwycała Lani najbardziej. Stała z Cadym na przednim pokładzie „Manasy”, która sunęła po wodach kanału prowadzącego do laguny, blisko krzywizny brzegowej. Sam atol przypominał kształtem półksiężyc i, co wyróżniało go spośród innych wysp, wody jego laguny zapewniały bezpieczne kotwicowisko przy każdych warunkach pogodowych.

Wiedziony instynktem Ramesh rzucił kotwicę w odległości stu metrów od „Jaloud”. Wszyscy pasażerowie „Manasy” doznawali dziwnego przeświadczenia, że ich akcja wkrótce dobiegnie końca. Czyrak dojrzał do przecięcia, ale to nie Farquhar miała być miejscem operacji. Pobyt tutaj będzie niczym okład położony na wrzód dla przygotowania ostatecznego cięcia, którego scenerią miała stać się Aldabra.

Na Farquhar znajdowało się nadspodziewanie duże osiedle. Pierwszego wieczoru zjedli kolację na łodzi w towarzystwie kapitana portu, niejakiego Jacquesa Rene, i ornitologów. Ci ostatni marzyli jedynie o tym, by zwiedzić pobliską wysepkę Goulettes i obejrzyć tamtejszą kolonię rybołówek, mimo to postanowili zostać co najmniej trzy dni na Farquhar. Po pierwsze, pragnęli nacieszyć się wygodami w tutejszym hotelu, po drugie zaś mieli nadzieję, że „La Belle Vue” przypłynie z Mahé, pozwalając im rozstać się z Lascellesem i jego jachtem.

Nazajutrz rano „Jaloud” popłynął na Goulettes. Ponieważ miała to być zaledwie jednodniowa wycieczka, w ślad za Lascellesem podążyli tylko Ramesh z Kirsty. Cady i Lani natomiast postanowili zostać i rozejrzeć się po wyspie.

Przez cały dzień przeszli wszerg i wzdłuż długą na około pięć kilometrów wysepkę. Spotykani od czasu do czasu robotnicy na plantacji na ich widok nieodmiennie zrywali najbliższej rosnącego kokosa i odciawszy maczetą czubek oferowali im gaszące pragnienie mleczko.

Wczesnym wieczorem dotarli na koniec plaży. Widzieli, jak „Jaloud” i „Manasa” płyną kanałem, wykonując zwrot na wysokości przyładka, i znikają w załomie laguny.

Siedzieli na sypkim białym piasku plaży nie mając najmniejszej ochoty odchodzić. Kiedy słońce skryło się za horyzontem i palmy zaczęły rzucać długie cienie, Lani odezwała się:

— To chyba odpowiedni czas i miejsce, żebyś mnie pocałował.

Cady bez pośpiechu położył się na plecach i rzekł figlarnym tonem:

— Chętnie bym to zrobił, ale boję się, czym to się może skończyć.

— Co masz na myśli?

— Jestem tak strasznie brzydki, że mogłabyś dostać ataku serca.

— Brzydki?

— No tak. Słyszałem, jak rozmawiałaś tamtej nocy z Rameshem. Zaraz, kim ja jestem? „Barbarzyńcą”? Nie, „owłosioną małpą”!

To wspomnienie wywołało uśmiech na jej twarzy.

— Skoro tak, to musiałeś także słyszeć, jak powiedziałam, że z czasem przyzwyczaję się do tego widoku.

— Jasne — jak do smaku pasztetu z wieprzowiny!

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Jesteś niewyobrażalnie brzydki, to prawda, ale mimo wszystko chcę, żebyś mnie pocałował.

Nachyliła się nad jego ustami — dzieliły ich zaledwie centymetry, ale w głowie tkwiła mu myśl, że tak naprawdę dzieli go od Lani cienka błona nie odkrytej jeszcze kobiecości. Czuł na twarzy jej oddech.

Podniósł bardzo powoli głowę z piasku i ich usta się spotkały. Nie byłby mechanikiem, gdyby moment ten nie skojarzył mu się z połączeniem obwodu elektrycznego.

Lani nie myślała o niczym, cieszyła się po prostu fizyczną bliskością. Rozchyliła usta i wysunawszy język, niczym otwierający się, ciekawy wszystkiego kwiat, zapuściła go badawczo w głąb jego ust.

Po chwili długiej jak wieczność uniosła głowę i spojrzała na niego. Przeciągnęła dłonią po jasnych włosach pokrywających jego nagą pierś szepcząc:

— Mój barbarzyńca, mój brzydki małpizson.

Przyciągnął ją do siebie i znowu zaczęli się całować. Przekręcił się na piasku lądując nad nią.

— Skoro taki ze mnie brzydka, to dlaczego mnie całujesz?

Odsunęła głowę, znacząc ślad na piasku.

— Czy wszyscy barbarzyńcy są tak głupi jak ty?

Zmrużył oczy. Uśmiechnęła się.

— Kocham cię, Cady. Jakże mogłabym pocałować takiego brzydaka, gdybym go nie kochała?

Odludna plaża rozbrzmiała echem jego radosnego śmiechu. Zaraz jednak spoważniał i spytał całkiem serio:

— Dlaczego mnie kochasz?

Zamyśliła się, marszcząc w skupieniu piękne brwi. W końcu odpowiedziała:

— Bo jest w tobie ład, równowaga między „Jin” a „Jang”. — Widząc jego zdziwioną minę, pośpieszyła wyjaśnić: — Jesteś bardzo silny, twardy — prawdziwy barbarzyńca. To może wystarczyć niektórym kobietom, ale nie mnie. Takie cechy powinny być zrównoważone. „Jin” to pierwiastek żeński, „Jang” to pierwiastek męski, a między obu musi istnieć równowaga, i u ciebie ją widzę. Jesteś twardy jak stal i miękki jak bawełniany puch — jednocześnie. Jedno jest niczym bez drugiego, dopiero całość tworzy ciebie. I takim właśnie cię kocham.

Podumał chwilę nad tym, co usłyszał. Wreszcie zapytał:

— Jeżeli jesteś taka mądra, to może mi powiesz, dlaczego ja cię pokochałem?

Uśmiechnęła się i znowu zmarszczyła brwi.

— Ponieważ twoje „Jang” chce mnie osłaniać. Ponieważ dostrzegasz we mnie piękno. Bo odczuwasz potrzebę darzenia miłością, a ja stanęłam na twojej drodze. Bo twoje „Jin” odpowiada na moją miłość. — Przerwała i dokończyła pełnym powagi tonem: — Bo wreszcie mieliśmy to szczęście, że mogliśmy się spotkać i odnaleźć. Ale czy trzeba o tym mówić? Czy nie wystarcza to, co czujemy?

— Masz rację. Ale, widzisz, wiem jeszcze i to, że jesteś dziewicą. Nie dziw się, wiem. Ty rozmawiasz z Rameshem, a ja z Kirsty. — Uśmiechnął się. — Pomóż temu „Jin”, co jest we mnie. Nigdy jeszcze nie byłem z dziewicą.

Twarz jej rozbłysła uśmiechem. Wyciągnęła ręce tęsknym ruchem, zarzuciła mu na szyję i pocałowała go.

— Zamknę oczy, barbarzyńco, żeby nie widzieć twojej brzydoty. Ale zrób to teraz. A kiedy otworzę oczy, będziesz piękny.

I tak też było. Zacisnęła z całej siły powieki i wygięła się na plecach, żeby łatwiej mógł ściągnąć jej spodenki i biały skrawek majteczek. Potem obróciła się na bok ułatwiając zdjęcie stanika. Jej oddech wyraźnie się przyśpieszył, kiedy jego cudowna ręka przesuwała się po jej ciele obrysowując wierzchołki piersi, pochyłość brzucha i wąską, jedwabistą dolinę pomiędzy udami, zroszoną już wilgocią.

Wyswobodził się ze spodenek. Zawisł nad nią w przejmującym bezruchu, po czym powoli, z dręczącą rozkoszą zaczął w nią wchodzić. Lani wykrzywiła usta w bólu. Zawałał się, lecz Lani, oddychając jeszcze szybciej, wygięła się, wychodząc mu naprzeciw. Wsunął dłoń pod jej pośladki i przyciągnawszy ją mocno, poruszył się delikatnie do przodu.

Serce biło mu szybciej na każdy sygnał jej odpowiedzi. Reagując na ból wbiła bezwiednie paznokcie w jego plecy. Potem oczy zaszyły jej mgłą, aż w końcu poczuł falowa-

nie brzucha, gdy napięte do granic młode ciało przeszył pierwszy w życiu Lani słodki spazm rozkoszy.

Drżeli oboje, zwarci w mocnym uścisku, łapiąc z trudem powietrze. Pot łagodził tarcie skóry o skórę.

Uspokajała się powoli, wstrząsana coraz rzadziej dreszczami. Przyciągnęła głowę mężczyzny do swojej szyi i objęła jego uda zgrabnymi, śniadymi nogami, jakby chciała zatrzymać go na zawsze. Otworzyła oczy i przyciskając usta do jego ucha powiedziała z westchnieniem:

— Jesteś piękny, Cady.

\* \* \*

Tego wieczoru urządzili grilla na brzegu. Zjawił się Rene, jego robotnicy oraz ornitolodzy. Nie musieli martwić się o „Manasę” — łódź stała na cumie trzydzieści metrów od nich, oświetlona z każdej strony dwiema latarniami, które pozwalały widzieć wyraźnie wodę pod stępką. Co dwie godziny Cady lub Ramesh szli doładować akumulatory.

Robotnicy patrzyli w Cady’ego jak w obrazek, klepali go po plecach i dbali, by jego szklanka była zawsze pełna *calou*. Dowiedzieli się od ornitologów, że złożył skórę Carlovi, i cieszyli się z tego ogromnie, bo ani Carlo, ani jego kapitan nie cieszyli się ich sympatią.

Specjalnie na tę okazję ubito świnie. W wykopanym na plaży, obłożonym kamieniami dużym dole urządzono ognisko, a świniaka ułożono na zaimprovizowanym grillu z siatki metalowej. Wszyscy usiedli wokół ognia i, w oczekiwaniu na pieczyście, słuchali popisów starego, siwego robotnika, który grał na *zeze* i śpiewał. Treść piosenki musiała być zabawna, bo robotnikom przez cały czas nie schodził uśmiech z twarzy, a kiedy dobiegła końca, wybuchnęli śmiechem.

Kirsty siedziała obok Rene, mając po drugiej stronie Ramesha.

— O czym to było? — spytał Rene.

— To brzydka piosenka, jak większość tutejszych. — Uśmiechnął się i spojrzał wymownie. — Mam przetłumaczyć? Nie będzie pani zgorszona?

— Myślę, że nie.

— Mówi o Anne-Marie, która jest dziewczyną nieco swobodnych obyczajów, wie pani... Przyjechała zwiedzić wyspę. Pewnego dnia kapitan portu skaleczył się na plaży, próbując przewrócić żółwia. Dziewczyna pośpieszyła mu na pomoc.

Rene krzyknął coś po kreolsku i staruszek rozpoczął piosenkę od nowa. Ramesh nachylił się i słuchał, jak Rene tłumaczy:

*Gdzie pana boli?*

*Dotknij mnie, to ci powiem.*

*Dotknęła mnie ręką i poczułem, jak oblewa mnie zimny pot.*

*Ale proszę powiedzieć, gdzie boli.*  
*Dotykaj mnie, Anne-Marie, dam ci znać, kiedy trafisz.*  
*Dziewczyna zaczyna szukać bolącego miejsca.*  
*Czy to tutaj?*  
*Nie!*  
*Tutaj?*  
*Nie... Anne-Marie, musisz mnie trochę pomasować.*  
*Masuj, szybko, nie wytrzymam tego bólu!*  
*Niżej, jeszcze niżej!*  
*Nie bój się.*  
*Ooo! Właśnie tu! Jeszcze, jeszcze!!!*

Wszyscy gruchnęli śmiechem. Rene spojrzął z szelmowskim uśmiechem na Kirsty.

— Nie zgorszyłem pani?

— Ależ skąd! — roześmiała się. — Chyba że Ramesha.

Ramesh rozglądał się pilnie po rozległej plaży.

— Nie — zaprzeczył. — Szukam tylko jakiegoś dużego żółwia.

\* \* \*

Jedli wieprzowinę palcami, używając liści palmowych jako talerzy i przegryzając małymi kawałkami dyni w słodkim sosie. Rozkosz w żołądku, ale tłuszcz na palcach, toteż po skończonym posiłku wszyscy poszli popływać, aby obmyć się w wodach laguny.

Później zasiedli na powrót wokół dogasającego ogniska i starzec zaczął znowu śpiewać.

Lani i Cady siedzieli blisko siebie, nieco oddaleni od pozostałych. Lani opierała się o Cady'ego, z ręką przewieszoną przez jego udo.

Kirsty, która obserwowała parę siedząc po drugiej stronie ognia, odezwała się do Ramesha:

— Nie traktuj tego jako oświadczenia, ale coś mi się zdaje, że pora już, żebym zamieniła się pryczą z Cadym.

Uniósł raptownie głowę.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Przypatrz się im — wskazała głową przytuloną parę. — Co widzisz?

Przyglądał się im przez dobre kilka minut, na koniec twarz mu się wolno rozjaśniła w uśmiechu.

— Są w sobie zakochani.

— Nawet więcej — są kochankami.

— Ale Lani jest dziewczyną!

— Raczej była: myślę, że stała się kobietą.

Obróciła głowę i spojrzała na Ramesha, który nie spuszczał oczu z pary zakochanych. Na jego ustach nadal gościł uśmiech. Z wolna skinął głową.

— Myślę, Kirsty, że masz rację.

— Nie będzie ci ciężko? No wiesz — to, że będę na sąsiedniej koi?

Przestał się uśmiechać i odparł z powagą:

— Cóż, będę ćwiczył silną wolę i myślał o innych rzeczach.

— O jakich?

— Choćby o Aldabrze, o zamieszkujących wyspę niezwykłych zwierzętach... Zwłaszcza o olbrzymich żółwiach i o tym, jak łatwo można się zranić, kiedy się je przewraca!

Ornitologzy postanowili, że jeśli „La Belle Vue” nie zjawi się nazajutrz do południa, to zostawią wiadomość i popłyną na Aldabrę jachtem Lascellesa.

O jedenastej rano Kirsty i Cady zeszli na brzeg. Kirsty przysłała po obiecane przez Rene warzywa z miejscowej uprawy, a Cady chciał zdobyć zapasową puszkę smaru. Znalazł go bez trudu w magazynie i po zapłaceniu udał się do hotelu na pogawędkę z ornitologami. Nie zastał ich jednak: naukowcy wybrali się na północny przylądek wyspy w nadziei, że wypatrzą może „La Belle Vue”. W patio na stoliku leżało kilka czasopism. Usiadł i zaczął przerzucać stary numer „Time”.

W dwadzieścia minut później zjawiała się Kirsty, niosąc dwa duże kosze uplecione z liści palmowych.

— Co nowego w świecie? — rzuciła.

Podniósł na nią zaskoczony wzrok i rzucił czasopismo na stolik.

— Diabli wiedzą — to numer sprzed miesiąca. Daj, wezmę je od ciebie.

Włożył puszkę ze smarem do jednego z koszów pełnego dyń i ruszyli na plażę.

Cady wypakował broń, wyczyścił ją dokładnie, rozładował i załadował magazynki, po czym złożył wszystko w długiej, płytkiej skrzynce bez wieka, którą umieścił przy stopniach zejściówki. Skrzynia była niewidoczna z pokładu, lecz łatwo dostępna, nawet dla osoby za sterem.

„Manasa” stała zakotwiczona samotnie w odległości stu metrów od le Picard na Aldabrze, przy północno-zachodnim skrawku laguny. W pobliżu znajdowało się stałe obozowisko. Przecwiczwszy kilkakrotnie sięganie po broń, Cady wziął lornetkę i zaczął przepatrywać linię horyzontu za zachodnim skrawkiem wyspy.

Reszta załogi była na brzegu. Zgodnie z wcześniejszym postanowieniem, w ciągu czterodniowego rejsu wyprzedzili Lascellesa, żeby móc rozejrzeć się po wyspie przed zbliżającą się ostateczną konfrontacją.

Zawinęli na Aldabre poprzedniego dnia rano, ale „Jaloud” wciąż się nie pojawiał. Widząc, że Kirsty zaczyna się denerwować, Ramesh popłynął z nią i z Lani na brzeg. Obiecał też, że jeśli Lascelles nie pokaże się do świtu, opłyną całą lagunę i sprawdzą, czy jego jacht nie kotwiczyp przypadkiem w innym miejscu.

Cady odejmował już lornetkę od oczu, kiedy „Jaloud” pojawił się w polu widzenia, wyłoniwszy się zza kryjącego go wcześniej zewnętrzny łuku wyspy. Od brzegu dzieliło go jeszcze pięć mil. Szedł wolno lewym halsem — gdyby płynął tak dalej, minąłby najbliższy cypel o trzy, cztery mile. Dlaczego więc przy tak słabym wietrze płynie tylko pod żaglami? Cady przyglądał się całej scenie w zdziwieniu. Jediną rozsądną odpowiedzią było to, że mają zepsuty silnik. Przyszło mu do głowy, by zaalarmować syreną resztę załogi, ale dał spokój. Przy słabo wiejącym, wschodnim wietrze upłyną jakieś dwie, trzy godziny, zanim „Jaloud” przybije do brzegu.

Lani karmiła chlebem derkacza na brzegu. Drobny ptak o lekko pochyłym grzbiecie, cienkich nogach i długim, ostrym dziobie nie okazywał najmniejszego strachu.

Aldabra oczarowała wszystkich od pierwszej chwili. Ledwie rzucili kotwicę, nadleciały mewy i obsiadły bomy i salingi masztów, nic sobie nie robiąc z obecności ludzi. Kirsty i Lani były zachwycone, tylko Ramesh kręcił nosem. Spojrzał na pierwsze ptasie odchody znaczące deski pokładu i powiedział z kwaśną miną do Cady’ego:

— Jeszcze trochę i zacznę robić interes na sprzedaży guano!

Chodzili po wyspie, coraz bardziej nią zachwyceni. Tysiące żółwi leżało i drzemało w cieniu, wyciągając głowy dla zapewnienia sobie lepszego chłodzenia. Małe derkacze biegały wokół żółwi, wydziobując im wszy z fałdów skóry. Wszędzie łąziły olbrzymie kraby o długich, czerwonych kleszczach. Ich wygląd budził strach, ale ich mięso było tak smaczne, że uchodziło za największy rarytas. Nic dziwnego, skorożywiły się mięszem i mleczkiem spadłych kokosów. No i ptaki: ibisy, barwnie upierzone gołębie, mewy, głuptyki i pełne elegancji czaple białe. Wody laguny rozciągały się na całej linii horyzontu. Kiedy ujrzeli Aldabrę po raz pierwszy, trwał akurat przypływ i nad laguną krążyły i nurkowały w wodzie tysiące ptaków korzystających z obfitej uczty, jaką morze fundowało im dwukrotnie w ciągu dnia.

Zwłaszcza Kirsty nie znajdowała dość słów zachwytu. Gdyby nie trapiąca ją nieobecność jachtu Lascellesa, mogłaby wędrować po wyspie godzinami.

— Chętnie zostałabym tu na wiele miesięcy — wyznała Rameshowi pierwszej nocy, leżąc na sąsiedniej koi. Dzieliło ich niecałe półtora metra. — Chciałabym poznać życie zwierząt, zgłębić tajemnicę ich współżycia. To najwspanialsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam. Garretowi by się tu podobało, kocha zwierzęta i naturę.

Kiedy wrócili na plażę, „Jaloud” był już zaledwie o dwie mile od brzegu. Na widok jachtu Kirsty poczuła ulgę zmieszaną z obawą o los pozostałych. Zbliżał się rozstrzygający moment i bała się o bezpieczeństwo swoich przyjaciół.

Znalazłszy się z powrotem na pokładzie „Manasy” patrzyli, jak jacht dobija do brzegu. Carlo stał przy sterze, trzymając koło zdrową ręką. Lascelles ze skrajnego dziobu wpatrywał się w wodę i wydawał głośno instrukcje. Nawet nie spojrzał w stronę „Manasy”. Trzej ornitologowie szykowali się do zwinięcia żagla.

Lascelles wydał ostatni rozkaz i Carlo skręcił sterem. Jacht stanął pod wiatr i zaczął dryfować. Zwinięto żagle i kotwica plusnęła w wodę nie dalej niż osiemdziesiąt metrów od „Manasy”.

Ornitologowie przez godzinę przewozili kilkakrotnie sprzęt, aż na brzegu urosła spora góra. Lascelles nie fatygował się z pomocą.

Upewniwszy się, że jacht jest bezpiecznie zakotwiczony, zszedł pod pokład, nie rzucając nawet okiem na „Manasę”.

Kiedy cały ekwipunek znalazł się na plaży, jeden z ornitologów powiosłował do łodzi Ramesha. Brązowy, on to był bowiem, pocił się jeszcze po niedawnym wysiłku.

Przyjął z wdzięcznością piwo z rąk Lani i upiwszy spory łyk, zaczął wyjaśniać:

— Wczoraj w nocy zepsuł się silnik. Jakies problemy z pompą paliwową.

— Da się naprawić? — upewniła się Kirsty.

— Lascelles mówi, że do jutra doprowadzi silnik do porządku. Pracował przy nim cały dzień.



Cady pokiwał domyślnie głową.

— Pewnie uszczelka. Jeśli nie ma zapasowej, może z czegoś zrobić — to żaden problem.

— Posłuchajcie. — Brązowy, wciąż lekko zasapany, przeszedł do celu wizyty: — Przy płynąłem, żeby was ostrzec. Ten człowiek to istny szaleniec — mówię wam, to jakiś cholerny wariat. Kiedy zepsuł się silnik, wpadł w prawdziwą furję. Winą za awarię obarczył Carla i zaczął go z całej siły okładać. Carlo przy swoim obecnym stanie był praktycznie bezbronny. Ale kiedy próbowaliśmy się wtrącić, Lascelles zagroził, że wyrzuci nas za burtę! — Przerwał dla wzięcia oddechu, po czym upił łyk piwa. — I jeszcze jedno: ten wariat jest uzbrojony. Podejrzałem przez luk, jak czyści w kabinie broń.

— Wiemy, że jest uzbrojony — odparł Ramesh spokojnie.

— Wiecie?! I mimo wszystko chcecie ryzykować? — Przyglądał się im nie kryjąc zaskoczenia. — Chyba też poszaleliście!

— Co to za broń? — rzucił niby od niechcienia Cady.

— Nie wiem, nie znam się na broni.

— Proszę nam opisać.

Wysłuchawszy opisu, Cady orzekł:

— To najpewniej *Sten*.

— My też... — wyrwała się Lani, ale Cady przerwał jej szybko, kierując do gościa kolejne pytanie:

— Widział pan tylko ten jeden pistolet maszynowy?

Brązowy skinął głową.

— Lascelles siedział na łóżku i go czyścił. — Rozejrzał się po otaczających go twarzach. — Zastanawialiśmy się już poważnie, czy mu nie zapłacić i nie rozstać się w nadziei, że „La Belle Vue” jednak się pojawi. Ale na wyspie nie ma wody, jesteśmy więc zależni od jego zapasów. Mam zatem rozumieć, że jeżeli Lascelles popłynie dalej, ruszycie za nim?

Widząc ich zdecydowanie, zamyślił się głęboko. Wreszcie odezwał się:

— Cóż, wypełniając naszą naukową misję będziemy krążyć po całej wyspie, ale ustaliliśmy, że jeden z nas pozostanie w tym czasie w obozie. Gdyby Lascelles próbował jakichś sztuczek, będzie przynajmniej świadek.

— To może okazać się niebezpieczne dla świadka i dla was wszystkich — przestrzegł Ramesh.

Brązowy pokręcił głową.

— Można nas uważać za roztargnionych naukowców, ale nie za facetów bez piątej klepki. Już kiedy wynajmowaliśmy Lascellesa, nie byliśmy go pewni i dlatego wypłaciliśmy mu tylko dziesięcioprocentowy zadatak. Resztę madostać po zakończeniu pracy albo kiedy przedstawi w banku list podpisany przez nas wszystkich. Wierzcie mi, w grę wchodzi kupa forsy...

Wszyscy się zamyśli. Ciszę przerwał Cady:

— Fakt, Lascelles nigdy nie narzeka na nadmiar pieniędzy. Nie będzie ryzykował utraty pieniędzy.

Brązowy odstawił szklankę.

— Wróć już lepiej i pomogę kolegom rozbić obozowisko. Zaklinam was jeszcze raz, bądźcie ostrożni!

Zbierał się właśnie do odejścia, kiedy zobaczył coś, co sprawiło, że jego zasępiona twarz nagle się rozjaśniła.

— Spójrzcie! — zawołał, wskazując palcem.

Odwrócili się i ujrzeni, jak zza cypla wyłania się „La Belle Vue”.

— Dzięki Bogu! — wykrzyknął radośnie ornitolog. — Możemy teraz dać temu bucowi jego upragniony list do banku i pozbyć się go na dobre. — Równie szybko pohamował radość i spytał głosem nabrzmiałym powagą: — Naprawdę chcecie płynąć za nim?

Skinęli zgodnie głowami.

— Życzę wam dużo szczęścia.

\* \* \*

W godzinę po wschodzie słońca zawarkotał silnik na pokładzie „Jaloud”. Nie minęła minuta i „Manasa” odpowiedziała tym samym. Lascelles przez pół godziny trzymał silnik na jałowym biegu, sprawdzając najwyraźniej — co podejrzewał Cady — czy nowa uszczelka dobrze się spisuje.

W końcu Lascelles wyszedł na pokład i zaczął podnosić kotwicę. Na znak Ramesha Cady przystąpił bezzwłocznie do odkotwiczania.

„Jaloud” pierwszy wyciągnął kotwicę, wykonał zwrot i ruszył w kierunku „Manasy”. Ramesh myślał przez chwilę, że Lascelles próbuje ich staranować, ale „Jaloud” wykonał zwrot dziobem i przepłynął dziesięć metrów od rufy „Manasy”. Lascelles, który wciąż stał na przednim pokładzie, patrząc na Kirsty ryknął:

— No dobra, suko! Płyn za mną, jeśli ci życie nie miłe!

„Manasa”, biorąc kurs na północny wschód, podążała za Lascellesem. W tym czasie na pokładzie rufowym odbywała się narada wojenna, którą zaczął Cady, zwracając się do Ramesha:

— Nie jest moim zamiarem kwestionowanie twojej pozycji, ale mając nieco więcej niż ty doświadczenia w walce, pozwoliłem sobie opracować plan działania.

— „Nie jest moim zamiarem kwestionowanie...” Powiedz mi, Cady, jakim cudem poszukiwacz ropy naftowej nauczył się tak uczenie mówić?

— Z książek, mój drogi. — Cady uśmiechnął się, lecz zaraz spoważniał. — Informacja od ornitologa na temat stanu uzbrojenia Lascellesa jest ogromnie istotna. Bałem się, że może mieć na pokładzie karabin. W takim przypadku mógłby przycziąć się i przez

cały dzień strzelać do nas jak do kaczek. Może się jednak okazać, że ma karabin, chociaż osobiście bardzo w to wątpię: karabin jest zbyt długi, żeby dał się łatwo ukryć, a Lascelles znany jest jako szmugler i tutejsze władze celne mają na niego oko. Założmy więc, że ma tylko *Stena* i może z jeden, dwa pistolety. — Zamyślił się, marszcząc w skupieniu czoło. — Na jego miejscu podpłynąłbym jak najbliżej i naszpikował kulami cały kadłub na wysokości linii zanurzenia, czyniąc w ten sposób jacht niezdolnym do żeglugi. Mógłby też najpierw próbować zastrzelić sternika, a potem uszkodzić łódź. Tak czy inaczej Lascelles nie zamierza z pewnością pozostawić żywych świadków ani jakichkolwiek dowodów.

Obejrzał się na oddalającą się wyspę.

— Nie będzie nawet czekał na nadejście ciemności — woli widzieć to, co robi. Zaatakuj nas, jak tylko minimy linię horyzontu, za jakieś trzy godziny. Wiatr wieje w naszą stronę, a więc na Aldabrze nikt nic nie usłyszy. Zwróćcie uwagę, że nie wciągnął żagli, a przecież przy takim wietrze normalnie by tak postąpił.

Spojrzał na Ramesha i zaznaczył:

— Na pierwszą oznakę kłopotów stawaj przy sterze i chwytaj *Walthera*. Naszą ogromną przewagą jest element zaskoczenia: nie spodziewa się, że jesteśmy uzbrojeni. Jak tylko na nas ruszy, ustaw „Manasę” dziobem prosto do niego. — Wskazując na budkę sternika ciągnął: — Obstawimy ją zapasowymi kanistrami z wodą, będą hamować uderzenia kul, gdyby strzelali do sternika. Kirsty, zejdziesz z Lani pod pokład i schowacie się w kabinie rufowej. Trzymajcie się jak najbliżej grodzi maszynowni, tam będziecie bezpieczne.

— Nie mam zamiaru kryć się po kątach — odparła Kirsty twardo. — Chodzi o mojego syna.

Cady westchnął.

— Kirsty, mamy tylko dwie sztuki broni. Nie ma sensu wystawiać się na niebezpieczeństwo.

— Właśnie, że jest. Gdyby trafili któregoś z was, mogę stanąć za sterem albo nawet zacząć do nich strzelać. Nie sprzeczasz się, Cady, nie ruszę się z pokładu.

Otwierał już usta, ale Lani uprzedziła go.

— Ja też nigdzie nie idę. Weź pod uwagę, że obaj możecie zostać trafieni.

Patrzyły na niego z uporem, ani myśląc ustąpić. Po chwili zastanowienia Cady wzruszył z rezygnacją ramionami.

— No dobrze. Na razie przykucnijcie tam za kanistrami, a jak Lascelles zajdzie nas z boku albo od rufy, zejdzicie do saloniku.

— Ale właściwie do czego będziemy strzelać? — spytał Ramesh.

— Długo nad tym myślałam — przyznał Cady z westchnieniem. — Instynkt mi podpowiada, że najlepiej byłoby postrzelić obu drani. Ale jeśli ich zabijemy, stracimy szan-

sę na odnalezienie syna Kirsty. Trzeba więc będzie uszkodzić im jacht. Musimy mierzyć w kadłub na linii zanurzenia; idealnie byłoby, gdyby udało się nam ostrzelać rufę. Po-tem odpłyniemy i poczekamy. Nikt im nie pomoże, bo nie ma tu żadnych innych jed-nostek. Kiedy „Jaloud” zacznie tonąć, tylko na nas mogą liczyć. — Pobiegł spojrzeniem w stronę Kirsty. — Jak tym razem dostanę Lascellesa w swoje ręce, wyduszę z niego całą prawdę.

\* \* \*

Cady najwyraźniej czytał w myślach Lascellesa. W pół godziny po tym, jak Aldabra zniknęła za linią horyzontu, w chwili, gdy słońce stało niemal w zenicie, „Jaloud” płyną-cy sto metrów przed nimi wykonał raptowny zwrot przez rufę.

Byli na to przygotowani.

Cady wyjął ze skrzynki *Stena* i *Walthera*, Podawszy pistolet Rameshowi, syknął ci-cho:

— Trzymaj dziób skierowany na niego. Dziewczyny, schowajcie się!

Kirsty i Lani dały nura za piramidę z kanistrów.

Carlo trzymał ster. Lascelles stał pośrodku jachtu, chowając prawą rękę za udem. Miał uśmiech na twarzy.

— Ostrzegałem was! — krzyknął i podniósł prawą rękę.

Na widok broni Cady zrobił krok w kierunku relingu, uniósł *Stena* i, zanotowawszy jeszcze osłupienie na twarzy Lascellesa, otworzył ogień.

W chwilę później pluł sobie w brodę, że nie poświęcił jednego magazynka dla tre-ningu: *Sten* ściągał w prawo. Cady mierzył zbyt nisko i kule uderzyły z pluskiem w wo-dę dwa metry za rufą „Jalouda”. Lascelles momentalnie odpowiedział ogniem, ale szok, jakiego doznał, również nie pozostał bez wpływu na celność strzałów. Trafiał za nisko, ale kilka kul odbiło się rykoszetem od wody i uderzyło w kadłub „Manasy”. Pobiegł szybko do sterówki. Cady, wepchnąwszy dosłownie Kirsty i Lani do saloniku, macał ręką obramowanie kabiny szukając drugiego magazynka i krzyczał do Ramesha:

— Strzelaj! Celuj w kadłub na wysokości wody!

Oba jachty mijaly się szybko, płynąc niemal burta w burtę, oddzielone dwudziesto-metrowym pasem wody. Ramesh odsunął się od steru i uniósł pistolet.

Zapomniał wszystkiego, czego nauczył się na pierwszej, i jak na razie jedynej, lekcji. Nie pamiętał o przytrzymaniu drugą dłonią nadgarstka prawej ręki, zapomniał, że kur-ka nie należy szarpać, ale trzeba go lekko naciskać.

Pierwsza kula utkwiała w kadłubie poniżej masztu. Druga trafiła Carla odrzucając go od steru: zawadził nogą o wspornik i wrzeszcząc dziko wpadł do morza.

Lascelles momentalnie pokazał swoją tchórzliwą naturę: dał nura pod pokład, znika-jąc z pola widzenia.

Do czasu gdy Cady zdążył załadować drugi magazynek, „Jaloud” był już siedemdziesiąt metrów za nimi i oddalał się z prędkością dwunastu węzłów. Cady otworzył ogień. Stojący obok Ramesh, bardziej teraz panujący nad bronią, także zaczął strzelać. Kule wpadały w wodę za rufą uciekającego jachtu. Dobiegł ich odgłos trafienia, ale „Jaloud” płynął dalej z warkotem silnika.

— Zawracaj! — krzyknął Cady do Ramesha, ale Kirsty była szybsza. Stała już przy sterze i wykonywała skręt. Lani również była na pokładzie i podawała Cady’emu nowy magazynek.

Nie śpiesząc się, starannie załadował. Zanim „Manasa” wykonała pełny zwrot, „Jaloud” wysforował się już ćwierć mili do przodu i płynął szybko na zachód. Lascelles, przykucnięty za kołem sterowym, oglądał się nerwowo za siebie.

Cady zostawił Kirsty przy sterze i pobiegł z Rameshem na dziób. Ramesh zaczął mierzyć z pistoletu, ale Cady go powstrzymał.

— Oszczędzaj naboje, za duża odległość. Dościgniemy go.

W tym momencie usłyszeli krzyk. Popatrzyli w prawo i zobaczyli głowę Carla znikającą w wodzie i rozpaczliwie machające, osłabione ramię.

Stali bez ruchu, nie mogąc podjąć decyzji. Spojrzeli na Kirsty: widać było, że walczy ze sobą. Patrzyła to na szybko oddalającą się rufę „Jalouda”, to na tonącego. Nagle „Manasa” skrzyła dziobem w prawo i zwolniła. Cady i Ramesh położyli broń na pokładzie i zaczęli odwiązywać dinghy umocowaną za głównym masztem. „Manasa” dryfowała powoli w kierunku oddalonego o czterdzieści metrów tonącego, kiedy rozległ się wrzask. Lani krzyczała pokazując coś palcem.

Podnieśli głowy i ujrzeni czarny trójkąt płetwy krążący wokół Carla. W tym momencie Cady przypomniał sobie słowa Guya Savy’ego: „W tutejszych wodach pływa mnóstwo rekinów, ale nie atakują ludzi. Może zdarza się to przy dalszych wyspach, jak Aldabra”.

Na domiar złego Carlo na pewno krwawił.

Cady wyciągnął ostatnią linkę trzymającą dinghy i krzyknął nagłaco do Ramesha:

— Musimy ją przeciągnąć za rufę!

Dźwignęli łódź i spuścili przez reling. Plusnęła w wodę w tym samym momencie, gdy rozbrzmiał wrzask Carla.

Był teraz do połowy wynurzony z wody. Widzieli potężne, błyszczące zęby zaciskające mu się na nodze poniżej kolana. Rekin trząśł nim jak pies szamocący się z kością, po czym puścił ofiarę i zaczął znowu zataczać koła.

Cady, zastanawiając się później nad swoją decyzją, nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak właśnie postąpił.

— Biegnij na rufę! — krzyknął Cady do Ramesha, który rzucił się pośpiesznie w tył pokładu, trzymając w ręku linkę łodzi, sam zaś znalazł się w wodzie.

Nie przypominał sobie nawet momentu skoku. Dopłynął do Carla w tej samej chwili, co rekin. Wszystko działo się w błyskawicznym tempie. Krzyk Carla, dwa rzędy białych jak kość słoniowa sztyletów zamykające się na ramieniu ofiary, małe oczy rekina nie dalej jak pół metra od twarzy Cady'ego, pysk drapieżnika oddalony zaledwie o centymetry.

Cady jęknął ze strachu i wściekłości. Odepchnął się mocno nogami w wodzie, wybił się ponad powierzchnię i z całej siły rąbnął pięścią w pysk rekina.

Drapieżnik odskoczył i zaczął krążyć. Cady poczuł uderzenie dinghy o plecy i usłyszał krzyk wołających go kobiet. Obejmując jedną ręką Carla na wysokości klatki piersiowej, drugą zaczął macać za sobą. Strach dodał mu sił. Pochwyciwszy zaokrągloną burtę dinghy przerzucił Carla do środka.

Siła przeciwdziałająca wepchnęła go pod powierzchnię wody. Odwrócił głowę i w przezroczystej toni zobaczył oddalonego o jakieś siedem metrów rekina, który zawracał w jego stronę niczym złowieszcze ostrze kosy.

Kiedy wychynął na powierzchnię, wiedział już, że nie zdąży wyciągnąć na czas nóg z wody. Zacisnąwszy dłonie na gumowej krawędzi, wybił się jak mógł najmocniej i w tym samym momencie mignął mu nad głową jakiś niewyraźny kształt.

Zaraz potem Cady wylądował na jęczącym Carlu. Wykręcił głowę i ujrzał wijącego się rekina, który oddalał się w pianie wody. Przed płetwą ogonową tkwił chwiejący się, wbity pionowo harpun, który zniknął, kiedy rekin zanurzył się w głębinie.

Z góry dobiegł Cady'ego triumfalny okrzyk Ramesha.

W dziesięć minut po tym, jak wciągnęli Carla na pokład, silnik zakrzuszył się i zgasł. Jak na razie pościg się zakończył.

Cady, który siedział oparty plecami o sterówkę, nie podniósł nawet głowy. Obejmował ramionami kolana i wciąż się trząsł. Szok mijał bardzo powoli.

Lani klęczała przy nim trzymając go w mocnym uścisku i płakała z ulgą.

Ramesh i Kirsty zajmowali się Carlem, który leżał na rufie. Portugalczyk umierał.

Kula Ramesha trafiła go w brzuch. Lewe ramię i klatka piersiowa były jedną poszarpaną masą mięsa, z której wystawały kawałki kości. Ucięta poniżej kolana lewa noga wisiała tylko na ścięgnie. Z tętnicy chlustała na pokład krew; Ramesh zakładał mu opaskę pod pachwiną. Jego nierozłączna „Biblia” leżała otwarta tuż obok. Nie potrafił jednak nic zaradzić na rozharatane ramię i przebity kulą brzuch. Kirsty próbowała jedynie powstrzymać krwawienie, przykładając do ran płachtę płótna.

\* \* \*

Cady doszedł do siebie po dwudziestu minutach. Nie spojrzawszy nawet na Carla, od razu poszedł na dół sprawdzić silnik. Wrócił z informacją, że kula przebiła przewód biegnący od zbiornika paliwa i naprawa potrwa około godziny.

Był lodowato spokojny. Spojrzał w kierunku zachodnim: „Jaloud” majaczył już zaledwie słabym punkcikiem na linii horyzontu. Przeniósł uwagę na Carla. Założona przez Ramesha opaska uciskowa zmniejszyła potok krwi z kolana do wolno sączącej się strzyki. Płótno przyłożone do ramienia, klatki piersiowej i brzucha było czerwone od krwi.

Carlo był przytomny i miał oczy otwarte.

— Co mu dałeś? — spytał Ramesha.

— Jeden mililitr morfiny.

Cady zaklął w duchu.

— Zostawcie mnie z nim teraz — poprosił. — Podnieście żagle. — Głos miał zimny jak lód, twarz ściągniętą uporem. Oddalili się posłusznie i zaczęli wciągać żagle.

— Słyszysz mnie, Carlo?

Carlo skinął głową. Cady chwycił go za udo ponad opaską.

— Tylko to trzyma cię jeszcze przy życiu. Albo mi powiesz, gdzie jest syn Kirsty, albo zerwę opaskę. Zrobię to, możesz mi wierzyć.

Na ustach Carla pojawił się blade uśmiech. Zaczął mówić ledwo słyszalnym głosem:

— Pewnie... Najpierw skaczesz do wody i ratujesz mnie przed rekinem... a potem chcesz mnie zabić. — Pokręcił głową przeczącym gestem. — Nic z tego, Cady. Obaj wiemy, że i tak wykituję... Najbliższy lekarz jest o całe dni drogi stąd... a mnie zostały tylko minuty... Już po mnie. — Wykrzywił usta i wydusił: — Sukinsyn z tego Lascellesa... Nie mam wiele czasu... Wariat z ciebie... żeby mnie ratować... Słuchaj dobrze...

Cady zniżył głowę. Żagle zaczęły trzepotać, przybliżył się więc jeszcze bardziej. Wiatr wydał żagle i „Manasa” przechyliła się na bok. Carlo mówił przez około dziesięć minut, aż w końcu głos uwiązał mu w krtani. Wydał z siebie głośny charkot i umarł.

Cady przyglądał się zmarłemu, wreszcie zamknął mu powieki.

Podniósł się i rozejrzał: Ramesh stał za sterem, Lani i Kirsty na przednim pokładzie. Cała trójka wpatrywała się w niego. Widzieli jego zszokowaną minę. Zacisnął zęby i w jego oczach pojawił się wyraz determinacji.

— Kirsty — rzucił szybko, ruszając z miejsca — weź ster od Ramesha. Ramesh, pomożesz mi na dole. Musimy uruchomić silnik.

— O co chodzi? — spytał Ramesh, patrząc na ciało Carla.

— Wiem, gdzie jest Garret.

\* \* \*

Minęła godzina i silnik pracował z miarowym warkotem. Lani pilnowała steru, kierując jacht na zachód. Cady usiadł w saloniku naprzeciwko Kirsty, obok Kirsty siedział Ramesh obejmując ją ramieniem.

Cady wziął głęboki oddech i zaczął:

— Posłuchaj, Kirsty. W ubiegłym roku w Zanzibarze wybuchła rewolucja — dodam, że bardzo krwawa.

— Wiem, czytałam o tym.

— Wygląda na to, że Lascelles dostarczał rebeliantom broń. Ich przywódcą był niejaki Okello, który prawdopodobnie pochodzi z Ugandy. W czasie rewolucji i po jej zakończeniu kazał się tytułować „marszałkiem polnym”. W starym numerze „Time”, który znalazłem na Farquhar, był artykuł na jego temat. Wynika z niego, że całe szkolenie wojskowe pana „marszałka” to kilka miesięcy w policji kenijskiej, skąd wyrzucili go za podburzanie czy coś w tym rodzaju... W każdym razie po zwycięskiej rewolucji, która pochłonęła tysiące osób — wiele z nich torturował i zabijał osobiście Okello — Lascelles robił z nim jeszcze parę interesów. Zawięzała się między nimi jakby nic przyjaźni.



Oczy Kirsty błyszczały niecierpliwością. Cady zaczerpnął powietrza i ciągnął dalej:  
— Chodzi o to, że Okello urodził się z bardzo rzadką grupą krwi. Carlo nie pamiętał zbyt dokładnie jaką, według niego było to coś jak zero erka minus...

— Zero Rh minus — poprawiła Kirsty z pobladłą twarzą.

— Właśnie. Garret ma taką samą?

Kirsty pokręciła głową.

— Nie, Garret ma Zero Rh minus KK. — Zaciśnęła dłonie, aż pobiełały jej knykcie.  
— Ale jest doskonałym dawcą dla osoby z grupą Zero Rh minus, która przeszła wiele transfuzji i rozwinęła w sobie przeciwciała. Taki dawca trafia się niezmiernie rzadko, raz na milion osób. Wiem, bo Garret oddawał krew...

Na twarzy Cady'ego malowało się zmieszanie.

— Okello miał krew przetaczaną wielokrotnie. Cierpi na chorobę o nazwie niedokrwistość sierpowata, która wymaga ciągłych transfuzji. Lascelles wiedział o tym, kiedy więc zauważył na szyi Garreta tabliczkę z jego grupą krwi, wywiózł go do Zanzibaru i sprzedał Okellowi za dziesięć tysięcy dolarów.

— Dobry Boże! — Kirsty zakryła twarz dłońmi. Wymamrotała niewyraźnie: — Piją z niego krew jak wampiry.

— Ale to również znaczy, że Okello dba o jego zdrowie. Nie zabija się kury znoszącej złote jajka.

Odsłoniła twarz. W jej oczach dojrzał łzy. Ramesh włączył się pośpiesznie do rozmowy:

— Najważniejsze, że Garret żyje! Miałaś rację, Kirsty! Teraz musimy go uwolnić.

Siedzący naprzeciwko niego Cady zasepił się.

— To nie będzie takie łatwe. — Kirsty zmierzyła go ostrym spojrzeniem. — Poczekaj, Kirsty, musisz poznać całą sytuację.

A sytuacja — jak wyjaśniał Cady — była rzeczywiście złożona. Rewolucja wciąż się toczyła, a wraz z nią trwały czystki pochłaniające ofiary w ludziach. Przed kilkoma miesiącami Tanganika i Zanzibar ogłosiły połączenie w jedną republikę o nazwie Tanzania, jak na razie jednak była to decyzja wyłącznie na papierze. Prezydent Nyerere próbował skłonić Okella do złagodzenia polityki, ale nie miał żadnej władzy na wyspie i Okello robił, co chciał. Wyspa Zanzibar jest jednym wielkim obozem wojskowym. Chodzą też słuchy, że przebywają tam również Kubańcy i Chińczycy, którzy szkolą miejscową milicję. Wydostanie stamtąd Garreta nie będzie sprawą prostą.

Cady nieubłaganie ciągnął dalej:

— Nie zapominajmy o Lascellesie. Na pewno widział, jak wyciągamy Carla z wody — nie wie, czy jego kompan żyje, ale będzie wolał przygotować się na najgorsze. Teraz pruje już pewnie w kierunku Zanzibaru, żeby ostrzec Okella.

— Boże! — jęknęła Kirsty. — Zabiją Garreta!

Cady pokręcił głową.

— Niekoniecznie. Wszystko zależy od tego, jak bardzo Okello potrzebuje jego krwi. Ale jest jasne jak słońce, że podejmą środki bezpieczeństwa.

— Musimy więc złapać Lascellesa — powiedział Ramesh z naciskiem.

— Ale to stawia nas przed dylematem — zachmurzył się Cady. — „Jaloud” zmienił już na pewno kurs. Do Zanzibaru jest jakieś sześćset mil i Lascelles dobrze wie, że na takim dystansie dojdziemy go bez trudu, choćby jutro. Myślę, że będzie chciał wyprowadzić nas w pole robiąc wielką pętlę. Pytanie tylko, czy popłynie na północ, czy na południe? Pozostanie nam rzucać monetę... Poza tym nie mamy radaru. To ogromny ocean, Ramesh. Marynarki wojenne wysyłają całe floty w poszukiwaniu pojedynczej jednostki, które wracają bez rezultatu. Szansa na to, że znajdziemy Lascellesa, równa się jeden do miliona.

— To co robimy?

Cady spojrzął na Kirsty.

— Są dwie możliwości. Biorąc pod uwagę odległość i to, że Lascelles będzie nadkładał drogi, powinniśmy zjawić się na Zanzibarze dzień lub dwa przed nim. Spróbujemy coś wymyślić, zanim Okello zostanie ostrzeżony. — Wzruszył ramionami. — Albo rzucajemy monetą i decydujemy się szukać igły w stogu siana.

Odpowiedziała mu cisza. Ramesh miał ponurą minę. Cady spoglądał na Kirsty, która siedziała ze wzrokiem wbitym w pokryty werniksem blat stołu.

— Howard Godfrey — odezwała się nagle.

— Kto?

Podniosła głowę.

— Amerykański konsul w Dar es-Salaam. Stamtąd bardzo już blisko na Zanzibar.

— Około dwudziestu mil — przytaknął Cady.

— Możemy tam dotrzeć przynajmniej o dzień wcześniej niż Lascelles na Zanzibar.

— Bez wątpienia.

Podjęła decyzję.

— A więc dobrze, płyniemy prosto do Dar es-Salaam. Howard będzie wiedział, co robić. Garret jest obywatelem amerykańskim, mój rząd musi go stamtąd wydostać!

Cady zerknął na Ramesha. Ten wyjaśnił:

— Rzecz w tym, Kirsty, że Okello nie przyzna się do więzienia Garreta. A nie wiem, jakie wpływy na Zanzibarze ma rząd amerykański.

— Howard jest moim dobrym przyjacielem, a Ameryka to potężny kraj. Howard na pewno coś wymyśli. — Dodała pośpiesznie: — Zresztą, jaką mamy inną możliwość? Możemy ruszać na poszukiwanie Lascellesa albo prosto na Zanzibar i błagać tego zwierzaka: „Szanowny panie marszałku polny, proszę oddać mi syna”.

Błyskawicznie odzyskała energię i pewność siebie.

— Jeżeli tylko zdołamy dotrzeć do Dar es-Salaam przed przybyciem Lascellesa na Zanzibar, to jestem pewna, że Howard znajdzie jakieś wyjście.

Brzmiało to logicznie, a inne możliwości rysowały się nader niepewnie. Ramesh wstał z miejsca i spytał Cady'ego ożywionym tonem:

— Jak szybko możemy płynąć bez obawy o awarię silnika?

Cady gwizdnął przez zęby.

— Twój poczciwy Perkins może pracować na pełnych obrotach. Jack naprawdę odwalił kawał dobrej roboty. Zaszycę się w maszynowni z puszką oleju i kluczem, i będę go przez całą drogę niańczył.

— Dobrze. — W głosie Ramesha brzmiał stanowczy ton. — O ile pamiętam, w schowku w kubryku jest stary sztaksel. Wciągniemy go. Przy bocznym wietrze może okazać się pomocny — niewiele, ale zawsze.

Cady oparł się rękami o stół i wstał. Po przeżytych szoku nie odzyskał jeszcze w pełni sił. Uśmiechnął się do Ramesha.

— Dobra, kapitanie, zapalaj silnik, ja pójdę do maszynowni sprawdzić, jak on się spisuje.

Ruszyli się od stołu. Kirsty i Ramesh skierowali się na schody wiodące na pokład, Cady zmierzał do maszynowni. Wtem Ramesh się zatrzymał.

— Co zrobimy z ciałem?

Cady nie zastanawiał się ani chwili.

— Wyrzucimy za burtę. Możesz odmówić pacierz za spokój jego duszy, ale nie zapomnij, że wspólnie z Lascellesem sprzedał Garreta temu wampirowi i że próbował nas zabić. — Spojrzał pytająco na Kirsty; kiwnęła głową. — Mam się tym zająć?

Ramesh pokręcił głową z uśmiechem na ustach.

— Nie, to obowiązek kapitana. A wracając do twojego wyczynu, w życiu nie słyszałem, żeby ktoś zachował się tak jak ty.

— To prawda — włączyła się Kirsty. — Gdyby nie to, nie dowiedzielibyśmy się gdzie jest Garret, ani jak tam trafił.

Cady oblał się rumieńcem. Zażenowany, spuścił wzrok i zaczął mamrotać pod nosem:

— Cholera! Nawet nie pomyślałem! Ale ze mnie dureń... — Podniósł głowę i, patrząc Rameshowi w oczy, powiedział: — Uratowałeś moją skórę. Nie chciałbym dostać od ciebie harpunem. Od dzisiaj będę mówił na ciebie „kapitan Ahab”

Roześmiali się obaj.

— Coś ci powiem, Cady. Jak na chłopaka od nafty jesteś stanowczo zbyt dobrze wykształcony.

Był to bez wątpienia najgorszy moment w życiu Howarda Godfrey'a. Zwłaszcza że kontrastował tak ostro z nastrojem euforii sprzed dziesięciu minut, gdy Kirsty przebiegła obok sekretarki i wpadła do jego pokoju krzycząc z daleka: — Howard! Wiem, gdzie jest Garret!

Przedstawiwszy pośpiesznie Ramesha i Cady'ego, zaczęła opowiadać. Kiedy doszła w swojej relacji do Zanzibaru i Okella, doznał w żołądku uczucia, jakie chwyta człowieka, gdy samolot zbyt gwałtownie zaczyna schodzić w dół. Skończyła i przechylona w jego stronę przypatrywała mu się z napięciem.

Powolnym ruchem, nie przestając intensywnie myśleć, sięgnął po telefon i rzucił do słuchawki:

— Daj mi ambasadora — to pilne!

Czekając na połączenie, wpatrywał się w pełną napięcia twarz kobiety.

— Witaj, Frank — zaczął szybko mówić. — Dowiedziałem się właśnie, że jeden z naszych obywateli jest przetrzymywany na Zanzibarze przez samego Okella. Tak, kilka miesięcy. Niesamowita sprawa — i nie cierpiąca zwłoki. Moglibyśmy się zaraz spotkać? Tak, jest u mnie matka i dwoje przyjaciół... Świetnie. Możemy też poprosić Richardsa i Murphy'ego? Dobrze. — Wcisnął guzik na konsoli telefonicznej i po chwili powiedział: — Proszę poprosić panów Richardsa i Murphy'ego o pilne przyście do sali konferencyjnej.

Odłożył słuchawkę, odetchnął głęboko i zwrócił się do Kirsty:

— To rzeczywiście niezwykle i zakrawające na cud, że Garret żyje — i że wiesz, gdzie przebywa. Jestem ci winien przeprosiny za swój sceptycyzm... Muszę jednak przyznać, że trafił chyba w najgorsze z możliwych miejsc.

Chciała coś powiedzieć, ale przerwał jej podniesieniem ręki.

— Poczekaj. Za moment spotkamy się z ambasadorem oraz z naszym byłym konsulem na Zanzibarze i Murphym, który jest... No, pełni nieoficjalną rolę.

— To znaczy z CIA? — wtrącił Cady.

— Pozostańmy przy tym, co powiedziałem. No więc zbierzemy się wszyscy i może wspólnie prędzej coś wymyślimy... Chociaż nie będzie to łatwe; a dlaczego, o tym dowiesz się na spotkaniu.

W porównaniu z Kirsty, która sprawiała wrażenie zupełnie wyczerpanej, reszta przyjaciół wyglądała dosyć świeżo.

— Śpieszyliście się chyba? — domyślił się Howard.

Ramesh przytaknął.

— Dziennie przemierzaliśmy średnio prawie dwieście mil — z włączonym silnikiem i pod żaglami. My jakoś się trzymamy, ale Kirsty mało spała.

Kirsty przerwała mu niecierpliwym tonem:

— Wyśpię się, kiedy Garret będzie bezpieczny. Howard, nie mamy dużo czasu. Możliwe, że wyprzedziliśmy Lascellesa zaledwie o kilka godzin.

— Słusznie. Chodźmy.

\* \* \*

Siedzieli wokół dużego stołu konferencyjnego. W rogu sali wisiała zamocowana na wysokim drzewcu flaga amerykańska. Obok niej na ścianie znajdowało się duże kolorowe zdjęcie uśmiechniętego prezydenta Johnsona.

Kirsty po raz kolejny opowiedziała całą historię. Ambasador i Richards słuchali w milczeniu, tylko Murphy — rudzielec potężnej postury — przerywał od czasu do czasu, żeby dowiedzieć się czegoś dokładniej. Na wzmiankę Kirsty, że Okello ma rzadko spotykaną grupę krwi i cierpi na schorzenie wymagające częstych transfuzji, Murphy kiwnął potakująco głową.

Kirsty skończyła i czekała, nie spuszczać wzroku z ambasadora. Był to wysoki, niezmiernie chudy mężczyzna, o przeredzonych czarnych włosach, starannie zaczesanych na łysiejącej głowie. Patrzył teraz pytająco na Howarda.

— Powiedz, czy to, co usłyszałem, to nie jakaś bajka?

— Chwileczkę! — rzucił gniewnie Ramesh, ale ambasador powstrzymał go ruchem ręki.

— No więc słucham, Howard! — nalegał, nie odrywając oczu od konsula.

Howard westchnął.

— Frank, to prawda. Lascelles doniósł o zaginięciu Garreta w dniu trzynastym lutego. W tym czasie byłeś w Arusha...

— Rzeczywiście, przypominam sobie ten raport.

— I jeszcze jedno — włączył się Murphy. — Dochodziły do nas pogłoski, że Okello cierpi na jakąś rzadko występującą chorobę. Myśleliśmy wtedy, że nasi informatrzy snują jedynie pobożne życzenia co do stanu zdrowia Okella, ale dzisiejsza opowieść w pełni potwierdza ich wersję.

— Ten człowiek to szaleniec — mruknął Richards.

— No więc? — nalegała Kirsty, patrząc na ambasadora. — Co zamierza pan zrobić?

Ambasador zmarszczył czoło w zamyśleniu. Zagryzł usta i zerknął na Howarda, potem na Murphy'ego. Wreszcie przemówił:

— Pani Haywood, czy zechce pani poczekać kilka minut na zewnątrz z przyjaciółmi?

— Nie mamy dużo czasu! — wybuchnęła Kirsty.

— Wiem — odparł uspokajająco ambasador. — To nie potrwa długo. Bardzo proszę.

Czekali dwadzieścia minut. Kirsty szalała z niecierpliwości. Siedzieli w poczekalni i słyszeli dobiegające co jakiś czas zza zamkniętych drzwi sali narad stłumione gniewne głosy.

Kiedy Howard otworzył drzwi i poprosił ich do środka, miał wciąż zdenerwowaną minę.

Kirsty usiadła pełna niedobrych przeczuć. Ambasador bez żadnych wstępów powiedział:

— Pani Haywood, obecna sytuacja na Zanzibarze przedstawia się następująco: prezydent Nyerere z Tanganiki, polityk rozsądny i umiarkowany, jest od czasu tak zwanej „unii” również nominalnym prezydentem Zanzibaru. Nie ma jednak zupełnie żadnej władzy ani kontroli nad tym, co tam się dzieje. Wyspa jest rządzona, jeśli można w ogóle mówić o rządzeniu, przez Radę Rewolucyjną, na której czele stoi Abdul Karume. Karume jest dość umiarkowany, ale i on nie ma żadnej władzy. „Marszałek polny” Okello, najwyraźniej człowiek znikąd, jest ministrem obrony i dowódcą sił zbrojnych. Pełnia faktycznej władzy pozostaje w jego rękach, chociaż może to się w niedalekiej przyszłości zmienić. Karume i pozostali członkowie Rady Rewolucyjnej czynią zabiegi o usunięcie go z tych stanowisk, ale robią to nad wyraz ostrożnie. Okello to szczywany lis i sadysta, więc boją się o swoje życie, jak wszyscy zresztą mieszkańcy wyspy.

Upił łyk wody ze stojącej przed nim szklanki.

— W normalnych warunkach, jeśli obywatel amerykański zostaje zatrzymany bez racjonalnego uzasadnienia w obcym kraju, składamy protest na ręce danego rządu i domagamy się natychmiastowego uwolnienia. Jeżeli nasze żądania pozostają bez echa, stosujemy środki nacisku: sankcje ekonomiczne, lub — co zdarza się nieczęsto — interwencję militarną. Ale w tym przypadku żadne z tych rozwiązań nie może być brane pod uwagę. Od czasu rewolucji nie utrzymujemy z Zanzibarem żadnych stosunków gospodarczych, a jedyne kraje trzecie, które mogłyby mieć tam jakiegokolwiek wpływy, to kraje komunistyczne; wątpliwe, by dali choćby wiarę tej historii, nie mówiąc już o zajęciu życzliwego stanowiska. Akcja zbrojna jest absolutnie wykluczona. Nawet gdyby ją poważnie rozważać, to najbliższe amerykańskie oddziały wojskowe stacjonują tysiące kilometrów stąd.

W miarę jak mówił, Kirsty pochmurniała coraz bardziej.

— No to co zrobimy? — zaniepokoiła się.

Ambasador ciężko westchnął i rozejrzał się po obecnych.

— Postanowiłem, że udam się osobiście do prezydenta Nyerere.

— Mówił pan, że Nyerere nie sprawuje tam żadnej kontroli.

— Ale ma pewne wpływy, przynajmniej jeśli chodzi o Karume. Rzecz w tym, że gdybyśmy nawet chcieli złożyć protest w Radzie Rewolucyjnej, musielibyśmy skorzystać z pośrednictwa Brytyjczyków, którzy reprezentują tam nasze interesy.

— Nie mamy na Zanzibarze naprawdę nikogo? — spytała Kirsty z niedowierzaniem.

Ambasador zmieszał się.

— Niestety. W kilka dni po tym, jak sułtan został obalony, otrzymałem instrukcje z Departamentu Stanu nakazujące podejmowanie wszelkich możliwych kroków dla nawiązania przyjacielskich stosunków z nowymi władzami. Dysponujemy bardzo kosztowną stacją łączności satelitarnej — to istotne ogniwo naszego programu kosmicznego. Za pośrednictwem satelity zadzwoniłem do Richardsa i... Hm, w trakcie rozmowy posłużyliśmy się niefortunnym zwrotem... Richards orzekł, że konsul jest zbyt niskim przedstawicielem, żeby wywrzeć wrażenie na tamtejszych władzach. Odparłem, żeby nie zwlekał z rozpoczęciem procesu normalizacji stosunków, a ja jak najszybciej podeślę mu parę dział większego kalibru. Ludzie Okella podsłuchiwali naszą rozmowę i opacznie pojęli moje słowa. Okello natychmiast zerwał wszelkie stosunki i wydalili Richardsa wraz ze wszystkimi obywatelami amerykańskimi.

Zapadła cisza. Cady nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

— Przepraszam cię, Kirsty, ale to brzmi jak kiepski dowcip!

Kirsty zdawała się go nie słyszeć. Zbierało się jej na płacz.

— A ty co myślisz? — zwróciła się do Howarda. Rozłożył ręce gestem bezradności.

— Sytuacja jest fatalna. To, że fakt uwięzienia Garreta jest utrzymywany w tajemnicy, utrudnia ją jeszcze bardziej.

Spojrzała na Murphy'ego. Siedział zgarbiony, bębniąc rytmicznie palcami po blacie stołu. Obok ręki leżał notatnik pokryty kreskami i strzałkami, jakby coś przed chwilą rysował. Wróciła spojrzeniem do ambasadora.

— To jedyne, co możemy zrobić, pani Haywood — podkreślił ambasador.

Ramesh, który do tej pory milczał, włączył się niespodziewanie do rozmowy:

— Kiedy czekaliśmy za drzwiami, dochodziły do nas odgłosy sprzeczki. Czy możemy się dowiedzieć, jakie były inne propozycje?

Ambasador rzucił na niego niezbyt przychylnie spojrzenie.

— Oczywiście, zastanawialiśmy się nad różnymi możliwościami i były między nami, naturalnie, różnice w opiniach. Na ich podstawie podjąłem ostateczną decyzję.

— Co to za opinie?

Ambasador miał niewyraźną minę.

— Nie sędzę, żeby to było stosowne... — zaczął się plątać. — Jak powiedziałem, poruzyliśmy wszystkie istotne kwestie... — Nie skończył jednak, bo Kirsty wybuchnęła:

— Tam jest mój syn! — krzyczała. — Ten drań ciągnie z niego krew jak jakiś wampir, a pan mi tu mówi o stosowności!

Ambasador wyraźnie się obruszył. Kirsty obiegnęła wzrokiem pozostałych Amerykanów szukając u nich pomocy. Richards wpatrywał się intensywnie w blat stołu, Murphy i Howard patrzyli prosto na nią. Murphy kiwał niemal niedostrzegalnie głową.

Howard przemówił z naciskiem do ambasadora:

— Frank, pani Haywood ma rację.

— Do diabła! — Zmierzyła ambasadora pełnym wściekłości spojrzeniem. — Jasne, że mam rację!

Ambasador wziął głęboki oddech i westchnął.

— No dobrze — zaczął. — Obecny tu pan Murphy zaproponował akcję ratunkową. Domyśla się, gdzie Okello może przetrzymywać pani syna. Po pewnej dyskusji zmuszony byłem wyrazić swój sprzeciw.

— Dlaczego?

— Pani Haywood — powiedział z westchnieniem. — Wiem, że będę wyglądał w pani oczach na człowieka pozbawionego uczuć, musi pani jednak pamiętać, że moim zadaniem jest utrzymywanie dobrych stosunków z tym krajem. Nie jest to proste, ale tymi problemami nie będę pani zanudzał. Co zaś do planu Murphy'ego, to musiałby użyć do akcji swoich ludzi — samych Amerykanów, bo w tym rejonie nie ma w ogóle najemników. Nic dziwnego, nie cieszą się tutaj popularnością... Pan Murphy ma trzech... hm, powiedzmy, współpracowników. Jego plan zakładałby ściągnięcie dzisiaj drogą powietrzną jeszcze czterech, pięciu ludzi z Kenii i Ugandy. Szkopuł w tym, że ryzyko jest zbyt duże. Gdyby zabito — lub, co gorsza, pochwycono — choć jednego Amerykanina, w całej Afryce Wschodniej podniósłby się ogromny krzyk. Już to sobie wyobrażam: „Stany Zjednoczone znowu mieszają się do wewnętrznych spraw innych krajów”. Mogliby też dojść do wniosku, że chcemy zamordować ich nowych przywódców, a ci to w większości komuniści — jeśli w ogóle reprezentują jakąś opcję polityczną. To cofnęłoby nasze stosunki o całe dziesięciolecie.

Kirsty krzyknęła zapalczywie:

— A życie mojego syna, życie amerykańskiego obywatela, nie ma żadnego znaczenia?

— Przykro mi, pani Haywood, ale nie mamy nawet dowodu, że pani syn istotnie żyje — polegamy na słowach umierającego kryminalisty.

Aluzja zawarta w tych słowach sprawiła, że Kirsty kompletnie zamurowało. Ale Cady nie zapomniał języka w gębie. Z ironią w głosie zaczął mówić do ambasadora:



— Czyli co, pójdzie pan, ściskając czapkę w rękę, do Nyerere i powie: „Panie prezydencie, pan Okello więzi jednego z naszych obywateli, traktując go jak bank krwi. Proszę dać mu po łapie i kazać wypuścić przetrzymywanego”. — Prychnął pogardliwie. — Okello od wielu miesięcy morduje ludzi. Nyerere mógł tysiąc razy wysłać tam swoją armię — giną przecież Afrykańczycy, wśród nich mieszkańcy Tanganiki. Ale nie zrobił nic dla ratowania swoich obywateli. Myśli pan, że ruszy się z miejsca, żeby uratować jakiegoś Amerykanina?

Ambasador nie zareagował na to jednym słowem, ale jego twarz wyrażała absolutne zdecydowanie. Nieoczekiwanie odezwał się Ramesh:

— Może pan zabronić panu Murphy’emu zorganizowania akcji ratunkowej, ale nas pan nie powstrzyma. I mamy z czego strzelać. — Spojrzał na Cady’ego, który przytaknął energicznie.

— Wybijcie to sobie z głowy — próbował spokojnie perswadować Murphy. — Jest was tylko dwóch. Mój plan zakładał posłużenie się ośmioma, doskonale wyszkolonymi, mężczyznami. To minimum.

— Jest nas czworo — podchwyciła Kirsty z ożywieniem w oczach.

— Kto jest czwartą osobą?

— Chinka, została na jachcie. Nie mogła zejść na ląd, bo nie ma żadnych dokumentów.

Murphy pokręcił głową z niedowierzaniem zmieszonym z podziwem.

— Proszę wybaczyć, pani Haywood. Podziwiam waszą odwagę, ale, dobry Boże, nie chcecie chyba porwać się z motyką na słońce! Dwóch mężczyzn, w tym jeden w średnim wieku, i dwie kobiety! Na wyspę, gdzie roi się od uzbrojonych facetów! Nie są zbyt dobrze wyszkoleni, ale mają broń — i strzelają bez zastanowienia. Mój plan był ryzykowny, a zakładałem w nim przecież użycie doskonale wyćwiczonej grupy.

— Rzeczywiście domyśla się pan, gdzie Okello więzi Garreta? — nie ustępował Cady.

Murphy zerknął na ambasadora, który miał minę zupełnie ogłupiałego takim rozwojem wydarzeń. Powrócił wzrokiem do Cady’ego.

— Oczywiście — potwierdził. — Jeżeli jest na wyspie, to wiem gdzie.

— No więc gdzie? — naciskał Cady.

— Chwileczkę — przerwał ostro ambasador. — To istne szaleństwo, nie wyjdziecie z tego żywi!

— To nasza decyzja — odparła oschle Kirsty. — Nie mogę wypowiadać się za innych, ale jeśli chodzi o mnie, gotowa jestem tysiąc razy ryzykować życie dla uratowania Garreta.

Obrzuciła spojrzeniem Howarda. Konsul popatrzył na nią z uwagą i przemówił do ambasadora:

— Mają prawo spróbować. Murphy mógłby im służyć radą, może nawet wspomóc nie oznakowanym sprzętem. Jeżeli nie wyruszą do wieczora, to może być za późno. Odłóż do rana spotkanie z prezydentem Nyerere.

Murphy nie przestawał mrużyć pod nosem:

— Istne szaleństwo, jesteście naprawdę szaleni.

Ambasador namyślał się chwilę marszcząc czoło. Na koniec skinął głową i podniósł się.

— Niech wam będzie, ale ja nie biorę w tym żadnego udziału. Murphy, jakkolwiek zamierzasz im pomóc, musi to być na zasadzie czysto osobistej. Dobrze mnie posłuchaj: ani tobie, ani nikomu z twoich ludzi nie wolno postawić stopy na Zanzibarze ani pojawić się na wodach terytorialnych wyspy. — Odwrócił się do Kirsty i powiedział łagodniejszym tonem: — Pani Haywood, ogromnie żałuję, że z uwagi na obecne okoliczności nie mogę działać bardziej zdecydowanie. Cokolwiek się wydarzy, jutro z samego rana będę widział się z prezydentem. Pragnę panią zapewnić, że zajmę jak najbardziej twarde stanowisko. Osobiście jestem z nim w dość dobrych stosunkach i będę wywierał możliwie najsilniejszy nacisk.

Skinęła obojętnie głową. Ambasador obrzucił Murphy'ego jeszcze jednym ostrym spojrzeniem i wyszedł.

— Jaką macie broń? — spytał Murphy, nie kryjąc swoich wątpliwości.

— Starego *Stena* i pistolet *Walther P1*. Murphy westchnął.

— Trudno mówić o wielkiej sile rażenia. — Rzucił okiem na zegarek i odwrócił się do Howarda. — Nikomu ani słowa, jasne?

— Jasne! — powtórzył Howard.

— Dobrze. Dochodzi dopiero południe, mamy więc trochę czasu. — Chwycił słuchawkę, włączył przycisk i w chwilę potem mówił: — Ray, przynieś mi teczkę dotyczącą Okella i odpowiednie mapy.

Odłożył słuchawkę i, rzuciwszy jeszcze raz porozumiewawcze spojrzenie na Howarda, wyjaśnił:

— Prawda jest taka, że planowaliśmy wyeliminowanie pana „marszałka polnego”. Okello przemienił wyspę w gniazdo komuchów — całymi chmurami ściągają tam ci cholerni Kubańczycy i Chińczycy. — Skrzywił się. — Ale ten plan został także odrzucony. Tyle że pozostały po nim wstępne opracowania, które powinny wam teraz pomóc. Chociaż w dalszym ciągu twierdzą, że trzeba być wariatem, żeby się na coś takiego ważyć. — Zaczął mówić z ożywieniem. — Spróbujemy jednak dać wam jeden procent szansy. Zaopatrzę was w *Steny Mk-6*. — Uśmiechnął się. — Brytyjczycy zostawili je armii tanganikijskiej i część dziwnym trafem pojawiła się nagle na czarnym rynku. Są wyposażone w bardzo skuteczne tłumiki. A gdyby przyszło wam je porzucić, podejście padnie na armię tanganikijską. Później zaprowadzę was do jednego takiego

miejsca, gdzie będziecie mogli poćwiczyć strzelanie. Załatwię wam także trochę granatów z tego samego źródła. Mogę was zapewnić, że tutejsi chłopcy nie przepadają za zbyt wielkim hałasem. Kiedy w ubiegłym roku armia wszczęła bunt, Nyerere wezwał na pomoc Brytyjczyków. Ci wysłali jeden helikopter, który przeleciał nad centralnymi koszarami i wyrzucił kilka petard. W parę minut pięciotysięczna grupa buntowników rzuciła broń i uciekła do buszu — i było po buncie. Granaty mogą się wam przydać do wydostania się stamtąd.

Rozległo się pukanie i zaraz potem w uchylonych drzwiach ukazał się dobiegający trzydziestki mężczyzna, ubrany w koszulę z zapinanym kołnierzykiem. Spojrzał na obecnych z zaciekawionym wzrokiem.

Murphy przedstawił go krótko jako „Raya”. Nie minęło pięć minut, a wszyscy pochylali się nad przyniesionymi mapami i fotografiami. Na bardzo szczegółowej mapie Zanzibaru Murphy pokazał palcem punkt na południowo-zachodnim wybrzeżu wyspy i oznajmił:

— W tym miejscu znajduje się willa w stylu mauretańskim, która kiedyś należała do krewnego sułtana, ale później została przejęta przez Okella. Położona jest w dość odludnej okolicy, co stanowi rzadkość na gęsto zaludnionym Zanzibarze. Okello przyjeżdża tam tylko dwa razy w miesiącu. Pokonuje w środę wieczorem sześćdziesięciokilometrową trasę z miasta Zanzibar, spędza w willi noc i rano wraca. Myśleliśmy pierwotnie, że ma tam kobietę; pojawia się z dokładnością zegarka. Willi strzeże przez okrągłą dobę dziesięciu tak zwanych milicjantów, ale według naszych informacji strażnicy nie przykładają się specjalnie do swoich obowiązków. Spojrzał na Kirsty.

— Nie trzymałby przecież pani syna w więzieniu, gdzie z powodu koloru skóry od razu by się rzucał w oczy. Ukryłby go raczej w takim właśnie zacisznym miejscu — może przetrzymuje tam jeszcze kogoś.

Kirsty kiwnęła głową, zatopiona w myślach.

— To brzmi logicznie, i co dwa tygodnie może zabierać Garretowi litr krwi bez obawy o jego zdrowie.

Cady, zajęty dotąd studiowaniem mapy, wtrącił się do rozmowy:

— Dostanie się tam nie powinno sprawić nam zbyt wiele trudności — willa stoi na samym wybrzeżu. Dopłyniemy „Manasą”, zatrzymamy się kilometr od brzegu, a resztę drogi odbędziemy pontonem.

Ale Murphy potrząsnął ze smutkiem głową.

— To niewykonalne. Dlatego właśnie mój plan zakładał użycie co najmniej ośmiu osób. — Przysunął mapę do Cady’ego i pokazał palcem: — Willa została wzniesiona na samym szczycie stromego skalnego urwiska wysokiego na sześćdziesiąt metrów. Od dołu, na jakieś piętnaście metrów w górę, wznoszą się postrzępione skały. Urwisko rozciąga się mniej więcej na kilometr z każdej strony willi. Oczywiście, doświadczeni ko-

mandosi mogliby dać radę, ale swoim ludziom nie kazałbym próbować. Wy nie macie nawet o czym marzyć.

Cady'emu wydłużyła się mina.

— Więc co pan planował?

Murphy wskazał kolejny punkt na mapie.

— Proszę spojrzeć, dwa i pół kilometra na północ od wioski Jembiani jest mała plaża. Tam zamierzałem wylądować. — Przesunął palcem po mapie. — Stamtąd do willi są około cztery kilometry. W tym miejscu musicie obejść posterunek wojskowy. Samo dostanie się do willi nie powinno nastręczać trudności, ale droga powrotna do łodzi to już prawdziwy horror. Na pierwsze odgłosy strzelaniny z koszarów wysypią się milicjanci; jakieś cztery kilometry na północ od willi znajdują się jeszcze jedne koszary. W ciągu paru minut cały teren będzie się roił od ludzi Okella.

— To jak się pan chciał wydostać?

Murphy przesunął palec na mapie na centralną część wyspy.

— Zamierzałem odwrócić ich uwagę umieszczając tu, na plantacji goździków, całą serię bomb zegarowych, które wybuchą w różnych odstępach czasu na linii wiodącej w głąb wyspy. Do tego wystrzelilibym parę rakiet i tym podobne. Trzech ludzi miało osłaniać nasz odwrót na odcinku między koszarami i brzegiem, jeden miał pilnować plaży, a czterech stanowiłoby grupę uderzeniową. — Podniósł wzrok na Cady'ego. — Widzi pan teraz, w czym tkwi wasz problem? Nawet gdyby liczyć obie kobiety, i tak brakuje wam czterech osób.

Cady wpatrywał się długo w mapę. Przy brzegu ciągnęła się rafa długości czterech kilometrów, poprzecinana kilkoma szerokimi kanałami.

— Jaki wiatr przeważa o tej porze roku? — spytał.

— Południowo-wschodni.

Cady nagle się uśmiechnął. Kirsty i Ramesh patrzyli na niego w napięciu.

— Masz jakiś pomysł? — zapytała Kirsty.

Skinął głową i wskazał na jedną ze szczelin w rafie.

— Wpłyniemy „Manasą” w tę szczelinę i będziemy dokładnie na północ od Jembiani. Potem popłyniemy wewnątrz rafy, aż znajdziemy się na wprost plaży. Pozostanie nam do pokonania dzielące nas jeszcze od brzegu jakieś pół mili. Powiosłuję z Rameshem dinghy, a ty z Lani cofniecie się i skierujecie się na północ. Kiedy dotrę z Rameshem w pobliże willi, damy wam znak latarką. Wtedy przypłyniecie podżaglami i zakotwiczycie tuż przy nabrzeżnych skałach. My przypuścimy atak na willę i wydostaniemy Garreta.

— A co potem? — włączył się Murphy.

Cady wyprostował się.

— Potem odbędziemy małą przejażdżkę ze szczytu urwiska prosto na pokład „Manasy”.

Spojrzeni na niego jak na szaleńca. Murphy i Ray spytali jednocześnie:

— Niby jak?

Twarz Cady'ego okraślił szeroki uśmiech.

— „Kolejką Geronimo”.

— Co to takiego, do diabła? — zdziwił się Murphy.

— Lina, która stanowi jedyną drogę ucieczki dla siedzącego na szczycie platformy operatora wieży wiertniczej, gdyby doszło do niekontrolowanego wytrysku ropy. Musi uciekać w ciągu kilku sekund, bo inaczej usmażyłby się w płomieniach. Jest u nas taki zwyczaj, że zjeżdżający na dół krzyczy „Geronimo!”, to okrzyk bojowy amerykańskich spadochroniarzy.

— Ale jak to ma działać? W jaki sposób połączycie linę z jachtem?

— Nic trudnego — odparł Cady, nie przestając się uśmiechać. — Potrzebna mi będzie bardzo mocna, lekka lina — i muszę mieć dostęp na parę godzin do dobrego warsztatu. Da się załatwić?

— Jasne. — Murphy patrzył wciąż na mapę. — Posłuchaj, Cady: jeśli wyjdiesz z tego cało, a będziesz kiedykolwiek szukał roboty — to wal śmiało do mnie. — Pokręcił głową z podziwem i mruknął: — Coś takiego, „Kolejka Geronimo!”.

Murphy wymusił na nich, żeby położyli się na trzy godziny. O piątej wrócili więc na pokład „Manasy”; Ramesh i Cady byli niemal tak samo wykończeni, jak Kirsty.

Przed opuszczeniem ambasady opracowali szczegółowy program działania. Rozpoczęcie ataku wyznaczyli na czwartą rano i mieli bowiem nadzieję, że o tej porze nawet pełniący służbę wartownicy pogrążeni będą weśnie.

Zgodnie z wyliczeniami z Dar es-Salaam mieli wypłynąć o dziewiątej wieczorem, by po czterech godzinach dotrzeć do wybrzeża w okolicach wioski Jembiani. Godzinę powinno zająć im przygotowanie łodzi, którą następnie Ramesh i Cady mieli się dostać na brzeg.

Prosto z ambasady Murphy zawiózł ich na obrzeża miasta, gdzie przedstawił im Hindusa o imieniu Pandit, który był właścicielem małego taboru autobusów. Miał ponadto brudny, ale dobrze wyposażony warsztat, w którym Cady przez następną godzinę przy pomocy Murphy'ego i Ramesha zespawał pojedyncze kawałki stali w cztery ceowniki w kształcie litery T. Potrzebne im były trzy, czwarty brali jako zapasowy. W dolnej części pionowego ramienia Cady przyspawał łukowy wspornik, który przytrzymywał małe metalowe kółko z obręczą. Za wspornikiem przykręcił urządzenie, które nieco przypominało połączoną zawiasowo kierownicę roweru. Oblepiwszy metal czarną taśmą maskującą, odwrócił do góry nogami i wyjaśnił zastosowanie urządzenia:

— Wygląda na prowizorkę, ale będzie działać. Przypomina trochę uchwyt na wyciągu do przewożenia narciarzy w górę stoku — tyle że w naszym przypadku będzie chodziło o kierunek dokładnie odwrotny. Lina będzie biegła pod tym. — Wprawił kółko w ruch obrotowy. — A wspornik zabezpiecza linę przed wypadnięciem.

Usiadł na tak przygotowanym „krzeselku” i chwycił w dłonie umieszczone na zawiasach rączki kierownicy.

— Teraz trzeba się tylko odepchnąć. Lina będzie miała trochę luzu: przez jakies pierwsze dziesięć metrów nic nie robimy, po prostu zjeżdżamy — może być dosyć gorąco. Potem lina będzie bardziej naciągnięta i tempo zjazdu ulegnie gwałtownemu przyspieszeniu. Dlatego musimy skorzystać z hamulców. — Ściągnął oba końce kierowni-

cy ku sobie. — W tej pozycji łącze kierownicy zaciska się na linie, zwalniając prędkość zjazdu. Trzeba będzie regulować szybkość hamulcem aż do samej wody — od jachtu będzie nas dzieliło wtedy chyba z siedem metrów. Byłoby idealnie, gdybyśmy mogli poćwiczyć, ale brak na to czasu. Mam tylko nadzieję, że Ray zdobędzie dostatecznie mocną linę.

Murphy wysłał Raya na małe zakupy. Miał znaleźć odpowiednią linę, dwieście metrów cienkiego, mocnego szpagatu, dwie twarde, gumowe piłeczki o średnicy około dziesięciu centymetrów, osiem litrów czarnej farby, długie płachty czarnego płótna i czarne ubrania różnych rozmiarów.

\* \* \*

Załadowali „Kolejkę Geronimo” do bagażnika samochodu Murphy’ego i pojechali za miasto. Jadąc nabrzeżną drogą w kierunku Lindi Murphy obserwował uważnie prawe pobocze; po szesnastu kilometrach jazdy, wypatrywszy zarośnięty szlak, skręcił w niego. Przez kolejny kilometr samochód podskakiwał i tańczył, wspinając się po łagodnym stoku wzgórza. Kiedy znaleźli się na szczycie, zobaczyli pod sobą pokrytą zaroślami dolinę. Ray stał obok starego Dodge’a, tuż przy krawędzi szczytu.

— Masz wszystko co trzeba? — spytał go Murphy, wyskakując z samochodu.

— Tak. — Ray podszedł do tyłu Dodge’a i otworzył przestronny bagażnik; wszyscy zgromadzili się wokół bagażnika. Murphy obejrzał złożony w nim ekwipunek i puknąwszy palcem w metalową skrzynkę, wyjaśnił:

— Tuzin brytyjskich granatów rozpryskowych wzór 36. Szkoda, że nie można ze dwu rzucić dla próby, hałas mógłby jednak wywołać niepotrzebną sensację. Później wam pokażę, jak ich używać. — Uśmiechnął się. — Zasada jest niebywale prosta.

Obok skrzynki leżał długi, gruby pakunek. Po rozwinięciu płótna ukazały się czarne lufy trzech *Stenów* o matowobrazowych kolbach z drewna, zakończonych mosiężną stopą i wyposażonych w pistoletowy uchwyt. Tłumiki były zabezpieczone brezentowymi osłonkami, które — jak wyjaśnił Murphy — chroniły dłoń przed poparzeniem w zetknięciu z nagrzanym tłumikiem. Murphy nauczył ich również rozkładać i składać *Steny*. Na koniec rozwinął kolejny pakunek i wyjął tuzin magazynków.

— Szybkostrzelność jest taka sama jak w przypadku *Mk-2* — objaśnił. — Strzelajcie więc krótkimi seriami.

Następne pół godziny zeszło im na trenowaniu strzelania. Zaczęli od pojedynczych strzałów, a kiedy wyczuli broń, próbowali strzelać seriami. Dzięki niezwykle skutecznym tłumikom odgłosy strzałów przypominały co najwyżej astmatyczne pokasływania.

Murphy miał powody do zadowolenia. Jak przypuszczał, Cady okazał się urodzonym strzelcem: bardzo szybko opanował kłopotliwe znoszenie broni przy strzale i już po chwili bez trudu omiatał ogniem małe krzaczki, które brał na cel. Ramesh potrzebo-

wał nieco więcej czasu, ale wkrótce i on strącał liście z krzaków.

Największą jednak niespodzianką była dla Murphy'ego Kirsty. Wbrew jego obawom, nie przestraszyła się odrzutu broni; przycisnęła po prostu kolbę mocniej do ramienia i z wyrazem najwyższej koncentracji na twarzy pociągnęła spust, szybko wzięła poprawkę na odrzut i w rezultacie znacznie przetrzebiła kępę krzaków.

Kiedy siedzieli później w samochodzie, nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia uwagi:

— Nie chciałbym znaleźć się na wprost pani lufy.

Uśmiechnęła się blado.

— A ja tylko żałuję, że muszę czekać bezczynnie na jachcie, zamiast pójść razem z nimi.

— Wiesz, że to niemożliwe — wtrącił szybko Ramesh. — Do kierowania „Manasą” potrzebne są co najmniej dwie osoby.

— Wiem — westchnęła ponuro i dodała, podnosząc *Stena*: — Chciałabym z bronią w rękę stanąć twarzą w twarz z łajdakami, którzy przetrzymują mojego syna.

— W każdym razie nie zanosi się na to, żeby trafiła pani na Okella. — Murphy próbował ją pocieszyć. — Jest piątek, a Okello zjawia się w środy.

Odwrócił się do Ramesha.

— Teraz zawiozę was na jacht; i nalegam, żebyście trochę się przespali. Nie będzie to łatwe, wiem, jesteście za bardzo podekscytowani, ale naprawdę najlepiej zrobicie wyskakując z ubrań i kładąc się do łóżka. Ma to ogromne znaczenie psychologiczne — jeżeli nawet nie uda wam się zasnąć, to przynajmniej odpoczniecie. Tymczasem postaram się zdobyć z Rayem jeszcze trochę sprzętu: potrzebne będą pasy do chowania granatów, zapasowe magazynki, maskowane, wodoszczelne latarki i kilka niewielkich urządzeń nadawczo-odbiorczych, żeby umożliwić utrzymywanie łączności między wami a załogą na jachcie. — Umilkł i dodał po chwili: — A na razie próbuję zlokalizować kogoś, kto bardzo by się przydał.

— Kto to taki? — zainteresował się Ramesh. Murphy pokręcił głową.

— Dopóki go nie znajdę, to nie ma o czym mówić. Zjawimy się na łodzi około ósmej. Co do odprawy celnej, to nie musicie się martwić: damy komu trzeba w łapę i nikt nie będzie się wami interesował.

\* \* \*

Kirsty nieoczekiwanie dla samej siebie przysnęła i spała całe dwie godziny. Była to płytko drzemka, w której przewijały się marzenia senne: twarze, ptaki, morze — i intensywnie zielona wstęga na nieboskłonie.

Ale kiedy obudziła się na odgłos kroków na pokładzie, czuła się wypoczęta. Koja Ramesha była pusta. Na wpół jeszcze senna, ubrała się i przeszła do saloniku. Lani zajęta była w kuchni szykowaniem kanapek i kawy. Uśmiechnęła się na widok Kirsty.



- Udało ci się zasnąć?
- Tak. Tylko nie pytaj mnie, jak spałam!
- Wszyscy trochę się zdrzemnęli. Jak się czujesz?
- W porządku. Co się dzieje?
- Wrócili Amerykanie z ambasady — i przywieźli kogoś.
- Kogo?

Lani uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Idź i zobacz sama.

Pokład był pełen ludzi. Poza Cadym i Rameshem zastała Murphy'ego, Raya i Howarda oraz nieznanego mężczyznę. Jedynym źródłem światła były dalekie latarnie miasta i w pierwszym momencie widziała tylko niewyraźną sylwetkę. Kiedy podeszła bliżej, ujrzała drobnego Afrykańczyka o pomarszczonej twarzy i włosach jak szara wata. Miał na sobie jedynie brudne, mocno połatane spodenki khaki, spod których wystawały cienkie, czarne jak heban, patyczkowate nogi.

Murphy dostrzegł ją i wykrzyknął:

- O, Kirsty! Chciałbym, żeby poznała pani Salima, który z wami popłynię.

— Naprawdę? — Podeszła z ciekawością i wyciągnęła rękę. Uśmiechnął się szeroko, ukazując braki w uzębieniu.

— Opowiadałem właśnie o Salimie — wyjaśnił Murphy i odwrócił się do Ramesha, żeby podjąć przerwany wątek. — Salim ma powody, żeby nienawidzić Okella i jego bandy. Jedyny syn Salima pracował przed rewolucją na plantacji arabskiej. Pierwszej nocy, kiedy mordowano wszystkich Arabów, syn Salima próbował ochronić swego pracodawcę, który uchodził za dobrego człowieka. Ale tłuszcza zabiła Araba wraz z całą rodziną, a potem zamordowała syna Salima, jego żonę i pięcioro dzieci. Najmłodsze miało zaledwie dwa latka.

— Boże! — szepnęła Kirsty i spojrzała na starca: najwyraźniej nie rozumiał, o czym mowa, bo wciąż demonstrował swój szczerbaty uśmiech.

— Salim w tym czasie wypłynął na ryby — ciągnął Murphy — i tylko dlatego ocalał.

- Na ryby?! — wykrzyknął Cady. — To ile on ma lat?

— Sam nie jest tego pewny — odparł Murphy. — Oblicza siebie na jakieś siedemdziesiąt pięć lat, ale wciąż ma krzepę i trudno o lepszego żeglarza. A co najważniejsze, zna wody wokół Zanzibaru jak własną kieszeń. Wypływał na ryby, odkąd nauczył się stać w łodzi na nogach. Opowiadał mi, że często łowi homary tuż pod willą Okella. Salim poprowadzi „Manasę” przez wody kanału i do plaży, potem cofnie się i przybije do skalistego klifu. Jego angielski jest dosyć słaby: będziecie musieli wolno i wyraźnie mówić, używając prostych słów.

— Wspaniale. — W głosie Ramesha brzmiała ulga. — Nic nie mówiłem, ale martwiłem się, jak będzie z nawigacją. Księżyc jest dopiero w nowiu.

— No właśnie — chrząknął Murphy. — Zostawcie to Salimowi; mam wrażenie, że mógłby tam trafić nawet z zawiązanymi oczami.

— W takim razie — odezwała się Kirsty z zadowoleniem — mogę dołączyć do Ramesha i Cady'ego.

Próbowali jej to wyperswadować, ale nie było siły, żeby ją przekonać. Odpowiedziała krótko, że chodzi o jej syna i nikt nie może jej powstrzymać.

— Sam pan mnie chwalił, że dobrze strzelam — przypomniała Murphy'emu.

— No tak, ale...

— Cady przygotował zapasowe krzeselko, nic więc nie stoi na przeszkodzie, żebym z nimi poszła.

Cady odwrócił głowę, przeklinając się w duchu za pomysł z zapasowym krzeselkiem.

— Idę i koniec — powtórzyła głosem nie znoszącym sprzeciwu. — Dajmy więc sobie z tym spokój i przejdźmy do innych spraw.

Murphy wzruszył z rezygnacją ramionami i sięgnął do płóciennej torby, stojącej u jego stóp. Wyjął trzy małe urządzenia nadawczo-odbiorcze wielkości mniej więcej paczki papierosów każde.

— Zostały nam jeszcze radionadajniki. Są nastawione na długość fal, jakiej nikt w okolicy nie używa. Jeden niech będzie na jachcie, jeden weźcie ze sobą na brzeg. Trzeci zatrzymam dla siebie. „Manasa” będzie miała kryptonim Ptak Jeden, grupa uderzeniowa — Ptak Dwa, mój zespół to Ptak Trzy. Popłynę razem z Rayem i Howardem szybką motorową łodzią kabinową i ustawię się tuż za trzymilowym pasem wód terytorialnych; będziemy udawać, że wybraliśmy się na niewinne nocne połowy. Musicie radzić sobie sami, ale jak tylko wydostaniecie się z kanału, możecie liczyć na naszą pomoc. A co do początku wyprawy, wypłyniemy mniej więcej w godzinę po was.

Wyciągnął z torby małe latarki w gumowych osłonkach. Szkło latarek było zaklejone taśmą w taki sposób, że pośrodku pozostały małe otwory — w każdej latarce o innej średnicy.

— Pomogą wam znaleźć drogę w ciemności, a w razie awarii radionadajników możecie przy ich pomocy nadawać sygnały do załogi na jachcie. Sprawdźcie je po drodze. — Na koniec wyjął pękata lornetkę. — Wzmacniacz światła — wyjaśnił. — Oczywiście, nie widać jak w dzień, ale na odległość do dwustu metrów obraz jest całkiem wyraźny. — Zerknąwszy na zegarek, zakończył: — No, teraz coś zjedźmy i pora na was!

Kiedy schodzili gęsiego pod pokład, Howard poinformował Kirsty:

— Harriet wie ode mnie, że mam nocną służbę. Nie powiedziałem jej prawdy z dwóch powodów: po pierwsze, zamartwiałaby się na śmierć, a po drugie, jest więcej niż pewne, że poszłaby od razu do naszego szacownego ambasadora i dała mu w zęby.

Odcumowali tuż po ósmej i „Manasa” z cichym warkotem silnika wypłynęła z kanału na otwarte morze.

Salim stał za sterem, wbijając wzrok w ścielące się przed nim ciemności. Prognoza zapowiadała lekki wiatr z południowego wschodu; morze delikatnie się kołysało.

Kiedy tylko zblakły światła miasta, na pokładzie zrobił się ruch. Najpierw przebrali się w czarne spodnie i koszule dostarczone przez Raya, potem rozwinęli grot i zaczęli go opryskiwać czarną farbą. W podobny sposób zamaskowali sterówkę.

Ramesh przejął część obowiązków Cady’ego. Chociaż Kanadyjczyk był głównym autorem planu i chociaż miał silny charakter, wyraźnie teraz przycichł i trzymał się nieco z boku. Ramesh zbyt dobrze go poznał, by sądzić, że powoduje nim jedynie lęk; przecież wraz ze zbliżaniem się rozstrzygającego momentu, wszyscy czuli rosnący strach. Podejrzewał raczej, że Cady przechodzi lekki kryzys wiary we własne siły. Wszak to on wpadł na pomysł zastosowania „Kolejki Geronimo”; jest przy tym najmłodszy, najbardziej sprawny i najbardziej doświadczony w walce z całej trójki uczestników wyprawy na wilę Okella. Zapewne właśnie dlatego czuje na swoich barkach ciężar odpowiedzialności.

Ciężki żagiel owijał się wokół masztu i wantów. Ramesh spokojnie, lecz zdecydowanie, objął komendę — wydawał rozkazy i pilnował, by zostały prawidłowo wykonane.

Lani spostrzegła, że w kilku miejscach deski pokładu były zachlapanie czarną farbą.

— Szkoda jachtu — westchnęła z żalem.

— Nic się nie stało — uspokoił ją Ramesh. — Później doprowadzimy wszystko do porządku — a co do żagli, i tak muszę kupić nowe.

Pomalowali grot na czarno i zawiesili żagiel z powrotem na bomie. Byli cali poplamieni farbą; stary Afrykańczyk ze swego miejsca przy sterze zachichotał i wskazując palcem swoją pomarszczoną klatkę piersiową, powiedział:

— Tak jak ja. W nocy nikt was teraz nie widzieć.

Następnie rozwinęli fok genua i pokryli go z obu stron farbą.

Kiedy żagiel został na powrót przymocowany do forsztagu, Ramesh spojrzął na zegarek.

— Wyruszyliśmy półtorej godziny temu. Murphy i jego ludzie powinni już być w drodze. Sprawdźmy łączność radiową.

Przeszli na pokład rufowy. Ramesh przyniósł radionadajniki i latarki; wysunął antenę w jednym z aparatów, nastawił skalę głosu na trzy czwarte, włączył przycisk i czując się nieco idiotycznie, powiedział:

— Ptak Jeden do Ptaka Trzy. Jak mnie słyszysz? Odbiór.

Zwolnił przycisk. Rozległ się spodziewany szum i zaraz potem z małego głośniczka popłynął głos Murphy'ego:

— Ptak Jeden, tu Ptak Trzy. Słyszę cię głośno i wyraźnie. Podajcie swoją pozycję. Odbiór.

Ramesh ponownie wcisnął przycisk.

— Nie znam dokładnej pozycji. Prowadzi nasz przyjaciel, my zajęliśmy się przygotowaniami. Odbiór.

— W porządku, dajcie mi go.

Ramesh podsunął Salimowi radionadajnik pod nos. Staruszek spojrzał okrągłymi ze zdziwienia oczami. Zrobił jeszcze większe oczy, kiedy usłyszał głos Murphy'ego mówiącego w suahili. Zaraz jednak uśmiechnął się i dał znak głową Rameshowi, który wcisnął przycisk nadawania. Powiedziawszy kilka zdań, Salim zasygnalizował Rameshowi koniec rozmowy.

— W porządku, Ptak Trzy. Odbiór — Ramesh posłał w eter.

Murphy przeszedł ponownie na angielski.

— Mówi, że dopłyniecie do kanału za jakieś pięć papierosów. — Z głośniczka popłynął metaliczny chichot. — Według naszej skali czasu to mniej więcej godzina. Odezwijcie się wtedy. Odbiór.

— Jasne. Sprawdzę teraz jeszcze drugie radio.

Pracowało bez zarzutu. Potem włączali po kolei latarki i puszczając wąski snop światła na wodę wybrali latarki najodpowiedniejsze do sygnalizacji i do szukania drogi w ciemności.

\* \* \*

Po godzinie „Manasa” dotarła do celu. W oddali dojrzeli blask światła na brzegu wyspy Zanzibar. Ramesh nie mógł wyjść z podziwu nad umiejętnościami nawigacyjnymi Salima: staruszek ani razu nie spojrzał na kompas, nie brał nawet zwykłych namiarów. Przez całą godzinę nic się nie odzywał; nagle, ni stąd, ni zowąd, wyciągnął przed siebie kościsty palec i najzwyczajniej w świecie zakomunikował:

— Kanał rafowy, jeszcze pół mili.

Na ten sygnał przynieśli zwoje czarnego płótna, pudełka z pinezkami i dwa młotki, których obuchy pokryte były brezentem. Ramesh i Cady wspólnymi siłami spuścili din-

ghy na wodę, po czym Cady wskoczył do środka z młotkiem w ręku. Płótno rozwinięto i przewieszono przez burzę: jacht wyglądał teraz jakby okryty gigantyczną spódnicą. Kirsty z Lani przytrzymały płótno, a Ramesh przybijał je gwoździkami do spodu relingu. Z kolei Salim, trzymając w ręku linkę cumową łodzi, oprowadzał ją wolno wokół jachtu, Cady zaś przybijał płócienną osłonę na wysokości linii zanurzenia. Po skończeniu pracy Cady odpłynął trzydzieści metrów od jachtu i okrążył go dookoła. Powróciwszy na pokład, oznajmił Rameshowi:

— „Manasa” przypomina teraz prawdziwy statek widmo. Nie będzie widoczna nawet z odległości stu metrów.

— Bardzo dobrze. — Ramesh wywołał przez radio Murphy’ego; ten poinformował go, że znajduje się obecnie dwie mile na wschód od „Manasy”. — Zrozumiałem — odparł Ramesh. — Zaraz wpływamy. Odbiór.

— Będziemy śledzić wasze rozmowy. Powodzenia — zakończył Murphy.

— Dziękuję. Bez odbioru.

Odłożywszy radionadajnik, Ramesh zwrócił się do Salima:

— Wpływamy między rafy.

Salim zwiększył obroty silnika i „Manasa” ruszyła do przodu.

W panujących ciemnościach żadne z nich nie dostrzegło rafy. Ramesh po raz kolejny podziwiał niezwykłą pewność siebie Salima i dziękował Bogu, że nie musi sam prowadzić „Manasy” w sytuacji, gdy jedynym punktem orientacyjnym są światła wioski Jembiani.

Upłynęło dwadzieścia minut i Salim oznajmił:

— Już w rafie. Jembiani jedna mila.

Podnieśli mokre, czarne żagle i zgasili silnik. Wiatr wiejący z prędkością dziesięciu węzłów popychał ich cicho i wolno na północ wzdłuż wybrzeża. Nawet przez zapach farby przebijał się aromat goździków, które uprawiano na plantacjach w głębi wyspy.

Kirsty, Ramesh i Cady szykowali się do drogi.

Posmarowali ręce i twarze czarną maścią dostarczoną przez Murphy’ego i, wcisnąwszy się w parciane szelki z ładownicami, przypięli granaty i zapakowali zapasowe magazynki do *Stenów*.

Po powrocie na pokład Ramesh sprawdził dokładnie wiedzę Lani w zakresie zasad kotwiczenia. Następnie, napełniwszy powietrzem jeszcze jedną dinghę, poinstruował Lani raz jeszcze, w jaki sposób musi rzucić zapasową kotwicę za rufę i jak powinna nią manewrować, żeby ustawić jacht burcią do klifu. Potakiwała niecierpliwie głową, nie spuszczać z troskanego wzroku z poczernionej twarzy Cady’ego.

— Nie martw się, Ramesh, wiem, co robić. To raczej wy uważajcie na siebie.

Cady chwycił ciężki zwój liny i przewiesił sobie przez pierś i lewe ramię. Do płóciennego torby wsadził dwa duże kłębki szpagatu, dwie twarde gumowe piłeczki, latarki, radionadajnik i lornetkę. Cztery „krzeselka” leżały na pokładzie u jego stóp.

Ramesh stanął obok Salima przy sterze. Przy wątłym świetle księżycy, który przypominał cienki rogalik, ledwie mógł wypatrzeć ciemniejszą linię zbliżającego się brzegu. Podpływali pod kątem i Ramesh kolejny już raz zadawał sobie pytanie, jakim cudem staruszek wie, gdzie się znajduje.

Po dziesięciu minutach Salim skręcił sterem: „Manasa” zrobiła zwrot i ustawiła się z wiatrem; załopotwały leniwie żagle.

— Plaża. Pół mili — oznajmił Salim, pokazując dokładnie na wysokości prawej burty.

Patrząc w tamtą stronę Ramesh ledwie widział drzewa na brzegu i szczelinę w rafie. Za pomocą małego kompasu szybko dokonał namiaru.

W chwilę potem pontonowa łódź była załadowana sprzętem. Lani, z mokrymi od łez policzkami, uścisnęła Kirsty, Ramesha i na koniec Cady'ego. Przyłgnęła do niego rozpaczliwie i wtulona głową w jego pierś zanosła się szlochem; ujął jej dłonie w nadgarstkach i delikatnie odciągnął. Wciąż trzymając ją za ręce, odsunął się do tyłu i spojrzał jej w twarz. Lani wzięła głęboki oddech i uspokoiła się.

— Będiesz na siebie uważać? — szepnął patrząc na nią surowo.

Skinęła głową.

— Tak, nie martw się. Wiem, co robić — i nie zawiodę... Kocham cię.

— Ja ciebie też. Jak dotrzemy na plażę, odezwiemy się przez radio.

Kiedy żegnali się z Salimem, staruszek spostrzegł w oczach obu mężczyzn napięcie. Za to wzrok Kirsty wyrażał niecierpliwość.

Wskoczyli do łódki: Cady chwycił wiosła, Kirsty usiadła z tyłu, a Ramesh z przodu. Zniknęli w ciemności z cichym pluskiem wiosła.

\* \* \*

W tej właśnie chwili „Jaloud” dobił do wyspy Zanzibar i zawijał do portu, kierując się prosto do rządowego pirsu. Lascelles, nie siląc się na popisywanie się swoim kunsztem żeglarskim, uderzył burtą w pomost i skoczył na brzeg z liną w rękę. W dwadzieścia minut później przekroczył próg pałacu byłego sułtana i znalazł się w sali audyencyjnej na wprost Okella.

Kiedy stali tak na perskim dywanie, pod skrzącym się kryształowym żyrandolem — stanowili jaskrawy dysonans z otaczającym ich przepychem.

Lascelles był ubrany w brudne dżinsy i podkoszulek. Okello — niski, przysadzisty mężczyzna o przystojnej, hebanowej twarzy, miał na sobie wyglansowane czarne buty, skarpety koloru khaki po same kolana, świeżo wyprasowane czarne spodenki i brązową koszulę z epoletami. Biodra opasywał mu wojskowy pas, w którego kaburze tkwił pistolet. Lascelles w ciągu paru sekund wyrzucił z siebie całą opowieść. Ale Okello wcale się nią specjalnie nie przejął.

— I cóż takiego mogą zrobić? — zakpił.

— Niech to diabli! Ten szczeniak jest Amerykaninem! Idę o zakład, że ta suka, jego matka, rozmawia już w Dar es-Salaam z amerykańskim ambasadorem.

Okello wzruszył na to ramionami.

— I co takiego mogą zrobić? – powtórzył.

Lascalles nabrał głęboko powietrza.

— Jak się okaże, że szczeniak żyje, będą prawdziwe kłopoty. Czekają tylko na pretekst, żeby się do ciebie dobrać.

— Ale w jaki sposób wpadną na jego ślad?

— Nie są wcale tacy głupi. Jest jasne jak słońce, że mają na wyspie agentów. I mają dosyć ludzi, żeby pokusić się o przypuszczenie ataku. W najlepszym razie pójda się poskarżyć do Nyerere.

Okello w zamyśleniu zaczął przemierzać pokój: pięć dokładnie wymierzonych kroków do krawędzi dywanu i pięć z powrotem.

— Mam teraz trochę kłopotów z powodu Karume i innych pajaców w radzie — mruknął. — Daleko im do prawdziwych rewolucjonistów. A ta hiena Nyerere ich popiera. Marzy im się, że Nyerere przyśle żołnierzy, ale to tchórz.

— Nyerere zależy na Amerykanach — wtrącił szybko Lascalles. — Otrzymuje od nich ogromną pomoc.

Okello zatrzymał się i spojrzał pod nogi, jakby oglądał skomplikowany wzór na dywanie.

— Wciąż potrzebujesz tego szczeniaka? — spytał Lascalles nerwowo.

Okello podniósł oczy i uśmiechnął się.

— Właściwie to nie. Kenijscy przyjaciele znaleźli mi dwie siostry, Masajki, o tej samej grupie krwi. Przywiozą je w ciągu paru dni. — Uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Zamierzam je poślubić. Jeśli zmyć z nich glinę, to masajskie kobiety są naprawdę piękne. Sprytnie to obmyśliłem, co? Moje żony będą jednocześnie moimi krwiodawczyniami. — Wskazując ręką otaczający go przepych, ciągnął: — Będą żyły w luksusie, będą miały wszystko, czego zapragną — w zamian za trochę krwi. — Obserwował uważnie wyraz twarzy Lascallesa. — Czyli twoim zdaniem chłopak powinien umrzeć?

Lascalles przytaknął.

— Dobrze — zgodził się Okello. — Teraz może już umrzeć. — Podniósł oczy do góry i na jego twarzy zagościł uśmiech, który mógłby zmrozić diabła. — Ale najpierw wypuszczę z niego całą krew. Pojedziemy do willi z doktorem Bakarim, już on wysuszy go do ostatniej kropli. — Przymknął oczy w zamyśleniu. — Po utracie dwóch litrów serce mu nie wytrzyma, ale krew pod wpływem siły ciężkości będzie dalej płynąć: zbiorę co najmniej cztery litry, zabezpieczę się więc na wypadek, gdyby przyjazd Masajek się opóźniał. Potem możesz zabrać ciało i rzucić rekinom na śniadanie. Przywykły do smaku ludzkiego mięsa — nie mogą przez ostatnie miesiące narzekać na brak jedzenia.

Lascalles skwitował to szerokim uśmiechem i zapytał:

— Kiedy możemy ruszać?

Okello zwrócił się w stronę drzwi i, momentalnie zmieniając ton głosu, krzyknął coś w suahili. W ułamku sekundy w progu pojawił się Afrykańczyk w spodenkach i koszuli khaki, spoglądając oczami pełnymi strachu.

Okello wykrzyczał rozkaz, a kiedy sługa odwrócił się i chyżo pomknął, Okello stonował na powrót głos i oznajmił Lascallesowi:

— Będziemy tam za godzinę.

\* \* \*

Dinghy zaryła w piasek. Ramesh wyskoczył, ściskając w ręku linkę cumowniczą, i wciągnął ponton dziobem na plażę. Cady i Kirsty zaciągnęli ją pod osłonę palmowych drzew. Ramesh wyjął radio, zmniejszył skalę głosu i wywołał Lani, żeby poinformować ją o szczęśliwym dotarciu na brzeg. Zaraz potem przywołał Murphy'ego:

— Wzywam Ptaka Trzy. Czy mnie słyszysz?

Po chwili dobiegł ich słabo słyszalny głos Murphy'ego:

— Słyszę. Powodzenia.

Cady chwycił płócienną torbę i dwa „krzeselka”, Ramesh wziął pozostałe. Odnaleźli szlak wiodący na północ i ruszyli.

\* \* \*

W dwadzieścia minut później obchodzili ostrożnie koszary milicji. Była dokładnie druga trzydzieści: z terenu koszar nie docierał najmniejszy dźwięk.

Ale kilometr dalej przeżyli chwile strachu.

Minęli właśnie grupę chat pokrytych blachą, kiedy rozszczękał się jakiś pies. Zaraz dołączyły do niego dwa następne; odgłosy szczekania stawały się coraz bliższe. Zaczęli biec, z Kirsty na czele, chowając się za palmy kokosowe. Ale psy nie dały się wyprowadzić w pole: trzy ciemne, głośno ujadające cienie były tuż, tuż. Ramesh cisnął na ziemię „krzeselka”, odwrócił się i ściągnął z ramienia *Stena*.

— Nie ma rady, Cady, musimy je zastrzelić.

Cady przytaknął i stanął obok Ramesha z bronią w ręku. Kirsty czekała dwadzieścia metrów dalej, łapiąc powietrze po biegu.

Nie musieli strzelać. Kiedy psy, zbliżywszy się, dostrzegły wycelowane w ich stronę lufy, zmyły się jak niepyszne. Wiedziały, czym grozi broń w ręku człowieka.

Po upływie pół godziny Ramesh leżał na brzuchu na niewysokim nasypie i obserwował przez lornetkę budynek. Obraz był szary, ale wyraźny: niska willa w stylu mauretańskim była usytuowana tuż na krawędzi klifowego wybrzeża. Obudowane przejście prowadziło do stojącego za nim mniejszego budynku o kształcie prostokąta; kiedyś zajmo-



wała go służba, dzisiaj — jak wiedział od Murphy'ego — mieszkali w nim wartownicy. W jednym z tylnych okien paliło się światło.

Ramesh przecesał lornetką cały teren, ale nie zauważył najmniejszego ruchu. Przeniósł wzrok na główne wejście i dostrzegł strażnika: siedział na ławce, opierając się głową i plecami o ścianę, najwyraźniej pogrążony we śnie.

Ramesh wycofał się do Kirsty i Cady'ego.

— Widzę tylko jednego strażnika — oznajmił. — Śpi.

Cady chrząknął z zadowoleniem.

— Chodźmy umocować linę.

Ruszyli w niskim przysiadzie, kierując się na południe. Po przejściu czterystu metrów odszukali palmę kokosową, którą Cady wypatrzył w czasie wspinaczki: rosła w odległości około dziesięciu metrów od krawędzi klifu. Brzeg w tym miejscu tworzył lekko wklęsły łuk. Cady z lornetką zbliżył się do skraju klifu i, trzymany za ubranie przez Ramesha, obejrzał uważnie skały i rozpościerające się w dole morze. Wycofał się znad krawędzi.

— Doskonale — ucieszył się. — Skały ciągną się na jakieś trzydzieści metrów, potem jest już nieprzerwane lustro wody. — Podniósł lornetkę do oczu i wybiegł spojrzeniem na morze: nie widział nic poza nieprzejrzaną szarością. — Dajmy sygnał Lani. Wywołaj ją i powiedz, żeby wypatrywała światła.

Ramesh wyjął z torby radio i latarkę. Podał latarkę Kirsty i, wskazując jej kierunek, poinstruował ją:

— Jak ci powiem, poświeć w tamtą stronę, ale bardzo krótko. Wcisnął guzik nadawania i posłał w eter słowa:

— Ptak Dwa do Ptaka Jeden. Czy mnie słyszysz? Odbiór.

Pośpiesznie nakrył dłonią głośniczek; w sekundę później popłynął z niego przytłumiony, ale wyraźnie podekscytowany głos Lani:

— Słyszę cię, Ramesh!

W jednej chwili zapomniała o szczegółowych instrukcjach Murphy'ego, dotyczących prowadzenia korespondencji radiowej. Ale żadne z trójki przyjaciół na szczycie klifu nie zwracało na to uwagi; głos Lani był miłym sercu dowodem, że łączność została nawiązana.

— Teraz poświecimy latarką — przygotował ją Ramesh. — Powiedz mi, kiedy zobaczysz światło.

Na jego znak Kirsty osłoniła dłonią wylot latarki i pstryknęła przełącznik. Radio milczało.

— Jeszcze raz — polecił Ramesh.

Zapaliła ponownie latarkę. Zaraz potem dobiegł ich głos Lani:

— Widzę światło! Poczekajcie! — Po paru sekundach podała im położenie:

— Czterdzieści stopni.

Ramesh wcisnął przycisk nadawania i powiedział ściszym głosem:

— Dobrze. Jesteś już blisko, podpływaj w naszą stronę. Co dwie minuty będziemy sygnalizować latarką. Bez odbioru.

Zostawiwszy Kirsty z latarką, Ramesh i Cady podkradli się do upatrzonej wcześniej palmy kokosowej. Cady ściągnął zwój liny z ramienia, rzucił linę przy drzewie i chwyciwszy jej jeden koniec, wdrapał się na palmę. Na wysokości trzech metrów owinął linę kilka razy wokół pnia i mocno zawiązał. Zeskoczył lekko na ziemię. Drugi koniec liny przeciągnął nad krawędź klifu. Następnie wyjął z torby oba kłębki szpagatu i dwie twarde gumowe piłeczki, w których przewiercono na wylot otwory. Przewlekł końcówki szpagatu przez otwory i zawiązał.

Chwycił lornetkę i skierował na morze: trzysta metrów dalej wypatrzył mglistoszary kształt „Manasy”, która zbliżała się do nich płynąc prawym halsem. Z daleka ledwie widział zarys dwóch sylwetek: Lani stała przy maszcie, a Salim przy sterze. Lani ruszyła się i w chwilę później czarny grot zawisł na bomie.

Upłynęło pięć minut. Cady dzielił się właśnie uwagą z przyjaciółmi, kiedy „Manasa” dobijała do nabrzeżnych skał. Salim ustawił jacht do wiatru i fok leniwie załopotał. Lani rzuciła bezgłośnie kotwicę.

Już w kilka minut potem siedziała w dinghy, ciągnąc za sobą linę wychodzącą z boku rufy. Kiedy od jachtu dzieliło ją mniej więcej pięćdziesiąt metrów, rzuciła zapasową kotwicę i powiosłowała z powrotem do „Manasy”.

Cady widział, jak Lani pochyła się nad kabestanem. „Manasa” zaczęła się obracać, aż stanęła burtą do brzegu.

— Bystra dziewczyna — odetchnął Cady. — Kotwice zaczepią się mocno o rafy i „Manasa” nawet nie drgnie. No, teraz czeka mnie najtrudniejsze — szepnął do Ramesha. — Mam tylko dwie próby; lepiej, żebym się nie pomylił — westchnął. — Mógłbyś potrzymać koniec liny i końcówkę zwoju szpagatu?

Kiedy Ramesh odszukał obie końcówki, Cady podniósł piłeczkę przewiazaną drugą końcówką szpagatu i przystawiwszy lornetkę do oczu, szepnął do Kirsty:

— Powiedz Lani, że rzucam.

Kirsty wcisnęła przycisk i nadała:

— Lani, przygotuj się.

— W porządku, czekam. — Cady usłyszał słaby głos Lani.

Odmierzył odległość, odjął lornetkę od oczu i postąpił dwa kroki do tyłu. Chwilę włożył w prawej dłoni ciężką piłeczkę, wreszcie podniósł rękę i z cichym sapnięciem cisnął piłeczkę za krawędź klifu.

Piłeczka pomknęła w przestrzeń, ciągnąc za sobą szpagat. Cady zbliżył się do krawędzi klifu i spojrzął przez lornetkę: zobaczył rozbryzg wody obok „Manasy”, a w ułamek

sekundy potem usłyszał cichy plusk. Po dziesięciu przeraźliwych sekundach z radia popłynął krzyk Lani:

— Mam ją!

Cady z westchnieniem ulgi przejął koniec szpagatu od Ramesha i przywiązał szpagat do liny. Wziął radioodbiornik od Kirsty, wcisnął przycisk i poinstruował Lani szeptem:

— Ciągnij do siebie, tylko powoli.

Trzymając koniec liny w rękę patrzył, jak szpagat rozplata się i znika w dole klifu. Na koniec zaczął pomału wyrzucać linę. Kiedy zawisała, rozciągnięta dwa metry nad krawędzią klifu, kazał Lani przestać ciągnąć. Spojrzał przez lornetkę: Lani przykucnęła i owijała linę o podstawę masztu.

— Uwieś się na linie — poprosił Ramesha.

Ramesh podszedł do palmy kokosowej, wyciągnął ręce w górę i pochwyciwszy linę, oderwał stopy od ziemi zawisając na niej całym ciężarem ciała.

Cady widział w szklach lornetki, jak lina naprężyła się; zaraz potem jacht przechylił się lekko i zbliżył nieznacznie do nabrzeżnych skał. Odwrócił się: Ramesh wisiał, trzymając nogi wysoko w górze, z pośladkami o centymetry od ziemi. Cady uśmiechnął się i mruknął:

— „Kolejka Geronimo” gotowa.

\* \* \*

W pięć minut później, ułożywszy wcześniej starannie „krzeselka” pod liną, znaleźli się z powrotem na niewysokim nasypie.

Ramesh zbadał przez lornetkę oba budynki. Nic się nie działo; wartownik nadal spał.

Podał lornetkę Cady’emu i spojrzał na zegarek.

— Za dwadzieścia czwarta. Proponuję nie czekać. Nie odrywając lornetki od oczu, Cady przytaknął:

— Możemy już praktycznie ruszać. — Nagle zamarł. — A to co? Posłuchajcie!

Usłyszeli warkot silnika. Odwrócili się w lewo i ujrzeli światła nadjeżdżającego drogą samochodu. Nocne powietrze przeszył ostry klakson. Cady widział przez lornetkę, jak strażnik obudził się gwałtownie, chwycił karabin i stanął na szeroko rozstawionych nogach, przecierając ręką oczy. Przed domem rozbłysło światło. Samochód zatrzymał się i wyskoczyło z niego pośpiesznie dwóch Afrykańczyków w towarzystwie Lascellesa.

— Lascelles już jest! — westchnęła gorzko Kirsty. — I co teraz?

— A z nim Okello — szepnął Cady. — Widziałem wtedy jego zdjęcie w „Time”.

Lascelles i dwaj Afrykańczycy minęli strażnika i zniknęli w willi. Strażnik stał teraz wyprężony jak struna, z kolbą karabinu przy prawej nodze. W domku wartowników zrobiło się widno, również w willi zapaliło się światło.

— Idą zabić Garreta! — Kirsty wpadła w panikę. — Ruszamy, szybko!

— Poczekaj — ostrzegł ją Ramesh, nie spuszczać wzroku z drzwi wartowni. Drzwi uchyliły się i ukazała się w nich czyjaś głowa. Nieznajomy krzyknął coś do strażnika, a usłyszawszy odpowiedź, wyłonił się w całej okazałości. Był to rosły Murzyn ubrany jedynie w spodenki, uzbrojony w schowany w kaburze pistolet. Wszedł do środka willi.

Ramesh pobiegł spojrzeniem na tyły domku wartowników. Ciągnęła się tam otwarta przestrzeń kończąca się szpalerem drzew, które tworzyły półkole i dochodziły do drugiego skrzydła willi.

Kirsty ścisnęła go za ramię.

— Ruszajmy wreszcie! — usłyszał jej nalegający głos.

— Zaraz! — powstrzymał ją i odwrócił się do Cady'ego. — Wystarczyłoby ci jakieś pięć minut, żeby dostać się za tamte drzewa? Chciałbym, żebyś zaczął się z drugiej strony willi, na wprost wartowni. Ja z Kirsty podejść od frontu, zastrzelę strażnika i wejdziemy do środka. Ty pilnuj wartowni — strzelaj do każdego, kto choćby wychyli głowę. Jak tylko zrobi się głośno, obrzucaj domek granatami, bez względu na to, czy ktoś tam będzie, czy nie.

W oschłym głosie Ramesha brzmiała stanowczość i pewność siebie.

— W porządku — mruknął Cady i ruszył, rozpluwając się w ciemnościach.

\* \* \*

Lascalles, Okello i „doktor” Bakari przeszli przez korytarz i zatrzymali się przed stalowymi drzwiami. Bakari, który przed wybuchem rewolucji był zaledwie pielęgniarzem w miejscowym szpitalu, wyjął klucz i otworzył drzwi. Do reszty grupy dołączył biegiem, wciąż jeszcze zaspany, Afrykańczyk w spodenkach.

— Pomożesz nam — rzucił krótko Okello i pchnął drzwi otwierając je na oścież. Weszli do pokoju przerobionego na prowizoryczną klinikę. Przy ścianie stało zasłane na biało łóżko, w jednym rogu była lodówka, w drugim oszklona szafka, a w niej butelki i nierdzewne stalowe pojemniki. Po drugiej stronie pokoju znajdowały się kolejne drzwi ze stali. Bakari wybrał klucz i otworzył je. Wymacał ręką przełącznik i zapalił światło.

Jedynym sprzętem w pomieszczeniu było łóżko. Nad nim mieściło się solidnie okratowane okno.

Na łóżku leżał młody mężczyzna odziany w wyblakłe niebieskie sportowe spodenki. Bładość jego skóry świadczyła o tym, że dawno nie przebywał na słońcu. Jego twarz porastała niechlujna, dawno nie strzyżona broda. Podniósł głowę, przecierając oczy grzbietem ręki. Poskręcane, długie blond włosy opadały na poduszkę.

— Jak się masz, Garret — odezwał się Lascalles.

Młodzieniec wyteżył wzrok i rozpoznał Lascallesa. Momentalnie usiadł na łóżku i spuścił stopy na podłogę.

— Co ty tu robisz?

Lascelles skrzywił usta w uśmiechu.

— Przyszliśmy po twoją krew.

Garret podniósł się na nogi. W jego zaspanych oczach widać było zdziwienie. Spojrzał na Okella i Bakariego.

— Przecież krew miałem braną dwa dni temu — wydukał. — Dzisiaj jest dopiero piątek.

Okello uśmiechnął się.

— Potrzeba nam więcej — powiedział.

Garret odsunął się od łóżka i oparł się o ścianę. Kręcił głową w oszołomieniu.

— Nie, to za wcześnie, to zbyt niebezpieczne — powtarzał.

Dali mu radę dopiero we czterech. Kiedy zagnali go w kąt pokoju, zaczął wymachiwać dziko pięściami i trafił Lascellesa w policzek. Lascelles zaklął i kopnął go z całej siły w kolano. Garret przewrócił się — Bakari i strażnik rzucili się na niego. Lascelles odwrócił się i odszedł, trzymając się za twarz.

W trzy minuty później Garret leżał przywiązany do łóżka. Cienki, gumowy przewód biegł od jego lewego ramienia do dużej, szklanej butli postawionej na podłodze. Patrzył z konsternacją na Bakariego, który przyniósł ze szklanej szafki dwie kolejne butle i postawił je obok pierwszej.

— Co robisz?

Lascelles, trzymając się wciąż za policzek, przyglądał się w zauroczeniu, jak czerwona ciecz spływa obficie po ściankach naczynia. Na dnie zebrała się już ponad dwucentymetrowa warstwa. Zbliżył się do Garreta i spojrzał w jego przestraszone oczy.

— Dzisiaj, mój mały, wyciągniemy z ciebie całą krew, do ostatniej kropli!

Znaczenie tych słów nie od razu dotarło do Garreta. Kiedy jednak spojrzał na szycerkę, sadystycznie uśmiechniętą twarz Lascellesa, oczy zrobiły mu się wielkie z przerażenia.

Okello wpatrywał się z napięciem w sączącą się krew.

Lascelles nie przestawał się uśmiechać.

— Tak, mój mały, do ostatniej kropli. Podziękuj za to tej suce, swojej matce — goniła mnie po całym Oceanie Indyjskim. Jeszcze parę minut i pożegnasz się z tym światem. Potem rzucę cię do morza i rekiny nareszcie sobie pojedzą — od dawna już na to czekają.

Garret prężył się i wykręcał pod krępującymi go więzami, zaciskając zęby w wysiłku.

— Gdzie moja matka? — wysapał.

Lascelles wyszczerzył zęby.

— Całkiem blisko, mój mały... Ale się trochę spóźni.

Odsunął się i patrzył na wijącą się i jęczącą postać na łóżku — i na butelkę, która wypełniała się czerwoną cieczą.

Garret wygiął się w pałąk i rozpaczliwie krzyknął.

\* \* \*

Ramesh i Kirsty podkradli się jak najbliżej willi. Dwukrotnie przypadali do ziemi, chowając się przed strażnikiem, który posuwając się ciężko nogą za nogą rozglądał się niespokojnym wzrokiem. Od willi dzieliło ich teraz dwadzieścia metrów. Ramesh podniósł lufę *Stena*. Serce biło mu jak młotem, usta zaschły od strachu. Wciąż zadawał sobie pytanie, czy zdoła zmusić się do naciśnięcia spustu, kiedy nagle ciszę nocy przerwał przeszywający krzyk.

Zamarł z na wpół podniesioną lufą.

— Garret!!! — krzyknęła Kirsty, rozpoznawszy głos syna.

W sekundę potem rozległ się przerywany terkot jej pistoletu maszynowego. Strażnik obrócił się dookoła osi, wypuszczając karabin z rąk. Kirsty niczym czarna zjawa pomknęła do drzwi. Ramesh oprzytomniał i ruszył za nią.

Był już u wejścia do willi, kiedy usłyszał za sobą hałasy. Odwrócił głowę i ujrzał, jak drzwi wartowni otwierają się i wysypują się z nich uzbrojeni mężczyźni. Podniósł instynktownie lufę *Stena*, ale i tym razem się spóźnił: najpierw zobaczył kamienne odłamki odpryskujące od ściany przy drzwiach, a zaraz potem wirujących w śmiertelnym tańcu wartowników. Wbiegł do willi. Mignęła mu czarna sylwetka Kirsty skręcającej za róg korytarza.

W drzwiach kliniki zrobił się zator: Lascelles, Bakari i strażnik próbowali jednocześnie wydostać się na zewnątrz. Okello przywarł do ściany przy drzwiach i czekał. Strażnik, z pistoletem w dłoni, przepchał się pierwszy, za nim wyskoczył Bakari. Lascelles ledwie zdążył wysunąć głowę, kiedy spostrzegł oddaloną o zaledwie dziesięć metrów Kirsty. Zobaczył błyskającą białym ogniem czarną lufę i usłyszał głucho uderzenia kuł o ciała. Bakari i strażnik runęli na podłogę korytarza. Lascelles cofnął się błyskawicznie do pokoju, tocząc wokół szklistymi od strachu oczami. Za łóżkiem znajdowało się okno. Nie zwracając uwagi na Okella, pognał w tamtym kierunku.

Kirsty wbiegła jak strzała do pokoju kliniki. Pierwsze, co ujrzała, to swojego syna przywiązanego do łóżka, a za nim Lascellesa. Nie zauważyła, jak Okello za jej plecami wyslizguje się cicho na korytarz.

— Lascelles! — ryknęła.

Odwrócił się i zobaczył wymierzoną w swoją pierś czarną lufę. Podniósł ręce i zaczął jękliwie skamlać:

— Nie! Proszę, nie!

Suchy trzask iglicy uderzającej o pustą komorę zamkową odbił mu się echem w mózgu. Widział jej zięjące nienawiścią oczy, gdy chwytiała nowy magazynek. Nie czekając na nic, rzucił się do okna i wyskoczył rozbijając szybę.

Kiedy Ramesh skręcił za róg korytarza, jego oczom ukazał się umykający z kliniki Okello. Nacisnął spust i strzelił w jego kierunku serią, ale przeniósł górą i zerwał tylko tynk ze ściany. Okello pognął chyżo do wyjścia w końcu korytarza. Był niemal przy drzwiach, gdy dosięgła go druga seria. Upadł na kolana. Ramesh ponownie nacisnął spust, ale magazynek był już pusty. Biorąc nowy widział, jak Okello podnosi się, otwiera drzwi i kuśtykając wymyka się przez nie. Ramesh znajdował się na wprost drzwi kliniki. Zajrzał do środka: na łóżku leżał jasnowłosy chłopak, a za nim stała Kirsty i strzelała przez okno.

Ramesh wymienił magazynek i podbiegł do drzwi w końcu korytarza. Wychodziły na otoczony murem ogród. W słabym świetle dostrzegł uciekiniera: Okello podciągał się na rękach i po chwili był już jedną połową ciała za murem. Dokładnie wycelowawszy, Ramesh wpakował cały magazynek w wiszącą na murze nogę. Grad kul wyrywał kawałki ściany. Wtem powietrze przeszył pełen bólu i strachu krzyk Okella i noga zniknęła z pola widzenia.

Ramesh ruszał już w dalszą pogoń, ale nagle zatrzymał się. Mimo trawiącej go wściekłości posłyszał szloch Kirsty. Zawrócił i pobiegł do kliniki.

\* \* \*

Cady siał spustoszenie na zewnątrz budynku. Kiedy z wartowni zaczęli się wysypywać strażnicy, obrzucił ich granatami: większość zginęła od razu, reszta wycofała się z powrotem do środka. W stanie granicznym z szaleństwem wbiegł do wartowni, strzelając z biodra. Przebiegł cały budynek, puszczając serię do każdego pokoju, i wyskoczył tylnymi drzwiami. Sadził długimi susami, zmieniając w biegu magazynek. Ze szpaleru drzew posypały się w jego stronę kule. Dostrzegł błysk z luf: strzelców było co najmniej trzech.

Otworzył ogień i opróżnił cały magazynek. Chwycił granat, wyciągnął zawleczkę, rzucił i pochyliwszy się jak najniżej, biegł dalej. W błysku eksplozji ujrzał ciała odrzucane w głąb drzew i uciekające w ślepej panice postaci. Dotarł do skraju drzew i przykucnął, nasłuchując uważnie: dochodziły do niego tylko odgłosy bieganiny i przedzierania się przez krzaki. Nagle w willi rozbrzmiały strzały. Odwrócił głowę i zobaczył rozpryskującą się szybę i człowieka wyskakującego wśród odłamków szkła. Mężczyzna przekoziółkował, stanął na nogi i ruszył w kierunku Cady'ego, klucząc i robiąc uniki. W oknie pojawiła się Kirsty; Cady ujrzał błysk ognia z lufy i uchylił się instynktownie, w chwili gdy kule ścięły liście nad jego głową.

Dobiegłszy do drzew, uciekinier przypadł do ziemi i zaczął się czołgać w stronę krzaków. Dyszał przestraszony, krew ściekała mu po twarzy. Właśnie wtedy, kiedy myślał, że już udało mu się wyjść cało, uniósł głowę i napotkał wzrok Cady'ego. Dzieliło ich tylko pół metra.

Lascalles podniósł się z trudem na kolana i zaczął żebrać:

— Chłopak żyje! Ja nie jestem niczemu winny. Jest przy nim matka. To już koniec, poddaję się!

— Gdzie Okello?

— Zaprowadzę cię do niego. Pomóż mi tylko wstać.

Cady pochylił się, żeby pomóc mu się podnieść. Nie zauważył krótkiego noża; wszystko, co zapamiętał, to przeszywający ból.

Instynktownie złapał za rękę z nożem i wyrwał mu broń. Lascalles, kopiąc jak szalony, próbował dźgnąć go palcami w oczy.

Cady wyprostował się i cofnął głowę, umykając przed ciosami. Spojrzał mu prosto w oczy.

Lascalles zobaczył śmierć.

Nóż przeszył brzuch i utkwiał w sercu.

\* \* \*

Ramesh wpadł do kliniki i znalazł Kirsty pochyloną nad łóżkiem. Ścisnęła skalpel w rękę i cięła zapamiętałe więzy. Chciał jej pomóc, ale robiła wrażenie zupełnie nieobecnej.

Kiedy przecięła ostatni postronek, Garret usiadł na łóżku i padł sobie w ramiona. Po policzkach ciekły im łzy.

Ramesh wsunął nowy magazynek. Gdzieś przed budynkiem rozbrzmiała kolejna eksplozja. Rozdzielił ich siłą, po czym chwycił Kirsty za ramiona i mocno nią potrząsnął.

— Muszę pomóc Cady'emu! — krzyknął. — Idźcie ostrożnie za mną.

Nie czekając na nich, ruszył korytarzem do wyjścia i niemal zderzył się z wbiegającym do środka Cadym.

— I co? — zawołał niecierpliwie Kanadyjczyk.

— Z Garretem wszystko w porządku. Jest z Kirsty, podążają za mną. Lascalles uciekł.

— Nie uciekł... Zabiłem drania!

— Zranił cię?

— Tylko drasnął.

Ramesh klepnął go w ramię.

— Co ze strażnikami?



Cady się uśmiechnął.

— Uciekali jak króliki. Ale tylko patrzeć, jak zjawią się następni.

Odwrócili się i zobaczyli Kirsty podtrzymującą ramieniem Garreta.

— Pomóż jej, Cady — zakomenderował Ramesh. — Ja pójdę pierwszy; poczekajcie, aż was zawołam.

Dobiegł pochylony do drzwi i wyjrzał: nikogo. Sprintem dopadł nasypu i przyciskając broń do ramienia, rozejrzał się, wbijając wzrok w ciemność: nic się nie ruszało.

— Chodźcie! — krzyknął.

Wyszli z willi: Cady obejmował w pasie Garreta, na wpół go niosąc; Kirsty biegła za nimi.

W trzy minuty później stali już wszyscy przy palmie kokosowej. Rozległo się wycie syreny, zza willi zaczęły dochodzić krzyki.

Garret opierał się o matkę. Cady wsunął „krzeselko” na linę.

Ramesh chwycił radio, wcisnął przycisk i nadał do Lani:

— Mamy go! Przygotuj się, zjeżdżamy!

Cady wcisnął Garretowi „krzeselko” między nogi. Próbował mu wyjaśnić, co ma robić; ale chłopak patrzył tępym, nieprzytomnym wzrokiem. Krzyki się zbliżały.

— Zjadę z nim! — zniecierpliwiał się Cady.

— Ruszajcie — ponaglił Ramesh. — Zjadę ostatni.

Cady wsunął się sam na „krzeselko” i, przyciągnąwszy Garreta do siebie, przytrzymał go łokciami. Następnie podszedł do krawędzi klifu i dał nura w dół przy akompaniamencie krzyku Kirsty.

Ramesh, słysząc świst kuli nad głowami, chwycił kolejne „krzeselko”, zawiesił je na linie i pomógł Kirsty usiąść. Instynktownie zacisnęła dłonie na kierownicy. Przepchnęła ją nad krawędź klifu. Kolejna kula wzbija fontannę piasku pod ich nogami. Spojrzała na niego przestraszonymi oczami. Pchnął krzeselko i poleciała w dół. Spadała jak kamień, śmiertelnie przerażona. Lina napięła się, przenosząc ją tuż nad skałami. Dojrawszy niewyraźny, ciemny zarys „Manasy”, Kirsty przypomniała sobie o ściągnięciu rączek kierownicy. Wylądowała szczęśliwie nad wodą, lecz w głowie huczała jej jedna myśl: Ramesh wciąż pozostaje na górze! Zeskoczyła z „krzeselka” i przepłynęła kilka metrów dzielące ją od „Manasy”. Cady, przechylony przez burtę, pomógł jej wejść na pokład i po chwili Kirsty padła w objęcia Lani.

Ramesh miał właśnie założyć ostatnie „krzeselko” na linę, kiedy rozległa się seria z broni maszynowej i trafiły go dwie kule: jedna na wysokości pasa, druga w udo. Wykręciło go i upadł na ziemię, słysząc podekscytowane krzyki goniących. W lewej ręce trzymał *Stena*. Usiadł nie bez wysiłku, podniósł broń i czekał. Dojrzał ich, gdy byli zaledwie o dziesięć metrów od niego. Było ich pięciu: szli w jednej linii, posuwali się ostrożnie, starając się przebić wzrokiem ciemność.

Nie zapomniał ani na chwilę, czego się nauczył: nawet wtedy, gdy zobaczył błysk z lufy i usłyszał świst kuli przelatującej mu tuż nad uchem. Trzymał broń w mocnym uchwycie, przyciskając kolbę do ramienia, i delikatnym ruchem, jakby zrywał dojrzałą śliwkę, nacisnął spust. Przejechał serią po nadciągających postaciach, wystrzeliwując cały magazynek: padali na ziemię jak strącone kręgle.

Załoga „Manasy” zgromadziła się na rufie. Słyszeli strzały, zadarli głowy i wypatrywali z obawą, starając się przebić wzrokiem ciemność.

— Proszę — szeptała Kirsty. — Proszę, Ramesh, nie zostawiaj mnie teraz!

Cady zdążył objąć ją ramieniem, kiedy z góry popłynął pełen życia okrzyk:

— Geronimooo!

Ramesh był już zmęczony bezustannymi pożegnaniami. W ciągu dwóch miesięcy odbył ich więcej, niż zawarł znajomości przez poprzednie czterdzieści osiem lat życia.

Robił jednak, co mógł, żeby być miłym dla Murphy'ego, Raya, Howarda, Harriet i Lester. Przez ostatni miesiąc nie dawali mu od siebie odpocząć.

Stali teraz na pokładzie „Manasy”, z kieliszkami w rękach: Murphy przyniósł ze sobą butelkę szampana. Howard wznosił toast:

— Za szczęśliwą podróż!

Wszyscy podjęli toast i wypili. Ramesh spojrzął na zegarek.

— No tak — zreflektował się Murphy. — Chcecie na pewno wypłynąć przed nocą. Czas na nas!

Mężczyźni ściskali mu serdecznie rękę i poklepywali po plecach. Tylko Lester wydawał się nieco onieśmielony: Ramesh z zażenowaniem skonstatował, że Lester wciąż patrzy na niego jak na bohatera. Przyszła pora na Harriet: objęła go w gorącym uścisku i pocałowała w oba policzki.

Zeszli na pomost, odcumowali jacht i stali, wymachując na pożegnanie. Machali niezmordowanie przez dziesięć minut, aż łódź zniknęła im z oczu za zakrętem kanału.

W pół godziny później „Manasa” posuwała się na wschód przy stałym wietrze o sile trzech stopni w skali Beauforta. Zrezygnował z wzięcia kursu na północ wzdłuż wybrzeża Afryki Wschodniej: odczuwał potrzebę oderwania się na dłuższy czas od lądu — i od ludzi. Potrzebował czasu, żeby całkowicie dojść do siebie i poznać własne myśli. Wypłynie na pełne wody Oceanu indyjskiego, pozeğluje czterysta mil, potem skręci na północ. Pierwszym skrawkiem lądu, który ujrzy po przebyciu niemal tysiąca mil, będzie Mogadiszu w rogu Afryki. Stamtąd popłynie na Morze Czerwone, do Kanału Sueskiego i dalej na Cypr. A co potem? Tego sam nie wiedział.

Czuł się zupełnie wyprany z emocji. Jeden z ornitologów powiedział kiedyś, że zdarza się czasem na Aldabrze, iż żółw wypuści się rano za daleko w poszukiwaniu jedzenia i w południe znajdzie się zbyt oddalony od zbawczego cienia; biedak ginie od słońca. Ramesh odczuwał teraz dziwne podobieństwo: szukał cienia samotności.

Daleko po lewej stronie, za linią horyzontu, leżała wyspa Zanzibar. Celowo wybrał taki kurs, żeby nie musieć jej oglądać. Jednak w dalszym ciągu nie mógł uwolnić się od jej obecności. Kilkugodzinny pobyt na wyspie oznaczał szczytowy moment w jego życiu i zaowocował obecnym rozchwianiem psychicznym.

Cofnął się myślami o miesiąc, do owej przerażającej nocy i jej następstw. Poznał wówczas swoją reakcję na strach. Świadomość tego, że on, Ramesh Patel, zwykły *bobu* z Bombaju, zobaczył ziejącą paszczę śmierci i, nie ulękłszy się, pociągnął za spust, nappełniła go wiarą w samego siebie. Ale następstwa tej nocy pozostawiły w jego psychice głębokie ślady.

\* \* \*

Kiedy wciągali go krwawiącego na pokład „Manasy”, czuł jedynie piekący ból w boku. Wkrótce jednak okazało się, że jedna z kul utkwiała głęboko w ciele; rana obficie krwawiła, dopóki Kirsty nie opatrzyła jej i nie przewięzała.

Stary Salim wyprowadził „Manasę” spomiędzy raf, a tam czekał już na nich Murphy i reszta — oczywiście, poza trzymilową strefą wód terytorialnych. Gospodarze eskortowali „Manasę” do samego Dar es-Salaam, gdzie przywitał ich nowy dzień. Murphy musiał cały czas utrzymywać łączność z ambasadą, bo na miejscu oczekiwał na nich ogromny komitet powitalny: ambasador robiący dzielną minę, oficjalni przedstawiciele rządu Tanzanii, policja, lekarze i karetki pogotowia.

Dalej wszystko potoczyło się w oszałamiającym tempie. Ramesh trafił do szpitala, gdzie opatrzono mu rany. Lekarze orzekli, że można mówić o niesamowitym szczęściu: parę centymetrów w prawo i byłoby pewnie po nim.

Przeżył okres euforii, do czego przyczyniły się zapewne także aplikowane mu środki przeciwbólowe: oto on, Ramesh Patel, zaznał niezwyklej przygody u boku trzech przyjaciół, z którymi wspólne doświadczenie związało go na zawsze. Łączyło ich coś więcej niż więzy pokrewieństwa czy miłość: stopili się w jedno w ogniu strachu i odważnych dokonań.

Ale później rzeczywistość wzięła górę.

Kiedy dzisiaj o tym myślał, wiedział już, że taki rozwój wypadków był rzeczą całkiem naturalną i prawidłową. Siły, które ich wiązały ze sobą, były nader skomplikowanej natury, a nad wszystkim górowały względy uczuciowe.

Garreta przebyte okropieństwa — porwanie, uwięzienie i uraz, jaki przeżył tuż przed swym uwolnieniem — zupełnie wytrąciły z równowagi.

Ramesh spędził w szpitalu tylko trzy noce, Garret natomiast przebywał w nim dłużej, pod ścisłą obserwacją. Lekarze orzekli, że musi wracać natychmiast do Ameryki i poddać się specjalistycznej terapii.

Wszystko działo się tak szybko... Euforia Ramesha nie trwała długo: odnalazłszy

szczęśliwie syna, Kirsty martwiła się wyłącznie o to, by skutki przeżyć nie pozostawiły na jego psychice trwałego śladu i nie znajdowała już czasu na myślenie o Rameshu.

Było to na drugi dzień po uratowaniu Garreta. Kirsty podeszła do łóżka Ramesha i wzięła go za rękę.

— Wiesz, że muszę wracać. Garret teraz mnie potrzebuje, na pewno to rozumiesz.

Spojrzała mu w oczy. Zobaczył w jej twarzy cierpienie.

— Zrozumiałem to już tamtej nocy.

Przyciągnął ją do siebie.

— Wiesz, co czuję... Kocham cię, Kirsty.

— Ja też cię kocham. Ale...

— Pogodziłem się z twoim odejściem — przerwał, chcąc jej — zaoszczędzić bolesnego rozdarcia między miłością do syna a miłością do niego.

Ale czy naprawdę pogodził się z koniecznością rozstania? Dobrze wiedział, że nie. Cierpiał. Po raz pierwszy poczuł, co to jest uraza. Rząd Tanzanii był najwyraźniej zażenowany tym, co się stało, i ogromnie przejęty obawą, by historia nie wyszła na jaw. Okello został zwabiony do Kenii pod pretekstem ratowania mu życia przez mieszkającego tam wybitnego lekarza, po czym ogłoszono go *persona non grata* na Zanzibarze i w Tanganice. Zniknął na zawsze z życia publicznego.

Zawarto rodzaj porozumienia, które sprowadzało się po prostu do „zadośćuczynienia”, jak to określił Howard. Wyrażało się ono w rekompensacie pieniężnej. To, czy pieniądze pochodziły od Amerykanów, czy od przepelnionego wdzięcznością rządu Tanzanii było dla Kirsty najzupełniej obojętne. Rzeczą najważniejszą była przyszłość jej syna. W cztery dni po uwolnieniu Garreta Ramesh i cała reszta znaleźli się na lotnisku w sektorze specjalnym, żeby pożegnać Kirsty i jej syna. Było gorąco i parno.

Rameshowi udało się zostać z Kirsty sam na sam tylko na jedną krótką chwilę. Przywarła do niego w żarliwym uścisku, ze łzami w oczach: ten moment niezwyklej bliskości wyostrzył ich uczucia i skupił jak w soczewce wydarzenia ostatnich tygodni.

Czar prysł, gdy Howard ujął Kirsty za ramię nalegając, by wsiadła do i tak już opóźnionego samolotu.

Kirsty odleciała.

Umiejętnie skrywał trawiący go ból. Źródłem ciepła i radości była mu w tych dniach miłość Lani i Cady'ego.

Decyzję o małżeństwie podjęli już owego pamiętnego ranka, gdy płynęli z Zanzibaru po udanej akcji.

Pojawiły się jednak problemy natury technicznej: Lani nie miała żadnego obywatelstwa, praktycznie nie wolno jej było nawet postawić stopy na terytorium Tanzanii.

Cady udał się więc do biura Kanadyjskiego Wysokiego Komisarza i poprosił o wydanie Lani tymczasowych dokumentów, na podstawie których mogliby wziąć ślub. Urzęd-

nicy zaczęli piętrzyć przed nim przeróżne biurokratyczne przeszkody i ustąpili dopiero wtedy, kiedy od ryku Cady'ego budynek niemal zadrżał w posadach.

W końcu formalności zostały załatwione. Na uroczystości zaślubin w kościele anglikańskim Ramesh, przepełniony ojcowską dumą, oddał Lani w ręce pana młodego, zapominając na chwilę o tęsknocie za Kirsty.

Młodzi na miesiąc miodowy postanowili wyjechać do rezerwatu przyrody Mikumi i nakłaniali Ramesha, żeby im towarzyszył. Gdy zdecydowanie odmówił, oświadczyli, że w takim razie rozbijają obozowisko na pokładzie „Manasy”. Okazało się, że wcale nie żartowali. Pojechał więc z nimi i spędził cudowny tydzień, uczestnicząc w ich szczęściu.

Cady zamierzał powrócić do pracy. Mieli zamieszkać na Cyprze. Zadzwoił do swojego kolegi Cama i usłyszał, że pracy jest aż nadto — może nawet powrócić do swej poprzedniej firmy, Aramco. Chamowaty kierownik ubliżył o jednej osobie za dużo i został wyrzucony. Wiadomo było powszechnie, że Cady'emu stała się krzywda, toteż jego starania o ponowne zatrudnienie spotkają się z pozytywnym przyjęciem.

Cady z wahaniem w głosie spytał Ramesha, czy mogliby z nim popłynąć „Manasą” aż na Cypr. Ramesh z ledwie skrywaną radością szybko na to przystał.

Kilka dni później Lani odbyła poufną rozmowę z Harriet, co zaowocowało wizytą Lani u lekarza. Wkrótce młoda mężatka oznajmiła, że spodziewa się dziecka. Przez dwa następne dni Cady przechadzał się z miną niedźwiedzia, któremu trafił się największy ul świata.

Porozmawiał szczerze z Rameshem o przyszłości: zostało mu już tylko dwa tysiące dolarów; czy jako przyszły ojciec nie powinien więc od razu wrócić do pracy i zacząć zarabiać pieniądze na utrzymanie mającego urodzić się dziecka?

Ramesh, poczuwający się do ojcowskiej opieki nad Lani, przyznał mu rację.

Kolejna podróż na lotnisko, kolejne pożegnanie. I obietnica, że odwiedzi ich na Cyprze; to tylko kwestia tygodni.

\* \* \*

Ramesh rzucił się w wir pracy. Nie było to trudne: „Manasa” zaroila się od robotników. Jednego z pierwszych dni Howard i Murphy poprosili go na stronę i oznajmili o wyasygnowaniu pewnych „funduszy”.

Pokład i sterówka zostały dokładnie wyszlifowane papierem ściernym i oczyszczone z czarnej farby. Jacht zyskał nowe żagle i sprzęt: nowoczesną radiostację, echosondę, nowy kompas i cały zestaw przyrządów. Na okres dwóch dni, które Ramesh spędził u Godfreyów, „Manasa” została podniesiona z wody: dno starannie wyskrobano, a cały kadłub pokryto farbą.

Jacht stał jeszcze w doku, kiedy Murphy przyprowadził amerykańskiego inżyniera, który przebywał w Tanganice z amerykańską misją pomocy, mającej za zadanie uno-

wocześnie miejsce floty rybackiej. Gość spędził dwie godziny w maszynowni na czułych uściskach z silnikiem. Po wyjściu na pokład, wycierając ręce w pakuły, zapytał z miejsca Ramesha:

— Kto panu naprawiał staruszka Perkinsa?

— Pewien Anglik z Seszeli, Jack Nelson. To jak, silnik w porządku?

— Jeszcze pan pyta! Można objechać cały świat! Ten facet to prawdziwy spec.

Tymczasem Ramesh zajął się pisaniem listów. Pierwszy wysłał do Jacka Nelsona na adres Klubu Królewskiej Marynarki w Londynie. Opisał wszystko, co zaszło od dnia ich wyjazdu. Zwierzył się również Jackowi ze swojej głębokiej miłości do Kirsty. Jako adres zwrotny podał poste restante w Dżibuti, gdzie miał zawinąć po wypłynięciu z Mogadiszu. Napisał także do państwa Savy na Bird Island i do Dave'a Thomasa, podając im skróconą wersję wydarzeń.

List do Jarana Singha przysporzył mu nieco trudności. Bo jakże opisać ostatnie dwa miesiące tak, by stary przyjaciel z Bombaju nie pomyślał, że Ramesh postradał do szczętnie zmysły? Zadowolił się więc w końcu relacją z rejsu na Seszele, w której opowiedział również o pięknych widokach i przyrodzie wysp.

Wreszcie zabrał się do napisania listu do Kirsty. Zrelacjonował z niezwykłą dokładnością swoją podróż z parą szczęśliwych nowożeńców i dzień, w którym Lani zakomunikowała, że wkrótce zostanie matką. Ostatni akapit zajął mu całe dwa dni: ostrożność walczyła w nim z tłumionym uczuciem.

Aż przysłała noc, która zadecydowała o wszystkim. Było niemal bezszelestnie — wiał tylko lekki wietrzyk, niebo przypominało czarny aksamit usiany gwiazdami. Zapragnął jej obecności i napisał jej o tym.

Tuż przed wypłynięciem otrzymał odpowiedź. Długi list poświęcony był prawie w całości Garretowi: przechodzi dobrze kurację, a w czasie długich rozmów wyraża pragnienie studiowania biologii morskiej. Opowieści matki o Aldabrze i okolicznych wyspach jeszcze bardziej pobudzają jego wyobraźnię. Kirsty była pod wrażeniem nieugiętej decyzji syna: pieniądze otrzymane w ramach „zadośćuczynienia” zostały przeznaczone na pokrycie kosztów jego studiów. Kirsty myślała również o podjęciu na nowo pracy. Obiecała napisać na adres Cady'ego na Cyprze. Ostatni akapit był pełen wyrazów wdzięczności i kończył się słowami: „Twoja kochająca Kirsty”.

\* \* \*

Kirsty na drugim krańcu świata nie mogła odnaleźć spokoju. Przyczyna tego stanu rzeczy była trudna do określenia. Rekonwalescencja Garreta przebiegała sprawnie i zapowiadała całkowite wyzdrowienie. Szybko przybierał na wadze, a w nieobecnych, zapatrzonych chwilami w przeszłość oczach pojawił się wyraz pewności siebie.

Zajmujący się .nim znakomity psycholog miał powody do zadowolenia. Chociaż, jak twierdził, chłopak nie pozbędzie się nigdy ciężaru bolesnej przeszłości, to ma wszelkie szanse po temu, by przeżyte doświadczenia umocniły jego charakter.

Kirsty widziała to sama. Garret opuszczając dom był niespokojnym, zamkniętym w sobie, gniewnym młodzieńcem, wrócił zaś jako mężczyzna. Miała go przy sobie już miesiąc. Rozmawiając z nim, słuchając go, a — nade wszystko — obserwując na co dzień, czuła dumę, satysfakcję i niewypowiedzianą ulgę.

Garret — ich jedyny syn, jedyne jajo w gnieździe. Słabe, ledwo opierzone pisklę, które zbliżyło się zbyt blisko do brzegu gniazda i wypadło; próbowało trzepotać gołymi skrzydełkami, ale spadało nieuchronnie na skalisty grunt. W ostatnim momencie porwała się do lotu i je pochwyciła. Żaden człowiek, dotknięty tak ciężką próbą, nie doczekał się nagrody tej miary; nigdy jeszcze upór wobec faktom nie okazał się tak bardzo usprawiedliwiony. Początkowo musiała się często upewniać o jego fizycznej obecności: muskała palce syna, podając mu kawę, dotykała niby przypadkiem jego ręki na kawiarnianym stoliku, całowała w policzek na dobranoc.

Nie mogło być inaczej. Przecież tak nieskończenie długo był jedynie cieniem, zjawą, ułudą; widziała jego odbicie w każdym współczującym spojrzeniu, w nie kryjących powątpiewania oczach rozmówców, w cynicznych napaściach.

Każdy dotyk dawał jej radosną pewność, że jej winy zostały odkupione.

Dużo ze sobą rozmawiali. Z początku, na prośbę Garreta, opowiadała o podróży i o ludziach, których spotkała na swojej drodze. Nigdy nie miał dosyć. Mógł słuchać bez końca jej barwnych historii o miejscach i poznanych postaciach, zawsze ciekaw ich obrazu w jej oczach.

W dwa tygodnie po powrocie do Nowego Jorku zamknął się w sypialni wynajętego przez nich mieszkania, by po kilku godzinach wyłonić się z teczką pełną listów. Podał je Kirsty bez słowa. Przeczytała je: pisał do ludzi, których poznał z opowiadań matki. W prostych, pełnych godności słowach wyrażał nie tylko wdzięczność w swoim imieniu, ale dziękował również po męsku za dobro, jakie spotkało jego matkę z ich strony.

Później rozmowy zeszły na przyszłość Garreta.

Własna eskapada oraz opowieści matki rozpały w nim, graniczącą z obsesją, miłość do morza i jego mieszkańców. Złożył podanie o przyjęcie go na Uniwersytet Florydzki na wydział biologii morskiej. Dobre wyniki ze szkoły średniej, poparte życzliwym telefonem pewnego dżentelmena z Departamentu Stanu do dziekana uczelni, zapewniły mu pozytywną odpowiedź.

Tylko tydzień dzielił go teraz od początku semestru, przygotowywał się więc intensywnie. Pojawiła się również kwestia przyszłości Kirsty. Postanowiła, że zacznie znowu pracować — ale nie w Goldrite Fashions; ten rozdział należał już do przeszłości. Zdecydowanie odmówiła propozycji skorzystania z części pieniędzy otrzymanych w ramach



„zadośćuczynienia”: te pieniądze to przecież inwestycja w przyszłość Garreta. Gotowa była podjąć jakąkolwiek pracę: może być kelnerką, ekspedientką w sklepie, może sprzedawać bilety w biurze turystycznym. Ale powiedziała sobie jasno, że nie usiądzie więcej za biurkiem, nie podejmie pracy w charakterze księgowej — ten okres jej życia także stanowił zamkniętą kartę. Cokolwiek by miała robić, chce mieć do czynienia bezpośrednio z ludźmi.

Oboje wiedzieli, że mówiąc o swojej przyszłości Kirsty myślała jedynie o najbliższych miesiącach. To, co kryło się na horyzoncie, co przywoływało ją do siebie, skrętnie pomijała milczeniem. Marzyła wyłącznie o tym, by móc ujrzeć Garreta na uczelni, upewnić się, że stoi na twardym gruncie.

Była pełna wiary, ale rodziła się w niej obawa. Była bezgranicznie szczęśliwa, ale przeczuwała nadciągającą chmurę. Patrząc bowiem w oczy Garreta dostrzegła, jak kryją się za szczelnie zaciągniętą zasłoną, jakby ktoś spuścił w połowie przedstawienia kurtynę, która oddziela scenę od jasnych światel widowni. Za spuszczoną kurtyną czaiła się złowieszcza zapowiedź czekających ją ostatnich słów ostatniego aktu sztuki.

Broniąc się przed tymi myślami wyrzucała sobie głupotę: owa złowieszcza kurtyna to w końcu nic innego jak wyraz lęku, że jej szczęście i odkupienie win muszą mieć pewne rysy. Nic nie jest doskonałe.

Ale te umysłowe łamigłówki nie pomogły jej uśmierzyć obaw. Któregoś wieczoru, kiedy jedli w domu kolację, zrozumiała to z przeraźliwą jasnością.

Rozmowa tego wieczoru, co często się zdarzało, znowu zeszała na Ramesha. W odpowiedzi na pytanie Garreta zaczęła wspominać, jak to Ramesh z całkowitą beztroską zaproponował, że odda swój jacht do jej dyspozycji. Spojrzała Garretowi w oczy i nagle spostrzegła, że spowijająca je kurtyna w połowie się rozsunęła. W ułamku sekundy pojęła całą prawdę: Garret odkrył jej miłość do Ramesha. To była owa nadciągająca chmura, której tak się bała. Garret myślał zapewne, że Kirsty, przywróciwszy go na powrót do życia, porzuci go — choćby tylko w myślach — dla innego mężczyzny.

Słuchał z powagą i w milczeniu wyjaśnień matki. Przyznała się do uczuć, jakie żywi do Ramesha, zapewniła jednak, że zdusi je w sobie, przynajmniej do czasu, gdy będzie spokojna o przyszłość syna. Nie po to spaliła za sobą wszystkie mosty, nie po to dla ratowania syna przeszła przez psychiczne piekło, by teraz go zostawić.

Skończyła mówić i wpatrywała się z napięciem w twarz Garreta. Spuścił wzrok i patrzył w obrus na stole. Przestraszyła się, że może nie użyła najodpowiedniejszych słów, nie wydała mu się dość przekonująca.

Podniósł głowę i zobaczyła przed sobą czyste, spokojne oczy silnego mężczyzny. Dziwne tylko, że błyszczały w nich łzy. Uśmiechnął się z konsternacją, przez którą przebijała ironia.

— Kocham cię, mamó. Dotarło to do mnie po raz pierwszy wtedy, kiedy siedziałem na piaszczystym klepisku chaty, w najgorszym ze slumsów Katmandu. Nie chodzi o to,

że nagle zacząłem się nad sobą użalać, że poczułem tęsknotę za domem czy coś takiego. Zdałem sobie sprawę z tego, że cała ta gadanina, jakiej mi nie szczędziłaś po śmierci taty, była wyrazem twojej miłości do mnie, była przejawem strachu, że coś może mi się przytrafić... Przez te wszystkie lata czułem się jak pacjent w domu bez klamek...

Westchnęła i chciała coś powiedzieć, ale ją powstrzymał. Wciąż się uśmiechał, lecz teraz był to uśmiech pełen uczucia.

— Wysłuchaj mnie najpierw, mamó. Od tamtego momentu zaczęła się moja podróż do domu. Długa, ale z wyraźnie nakreśloną metą. Chciałem zobaczyć jak najwięcej świata, a potem wrócić i powiedzieć, że bardzo cię kocham, ale że muszę żyć własnym życiem. Wiedziałem, jakich słów użyję: „Zgoda, mam rzadko spotykaną grupę krwi, ale to zdrowa krew, nie gorsza od innych”. Chciałem być stanowczy i miałem nadzieję, że skoro już raz wyfrunąłem z domu, to mnie zrozumiesz i pozwolisz mi wybrać własną drogę, że będziesz mnie kochać, ale zwykłą, nie przesadną, miłością.

Do tej chwili patrzył jej w oczy. Teraz jednak wbił spojrzenie w stół i ściszył głos.

— A potem przyszły miesiące uwięzienia na wyspie... Za każdym razem, gdy brali mi krew, zabierali mi nadzieję, a z nią kawałek duszy. Cały czas myślałem o tobie — z rozpaczą. Wiedziałem, że nigdy już nie usłyszysz słów, które sobie przygotowałem, nie zobaczysz chłopaka, który wszystko dokładnie zrozumiał. — Wziął oddech i wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz. — I potem, kiedy wydawało się, że nadszedł koniec, kiedy widziałem twarze tych kanalii Lascellesa i Okella wpatrzonych we mnie z obrzydliwą fascynacją — wtedy zjawiłaś się ty. Moja matka, z bronią w ręku!

Podniósł wzrok.

— Wreszcie wróciliśmy do domu i było pięknie jak w bajce — tylko że ja się bałem.

— Bałeś się?

— Tak.

Nagle się uśmiechnął. Lekko przechylił głowę, zmrużył oczy z wyrazem ulgi i radości.

— Bałem się, że wszystko, co zamierzałem ci powiedzieć, przepadło raz na zawsze — myślałem tak aż do dzisiejszej rozmowy. Widzisz, mamó, po tym co się stało, wiedząc, przez co musiałaś przejść, żeby mnie uratować, jakże mogłem ci powiedzieć, że chcę prowadzić własne życie, że chcę być niezależny? Pomyśl sama, mamó. Jakże mógłbym powiedzieć: „Słuchaj, chciałbym znowu wyjechać na trochę”? A gdybyś poprosiła, żebym na weekend wpadł do domu, to czy miałbym prawo ci odmówić? Nawet wtedy, gdybym znacznie bardziej wolał spędzić ten czas z jakąś dziewczyną? Mogłem ci powiedzieć, że cię kocham, ale chcę być traktowany jak normalny syn?

— Ależ...

— Poczekaj, mamó. Kiedy zaczęłaś mówić o szukaniu pracy — co, dobrze wiedziałem, miało mi pomóc w realizacji moich zamiarów — znów poczułem strach. Myślałem

sobie tak: „Będę siedział na Florydzie i głowił się, czy wystarczy raz dziennie zadzwonić do domu. Czy będę okazywał dosyć wdzięczności? Czy powinienem przyjeżdżać na weekendy dwa czy trzy razy w miesiącu?” — Potrząsnął głową. — Czułem, że ze swojej strony nie będziesz czynić żadnych przeszkód — rozmawialiśmy przecież o tym. Byłem pewny, że nie chcesz zrobić ze mnie na powrót maminsynka — tylko że po tym, co się stało, sam nie wiedziałem, jak mam dalej postępować. Bo jaką miłością powinien darzyć syn matkę, która uratowała go od niechybnej śmierci?

Zaczynała powoli rozumieć: widział to w jej oczach.

— Sądziłaś, że możesz mi sprawić przykrość swoim uczuciem do Ramesha... Jest dokładnie na odwrót. Wiem, że go kochasz. Próbowałaś stłumić to uczucie — nie chciałaś przyznać się do tej miłości nawet przed sobą. A przecież widzę ją i czuję, jak tylko zaczynasz o nim mówić. Może właśnie dlatego tak często wypytywałem o Ramesha... Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś się z nim związała. Oboje mamy własne życie — i tak być powinno...

W ciszy popłynął jej nieśmiały szept:

— Nie wiem... To nie takie proste. Będę tak daleko...

Odsunął krzesło, podniósł się i stanął za jej plecami. Oparł jej rękę na ramionach i przytulił policzek do jej policzka.

— Posłuchaj, mamo: jeżeli ostatnie miesiące czegoś nas nauczyły, to z pewnością tego, że tak naprawdę nigdy się nie rozłączymy. Nikt nie jest w stanie nas rozdzielić — i jestem pewny, że nikomu się to nawet nie marzy. A co do podróży, to weź część pieniędzy, które dostaliśmy.

Potrząsnęła w zadumie głową.

— Nie, to twoje pieniądze... Zacznę pracować, będę oszczędzać. Może za parę miesięcy...

\* \* \*

Nie musiała czekać kilka miesięcy. W dwa dni później zadzwonił do niej miejscowy agent biura podróży. Historia była doprawdy tajemnicza: agent biura londyńskiego przesłał dla niej bilet od anonimowego ofiarodawcy.

\* \* \*

Mogadiszu było brunatnobrązowe, śmierdzące, brudne, gorące i drogie. Odnosił zapasy paliwa, wody i żywności, po czym ruszył bezzwłocznie w dalszą drogę. Po dwóch tygodniach przekonał się, że Dżibuti — wyjąwszy francuską otoczkę — jest gorsze od Mogadiszu. Kolejne rozczarowanie przeżył, gdy okazało się, że nie czeka na niego żadna korespondencja. Gdyby wiedział choć trochę o beznadziejnej pracy poczty w tym regionie, w czasie rejsu po Morzu Czerwonym nie dręczyłoby go może tak wielkie poczucie osamotnienia.

Ożywił się nieco w trakcie przeprawy przez Kanał Sueski. Niewiele było co prawda do oglądania, ale płynięcie jachtem pośród piasków pustyni było samo w sobie niezwykłe.

Zawinął do Port Saidu tylko po to, by wziąć paliwo i wodę. Wypływając w Morze Śródziemne nie mógł pozbyć się myśli, że — na przekór niedawnym mrzonkom — samotność nie sprawia mu radości. Stał się człowiekiem całkowicie uzależnionym: dane mu było zaznać przyjaźni i łaknął jej teraz całym sercem; ale poznał również miłość, bez której nie potrafił już żyć.

Gdy to zrozumiał, zasępił się jeszcze bardziej. Uczucia, jakie żywił, były owocem krótkiego epizodu, który zesłał mu los; ten sam los odebrał mu teraz wszystko, pozostawiając w zamian pustkę.

W dwa dni później przybył do portu jachtklubu w Larnace na Cyprze. Po sześciu tygodniach izolacji był pusty wewnątrz i czarno patrzył w przyszłość. Rozczarowanie brakiem listów, jakie przeżył w Dżibuti, umocniło go w przeświadczeniu, że więzy przyjaźni, niczym stara lina, wystrzępiły się i rozerwały.

Wiał silny, przybrzeżny wiatr, który nie ułatwiał wpłynięcia do i tak trudnego wejścia do portu. Skupiony maksymalnie, wprowadzał „Manasę” przez wąski odstęp. Z uwagi na wiatr i falujące morze silnik pracował na pełnych obrotach. Wpłynąwszy na spokojne wody, sięgał ręką do przepustnicy, kiedy przez małą przystań przetoczył się okrzyk:

— Ramesh!

Drgnął i podniósł głowę. Na pomoście, pięćdziesiąt metrów od niego, stał Cady z prawą ręką wzniesioną do góry, zaciskając pięść w geście pozdrowienia. Lewym ramieniem przytulał do siebie Lani.

W jednej chwili Ramesh zapomniał o depresji i poczuł przypływ ciepłych uczuć. Łzy przesłoniły mu wzrok. Przetarł ręką oczy i widząc ciągle jak przez mgłę, dostrzegł obok Lani niewyraźną postać. Potrząsnął z niedowierzaniem głową i spojrział ponownie.

To była Kirsty, z pochyloną głową, z uśmiechem na ustach. Jej sylwetka rosła w oczach. Wtem uśmiech zniknął z jej twarzy i jednocześnie posłyszał ostrzegawczy krzyk Cady’ego:

— Zwalniaj, Ramesh, zwalniaj!

Otrząsnął się z zamroczenia, chwycił rączkę przepustnicy i przestawił w położenie zerowe, a potem na bieg wstecz. „Manasa” zwolniła i — niczym leciwa dama, która poślizgnęła się na lodzie — zakręciła kuprem i z pełnym wyrzutem jękiem zaryła w pomost.

Cady ryknął śmiechem, ale Ramesh nic nie słyszał. Patrzył na stojącą dziesięć metrów dalej Kirsty i czytał odpowiedź z jej oczu.

W budynku jachtklubu czekał na Ramesha plik listów. Sekretarz wręczył mu je z kwaśną miną; nie przepadał za samotnymi żeglarzami — zwłaszcza tymi, którzy nie potrafią uszanować pomostu na jego przystani.

Ramesh i Kirsty byli jak zauroczeni. Trzymając się za ręce, podeszli do baru.

— Nie spodziewałem się, że cię tu zobaczę.

Uśmiechnęła się.

— Dla mnie to była też niespodzianka. Później ci o tym opowiem... Nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa. — Pochyliła się i pocałowała go. — Przeczytaj teraz swoje listy, ale trzy ode mnie zostaw na później. Nie myślałam, że kiedy będziesz je czytał, będę razem z tobą.

Przejrzał korespondencję; kilka listów zostało przesłanych z Dżibuti.

Wśród reszty znajdowała się gruba, urzędowo wyglądająca przesyłka z Londynu. Zostawił ją na sam koniec. Trzydzieści lat bycia *babu* nauczyły go podejrzliwości wobec wszelkich urzędów.

Czytając pozostałe listy miał wrażenie, że przemierza na nowo ścieżki wspomnień.

Pisali do niego: Jaran Singh z Bombaju, Guy i Marie-France oraz Dave Thomas z Selseli, Murphy, Howard i Harriet z Dar es-Salaam.

Wreszcie otworzył pękatą kopertę ostemplowaną w Londynie. Wewnątrz znajdowała się trzystronicowa epistoła napisana na maszynie oraz niebieska koperta zaadresowana kulfoniastym pismem do Ramesha i Kirsty.

Zaintrygowany, zaczął od maszynopisu. Zgarbił się przy stole, czoło przecięła mu głęboka bruzda.

Kiedy skończył, spojrzał na niebieską kopertę. Ostrożnie, jakby miał przed sobą kruchy, starożytny pergamin, wziął ją do ręki i otworzył. Wyjął kartki papieru i pograżył się w lekturze. Wokół niego zapadła cisza. Z twarzy Ramesha przebijał nieklamany smutek. Kilka razy podnosił wzrok i spoglądał w pytające oczy Kirsty.

Czytał bez pośpiechu, ale nikt się nie niecierpliwił. W końcu poukładał starannie kartki i trzymał je przez chwilę w dłoniach. Na koniec spojrzał na Kirsty i podał jej bez słowa list.

Pochyliła głowę i zaczęła czytać. Cady i Lani mieli nieodparte wrażenie, że uczestniczą w niezwykle intymnym spektaklu.

Kirsty skończyła i położyła kartki na stole. Spojrzała Rameshowi w oczy i nawiązali milczący dialog. Ostrożnie zadane pytanie spotkało się z pozytywną odpowiedzią. Spojrzenie zawierało obietnicę, przymknięte powieki były widomym znakiem.

Pobiegła wzrokiem przez balkon na pokryte barankami morze i przemówiła, z trudem znajdując słowa:

— Jak to jest, Ramesh? Czy można być niewypowiedzianie smutnym i jednocześnie tak bardzo szczęśliwym?

Nie odpowiedział. Siedział nieruchomo, jakby wcale nie oddychał, i wpatrywał się w jakiś punkt nad jej prawym ramieniem. Starła się znaleźć właściwe słowa.

— To życzenie, którego nie sposób nie spełnić. Jest jak zielona wstęga o zachodzie słońca.

Wstali i chwycili się za ręce. Odwrócili się do Cady'ego i Lani.

— Przeczytajcie ten list — poprosił Ramesh. — Odnosi się również do was.

Przeszli na balkon i stanęli przy balustradzie. Ramesh otoczył Kirsty ramieniem, wtuliła się w niego i objęła go w pasie.

Cady przysunął do siebie list i wyciągnął kartkę spod samego spodu. Zobaczył podpis: Jack Nelson”.

Lani pochyliła się i razem zaczęli czytać:

Drogi Rameshu, droga Kirsty!

Starzy ludzie mają swoje marzenia. Starzy ludzie, nad którymi pochyła się śmierć, mają bardzo żywe marzenia: jak ostatnie życzenie, które może być spełnione tylko przez innych.

Czyli przez was.

Kocham was oboje. Tak, kocham. Nie wstydzę się napisać tego słowa. Kiedy będziecie to czytać, mnie już nie będzie. Widzę koło siebie jedynie łgających lekarzy i pielęgniarki, którzy szczerzą zęby w uśmiechu, ale nie potrafią ukryć współczujących spojrzeń.

Użalałem się nad sobą i wtedy nadeszły listy od was, oba tego samego dnia, z miejsc odległych o tysiące kilometrów.

Najgorsze dla umierającego jest poczucie całkowitej pustki. Może tym, którzy mają dzieci, jest łatwiej.

Nie mam dzieci i czułem wokół siebie bezdenną pustkę. Ale wraz z nadejściem waszych listów wszystko się odmieniło.

Poczułem się jednym z was, razem z wami płynąłem na Zanzibar.

Kiedy czytałem, Ramesh, jak strzelałeś do Okella, miałem wrażenie, że wspólnie naciskamy spust.

Wyobrażałem sobie Kirsty, jak trzyma w ramionach syna,

i czułem się tak, jakbym sam tam był i otaczał ramieniem Garreta.

Sentymentalne bzdury....

Ale kiedy człowiek liczy godziny, takie sentymentalne bzdury znaczą więcej niż środek przeciwbólowy.

Znam was oboje tak dobrze, i kocham was.... tak jak tego małpiszona Cady'ego i Lani – jesteście moim największym skarbem.

Dlaczego zjawiliście się tak późno?

Sam sobie jestem winny – zawsze byliście blisko, tylko ja byłem ślepy.

Dziękuję Bogu, że w końcu się zjawiliście i otworzyliście mi oczy.

Znam was tak dobrze.

Piszesz, Kirsty, że Garret idzie na studia – i że są na to środki.

Mówisz, że sama nie bardzo jeszcze wiesz, co będziesz robić.

A teraz ty, Ramesh: piszesz, jak cieszysz się na myśl o czekającym cię samotnym rejsie na pokładzie „Manasy”. Możesz oszukać świat, ale nie człowieka, który właśnie z tego świata odchodzi.

Pamiętam pożegnalne przyjęcie w hotelu „Northolme”, w wieczór poprzedzający wasz odjazd. Patrzyłem na was. Może sami nie zdawaliście sobie jeszcze sprawy, że jesteście w sobie zakochani, ale ja to zauważyłem.

Przechodzę zatem do mojego marzenia:

Twój syn, Kirsty, będzie kroczył swoją drogą – ty również powinnaś żyć własnym życiem.

Ramesh: każda podróż musi mieć swój kres – albo cel. Was łączy miłość.

Ale sentymenty to nie wszystko.

Nie będę przeproszał, że wtrącam się do waszego życia:

przesłałem Kirsty bilet lotniczy na Cypr.

Razem z niniejszym listem wysyłam pismo od mojego adwokata.

Zapisałem wam mój bungalow na Mahé oraz lokaty pieniężne, które – jak mówi adwokat – mogą zapewnić wygodne życie.

Moim życzeniem jest, żebyście wrócili na Seszele.

Piszesz, Kirsty, o swojej fascynacji Aldabrą. Teraz wyspa stoi przed tobą otworem: odkryj ją, a wraz z nią nowe życie.

A ty, Ramesh, bądź towarzyszem tych odkryć.

P.S. Moje workowate spodnie są w lewej dolnej szufladzie.

KONIEC

# SPIS TREŚCI

KSIĘGA PIERWSZA	3
1	4
2	20
3	25
4	32
5	40
6	50
7	55
8	63
9	74
10	90
KSIĘGA DRUGA	94
11	95
12	103
13	111
14	119
15	123



KSIĘGA TRZECIA	126
16	127
17	135
18	144
19	149
20	162
21	170
22	176
23	183
24	191
25	196
26	206
27	211
28	227
29	237